

Autorka z pierwszych miejsc list bestsellerów New York Times

LISA  
JACKSON

Stracone dusze





***Lisa JACKSON***



***Stracone dusze***

---

# *Prolog*

---

*College Wszystkich Świętych  
Baton Rouge, Luizjana  
Grudzień*

Gdzie ja jestem?

Rylee poczuła lodowaty powiew na nagiej skórze. Przeszył ją dreszcz.

Zadrzała. Mrugała szybko, usiłując przeniknąć wzrokiem nieruchomą ciemność, zimną, mroczną próżnię, w której gdzieś błyszczały czerwone światełka. Drżała z zimna, leżała jakby na kanapie i...

Boże, jestem naga?

Naprawdę?

To niemożliwe!

A jednak czuła pod plecami miękką aksamitną poduszkę. Jej mózg przeszło ukłucie strachu.

Chciała się poruszyć, ale nogi i ręce ani drgnęły, nie mogła odwrócić głowy. Spojrzała w górę, ciekawa, jak wygląda sufit tego dziwnego pokoju z czerwonymi lampkami.

Usłyszała ciche chrząknięcie.

Co?

Nie jest sama?

Usiłowała odwrócić się w stronę, z której dobiegło. Nie mogła. Jej głowa ciężko opadła na oparcie kanapy. Rusz się, Rylee, do cholery, wstawaj!

Kolejny dźwięk. Pisk podeszwy na betonie, albo innym twardym podłożu.

Wstawaj, zabieraj się stąd. Coś jest nie tak.

Wyteżyła słuch. Wydawało jej się, że z ciemności dobiegły szepty. Co to jest, do cholery?

Nowa obawa sprawiła, że ścisnął jej się żołądek. Dlaczego nie może się ruszyć? Co się dzieje? Chciała coś powiedzieć, ale nie była w stanie wykrztusić słowa, jakby jej struny głosowe zamarły. W panice rozglądała się dokoła, ale ruszały się tylko jej oczy, głowa pozostała nieruchoma.

Jej serce waliło jak oszalałe i mimo zimna zaczęła się pocić.

To tylko sen, prawda? Cholerny koszmar, w którym leży nagusieńka, jak ją pan Bóg stworzył, na aksamitnej kanapie. Kanapa stoi chyba na podium, na dziwacznej scenie, a dokoła gapi się niewidzialna publiczność, skryta w mroku.

Strach chwycił ją za gardło.

Panika przeszła ciało.

To tylko sen, pamiętaj. Nie jesteś w stanie się ruszać, nie możesz mówić - to klasyczny koszmar senny. Uspokój się, zapomnij o tym, a zaraz się obudzisz...

Ale nie słuchała wewnętrznego głosu, bo coś było nie tak. I to bardzo, bardzo nie tak. Nigdy przedtem podczas koszmarów sennych nie

zdawała sobie sprawy, że śni. Zresztą ta sytuacja była zbyt rzeczywista, tak realna, że zwątpiła w podszepty rozumu.

Musi sobie wszystko przypomnieć...

No tak, wczoraj wieczorem... a może tylko kilka godzin temu?

Umówiła się na drinka z nowymi przyjaciółkami z college'u, dziewczynami, które ją wciągnęły w całą tę zabawę w wampiry - czy też, jak się upierały, wampiry. Obcojęzyczna pisownia miała podkreślać ich autentyczność. Pamiętała szepty i prowokacje i krwistoczerwone martini, zabarwione, jak się zaklinały jej nowe przyjaciółki, ludzką krwią. To taka inicjacja, mówiły.

Rylee im nie uwierzyła, ale tak chciała stać się częścią ich grupy, że uległa namowom, dała się sprowokować i teraz... teraz ma odłot. Dodały jej czegoś do drinka - nie krew, ale jakiś środek psychotropowy - i teraz ma halucynacje, tak jest! Czy nie wyczuła w nich odrobiny wahania, gdy podawały jej kielich krwistoczerwonego napoju? Czy nie widziała ich fascynacji i zarazem strachu, gdy zamiast go sączyć, wypić duszkiem?

O Boże...

Ta cała inicjacja, którą traktowała jak dobry żart, przybrała nieoczekiwany, niebezpieczny obrót. Jak przez mgłę przypomniła sobie, że zgodziła się wziąć udział w pokazie. Wypiła krew z kieliszka i owszem, uważała, że wampiryczne fascynacje nowych przyjaciółek to fajna sprawa, lecz nie brała ich słów poważnie. Myślała, że tylko ją prowokują ciekawe, jak daleko się posunie...

Ale już kilka minut po wypiciu drinka dziwnie się poczuła. Pijana, ale i oszołomiona. Za późno zdała sobie sprawę, że do jej kieliszka dodano narkotyku. Straciła przytomność.

Ile czasu minęło?

Minuty?

Godziny?

Nie miała pojęcia.

Koszmar senny?

Odlot na prochach?

Oby tak. Bo jeśli to się dzieje naprawdę, jeśli rzeczywiście leży na kanapie na scenie, naga, z długimi włosami upiętymi na czubku głowy, nieruchoma. .. Czowała się, jakby grała w dziwacznym spektaklu, posępnej sztuce, która - tego była pewna - nie kończy się szczęśliwie.

Kolejny szept zniecierpliwienia.

Czerwone światełka zaczęły pulsować, wtórowały biciu jej przerażonego serca. Wyobraźnia podpowiadała, że widzi białka tuzinów wpatrzonych w nią par oczu.

Boże, ratunku!

Zacisnęła zęby i starała się zmusić nogi i ręce do jakiegokolwiek ruchu. Na próżno.

Chciała krzyknąć, błagać, by przestali! Ale wydobyła z siebie tylko cichy pisk.

Przeszył ją strach.

Czy nikt tego nie przerwie? Nikt z widowni? Nie rozumieją, że jest przerażona? Że żart już jej nie bawi? A może to rytuał, którego same

również doświadczyły? Albo coś o wiele, wiele gorszego, o czym nawet nie chce myśleć?

Jest stracona.

Nie! Walcz, Rylee, walcz! Nie poddawaj się!

Znowu chciała się poruszyć i znowu na próżno. Nie była w stanie podnieść ręki, nogi, głowy, czegokolwiek. I wtedy go usłyszała.

Włoski na karku stanęły jej dęba od lodowatych dreszczy. Zdała sobie sprawę, że nie jest już sama na scenie. Kątem przerażonego oka dostrzegła ruch. Wysoki mężczyzna o szerokich ramionach szedł do niej poprzez mroczną mgłę.

Zaschło jej w ustach.

Serce na moment przestało bić.

Patrzyła na niego, zafascynowana jego spokojnym krokiem, zniewolona strachem. To on. To o nim szeptały fanki wampirów.

Podświadomie spodziewała się, że będzie miał na sobie czarną pelerynę ze szkarłatnym podbiciem, że będzie blady, o płonących oczach, i zaraz pokaże ostre kły...

Jednak nie. Owszem, był ubrany na czarno, ale nie było ani peleryny ze szkarłatnym podbiciem, ani płonących oczu. Był szczupły, lecz umięśniony. I cholernie seksowny. Jego oczy kryły się za okularami słonecznymi z lustrzanymi szklami. Włosy, ciemne albo mokre, opadały z tyłu na kołnierz skórzanej kurtki. Dżinsy, sprane i podarte, opinały wąskie biodra. Koszulka wyblakła od częstego prania, buty z wężowej skóry były stare, o zdartych obcasach.

Ciemność dokoła sceny przeszył dreszcz oczekiwania.

Rylee znowu wydawało się, że to sen albo odlot, straszny i zarazem cholernie podniecający.

O Boże, błagam, niech to nie będzie prawda...

Doszedł do kanapy i zatrzymał się. Odgłos jego kroków niósł się echem w jej głowie. Bicie jej serca zagłuszał tylko syk zniecierpliwienia.

Stał za nią. Opuścił silną, pokrytą odciskami dłoń i dotknął jej nagiego karku, wzbudzając w niej płomień, który stopił część bryły strachu. Jego palce bardzo, bardzo delikatnie musnęły jej obojczyk. Czowała, jak jej serce bije coraz szybciej.

Jakaś jej cząstka, bardzo malutka, ale jednak, uważała, że to fascynujące.

- Oto wasza siostra - odezwał się głosem niskim i władcym.

Niewidzialna widownia zaszemrała z oczekiwaniem.

- Siostra Rylee.

Owszem, to jej imię, ale... o czym on mówi? Chciała zaprzeczyć, potrząsnąć głową, powiedzieć, że to nie tak, że jej sutki nabrzmiały z zimna, a nie z podniecenia, że wcale, ale to wcale nie jest podniecona.

Ale on wiedział, jak jest naprawdę.

Jego silne palce przywarły mocniej do jej zimnej skóry. Parzyły ją.

- Siostra Rylee dołącza do nas z własnej woli - powiedział z przekonaniem. - Jest gotowa na ostateczną ofiarę.

Jaką ofiarę? To nie brzmi dobrze. Rylee znowu chciała zaprotestować, odsunąć się, ale była jak sparaliżowana. Jediną sprawną częścią jej ciała był mózg, a i on płatał jej figle.



Zaufaj mu, szeptał wewnętrzny głos. Wiesz, że cię kocha... czujesz to... od jak dawna czekasz na miłość?

Nie! To szaleństwo, efekt narkotyku.

Ale dotyk jego palców... coraz niżej, na piersiach, tuż obok obolałych sutków.

Zadrżała z podniecenia. Pragnęła go. A nie powinno tak być, prawda?

Pochylił się, ukrył nos w jej włosach i muskając ustami jej ucho, szepnął:

- Kocham cię.

Ogarnęło ją rozkoszne ciepło. Jego palce coraz mocniej wbijały się w skórę na jej obojczykach. Na moment zapomniała, że jest na scenie. Była z nim sama, dotykał ją... kochał... pragnął tak, jak nie pragnął jej żaden inny mężczyzna, i...

Pchnął mocniej.

Silne palce wbiły się w jej ciało, dźgnęły pod żebro. Przeszył ją ból. Otworzyła oczy.

Jej krew pulsowała strachem i adrenaliną. Serce biło szaleńczo. Co jej chodzi po głowie? Że ją uwiedzie?

Miłość? Na rany boskie, przecież on jej nie kocha! Rylee, nie bądź głupia. Nie daj się nabrać!

Cholerny narkotyk oszołomił ją na tyle, że uwierzyła, że mu na niej zależy, ale on, kimkolwiek jest, chce ją tylko wykorzystać w swoim zboczonym spektaklu.

Spojrzała na niego.

Dostrzegł jej gniew i uśmiechnął się, błyskając białymi zębami. Wtedy zrozumiała, że rozkoszuje się jej bezradną złością. Czuje, jak jej serce pompuje gorącą krew do żył.

- Oto czysta krew dziewicy - powiedział do niewidzialnego tłumu.

Nie!

Wybrałeś niewłaściwą dziewczynę! Nie jestem...

Zebrała wszystkie siły, by to powiedzieć, ale jej język odmawiał współpracy, struny głosowe nie wypychały powietrza. Chciała wstać, lecz pozostała nieruchoma.

- Nie bój się - szepnął.

Z przerażeniem patrzyła, jak pochyła się coraz niżej, czuła jego gorący oddech, widziała, jak wargi odsłaniają lśniące zęby.... I dwa kły, jak w jej fantazjach! Błagam Cię, Boże, pozwól mi się obudzić, błagam... Poczwała chłodne ukłucie, gdy kły przebiły jej skórę i weszły do żyły. Popłynęła krew...

# Rozdział 1

---

Jak na razie, wszystko dobrze, pomyślała Kristi Bentz. Wrzuciła ukochaną poduszkę na tylne siedzenie dziesięcioletniej hondy - dla niej nowej, choć miała już sto tysięcy kilometrów na liczniku. Poduszka wylądowała na stercie książek, plecaku, lampie, iPodzie i innych rzeczach, które zabierała do Baton Rouge. Ojciec patrzył, jak pakuje się przed wyprawką z domu, w którym teraz mieszkali, choć należał do jej macochy. Rick Bentz łapał groźnie, wyraźnie zły.

Wszystko po staremu, prawda?

Dzięki Bogu przynajmniej za to, że nadal żyje.

Zerknęła na niego ukradkiem.

Wyglądał dobrze, wiatr, który hulał wśród cyprysów i sosen, zabarwił jego policzki na różowo, krople deszczu lśniły w ciemnych włosach. Wprawdzie dostrzegła w nich pasma siwizny, ostatnio przytył też kilka kilogramów, ale wyglądał zdrowo, trzymał się prosto, patrzył bystro.

Dzięki Bogu.

Bo czasami wcale tak nie było. W każdym razie nie w oczach Kristi. Odkąd półtora roku wcześniej ocknęła się ze śpiączki, miewała wizje dotyczące jej ojca, przerażające, bo wydawał się w nich duchem, jego oczy przypominały bezdenne czarne dziury, był szary, zimny i wilgotny. Nieraz śniła jej się ciemna noc rozjaśniana tylko zygzakami błyskawic, trzask

drzewa, pękającego od uderzenia pioruna, a potem ojciec - martwy, w kałuży krwi.

Wizje zdarzały się częściej także za dnia. Widziała, jak kolor znika z jego twarzy, ciało blednie i wiotczeje. Wiedziała, że umrze, i to szybko - aż za często widziała to w snach. Od półtora roku żyła w przekonaniu, że ojciec zginie.

Od półtora roku zamartwiała się o niego, jednocześnie lecząc własne rany, jednak dzisiaj, dzień po świętach Bożego Narodzenia, Rick Bentz wyglądał jak okaz zdrowia. Rozjuszony okaz zdrowia.

Niechętnie pomógł jej zanieść walizki do samochodu. Wiatr nie ustawał, gwizdał wśród gałęzi, wzniecał tumany liści, niósł zapach bagien.

Honda czekała na podjeździe małego domku, w którym Rick mieszkał z drugą żoną.

Olivia Benchet Bentz to odpowiednia partnerka dla niego - co do tego nie było wątpliwości - nie do końca jednak dogadywała się z Kristi. Teraz stała kilka metrów dalej, oparta o framugę. Martwiła się - to było widać w jej oczach - ale milczała.

I dobrze.

Trzeba jej przyznać, że nie pchała się między ojca i córkę. Miała dość rozumu, by nie wtrącać swoich trzech groszy do rozmowy, ale i nie wycofała się do domu.

- Po prostu uważam, że to kiepski pomysł - powiedział Rick. Powtórzył to mniej więcej tysięczny raz, odkąd Kristi oznajmiła, że zapisała się na semestr zimowy do College'u Wszystkich Świętych w

Baton Rouge. To chyba go nie dziwiło? Przecież wspominała o tym we wrześnie. - Mogłabyś zostać z nami i...

- Tato, słyszałam to już setki razy...

- Dobrze! - Podniósł ręce na znak, że się poddaje.

Zamilkła. Dlaczego wiecznie skaczą sobie do gardeł? I to po tym, co przeszli? Choć tyle razy tak mało brakowało, a straciliby się na zawsze?

- Powiedz, czego nie rozumiesz? Że chcę wrócić na studia i wyjechać z Nowego Orleanu? Nie, nie mogę tu zostać. Chodzi o to, że... po prostu nie mogę. Jestem za duża, żeby mieszkać z tatusiem. Muszę mieć własne życie. - Jak ma mu powiedzieć, że wykańcza ją fakt, że w jednej chwili widzi go zdrowego i pełnego energii, a w następnej jego twarz szarzeje i niknie? Była przekonana, że ojciec umrze, i została z nim, gdy zagoiły się jej rany, ale dobijał ją widok jego blednącej twarzy i przeświadczenie, że sama traci rozum. Gdyby tu została, byłoby jeszcze gorzej. Ale jest też dobra wiadomość: od jakiegoś miesiąca wizje nie wracały. Może błędnie odczytała sygnały? W każdym razie czas zacząć własne życie.

Sięgnęła do torebki po kluczyki. Nie ma sensu dłużej się kłócić.

- No dobra, jedziesz. Rozumiem. - Spochmurniał. Ciemne obłoki zasłoniły blade słońce.

- Naprawdę rozumiesz? Ile razy musiałam ci to powtarzać, zanim wreszcie dotarło? Milion? - spytała, ale zaraz dodała z uśmiechem: - Od razu widać, jaki z ciebie bystrzak. Gazety nie kłamią: nasz bohater detektyw Rick Bentz.

- Gazety nie mają o niczym pojęcia.

- Kolejna błyskotliwa uwaga gwiazdy nowoorleańskiej policji.

- Daruj sobie - mruknął, ale kąciaki jego ust uniosły się w czymś, co można by uznać za uśmiech. Przeczesał palcami włosy i spojrzał na kobietę, która stała się jego ostoją. - Wiesz, Kristi, niezłe z ciebie ziółko - mruknął do córki.

- To geny - odparła.

Zmrużył oczy, zacisnął usta w wąską kreskę.

Oboje wiedzieli, o czym pomyślał, ale żadne nie powiedziało na głos, że nie jest jej biologicznym ojcem.

- Nie musisz uciekać.

- Nie uciekam. Przed niczym. Jadę tam po coś. Po resztę życia, rozumiesz?

- Mogłabyś...

- Tato, nie chcę tego słuchać - przerwała mu i wrzuciła torebkę na siedzenie pasażera, między płyty i książki. - Od dawna wiesz, że chcę wrócić na uniwersytet, więc nie ma sensu robić z tego afery. Jestem dorosła i wracam do Baton Rouge, na macierzystą uczelnię, College Wszystkich Świętych. To nie jest koniec świata, tylko kilka godzin jazdy.

- Nie chodzi o odległość.

- Muszę to zrobić. - Zerknęła na Olivię. Lampki na choince rozświetlały jej niesforne jasne włosy. Mały domek wydawał się oazą spokoju wobec nadciągającej burzy. Ale to nie jest dom Kristi i nigdy nie był. Olivia nie jest jej matką i choć się akceptują, nie ma między nimi silnej więzi. I może nigdy nie będzie. Olivia to część życia ojca, Kristi niewiele ma z nią wspólnego.

- Coś się tam dzieje. Zaginęło kilka studentek.

- Już wiesz? - zdenerwowała się.

- Czytałem tylko, że zaginęły.

- Chcesz powiedzieć: uciekły?

- Chcę powiedzieć: zaginęły.

- Nie obawiaj się! - warknęła. Ona także słyszała, że kilka dziewcząt zniknęło nieoczekiwanie z kampusu, na razie jednak nie stwierdzono niczego podejrzanego. - Przecież ciągle ktoś znika.

- Czyżby? - mruknął Rick.

Znad rozlewiska nadciągnął powiew lodowatego wiatru, przenikał bluzę Kristi, porywał wilgotne liście. Deszcz chwilowo ustał, ale niebo było ciągle szare, a na popękany asfalcie widniały kałuże.

- Wcale nie twierdzę, że nie powinnaś wracać do szkoły. - Lentz oparł się o samochód. Dzisiaj wyglądał jak okaz zdrowia - rumiany, z kilkoma pasmami siwizny. - Ale skąd ten pomysł, żeby pisać?

Machnęła ręką i poprawiła bagaże na tylnym siedzeniu, żeby nie zasłaniały lusterka.

- Wiem, o co ci chodzi. Nie chcesz, żebym pisała o twoich sprawach. Nie obawiaj się, nie wejdę na zakazany teren.

- Nie o to chodzi i dobrze o tym wiesz - odparł. W głęboko osadzonych oczach błysnął gniew.

Świetnie, niech się wkurzy. Ona też traciła panowanie nad sobą. W ciągu ostatnich tygodni ciągle działali sobie na nerwy.

- Martwię się o ciebie.

- Niepotrzebnie.

- Czyżby? Nie pierwszy raz będziesz w niebezpieczeństwie. -  
Spojrzał jej w oczy i zrozumiała, że wciąż przeżywa każdy koszmar  
szczegół jej porwania.

- Nic mi nie będzie - powiedziała miękko. Okropnie ją wkurza, ale to  
porządny facet. Po prostu się o nią martwi. Jak zawsze.

Z wysiłkiem opanowała zniecierpliwienie. Tymczasem Hairy S,  
kundel macochy, wyskoczył z domu jak z procy - gonił wiewiórkę, która  
schroniła się na sośnie. Niczym szaro-ruda błyskawica pomknęła po  
szorstkiej korze na bezpieczną gałąź i przyglądała się z wysoka, jak  
mieszaniec teriera rozpaczliwie drapie pień, wyjąc żałośnie.

- Cicho, następnym razem ci się uda. - Kristi wzięła psiaka na ręce.  
Mokre łapy zostawiły ślady na jej bluzie, szorstki język oblizwał twarz. -  
Będzie mi ciebie brakowało - poinformowała Hairy'ego. Wiercił się  
niespokojnie, chciał wrócić na ziemię i podjąć gonitwę za wiewiórką.  
Postawiła go i skrzywiła się, bo poczuła stary ból w karku.

- Hairy, do nogi! - zawołała Olivia z werandy, ale pies ją zignorował.

- Nie jesteś jeszcze całkiem zdrowa - zauważył Rick. Kristi  
westchnęła.

- Wszyscy lekarze orzekli, że jestem zdrowa jak koń, pamiętasz?  
Zadziwiające, ile może sprawić pobyt w szpitalu, fizykoterapia, parę  
spotkań z psychiatrą i rok intensywnych ćwiczeń.

Prychnął w odpowiedzi. Jakby przyznając mu rację, kruk usiadł na  
nagiej gałęzi magnolii i zakrakał ponuro.

- Byłaś w panice, kiedy się ocknęłaś w szpitalu.



- To już przeszłość, do diabła! - Rzeczywiście. Podczas jej pobytu w szpitalu świat zmienił się nie do poznania. Huragan Katrina spustoszył Nowy Orlean, a później cały obszar Zatoki Meksykańskiej. Smutek i poczucie bezradności zostały do dziś. Żywioł ucichł, ale jego ślady były widoczne na każdym kroku i minie sporo czasu - całe lata, może nawet dekady - zanim znikną. Mówiło się nawet, że Nowy Orlean już nigdy nie będzie taki sam. Kristi wołała o tym nie myśleć.

Ojciec był przepracowany, jak zawsze. Cała policja pracowała ponad siły, tak jak wszyscy mieszkańcy. Niektórzy wyjechali, by nigdy nie wrócić. Trudno im się dziwić, skoro w Nowym Orleanie nic nie funkcjonowało jak należy - ani transport, ani służby miejskie, ani szpitale. Rewitalizacja trwała, lecz był to proces żmudny i powolny. Na szczęście Dzielnica Francuska ocalała, a była tak inna i tak charakterystyczna dla Nowego Orleanu, że turyści już wracali do miasta.

Kristi spędziła minione pół roku, pracując jako wolontariuszka w szpitalach, na posterunku ojca i przy sprzątanii miasta. W końcu jednak doszła do wniosku - a jej psychiatra bardzo to pochwalał - że musi zacząć żyć własnym życiem. Nowy Orlean dźwigał się na nogi powoli, ale skutecznie. Czas, by pomyślała o sobie, o tym, co zrobić z resztą życia.

Detektyw Bentz jak zwykle był innego zdania. Po huraganie znów stał się nadopiekuńczym ojcem, choć Kristi już nie jest małą dziewczynką ani nawet nastolatką. Jest dorosła, na miłość boską!

Zatrzasnęła drzwi samochodu. Nie domknęły się, więc otworzyła je ponownie, wepchnęła głębiej ukochaną poduszkę, lampkę nocną i kołdrę,

którą zrobiła jej cioteczna babka, i spróbowała ponownie. Tym razem się udało.

- Czas na mnie. — Spojrzała na zegarek. - Powiedziałam gospodyni, że dzisiaj się wprowadzę. Zadzwoń i wszystko ci opowiem. Kocham cię.

Chciał zaprotestować, ale powiedział tylko:

- Ja ciebie też, mała.

Objęła go. Poczuła siłę jego ramion i ze zdziwieniem stwierdziła, że ma łzy w oczach. To śmieszne! Posłała całusa Olivii i wsiadła do samochodu. Wystarczył jeden ruch i silnik starej hondy ożył. Kristi, z gardłem ściśniętym ze wzruszenia, wjechała na długi, kręty podjazd między drzewami.

Po chwili dotarła do szosy, na mokry asfalt. W lusterku wstecznym zobaczyła ojca, który jej machał na pożegnanie. Odetchnęła głęboko i nagle poczuła się wolna. W końcu wyjeżdża. Najwyższy czas. Ale kiedy nacisnęła pedał gazu, niebo pociemniało, tak jak wizerunek Ricka Benta w lusterku.

Zobaczyła, jak kolor znika z jego twarzy, i ojciec staje się niewyraźny niczym duch. Wstrzymała oddech. Nie ma znaczenia, jak daleko wyjedzie, i tak nie ucieknie przed świadomością jego rychłej śmierci.

Nic tego nie zmieni.

A stanie się to już wkrótce.

Jay McKnight słuchał starej ballady Johnny'ego Casha i obserwował, jak wycieraczki monotonicznie zgarniają mżawkę z przedniej szyby wiekowej półciężarówki. Jechał przez burzę z prędkością siedemdziesięciu

kilometrów na godzinę, w towarzystwie na wpół ślepego psa, i zastanawiał się, czy aby nie oszalał.

Bo jak inaczej wytłumaczyć fakt, że zgodził się poprowadzić zajęcia za znajomą, która wzięła urlop bezpłatny? Niby dlaczego wyświadcza przysługę Althei Monroe? Prawie się nie znają.

Może robisz to dla siebie?

Od dawna potrzebowałeś odmiany. Zresztą czy semestr na uczelni to taki koszmar?

Zmienił bieg i skręcił w wąską uliczkę. Deszcz smagał nagie konary drzew, latarnie dopiero co zapłonęły mdłym światłem. Woda chlupotała pod kołami. Nieliczni przechodnie przemykali się ukradkiem. Jay uchylił okno i Bruno, mieszaniec ogara, pitbulla i labradora, przycisnął pysk do szpary ze świeżym powietrzem.

Głos Casha wypełniał kabinę, gdy wjeżdżał do Baton Rouge.

Wjechał na zapuszczony podjazd małego domku na przedmieściach. Należał do jego ciotki.

Wyłączył radio, zgasił silnik. Jego kuzynki, wiecznie skłócone Janice i Leah, chciały sprzedać dom po śmierci matki, ale zgodziły się, by w nim chwilowo zamieszkał, o ile przeprowadzi niewielki remont. Mąż Janice, niedoszły gwiazdor rocka, nie mógł się do tego zabrać.

Jay zmarszczył brwi, wziął torbę podróżną i laptopa, i wysiadł. Wypuścił psa, poczekał, aż Bruno obwącha pień starego dębu i podniesie nogę, i dopiero wtedy zamknął samochód. Postawił kołnierz dla ochrony przed wiatrem i deszczem i wbiegł po zarośniętych chwastami schodach na werandę, rozjaśnioną światłem lampy w oczekiwaniu na nadchodzący

mrok. Pies siedł przy jego nodze, jak zawsze od sześciu lat, odkąd go miał. Bruno był jedynym szczeniakiem z miotu, którego nikt nie chciał. Jego matka, rasowa suka ogara, nie poczekała na równie rasowego partnera; zrobiła podkop i romansowała z sympatycznym kundlem z sąsiedztwa, którego właściciel nie zadał sobie trudu wy-sterylizowania swojego pupila. W rezultacie urodziły się szczeniaki niewiele warte z rasowego punktu widzenia, ale bardzo czujne i pożyteczne.

Zwłaszcza Bruno, o kiepskim wzroku i świetnym węchu. Jay pochylił się, pogłaskał psa i w odpowiedzi poczuł przyjacielskie szturchnięcie w dłoń.

- Chodź, stary, zobaczymy, jak to wygląda.

W głowie rozbrzmiał mu stary więzienny blues, gdy przekręcił klucz w zamku i pchnął drzwi ramieniem.

Powietrze wewnątrz było martwe, więc mimo deszczu otworzył dwa okna. Spędził tu trzy minione weekendy: malował pokoje, układał kafelki w kuchni, reperował rury w łazience i zdierał wieloletni brud z tylnego ganku, na którym w wiekowej pralce zagnieździły się szerszenie. Teraz po zardzewiałym gracie i owadzych zwłokach nie było śladu, za to kwiaty w nowych glinianych doniczkach kuśiły wzrok, a podłogę pokrywały nowe deski.

Ale daleko jeszcze do końca remontu. Miną miesiące, zanim dom będzie się nadawał do zamieszkania. Zostawił torbę w małej sypialni i poszedł do kuchni. Stara lodówka buczała cicho na popękany linoleum, także do wymiany. W lodówce oprócz wyschniętego sera znalazł sześciopak piwa Lone Star, w którym brakowało tylko jednej butelki.

Wyciągnął rękę po wąską szyjkę. Dziwne, pomyślał, że ze wszystkich miejsc na świecie akurat Baton Rouge stało się jego schronieniem z dala od Nowego Orleanu, gdzie dorastał.

Czy to Katrina pozbawiła go energii i zapału? Laboratorium kryminalistyczne przy Tulane Avenue, w którym pracował, uległo zniszczeniu podczas huraganu i od tej pory zlecenia trafiały do zakładów rozsianych po całym okręgu, czasami aż do Baton Rouge. Zdarzało się, że pracowali w zaadaptowanych kontenerach. To był koszmar - ciągłe nadgodziny i świadomość, że zmuszenie gromadzony materiał dowodowy przepadł bezpowrotnie. Do tego wolontariat - Jay pomagał oczyszczać miasto ze śladów powodzi i zajmował się ofiarami katastrofy. Niemal wszyscy policjanci rozważali, czy nie odejść ze służby; wielu to zrobiło, stąd braki na posterunkach w czasie, gdy potrzebowano coraz więcej rąk do pracy, a nie coraz mniej.

Nie, żeby Jay kogoś obwiniał. Jego koledzy pomagali ofiarom kataklizmu, ale zmagali się również z własnymi tragediami, bo oni także stracili bliskich i mienie.

On też potrzebował odmiany. I nie chodziło tylko o zabójczo długie dni pracy. Był świadkiem horroru, jakim okazała się Katrina, widział, jak miasto walczy o przetrwanie, a federalni zwalają na siebie winę. Już to było trudne do wytrzymania, ale dobijała go świadomość, że mozolnie gromadzony materiał dowodowy przepadł na zawsze. Tyle pracy poszło na marne.

Jay miał trzydzieści lat i czuł się zmęczony życiem.

Była jeszcze jedna rzecz, kropla, która przepelniła czarę i zmusiła go do wyjazdu z Nowego Orleanu.

Złodzieje, ludzie na tyle bezwzględni albo zdesperowani, że korzystali z nieszczęścia innych?

Ofiary, uwięzione w domach i w zakładach opieki?

Ospała reakcja rządu?

Agonia miasta, które kochał?

A może fakt, że rozszalała wichura pochłonięła i jego zakątek: wynajęty domek, a wraz z nim wszystko, co posiadał?

No i na ile przyczynił się do tego nieudolny romans z Gayle? Czy koniec ich związku to jego wina? Jej? A może okoliczności?

Nalał psu wody do poobijanego rondla i otworzył piwo. Wypił długi łyk, patrząc w zachlapane deszczem okno wychodzące na podwórze. Samotny nietoperz przemknął wśród gałęzi magnolii. Zmrok zapadał szybko i Jay przypomniał sobie, że ma jeszcze dużo roboty.

Poruszył energicznie głową, aż trzasnęły kręgi, i przeszedł do drugiej sypialni, nadal pomalowanej koszmarną różową farbą. Tu urządził sobie gabinet - z biurkiem, lampką i szafką na dokumenty. Bruno miał w kącie psie posłanie, na którym ochoczo obgryzał sztuczną kość.

Jay upił kolejny łyk piwa, odstawił butelkę i włączył laptopa stojącego na poobijanym blacie. Komputer ożył z cichym pomrukiem i po chwili Jay był w Internecie. Sprawdzał pocztę.

Wśród spamu i wiadomości od znajomych z pracy, była wiadomość od Gayle. Czuł ucisk w żołądku, gdy klikał kopertkę i czytał zabawny tekścik, ale nie rozśmieszył go załączony dowcip. Nic dziwnego. Ustalili,

że rozstają się w zgodzie i zostaną przyjaciółmi, ale kogo chcieli nabrać? Tak się nie da. Ich związek to już przeszłość. Zaczął umierać na długo przed huraganem.

Nie odpowiedział, byłoby to równie bezsensowne jak myślenie o pierścionku z brylantem, który leżał w jego biurku w Nowym Orleanie. Uśmiechnął się ponuro. Nie ma szczęścia do pierścionków. Kiedyś dał pierścionek przedzareczynowy szkolnej ukochanej Kristi Bentz, a ona, ledwie zaczęła studia w Baton Rouge, związała się z asystentem. To dopiero ironia losu, prawda? Po latach wreszcie zebrał się na odwagę i zaręczył się z Gayle. Przyjęła oświadczyni i zaraz zabrała się za planowanie ich życia... nie, jego życia, i to tak energicznie, że poczuł, jak zakłada sobie pętlę na szyję. Z każdym dniem zaciskała się ciaśniej, aż nie mógł oddychać. Jego reakcja irytowała Gayle, która w rezultacie stawała się jeszcze bardziej zaborcza. Wydzwaniała o najdziwniejszych porach, była zazdrosna o przyjaciół, kolegów z pracy, nawet o zawód. I ciągle mu wypominała, że przed laty chciał poślubić Kristi Bentz. Była przekonana, że nigdy o niej nie zapomni.

Co, oczywiście, jest głupotą.

Poprosił więc o zwrot pierścionka.

Cisnęła nim w Jaya i trafiła go w czoło, nad brwią. Do dzisiaj została mu blizna, pamiątka po jej wściekłości.

Ale chyba uniknął cięższej artylerii, zrywając zaręczyny. To tyle, jeśli chodzi o prawdziwą miłość.

Sięgnął po pilota małego telewizora stojącego na szafce.

Przeglądając pocztę elektroniczną, jednym uchem słuchał wiadomości

sportowych i reportażu z poczynañ drużyny Saints i zarazem czytał służbowe wiadomości. Naraz jego uwagę przykuły słowa dziennikarki:

- Po raz ostatni widziano ją na kampusie College'u Wszystkich Świętych, właśnie tu, w akademiku Cramer Hall, osiemnastego grudnia koło szesnastej trzydzieści.

Jay spojrział na ekran. Reporterka w niebieskiej kurtce patrzyła prosto w kamerę wśród wiatru i deszczu. Materiał nakręcono przed budynkiem z czerwonej cegły, w którym przed laty mieszkała Kristi Bentz. Przypomnił sobie Kristi z tamtych lat: długie kasztanowe włosy, umięśnione ciało, inteligentne spojrzenie. Szalał wtedy na jej punkcie, przekonany, że to kobieta jego życia. Oczywiście, wkrótce się przekonał, jak bardzo się mylił. Na szczęście zerwała z nim i uniknął małżeństwa, które okazałoby się pułapką dla obojga. Niezła rodzinka, nie ma co.

- Od tamtego czasu nikt nie widział Rylee Ames - ciągnęła dziennikarka.

Na ekranie pojawiło się zdjęcie. Błękitne oczy, blond pasemka i promienny uśmiech - Rylee Ames była ucieleśnieniem dziewczyny ze słonecznej Kalifornii, cheerleaderki, choć reporterka powiedziała, że chodziła do liceów w Tempe w Arizonie i w Laredo w Teksasie.

- Dla WMTA mówiła z Baton Rouge Belinda Del Rey. Rylee Ames. Nazwisko wydawało się Jayowi znajome.

Nie dawało mu to spokoju. Zalogował się więc na stronie uczelni i otworzył listę swoich słuchaczy. Na pierwszym miejscu była Rylee Ames.

Zmusił się, by nie snuć domysłów, jeden bardziej przerażający od drugiego. Gwałt, tortury, morderstwo - widział mnóstwo przestępstw, lecz



starał się nie wyciągać pochopnych wniosków. Nie ma żadnych dowodów, wiadomo tylko, że Rylee Ames zaginęła.

Młodzi ludzie często rzucają szkołę albo uczelnię i jadą na narty czy na koncert, nikogo nie informując. Mogła też uciec z ukochanym do Las Vegas.

Ale niekoniecznie. Spędził w laboratorium policyjnym dość czasu, by odezwało się złe przeczucie, choć nigdy nie widział tej dziewczyny. Wziął kolejny łyk piwa i czytał dalsze nazwiska z listy:

Arnette Jordan.

Bailey Wister.

Bentz Kristi.

Braddock Ira.

Calloway Hiram.

Crenshaw Geoffrey.

Chwileczkę!

Kristi Bentz?

Zmrużył oczy, patrząc na nazwisko, które do dzisiaj przyprawiało go o szybsze bicie serca.

Nie może być! Tylko mu się zdaje!

Niemożliwe, żeby Kristi Bentz zapisała się na jego zajęcia! Po prostu niemożliwe! Co za okrutny figiel losu! A jednak widzi to jasno i wyraźnie. Nie łudził się, że to przypadkowa zbieżność nazwisk. Musi przyjąć do wiadomości, że co tydzień w poniedziałkowe wieczory będzie na nią patrzył przez trzy godziny.

Cholera!

Deszcz monotonnie bębnił o szyby. Jay jak zakłęty wpatrywał się w listę. Stały mu przed oczami wspomnienia; rozwiane długie włosy, gdy ze śmiechem uciekała przed nim przez las; gra światła wśród półcienia; jej zaraźliwy chichot; jej nogi, smukłe, silne i mokre, gdy wychodziła z basenu, rozpromieniona, jeśli wygrała, i zła, jeśli jej się to nie udało; jej twarz, gdy leżała pod nim na pace półciązarówki w świetle księżyca, który pieścił jej piękne ciało.

- Przestań! - powiedział na głos. Bruno, jak zawsze czujny, zerwał się i warknął groźnie. - Nie, bracie, wszystko w porządku. - Jay odepchnął od siebie idiotyczne wspomnienia.

Nie widział Kristi od ponad pięciu lat, pewnie bardzo się zmieniła. A jeśli chodzi o jego wspomnienia, zachował nie tylko te romantyczne. Kristi miała wybuchowy charakter i ostry język.

Wydawało mu się, że już dawno wyrzucił ją z myśli.

Ale przecież słyszał, że nie raz otarła się o śmierć, że los stawiał na jej drodze psychopatów, że po ostatnim ataku długo leżała w szpitalu. Martwił się do tego stopnia, że w pierwszym odruchu chciał posłać jej kwiaty do szpitala. Kristi jest jak nałóg, nie sposób jej rzucić. Wszystko jest dobrze, dopóki jej nie widzi, nie słyszy, nie czyta o niej. Stare uczucia drzemią, zamknięte na klucz. Później podobały mu się inne kobiety. Był nawet zaręczony, może nie? No tak, ale widywać Kristi co tydzień...

Pewnie na dobre mu to wyjdzie, stwierdził nagle. Wzmocni charakter, jak mawiała jego matka, ilekroć coś zbroił i czekał na karę, zazwyczaj w postaci ojcowskiego lania.

- Cholera - mruknął, pogrążony w rozmyślaniach. Wyobraził sobie, że prowadzi zajęcia, a Kristi jest jego studentką, zdana na jego łaskę, pod jego okiem. Jezu! Co mu chodzi po głowie? Już dawno uznał, że najchętniej nie oglądałby jej nigdy więcej. A wychodzi na to, że ta przyjemność spotka go co tydzień, przez trzy godziny pod rząd.

Dopił piwo i odstawił butelkę na biurko. Nie po to harował na dziesięciogodzinnych zmianach i wywrócił swoje życie do góry nogami, żeby oglądać Kristi w każdy poniedziałek. Zaciskał zęby tak mocno, aż zabolą.

Może Kristi, kiedy tylko zorientuje się, kto zastąpił doktor Monroe, zmieni swój plan zajęć. Na pewno ma nie większą ochotę na spotkanie z nim niż on z nią. Na samą myśl, że będzie ją uczył, wpadnie w szal. Wypisze się, na pewno.

I dobrze.

Przebiegł wzrokiem resztę nazwisk studentów zainteresowanych kryminalistyką. Trzydzieści pięć osób. Nie, trzydzieści cztery. Wrócił do pierwszego nazwiska - Rylee Ames.

Co się z nią stało, do cholery?

## Rozdział 2

---

Żadnej głośnej muzyki, żadnych zwierząt, papierosów... To wszystko jest w umowie najmu - podkreśliła Irene Calloway, choć sama podejrzenie pachniała dymem tytoniowym.

Irene, dobrze po siedemdziesiątce, była chuda jak patyk, nosiła sprane dzinsy i luźną bluzę, a na głowie miała czerwony beret, spod którego wymykały się krótkie siwe kosmyki. Przyglądała się Kristi zza grubych szkieł okularów. Siedziały przy malutkim sfatygowanym stoliku w mieszkanku na trzecim piętrze. Miało specyficzny urok: wiekowy kominek, podłoga z desek, staroświeckie szybki w oknach. Było bardzo przytulne i Kristi nie mieściło się w głowie, że szczęście się do niej uśmiechnęło i je znalazła. Irene dźgnęła kościstym palcem odpowiedni punkt w umowie najmu.

- Czytałam - zapewniła Kristi, choć jej egzemplarz, przesłany faksem, był bardzo niewyraźny. Podpisała oba egzemplarze umowy na półroczny najem i wręczyła oryginał właścicielce.

- Nie masz męża?

- Nie.

- A dzieci?

Kristi pokręciła przecząco głową. Pytania Irene stawały się za bardzo osobiste.

- Ani chłopaka? Według warunków w kawalerce może mieszkać tylko jedna osoba. - Wskazała stryżek, dawniej zapewne kwatery dla służby, przerobione na kawalerki do wynajęcia.

- A gdybym chciała mieć współlokatorkę? - Zaryzykowała Kristi, choć potencjalna współlokatorka musiałaby spać na sfatygowanej kanapie albo na materacu.

Irene zacisnęła usta.

- Najpierw musisz ustalić to ze mną. Zawsze staram się czegoś dowiedzieć o potencjalnych najemcach. No i oczywiście musiałabym podnieść czynsz i zażądać dodatkowej kaucji. Nie zgadzam się na podnajmowanie. Jasne?

- Póki co, zamieszkać tu sama - zapewniła Kristi. Ugryzła się w język, by nie powiedzieć nic więcej. Potrzebowała mieszkania, zwłaszcza teraz, w połowie semestru, a to było blisko kampusu. Szukała taniego lokum, bo miała bardzo skromne fundusze. No i wolała mieszkać sama, ale obawiała się, że finanse zmuszają do zmiany zdania.

- Dobrze. Nie lubię kłamstw.

Kristi puściła tę uwagę mimo uszu, ale starsza pani zaczynała działać jej na nerwy.

- Nie masz żadnych pytań? - Irene starannie złożyła swój egzemplarz umowy i wsunęła do bocznej kieszonki szydełkowej torebki.

- Na razie nie. Może kiedy się wprowadzę....

Irene zmrużyła oczy, jakby dopiero teraz uważnie przyglądała się Kristi.

- W razie problemów możesz się zwrócić do mojego wnuka Hirama. Mieszka pod 1 A. Jest tu takim, powiedzmy, dozorcą. Obniżyłam mu czynsz, a on w zamian zajmuje się drobnymi naprawami. - Zmarszczka między jej brwiami pogłębiła się. - Jego rodzice rozwiedli się, jakby zapomnieli, że mają dzieciaka. Durnie. - Sięgnęła do kieszeni dzinsów po wizytówkę ze swoim nazwiskiem i numerem telefonu, a także z danymi Hirama, i położyła ją na stoliku. - Mówiłam synowi, że ta kobieta nie jest dla niego, ale czy mnie posłuchał? O, nie... cholerny idiota.

Nagle, jakby uznała, że powiedziała za dużo, dodała pośpiesznie:

- Hiram to dobry dzieciak. Ciężko pracuje. Pomoże ci się wprowadzić, jeśli chcesz, wszystko podłączy. Nauczył się tego od mojego świętej pamięci męża. - Wstała. - Aha, Hiram zainstaluje nowe zamki we wszystkich mieszkaniach. I jeśli masz uszkodzone zasuwki w oknach, daj mu znać. Pewnie słyszałaś ostatnie plotki? - Siwe brwi uniosły się nad oprawki okularów. Irene drapała się w podbródek, ważąc starannie każde słowo. - W ciągu ostatniego roku zaginęło kilka studentek. Co prawda nie znaleziono żadnych zwłok, ale policja i tak podejrzewa, że stało się coś złego. Jeśli o mnie chodzi, uważam, że wszystkie po prostu uciekły. - Odwróciła wzrok i mruknęła pod nosem: - One ciągle uciekają ale ostrożności nigdy za wiele. - Skinęła głową dla podkreślenia swojej racji i wsunęła torebkę pod pachę.

- Słyszałam o tym - powiedziała Kristi.

- Za czasów mojej młodości było tu inaczej - zapewniła Irene. -

Większość wykładowców stanowili księża i zakonnice, college cieszył się dobrą reputacją, ale teraz... Eh! - Machnęła ręką, jakby opędzała się od

dokuczliwego komara. - Zatrudniają samych... dziwaków, każdego, kto ma odpowiednie wykształcenie. Uczą o wampirach, demonach i innych satanizmach... o różnych religiach świata, nie tylko o chrześcijaństwie. I do tego te moralitety! Jakbyśmy wrócili do średniowiecza. Nie, ani słowa więcej o wydziale literatury angielskiej. Na jego czele stoi wariatka, tyle ci powiem. Ta Natalie Croft nie umie nawet porządnie poprowadzić zajęć, a co dopiero kierować wydziałem. - Pokręciła głową z niesmakiem. - Odkąd ojciec Anthony... o, przepraszam, ojciec Tony, jest przecież bardzo nowoczesny, ze wszystkimi się przyjaźni... więc odkąd ojciec Tony zastąpił księdza Stephena, rozpętało się tu istne piekło. Dosłownie.

Irene zacisnęła usta w wąską kreskę i wyszła na słabo oświetlony korytarz.

- I to ma być postęp? Moralitety? Wampiry? Czyżby College Wszystkich Świętych cofnął się do średniowiecza? - Złapała się poręczy i ruszyła w dół schodów.

Cóż, Irene Calloway z pewnością nie była osobą o szerokich horyzontach. Kristi wolała nie wspominać, że część zajęć, o których starsza pani wyrażała się z taką pogardą, figuruje w jej grafiku.

Zamknęła drzwi za gospodynią i sprawdziła wszystkie okna, także to największe, w sypialni, które wychodziło na zardzewiałe schody przeciwpożarowe.

Zepsute były wszystkie zasuwki. Uznała, że pominie ten szczegół w rozmowie z ojcem. Schodząc na dół po swoje rzeczy, zadzwoniła na komórkę Hirama. Nie odbierał, więc zostawiła mu wiadomość ze swoim

numerem telefonu, a potem zataszczyła skromny dobytek do ciasnego mieszkanca przy kamiennym ogrodzeniu College'u Wszystkich Świętych.

Detektyw Portia Laurent siedziała za biurkiem na posterunku w Baton Rouge i przyglądała się fotografiom czterech studentek, które zaginęły z College'u Wszystkich Świętych. Żadna nie dała znaku życia. Zniknęły nie tylko z Luizjany, ale chyba także z powierzchni ziemi.

Wszystkie są takie młode, pomyślała Portia. Uśmiechnięte dziewczyny z oczami błyszczącymi inteligencją i nadzieją.

A może to tylko maski?

Może za ich niewinnymi uśmiechami kryje się mrok?

Wszystkie te dziewczyny miały kłopoty, tyle dało się ustalić. Ale nikt - ani policja, ani władze uczelni, ani nawet ich rodziny - nie wierzył, że stało się coś złego. Uznano, że po prostu uciekły; uparte dziewczyny, które z sobie tylko znanych powodów postanowiły zniknąć na dobre.

Narkotyki?

Prostytucja?

Miały dość nauki?

Albo związały się z facetami, którzy namówili je na wyjazd?

A może postanowiły na własną rękę zwiedzić kraj?

Zapragnęły krótkich wakacji i już nie chciały wracać?

Opinie były różne, ale chyba tylko Portię naprawdę to interesowało. Przyczepiła do tablicy nad biurkiem zdjęcia dziewcząt z legitymacji studenckich. Oryginały spoczywały w aktach osób zaginionych. Żadna z dziewcząt nie użyła kart kredytowych, nie skorzystała z bankomatów, nie posłużyła się czekiem. Odkąd zniknęły, ich komórki umilkły. Żadnej nie



przywieziono do miejscowego szpitala. Żadna nie kupiła biletu na autobus czy pociąg, żadna nie weszła na swój profil w MySpace.

Portia patrzyła na ich zdjęcia i zastanawiała się, co się z nimi, u licha, stało. W głębi duszy była przekonana, że wszystkie nie żyją, choć miała nadzieję, że tym razem instynkt ją zawiedzie.

Żadna z dziewcząt nie miała samochodu i żadna nie mieszkała w Luizjanie, dopóki nie trafiła do małego prywatnego college'u. Ostatnie osoby, które je widziały, nie zauważyły nic, co mogłoby sugerować, gdzie dana dziewczyna się podziała, z kim wyjechała i dokąd.

Portia odruchowo sięgnęła do torebki po papierosa i wtedy przypomniała sobie, że rzuciła palenie. Trzy miesiące, cztery dni i pięć godzin temu - nie, żeby liczyła. Włożyła do ust kostkę gumy z nikotyną i żuła bez przyjemności, wodząc wzrokiem od jednego zdjęcia do drugiego.

Pierwsza ofiara zaginęła w styczniu, prawie rok temu. Była to Dionne Harmon, ciemnoskóra piękność o wydatnych kościach policzkowych i olśniewającym uśmiechu. Miała tatuaż u nasady pleców, słowo Love wśród kwiatów i kolibrów. Przyjechała z Nowego Jorku. Jej rodzice nigdy się nie pobrali. Oboje już nie żyli; matka umarła na raka, ojciec zginął w wypadku w fabryce. Jedyne brat, Desmond, miał trójkę własnego potomstwa i unikał płacenia alimentów, a gdy Portia go namierzyła, burknął, że nie obchodzi go, co się dzieje z „tą suką”.

- Super - Portia przypomniała sobie tamtą rozmowę.

Nikt z przyjaciół Dionne nie wiedział, co się z nią stało, a ostatnia osoba, która ją widziała - jeden z wykładowców, doktor Grotto - nie wydawał się przejęty. Prowadził zajęcia z historii wampiryzmu; dziwne,

ale ludzi fascynują najróżniejsze bzdury. Miał trzydzieści parę lat i był zdecydowanie zbyt przystojny jak na nauczyciela akademickiego. Stary hollywoodzki stereotyp - śniady i wysoki - pasował do niego jak ulał. Z pewnością był o wiele ciekawszy niż zakurzeni staruszkowie, którzy uczyli ją w tym samym college'u ponad dziesięć lat wcześniej.

Pozostałe zaginione dziewczyny były białe, ale i ich bliscy określili je jako nieodpowiedzialne i ciągle wpadające w kłopoty.

Dziwne, że koniec końców wszystkie wylądowały u Wszystkich Świętych i wszystkie zniknęły w ciągu roku.

Zbieg okoliczności? Raczej nie.

Media wreszcie się zorientowały, że coś się dzieje, a to podgrzewało atmosferę. Ludzie coraz częściej dzwonili na policję.

Dionne zaginęła rok temu, potem przepadły bez śladu: Tara Atwater -w maju, Monique DesCartes - w październiku, i teraz Rylee Ames. W ich rozkładach zajęć powtarzały się te same przedmioty, zwłaszcza na wydziale literatury angielskiej. Wszystkie na przykład chodziły na zajęcia z wampiryzmu doktora Dominika Grotto.

Buch!

Na zdjęciach wylądowała cienka teczka.

- Ej! - Del Vernon przysiadł na krawędzi biurka. - Nadal myślisz o zaginionych dziewczynach?

Znowu się zaczyna, pomyślała Portia, tłumiąc westchnienie. Spodziewała się wykładu od ekszołnierza, który przeszedł do policji. Vernon był łyсы, czarny i piękny. Choć stuknęła mu już czterdziestka, zachował świetną sylwetkę żołnierza piechoty morskiej. Miał szerokie

ramiona, wąską talię i pośladki, o których Stephanie, jedna z sekretarek, zwykła mawiać, że równoważą jego podły charakter. I miała rację. Vernon był boski. Portia starała się nie zwracać na to uwagi.

- Co to jest? - Podniosła teczkę. Otworzyła się na raporcie policyjnym i zdjęciu martwej kobiety.

- Nazwisko nieznane, podcięte gardło, przysłali z Memphis. Wygląda na to, że to ten sam facet, który załatwił kobietę znaną w zeszłym tygodniu przy River Road.

- Beth Staples.

- Chciałbym, żebyś to sprawdziła.

- Jasne. - Czekala, aż jej przypomni, że zaginione dziewczyny z College'u Wszystkich Świętych nie padły ofiarą zabójstwa, a więc ich nie interesują.

Na razie.

Nie zrobił tego, bo rozdzwoniła się jego komórka. Przeszedł do gabinetu i zatrzaskał za sobą przeszklone drzwi.

Portia sięgnęła po akta z Memphis i przestała myśleć o zaginionych studentkach. Niewykluczone, że się myli, że wszystkie naprawdę po prostu wyjechały.

Ale nie postawiłaby na to złamanego grosza.

Dwa dni po przeprowadzce Kristi znalazła pracę kelnerki w restauracji oddalonej od uczelni o trzy przecznice. Nie wzbogaci się na pensji minimalnej i napiwkach, ale przynajmniej będzie mogła ustawiać sobie zmiany. No i wolała obsługiwanie gości od pracy w agencji ubezpieczeniowej Gulf Auto and Life, w której spędziła stanowczo za

dużo czasu podczas minionych lat. Nigdy nie porzuciła marzeń o literaturze faktu. Chciała opisywać prawdziwe zbrodnie i stać się nową Ann Rule.

Albo jej naśladowczynią.

Gdy szła przez kampus, zapadł zmrok. Wtuliła głowę w ramiona, więc ledwie poczuła pierwsze krople deszczu. Jutro sylwester. Lodowaty wiatr szarpał gałęziami drzew, muskał jej szyję zimnym pocałunkiem. Zadrżała, zdziwiona nagłym ochłodzeniem. Na ołowianych nogach minęła Cramer Hall. Mieszkała tam podczas pierwszego roku studiów, niemal dziesięć lat temu. Niewiele się zmienił, na pewno nie tak bardzo jak ona, pomyślała ze smutkiem.

Jej oddech unosił się w powietrzu mlecznym obłokiem. Przez moment wydawało jej się, że dostrzegła jakiś ruch, coś ciemnego drgnęło w gęstym żywopłocie za biblioteką. Latarnie, stylizowane na gazowe, świeciły niebieskawo. Wyteżyła wzrok, ale nikogo nie dostrzegła. To tylko jej wyobraźnia.

Trudno się dziwić. Biorąc pod uwagę jej doświadczenia, ostrzeżenia ojca i uwagi gospodyni, nic dziwnego, że się denerwowała.

- Weź się w garść - upomniała się. Minęła Wagner House, wielkie kamienne gmazysko o ciemnych oknach i wrotach z kutego żelaza. Wiekowa rezydencja wydawała się mroczna i wroga.

I ty chcesz pisać literaturę faktu? Może lepiej zajmij się fikcją, najlepiej horrorami! Jezu, Kristi, weź się w garść!

Zaczęło lać. Przyspieszyła i wtedy usłyszała kroki. Zaryzykowała spojrzenie za siebie, ale nikogo nie dostrzegła. Kroki ucichły, jakby ten, kto za nią szedł, nie chciał, by go zobaczyła.

Pomyślała o pieprzowym sprayu w plecaku. Gaz w połączeniu z jej znajomością samoobrony....

Do cholery, weź się w garść!

Poprawiła plecak na ramieniu i poszła dalej. Nasłuchiwała echa kroków albo ciężkiego oddechu prześladowcy, lecz docierały do niej tylko odgłosy ulicznego ruchu - warkot silników, szum opon na mokrym asfalcie, czasami pisk hamulców czy jęk skrzyni biegów. Nic groźnego, nic złowrogiego. Mimo to jej serce biło jak oszalałe. Wbrew rozsądkowi rozpięła boczną kieszonkę plecaka, wymacała pojemnik z gazem i po chwili miała go w dłoni.

Ponownie zerknęła za siebie.

Znowu niczego nie dostrzegła.

Niemal biegiem pokonała trawnik i była już prawie pod swoją kamienicą, gdy rozdzwonił się telefon. Zmełła pod nosem przekleństwo i sięgnęła do kieszeni. Na wyświetlaczu widniało imię jej ojca. Odebrała.

- Cześć, czy ty nigdy nie pracujesz? - Po raz pierwszy ucieszyła się, że dzwoni.

- Nawet gliniarze robią sobie przerwy.

- Postanowiłeś sprawdzić, jak sobie radzę?

- Dzwoniłaś do mnie - zauważył.

- No tak. - Zapomniała... Kolejny dowód, że jeszcze nie całkiem doszła do siebie. Cholerne luki w pamięci. Wciąż zapominała o czymś

ważnym. - Chciałam ci podać mój nowy adres i powiedzieć, że pracuję w barze Barda. To restauracja, w której wszystkie potrawy nazwano na cześć bohaterów Szekspira. Mamy Cappuccino Capulettich, Roladę Romea i Małże Makbeta. Właścicielami są dwaj ekswykładowcy. Do poniedziałku muszę się tego wszystkiego nauczyć. Chyba dobrze mi to zrobi.

- Rolada Romea brzmi dwuznacznie.

- Chyba w twoich uszach. To zwykła kanapka. Lepiej mu o tym nie mów.

- Montoya będzie zachwycony. Uśmiechnęła się. Doszła do budynku.

- Jak się czujesz?

- Dobrze, a co?

Przypomniała sobie, jak znikął w szarości, gdy odjeżdżała.

- Tak pytam.

- Przez ciebie czuję się stary.

- Bo jesteś stary, tato.

- Bezczelna! - W jego głosie czaił się uśmiech.

Mało brakowało, a powiedziałyby, że niedaleko pada jabłko od jabłoni, ale ugryzła się w język. Rick Bentz nadal reagował nerwowo, gdy mu się przypominało, że nie jest jej biologicznym ojcem.

- Muszę już kończyć, później pogadamy - rzuciła. - Kocham cię.

- Ja ciebie też.

Wbiegała po schodach na górę. Na drugim piętrze natknęła się na drobną dziewczynę, która mocowała się z dziurawym workiem śmieci. Ciemnowłosa Azjatka podniosła wzrok i uśmiechnęła się.

- Pewnie jesteś ta nowa?

- Tak, trzecie piętro, Kristi Bentz.

- Mai Kwan, dwieście dwa. - Zamaszystym gestem wskazała otwarte drzwi mieszkania na drugim piętrze. - Studiujesz? Poczekaj, tylko to wyrzucę. - Zręcznie ominęła Kristi i zbiegła ze schodów, rytmicznie stukając klapkami.

Kristi zastanawiała się, czy to nie jakaś nawiedzona, w sandałach i z pękniętym workiem na śmieci. Zresztą nie zamierzała tu sterczeć na deszczu i chłodzie. Weszła na trzecie piętro, gdy usłyszała klapki Mai. Dziewczyna zawołała z ciemności:

- Zaczekaj!

Niby na co, pomyślała Kristi, ale nie zamknęła drzwi. Mai bez zaproszenia weszła do środka. Na podłodze pojawiły się dwie kałuże z jej sandałów.

- O rany! - Rozejrzała się po mieszkanku Kristi. - Fajnie tu! - Uśmiechnęła się, pokazując białe zęby w koralowych ustach.

Za podwójnymi drzwiami kryła się mała kuchenka. Wysokie okna pozwalały zajrzeć za ogrodzenie kampusu. Kristi ustawiła małe biurko pod jednym z okien, a koło drugiego okna - wygodny fotel i kanapę. Starannie wyczyściła meble i przykryła podłogę tanimi chodniczkami. Jedna z lamp, podróbka Tiffany'ego, należała do niej. Druga - nowoczesna lampa stojąca z kloszem przepalonym bliskością żarówki - stanowiła element wyposażenia. Na ścianach wisiały zdjęcia jej rodziny i plakaty przedstawiające sławnych pisarzy. Na parapetach ustawiła świece. Dodała

lustro wyszperane w sklepie z rupieciami i kilka kwiatków doniczkowych  
- i wyczarowała przytulne studenckie mieszkanie.

- Rany, masz nawet kominek! No tak, jak wszystkie mieszkania od północy. - Mai podeszła do bogato rzeźbionego gzymsu i dotknęła wiekowego drewna. - Uwielbiam kominki. Studiujesz? - zapytała.

- Tak. Literaturę.

- Zdziwiłam się, kiedy się dowiedziałam, że ktoś tu zamieszka. - Mai oglądała zdjęcia Kristi. Zmrużyła oczy i przyjrzała się dokładniej małej oprawionej fotografii. - Ej. To ten sławny gliniarz z Nowego Orleanu. Chwila. .. Kristi Bentz, córka?...

- Tak - przyznała Kristi. Zdziwiło ją, że Mai rozpoznała jej ojca. Azjatka podeszła bliżej, jakby chciała zapamiętać każdy szczegół zdjęcia Kristi z ojcem na jachcie.

- Rozwiązał sprawy kilku seryjnych morderców, prawda? Rany, jak on się nazywał? - Pstryknęła palcami i przypomniała sobie, zanim Kristi zdążyła odpowiedzieć. - Już wiem! Rick Bentz. Przecież to żywa legenda.

No nie, to już przesada.

- To tylko mój ojciec.

- Chwileczkę... - Mai znowu pstryknęła palcami i spojrzała na Kristi z podziwem. - Ty też byłaś w to zamieszana! Mało brakowało, a stałabyś się kolejną ofiarą! Jezu! Interesuję się seryjnymi mordercami... To znaczy nie gloryfikuję ich ani nic, są źli, ale uważam, że są także fascynujący. Nie sądzisz?

- Nie. - Kristi była tego pewna. Z drugiej strony, chciała pisać powieści oparte na faktach, więc także ona poświęca sporo uwagi



psychopatom, których z każdym dniem pojawia się więcej. Uznała, że nie musi tego mówić dziewczynie, którą zna od pięciu minut. - Dlaczego się zdziwiłaś, że wynajęłam to mieszkanie? - spytała.

- Nie że ty. Że ktokolwiek - odparła Mai i odstawiła zdjęcie.

- Ale dlaczego?

- Ze względu na jego historię.

- Jaką historię?

- No wiesz... - Kristi nie reagowała, więc Mai wyjaśniła: - Chodzi o byłą lokatorkę.

- Jaką lokatorkę?

- Mieszkała tu Tara Atwater, ta, która zaginęła wiosną.

- Co? - Kristi poczuła, jak jej serce przestaje bić.

- Tara to jedna z dziewcząt, które przepadły bez wieści. Była druga z kolei i po jej zniknięciu prasa zaczęła węszyć. Przepadła w maju, ale kończył się semestr, więc wszyscy myśleli, że po prostu dała sobie spokój. Sprawa ucichła, a potem pod koniec semestru jesiennego zniknęła Monique. Nie słyszałaś? Gdzieś ty była?

- W Nowym Orleanie - odparła Kristi niewinnie. Nie chciała, żeby Mai zorientowała się, jak bardzo się przejęła tą informacją.

- Na pewno słyszałaś o zaginionych studentkach. - Mai usiadła w fotelu, bokiem, tak że jej stopy dyndały nad poręczą. - Mówią o tym we wszystkich stacjach... w każdym razie ostatnio. Wcześniej władze uczelni zachowywały się, jakby dziewczyny po prostu rzuciły szkołę. Nikt tak naprawdę nie zgłosił ich zaginięcia, nawet ich rodziny. Wszyscy zakładają, że po prostu wyjechały. - Znowu pstryknęła palcami.

Nie wszyscy, pomyślała Kristi. Przypomniała sobie obawy ojca.

- Dziewczyna znika i przez chwilę jest o niej głośno. Potem sprawa przy-cicha, aż następna zapada się jak kamień w wodę. - Mai zmarszczyła brwi.

- I jedna z nich tu mieszkała. - Kristi rozejrzała się po kawalerce, niewiarygodnej okazji znalezionej w Internecie. Nic dziwnego, że było ją na nią stać.

- No właśnie. Tara... Pochodziła z Dakoty, chyba Południowej, tak, z miejsciny niedaleko Badlands, gdziekolwiek to jest. Niewiele o niej wiem. Ale zaginęła jakoś tak pod koniec maja i aż do teraz nikt nie łączył tego z innymi przypadkami zniknięć.

- A dlaczego od maja nikt tu nie zamieszkał?

- Pani Calloway miała na głowie policję, więc w zeszłym semestrze nie wynajmowała tego mieszkania. A kiedy znowu umieściła ogłoszenie w sieci, zaginęła Rylee Adams... Nadal nie chce mi się wierzyć, że nic o tym nie wiedziałaś! - Podniosła malutkie piórko z oparcia i rzuciła na podłogę.

Kristi przeszedł dreszcz na myśl o Tarze Atwater. Czy naprawdę trafiła do mieszkania, którego poprzednia lokatorka może się okazać ofiarą przestępstwa? Co za zbieg okoliczności! Rozejrzała się po kawalerce, jakby widziała ją po raz pierwszy.

- A policja? - spytała. - Uważają że Tara po prostu... wyjechała? Jak pozostałe dziewczyny?

Mai wzruszyła ramionami.

- Nie wiem, co uważa policja. Ale nie sądzę, żeby poważnie zajmowali się tą sprawą. - Westchnęła. - To wiele mówi o naszym świecie, prawda?

Kristi przypomniała sobie, że nie działają zasuwki w oknach.

- Powiedz mi coś o Hiramie.

- O wnuku Irene? - Mai znów wzruszyła ramionami. - Kujon. Ma świra na punkcie techniki.

- Ma mi zainstalować zasuwki w oknach i zamek w drzwiach.

- Niby kiedy? Jest jak duch, nigdy go nie zobaczysz.

- Duch?

- Tak. Słuchaj, jeśli nie masz planów na sylwestra, wybieram się ze znajomymi do baru. Może do nas dołączysz? Wiesz, piosenki, czapeczki, konfetti, szampan i cały ten kram. Będzie tanio.

- Może. - Kristi udawała, że jej kalendarz nie świeci pustkami. - Zobaczę.

Ciszę przerwały pierwsze takty klasycznego utworu, którego tytułu nie mogła sobie przypomnieć. Mai sięgnęła do kieszeni po telefon. Spojrzała na wyświetlacz i uśmiechnęła się.

- Muszę lecieć - powiedziała, wstając. - Cieszę się, że cię poznałam.

- Wzajemnie.

- Zadzwoń, jakbyś miała ochotę zabalować w sylwestra. - Wcisnęła guzik w komórce. - Cześć! Już się zastanawiałam, czy się do mnie odezwiesz? Nie, nie dostałam sms-a... - Była już za progiem, pogrążona w rozmowie.

Kristi zniknęła za nią drzwi. Poczowała się nieswojo w pustym mieszkaniu.

Nie daj się, powtarzała sobie. To stary budynek, mnóstwo ludzi mogło tu umrzeć, także z rąk morderców. W ciągu wielu lat mogły się tu dziać straszne rzeczy. Rozejrzała się po saloniku, ale niepokój nie ustępował. Czy zniknięcie Tary Atwater naprawdę wiąże się z tym, co spotkało pozostałe dziewczyny? Czyżby wszystkie spotkał straszny los, jak przypuszczał jej ojciec?

Dowiedz się, Kristi. Właśnie takiego materiału szukałaś. A teraz jesteś w samym środku wydarzeń, w mieszkaniu, w którym mieszkała jedna z nich. To twoja historia!

Zadzwoiła do Hirama. Tak jak podczas trzech poprzednich prób, trafiła na jego pocztę głosową.

- Świetnie - mruknęła, sięgając po torebkę.

Nie będzie się oglądała na tego dziwaka. Chyba nie tak trudno zainstalować zasuwkę. Pójdzie do sklepu z artykułami żelaznymi, kupi, co trzeba, i sama to załatwi. Odejmie to sobie od czynszu za przyszły miesiąc, a Hiram niech się tłumaczy babce.

Zaniknęła drzwi i ruszyła do samochodu. Nikt jej nie śledził, żaden złowrogi wzrok nie towarzyszył jej krokom. W każdym razie nie wyczuła go w gęstych zaroślach otaczających parking. Wsiadła do hondy bez żadnych przygód i włączyła światła o wycieraczki. Nadal nie widziała nic podejrzanego. Może Mai się z nią drażni?

Ale po co? Prędzej czy później prawda wyjdzie na jaw. Nie, Mai Kwan mówi prawdę, i Kristi o tym wiedziała.

Wyjechała z parkingu i wcisnęła pedał gazu. Na ulicy zobaczyła jedynie mężczyznę na spacerze z psem i rowerzystę. Wśród zaparkowanych samochodów nie czytał na nią żaden psychopata.

A jednak nie mogła pozbyć się wrażenia, że coś się stanie.

A więc wróciła.

Jak łosoś, który wraca z morza do rzeki, by złożyć ikrę.

Kristi Bentz znowu studiuje w College'u Wszystkich Świętych.

Świetnie się składa, stwierdził w swoim punkcie obserwacyjnym na dachu. Poprawił ostrość lornetki i przez nagie gałęzie obserwował jej mieszkanie.

To samo, które zajmowała jedna z poprzednich.

Znak Najwyższego? Albo Księcia Ciemności.

Obserwował z uśmiechem, jak sprawdza zasuwki w oknach, gawędzi z Azjatką, a potem biegnie na dół do żałośnie małego samochodu, który zostawiła pod latarnią na parkingu. Teraz jej nie widział, ale wiedział, co robi.

Szum deszczu i ruchu ulicznego zagłuszał silnik hondy, on jednak go słyszał. Czekał na niego. Bo to ona, córka marnotrawna. Idealnie.

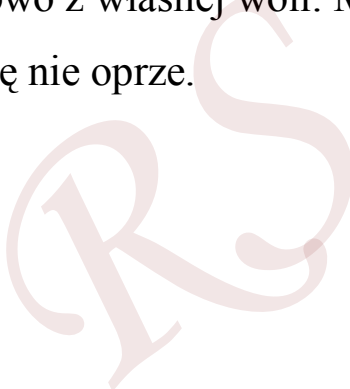
Zaschło mu w gardle na samą myśl o niej. Długie ciemne włosy z rudymi refleksami; zadarty nos, inteligentne zielone oczy i szerokie usta... co za usta! Wyobrażał sobie, jak suną po jego ciele, niemal czuł jej język na płaskim brzuchu, jej gorący oddech, gdy niecierpliwie rozpina mu dzinsy.

Nabrzmiał i ogarnął go żal. Musi sobie tego odmówić, przynajmniej na razie. Jest jeszcze inna...

Pomknął przez ciemność i wszedł do potężnego gmachu na kampusie. Nie zapalał świateł, po omacku dotarł do schodów i zbiegł, cichy jak kot. Widział w ciemności lepiej niż inni. Taki się urodził - nawet podczas gęstych luizjańskich nocy, gdy mgła spowija cyprysy na bagnach, on widział. Na tyle dobrze, że polował bez noktowizora czy latarki.

Wyszedł na zewnątrz i poczuł zapach deszczu... i czegoś jeszcze. Wyobrażał sobie, że to słony zapach skóry Kristi Bentz. Wiedział jednak, że to tylko marzenie.

Jedno z wielu, pomyślał, biegnąc przez noc. Był w doskonałej formie. Wysportowany. Gotowy na ostateczną ofiarę. Nie ulegnie mu łatwo, ale ulegnie. Początkowo z własnej woli. Musi tylko zasiać w niej ciekawość. Potem już mu się nie oprze.



## Rozdział 3

---

Mówi Hiram Calloway - rozległ się w słuchawce metaliczny głos. - Dostałem twoją wiadomość o zamku. Mogę wpaść i się tym zająć.

- Za późno - burknęła Kristi, zirytowana. Dopiero teraz, o drugiej po południu w sylwestra, raczył odpowiedzieć na jej telefony. -

Zainstalowałam nowy zamek i zmieniłam zasuwki w oknach. Nie mogłam dłużej czekać. Dam ci rachunek.

- Co? - Nosowy głos podniósł się o ton. - Nie możesz...

- Mogę i to zrobiłam.

- Coś takiego trzeba zgłosić. To... to jest w umowie, w paragrafie siódmym...

- Mieszkanie nie było odpowiednio zabezpieczone, a na ten temat też coś jest w umowie. Sprawdź. Nie wiem co prawda, który to paragraf, ale sprawa już załatwiona.

- Ale...

- Nie mam czasu. - Przerwała połączenie i wsunęła telefon do kieszeni fartucha. Minęła dwóch kucharzy, którzy stali na ganku i chciwie zaciągali się papierosami. Siatkowe drzwi zamknęły się za nią głośno. Restauracja mieściła się w parterowym budynku z lat trzydziestych i w środku powitał ją labirynt korytarzy. Znała historię bungalowu z artykułu z lokalnej prasy - pożółkły wycinek sprzed dziesięciu lat wisiał na ścianie

między toaletami oznaczonymi „Damy” i „Dżentelmeni”. Jakby odwiedzała je tylko arystokracja.

Kristi poprawiła fartuszek, minęła drzwi oddzielające kuchnię od sali restauracyjnej i przestała się przejmować Hiramem. Dobrze chociaż, że od-dzwonił. Już zaczynała podejrzewać, że wnuk to produkt wyobraźni Irene.

Rano i w południe miała pełne ręce roboty, ale teraz tłum się przerzedzał, i dzięki Bogu. Bolały ją nogi, a ubranie i włosy przesiąkły zapachem tłuszczu i dymu. Po kilku godzinach biegania z tacą zastanawiała się, czemu nie posłuchała ojca i nie poszukała pracy za biurkiem, w firmie ubezpieczeniowej. Jakby nie było, na napiwkach się nie wzbogaci. Wystarczyło jednak wspomnienie niezliczonych godzin, które spędziła w Gulf Auto and Life, użerając się przez telefon z niezadowolonymi klientami, by sobie przypomniała, że jej marzeniem jest pisać. Literaturę faktu.

Burczało jej w brzuchu, bo nic nie jadła od rana, kiedy w biegu porwała babeczkę. Może po pracy zaszaleje i zje lasagne Leara i jabłecznik Julii.

Szczęśliwego Nowego Roku, pomyślała posepnie. Wzięła dzbanek z kawą i zajęła się gośćmi w swoim rewirze.

Do restauracji weszła grupka kobiet. Wybrały stolik w rogu.

Kristi podeszła, niosąc pięć zafoliowanych jadłospisów. Kobiety nawet jej nie zauważyły, tak pochłaniała je rozmowa. Jedna z nich wyglądała znajomo. Kristi nie wierzyła własnym oczom, ale gdy spojrzała na kręcone włosy, rozpoznała Lucretię Stevens, swoją współlokatorkę z



akademika Cramer Hall. Skrzywiła się. Nigdy za sobą nie przepadały i różniły się jak dzień i noc. W tamtych czasach Kristi interesowały tylko imprezy, a Lucretia była typowym kujonem. Jeśli się akurat nie uczyła, przeglądała czasopisma ślubne i chrupała płatki kukurydziane. Nie prowadziła żadnego życia towarzyskiego i niechętnie opowiadała o narzeczonem, który studiował gdzie indziej. Kristi nigdy go nie widziała i często zastanawiała się, czy w ogóle istnieje.

Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie, pomyślała, podała kobietom karty dań i spytała, czego się napiją.

- Kristi? - zawołała Lucretia, zanim jej towarzyszki odpowiedziały.

- Cześć, Lucretio. - Jezu, ale niezręczna sytuacja.

- Co ty tu robisz? - Lucretia miała wielkie oczy, pewnie za sprawą szkieł kontaktowych; ilekroć je zakładała zamiast okularów, wyglądała jak sowa.

- Usiłuję przyjąć wasze zamówienie - odparła Kristi z uśmiechem.

- Słuchajcie, to jest Kristi Bentz, moja współlokatorka z czasów, gdy byłam na pierwszym roku. O rany, to było milion lat temu. - Roześmiała się i wskazała ciemnowłosą kobietę w okularach w metalowych oprawkach. Miała jakieś dwadzieścia pięć lat. - Kristi, poznaj Ariel.

- Cześć. - Kristi nerwowo przestępowała z nogi na nogę.

- Och, cześć. - Ariel skinęła głową i pobiegła wzrokiem dalej, do drzwi, jakby wypatrywała kogoś ciekawszego.

- A to Grace. - Lucretia wskazała chudą kobietę z aparatem ortodontycznym na zębach i krótkimi rudymi włosami. - I Trudie. - Ostatnia towarzyszka Lucretii była tęższa, miała gęste ciemne włosy

zebrane w koński ogon, oliwkową cerę i białe zęby ze szparą między górnymi jedykami. Wszystkie trzy uśmiechnęły się sztucznie, gdy Lucretia stwierdziła, jakby ze zdziwieniem: - Świetnie wyglądasz, Kristi.

- Dzięki.

- Bentz? - powtórzyła Trudie. - Chwileczkę, czy ja o tobie nie czytałam?

Zaczyna się, pomyślała Kristi.

- Pewnie o moim ojcu, to on trafia na łamy gazet.

- Zaraz, zaraz... Jest policjantem, tak? - Ariel wreszcie spojrzała na Kristi. Nagle była bardzo zainteresowana. - Czy to nie on złapał tego świra ze Szpitala Naszej Pani od Cnót? Jakiś rok temu? - Wzdrygnęła się. - To było upiorne.

Amen, dodała Kristi w myślach. Wolą zapomnieć o tamtych chwilach.

- A czy ty nie byłaś w to zamieszana? - Lucretia spoważniała. - Byłaś ranna, prawda? - Zmarszczyła czoło w skupieniu. - Napisali, że cudem uszłaś z życiem. - Energicznie kiwała głową, aż jej ciemne loki zaśniły w blasku lampy. - Jak poprzednio?

Kristi nie chciała wracać do tych chwil w rękach psychopatów. Już dwa razy cudem uszła z życiem i wystarczyły urywki wspomnień, by krew zastygała jej w żyłach. Musi szybko zmienić temat rozmowy.

- Było, minęło. Dzisiejsze danie dnia to omlet Otella, czyli...

Ale Lucretia nie dała się tak łatwo zbyć. Wszyscy, przy jej stoliku i sąsiednich, zwrócili na nią uwagę, i nie zamierzała przegapić takiej okazji.

- Czytałam, że umarłaś i wróciłaś, czy coś takiego.

- Coś takiego - mruknęła Kristi, gdy przyjaciółki Lucretii, tak ożywione jeszcze kilka minut temu, nagle ucichły. Przez brzęk sztuców przebijał się głos Elvisa, dokoła rozbrzmiewał gwar rozmów i szum wiekowego grzejnika.

- Dla Kristi to normalka - powiedziała Lucretia. - Żyje pełnią życia.

- Jakie to uczucie mieć sławnego ojca? - zapytała Ariel.

Kristi nie zwracała uwagi na nagły skurcz żołądka. Z długopisem w ręku czekała na zamówienie.

- Wcale nie jest sławny, to nie Brad Pitt, Tom Cruise czy choćby...

- Nie mówimy o gwiazdach filmowych, tylko lokalnych sławach - zauważyła Lucretia.

- Takich jak Truman Capote czy Louis Armstrong?

- Obaj nie żyją - mruknęła Trudie.

- Mój ojciec to zwykły policjant.

Lucretia spojrzała na nią takim wzrokiem, jakby wyznała, że została satanistką.

- Nie jest zwyczajny.

Kristi z trudem zachowała cierpliwość. Nie to miała na myśli, ale Lucretia zawsze wszystko opacznie rozumiała. Może dlatego, że rozwiedzeni rodzice nigdy nie mieli dla niej czasu, do tego stopnia pochłaniały ich własne problemy. A może z innego powodu. Mniejsza o przyczynę; była irytująca jak zawsze.

- Masz rację - wykrztusiła Kristi. - Jest wspaniały, ale sam w kółko powtarza, że tylko robi to, co do niego należy.

- Godne podziwu - stwierdziła Trudie. Czas skończyć tę dyskusję.

- Czego się napijecie? Kawy?

Na szczęście Lucretia i jej towarzyszki sięgnęły po karty dań i szybko złożyły zamówienia.

- Dwie herbaty, dietetyczna cola i dwie kawy - powtórzyła Kristi, zadowolona, że może uciec do kuchni. Kto by się spodziewał, że Lucretia będzie śledziła poczynania jej i jej ojca? Nie utrzymywały kontaktu, ba, nawet kiedy razem mieszkały, prawie się do siebie nie odzywały.

Właściwie nic ich nie łączyło i Kristi nie sądziła, by to mogło się zmienić.

- Stara znajoma? - zapytała Ezma, kelnerka o skórze koloru kawy z mlekiem i nieprzyzwoicie białych zębach. Miała niespełna metr sześćdziesiąt wzrostu, męża i bardzo zdolne dwuletnie dziecko. Wieczorami studiowała, w ciągu dnia pracowała w restauracji.

- Tak. - Kristi nalala herbaty do filiżanek, wcisnęła guzik na dozowniku i trzymała go odrobinę za długo, tak że dietetyczna cola wylała się ze szklanki. Zdjęła ścierkę z haczyka i wytarła rozlany płyn. Wskazała głową stolik, przy którym Lucretia zdawała się niepodzielnie rządzić. - Mieszkałam z jedną z nich, gdy byłam na pierwszym roku, jeszcze w poprzednim tysiącleciu.

- Pozwól, że zgadnę. - Ezma dyskretnie zerknęła na stolik. - Z Lucretia Stevens?

- Skąd wiesz?

- Ja wiem wszystko.

- Jasne. - Kristi uśmiechnęła się blado.

- A do tego... - Ezma wzruszyła ramionami - podsłuchuję.

- To już bardziej prawdopodobne. Ezma parsknęła śmiechem.

- Byłam u niej na zajęciach, bodajże na pisaniu kreatywnym.

- Jest profesorem?

- Asystentką.

Kristi była zaskoczona. Nie sądziła, że Lucretia zostanie u Wszystkich Świętych, by uczyć.

- Wydaje mi się, że ma romans z którymś z wykładowców - dodała Ezma.

- Naprawdę?

Tyle, jeśli chodzi o starą miłość, chłopaka, za którym tęskniła podczas pierwszego roku.

- Powiem ci, że gdybym nie była szczęśliwą mężatką, sama byłabym zainteresowana. Niektórzy wykładowcy to prawdziwe ciasteczka!

Kristi przypomniwała sobie swoich profesorów. Dziwaczny doktor Northrup, nerwowy profesor Sutter i zarozumiały, sztywny profesor Zaroster. Byli to typowi naukowcy, z góry patrzący na świat. Żaden nie był ciasteczkiem, nawet nie bułką w każdym razie nie w jej oczach.

- Nabijasz się ze mnie?

- Skąd. Mówię ci, nasi wykładowcy to niezły towar. W każdym razie ci na wydziale literatury angielskiej. Ma się wrażenie, że osoba odpowiedzialna za nabór wykładowców urządziła hollywoodzki casting.

- Teraz to już zalewasz.

- Cóż, wkrótce sama się przekonasz. - Ezma wrzuciła do szklanek po plasterku cytryny. - Zajęcia zaczynają się w przyszłym tygodniu. Wtedy przyznasz mi rację.

Kristi ustawiła szklanki na tacy.

- I twoim zdaniem Lucretia romansuje z jednym z tych ciach.

- Tak głosi fama. Tylko nie wiem, z którym. Ilekroć jestem za blisko prawdy, zamyka się w sobie, jakby coś ukrywała.

- Dlaczego?

Ezma pokręciła głową.

- Nie mam pojęcia. Może on ma żonę albo dziewczynę, a może wykładowcom nie wolno się spoufalać z asystentkami? Albo to doktor Preston. Uczy pisania kreatywnego i jest fatalny.

- Chyba się do niego zapisałam.

- Unikaj go jak ognia. Moja przyjaciółka Dionne chodziła na jego zajęcia i ciągle o nim paplała z zachwytem. Ale kiedy tu przychodzi, jest po prostu chamski. A Dionne przepadła jak kamień w wodę.

- Przyjaźniłaś się z jedną z zaginionych dziewcząt? - podchwyciła Kristi. -I sądzisz, że Preston mógł mieć z tym coś wspólnego?

Ezma już chciała zaprzeczyć, ale zmieniła zdanie.

- Po tym facecie można się wszystkiego spodziewać. Tyle że nikt nie uważa, żeby Dionne stało się coś złego. Pewnie po prostu wyjechała, może z chłopakiem.

- Więc czemu się do nikogo nie odezwała?

- Otóż to! Najpopularniejsza jest teoria, że wyjechała z Tyshawnem i zmienili nazwiska. Tyshawn Jones to też kawał drania. Narkoman z kryminalną przeszłością, miał sprawę o rozbój jeszcze jako nieletni. Szczerze mówiąc, nie wiem, co w nim widziała. Przed Tyshawnem spotykała się ze świetnym chłopakiem. Elijah Richards chodził na kursy

przygotowawcze, chciał zostać księgowym, ale Dionne poznała Tyshawna i tak się skończył związek z Elijahem. Szkoda.

- A Tyshawn? On też zaginął?

- Nikt się nad tym nie zastanawia.

Kristi minęła pomocnika kucharza, który wrzucał frytki na gorący olej, pchnęła plecami drzwi i podeszła do stolika z tacą zastawioną szklankami. Głos Lucretii zagłuszał muzykę.

- Mówię wam, jest boski. Po prostu boski. Jeszcze nigdy nie znałam kogoś takiego, jest taki... ożywczy.

Już za dawnych lat Lucretia była niepoprawną romantyczką i to się chyba nie zmieniło. Chciała powiedzieć coś jeszcze, ale umilkła na widok Kristi. Posłała przyjaciółkom znaczące spojrzenia. Przy stoliku zapadła cisza.

Kristi zrozumiała: Lucretia nie chce, żeby wiedziała cokolwiek o jej życiu uczuciowym. Jakby ją to obchodziło.

Stawiając szklanki na stoliku, cały czas czuła na sobie wzrok dawnej współlokatorki.

- Wróciłaś na uczelnię?

- Tak. - Nie ma sensu kłamać. Nalała kawy do filiżanek.

- A nie skończyłaś poprzednio? Kristi nie dała się złapać.

- Zabrakło mi kilku zaliczeń. - Co ją to obchodzi, do licha?

- Myślałam, że chcesz pisać.

- Mleczka? - zwróciła się do kobiet, które zamówiły kawę, ignorując Lucretię.

- A macie odłuszczone?

- Oczywiście. Zaraz przyniosę.

- A ja wykładam - oznajmiła Lucretia z dumą.

- Świetnie - rzuciła Kristi w drodze do kuchni. Przy okazji dołała kawy klientom przy sąsiednim stoliku. W kuchni postawiła na tacy dzbanuszek z mlekiem, w innym znalazła niebieskawą substancję - jak się domyśliła, mleko odtłuszczone, wzięła też talerzyk z saszetkami cukru i słodzik. Wróciła do stolika.

- Proszę. - Postawiła mleko i słodzik na blacie. - I jak, zdecydowałyście już? - Z wymuszonym uśmiechem słuchała zamówień i notowała je starannie. Jedna prosiła o dietetyczny sos do sałaty Juliusza Cezara, druga nie życzyła sobie żadnych dodatków na hamburgerze Hamleta, trzecia chciała, by zamiast sałatki z białej kapusty do zupy rybnej Kleopatry podać jej sałatkę owocową. Lucretia nabawiła się ostatnio alergii na owoce morza, chciała więc mieć pewność, że tuńczykowa sałatka Tybalda nie zawiera ostryg Ofelii.

Z rękami w kieszeniach płaszcz Portia Laurent wędrowała uliczkami kampusu Wszystkich Świętych. Właśnie miała przerwę obiadową. Zapadał zmrok i w powietrzu wyczuwało się już atmosferę sylwestrowej zabawy; grupki rozbawionych studentów spieszyły do pobliskich barów i restauracji, by powitać Nowy Rok.

Cztery dziewczyny nie będą się bawić. Dionne Harmon, Tara Atwater, Monique DesCartes i Rylee Ames. Zdaniem Portii wszystkie spotkał straszny los. Może są też inne, ale nie z tej uczelni. Sprawdziła, że w ciągu ostatnich trzech lat nie zaginęła oprócz nich żadna studentka.



- Nie ma ciała, nie ma sprawy - upierał się Vernon podczas ostatniej rozmowy, ale Portia się z nim nie zgadzała. Owszem, nie ma żadnych dowodów, że stało się coś złego, poza tym Dionne Harmon była czarna, a pozostałe dziewczyny - białe. Seryjni zabójcy na ogół działają w obrębie jednej rasy. Na ogół, ale nie zawsze.

Pomyślała o Monique DesCartes z Dakoty Południowej. Kiedy miała czternaście lat, u jej ojca stwierdzono chorobę Alzheimera, a Portia wiedziała z doświadczenia, jak bardzo ta choroba niszczy rodziny. Matka Monique była wściekła, że córka ubiegała się o stypendium i wyjechała na studia, zostawiając ją z chorym ojcem i dwiema młodszymi siostrami. Jedna z nich chodziła dopiero do podstawówki. Monique, wieczna buntowniczka, miała na koncie dwie ucieczki z domu w czasach licealnych i uchodziła za dziewczynę, która łatwo ulega wpływom. Sięgała po alkohol i narkotyki, na kilka tygodni przed zniknięciem zerwała z chłopakiem. Ten, już zaangażowany w nowy związek, miał w nosie, co się z nią stało. Jak zresztą wszyscy poza Portią.

Minęła bibliotekę, trzy piętra jasnych okien. Przestało padać, ale powietrze przesyciła wilgoć, a z drzew nadal skapywały ciężkie krople. Latarnie na całym kampusie przypominały staroświeckie latarnie gazowe - ukłon w stronę czasów, w których zakładano uczelnię.

Szła do Cramer Hall, gdzie mieszkała na pierwszym roku. Cały czas myślała o zaginionych dziewczynach. Wszystkie studiowały literaturę angielską i chodziły na te same przedmioty: pisanie kreatywne, twórczość Szekspira i wampiryzm w kulturze i literaturze współczesnej. Nie

wiadomo, czy się znały - chodziły na zajęcia w różnym czasie - ale każda miała właśnie te trzy w swoim grafiku. Może to nic nie znaczy, a może...

Zatrzymała się przed akademikiem. Budynek z czerwonej cegły wyglądał tak jak dawniej. Spojrzała w okna na drugim piętrze, gdzie mieszkała Rylee Ames. Rylee, jak pozostałe, nie utrzymywała bliskich więzi z rodziną, ale słowa jej matki zabrzmiały sztucznie. Nadine Olsen stwierdziła krótko, przeciągając po teksańsku:

- Sama pani wie, jak to jest z dziewczynami. Jak robi się za ciężko, jadą do Chicago i majstrują sobie dzieciaka.

Portia nie znalazła żadnych dowodów na to, że Rylee miała dziecko, ale wiedziała, że dziewczyna eksperymentowała z narkotykami - ecstazy, marihuaną i kokainą - a jako nastolatka kilka razy uciekła z domu, podczas gdy Nadine usiłowała trzymać w ryzach trzech synów i jakoś wiązać koniec z końcem z marnej pensji. Ojciec Rylee, pierwszy z pięciu mężów Nadine, powiedział tylko:

- Wiedziałem, że z tej małej nic nie będzie. Za bardzo podobna do matki. Świetnie, pomyślała Portia. Nikogo nie obchodzi los Rylee.

Tak jak w przypadku dwóch poprzednich ofiar.

- Dopóki nie mamy dowodów, że doszło do przestępstwa, nie możemy mówić o ofiarach - upierał się Del Vernon, ale ona była innego zdania. Te dziewczyny były ofiarami od początku, od dnia narodzin. To także je łączyło. To i fakt, że wszystkie studiowały w College'u Wszystkich Świętych literaturę angielską i chodziły na te same przedmioty.

Zbieg okoliczności? Portia w to wątpiła.

Zimny wiatr hulał po kampusie, poruszał gałęziami starych sosen, wprawiał w dziwaczny taniec hiszpański mech zwisający z wiekowych dębów.

Gdyby Portia była przesądna, przeraziłaby się na widok czarnego kota, który przeciął jej drogę. Nie wierzyła jednak w duchy czy wampiry. Nie miała nawet pewności co do istnienia Boga, chociaż modliła się regularnie.

Wierzyła natomiast w zło. W mrok zepsutej duszy, w której okrucieństwo przyjmuje ludzką formę. I obawiała się, że dziewczyny ze Wszystkich Świętych zamordował jeden z takich potworów. Oby się myliła.

Kristi czuła się fatalnie. Co z tego, że jest sylwester? Co z tego, że wszyscy jej znajomi świętują? Miała gdzie pójść. Choćby wczoraj zaprosiła ją Mai. Z tego zaproszenia oczywiście nie zamierzała skorzystać, ale zapraszali ją też starzy przyjaciele z Nowego Orleanu, a nawet Abby, świeżo odnaleziona przyrodnia siostra. Odrzuciła wszystkie propozycje. Chciała się zadomowić w Baton Rouge, a jeśli chodzi o siostry... Przez dwadzieścia siedem lat uważała się za jedynaczkę, a tu nagle okazuje się, że Eve Renner jest jej krewną. Dziwne i związane z przeżyciami, o których wolałaby zapomnieć.

- Krok po kroku - mruknęła, zapaliła świece i włączyła komputer. Ma zadanie do wykonania. Nie będzie do końca życia obsługiwać gości w barze Barda, zresztą wróciła na studia w określonym celu: by udoskonalić swój warsztat.

Odniosła umiarkowany sukces, pisząc dla magazynu „Factual Crime”, wysłała też kilka tekstów do innych periodyków tego typu, ale marzyła jej się powieść z prawdziwego zdarzenia. Ponieważ ojciec odmawiał jej dostępu do swoich spraw, będzie musiała znaleźć sobie własne.

Laptop ożył. Po chwili zdołała się podłączyć do Internetu. Usiadła we wnęce okiennej i szukała informacji o Tarze Atwater, poprzedniej, zaginionej lokatorce tej kawalerki. Zwykle potrafiła wyszukać w sieci mnóstwo informacji, ale tym razem znalazła ledwie kilka artykułów, w których padało nazwisko Tary. Niewiele było też o pozostałych zaginionych dziewczynach. Przeglądała internetowe wydanie lokalnego dziennika. Miała przeczucie, że to ciekawy temat. Ten, na który czekała. Może trafiła do tego mieszkania, bo jej przeznaczeniem jest zbadać i rozwiązać tę sprawę.

Cztery studentki zniknęły.

Przecież nie zapadły się pod ziemię bez powodu. W dodatku studiowały na tej samej małej uczelni i chodziły na te same zajęcia.

Kristi dodała czytaną stronę do ulubionych. Usłyszała kroki na schodach, a po chwili zadzwonił dzwonek. Odsunęła się od biurka, wstała, podeszła do drzwi i wyjrzała przez judasza. W mdłym świetle pojedynczej żarówki wiszącej u szczytu schodów dostrzegła młodego mężczyznę. Jego mokre ciemnoblonde włosy przylegały do czaszki. W ręce trzymał skrzynkę z narzędziami. Sądząc po minie, był zły jak osa.

Nie miała wątpliwości - to osławiony Hiram.

- Kto tam? - zapytała na wszelki wypadek.

- Dozorca, Hiram Calloway. Muszę sprawdzić zamki.

- Teraz?

Szybko się zdecydowałeś, Hiramie.

Był tak żałosny, jak się spodziewała; mizerna bródka, zniszczona koszulka z koncertu Metalliki, spodnie bojówki i nadęta mina. Uchyliła drzwi, nie zdejmując łańcucha.

- Już to załatwiłam.

- Nie możesz sama robić takich rzeczy, rozumiesz? To nie twoje mieszkanie. To ja mam o nie dbać.

- No cóż. Byłeś nieuchwytny, więc sama się tym zajęłam - stwierdziła stanowczo.

Zmarszczył brwi i wykrzywił usta odsłaniając krzywe zęby.

- Musisz mi dać klucz, to znaczy zapasowy. Moja babcia... pani Calloway jest właścicielką. Musi mieć dostęp do mieszkania, tak jest w umowie.

- Sama dostarczę jej klucz.

- Tylko stracisz czas, i tak da mi duplikat. Muszę mieć klucze do wszystkich mieszkań w budynku. Muszę móc tu wejść, gdybyś zgubiła klucz albo...

- Nie zgubię.

- Chodzi o twoje bezpieczeństwo.

- Skoro tak twierdzisz - mruknęła bez przekonania.

- Jezu, dlaczego jesteś taka... - W ostatniej chwili ugryzł się w język.

Kristi nie.

- Dzwoniłam, ale minęły trzy dni, zanim się pofatygowałeś.

Wszystkie zamki były zepsute, a słyszałam, że jedna z zaginionych tu mieszkała, więc uznałam, że wezmę sprawę w swoje ręce.

Opadła mu szczeka.

- Nikt ci nie mówił, że przesadzasz?

- A tobie? - odcięła się.

Zaczerwienił się i nagle ogarnęły ją wyrzuty sumienia. To szczeniak i choć nieporadnie, stara się robić, co do niego należy. Nie powinna go skreślać.

- Nie musisz być taka niegrzeczna - mruknął. Stłumiła westchnienie.

- Dobra, zacznijmy od początku. Sama zmieniłam zamki. Dostarczę duplikat klucza twojej babci, pani Calloway, a jeśli ona uzna, że też musisz go mieć, w porządku, chociaż mam nadzieję, że nie będziesz tu wchodził bez uprzedzenia... To też jest w umowie. - Zdjęła łańcuch i wyszła na korytarz. - Nie chciałam, żeby nasza znajomość tak się zaczęła. Po prostu trochę się dziwnie czuję, wiedząc, że przede mną mieszkała tu jedna z zaginionych. Twoja babcia nic mi o tym nie mówiła. - Wbił wzrok w podłogę. Wyglądał na najwyżej siedemnaście lat. Za mało, by czymkolwiek zarządzać. - Znałeś Tarę?

- Właściwie nie. Czasami rozmawialiśmy. - Podniósł głowę i spojrzał Kristi w oczy. - Była fajna. Miła.

Nie dodał: „w przeciwieństwie do ciebie”, ale te niewypowiedziane słowa odczytała w jego mrocznym spojrzeniu. Dostrzegła też zaciśnięte usta i niemal mimowolny mars na czole. Zrozumiała, że zmylił ją jego młodzieńczy wygląd. W ciemnych oczach Hiram kryło się coś groźnego,

coś, co nie przypadło jej do gustu. To nie młodzieniec, to mężczyzna w ciele chłopca. Nie dostrzegła tego przez judasza ani w uchylonych drzwiach, lecz teraz, stojąc z nim twarzą w twarz, uświadomiła sobie, że Hiram Calloway jest nieźle pokręcony.

- Jak myślisz, co się z nią stało? - spytała. Spojrzał na kampus widoczny za ogrodzeniem.

- Mówią, że uciekła.

- Ale nikt nie wie tego na pewno - zauważyła.

- Robiła to już przedtem.

- Opowiadała ci?

Pokręcił głową.

- Nie. Była skryta.

- Mówiłeś, że była miła. Że rozmawialiście.

Na jego usta wypłynął dziwny uśmiezek.

- Kto wie, co się z nią stało. Jednego dnia tu była, następnego już nie.

- Tylko tyle wiesz?

- Wiem, że jej ojciec siedzi i że wkurzała moją babkę. - Spojrzał Kristi w oczy. - Spóźniała się z czynszem. Babka twierdzi, że to oszustka i naciągaczka, jak jej stary. I że dostała to, na co zasłużyła.

- Dostała to, na co zasłużyła - powtórzyła Kristi. Nie spodobały jej się te słowa.

Hiram zmarszczył brwi.

- Powiem babci, że masz dla niej klucz - rzekł i odwrócił się. Zbiegał po schodach taszcząc skrzynkę z narzędziami.

Kristi wróciła do mieszkania i zamknęła drzwi. Zasunęła zasuwę, założyła łańcuch, ale wciąż czuła się nieswojo. Przerzął ją ten „dobry dzieciak”, wnuk Irene Calloway.

## *Rozdział 4*

---

Bang!

W gęstej nocnej ciemności huknął strzał, odór kordytu zagłuszył zapach mokrej trawy, echo niesło się po głowie Kristi.

Z przerażeniem patrzyła, jak Rick Bentz traci równowagę i osuwa się na ziemię koło kamiennego murku otaczającego College Wszystkich Świętych.

Płynęła krew. Jego krew. Plamiła beton, rozpryskiwała się na trawie, spływała do kanału. Wraz z krwią uchodziło z niego życie.

- Tato! - krzyknęła. Nogi miała jak z ołowiu, gdy próbowała do niego podbiec. - O Boże, tato, tato...

Błyskawica rozdarła niebo, piorun uderzył w drzewo, które pękło z przerażającym trzaskiem. Wielka gałąź opadła z głuchym łoskotem. Ziemia zadrżała. Kristi straciła równowagę.

BUM! BUM! BUM!

Kolejne strzały! Ktoś krzyczy, ktoś inny jęczy rozpaczliwie, jakby i on oberwał.

Ojciec leży nieruchomo, nagle czarno-biały.

- Tato! - wrzasnęła ponownie. BUM! BUM! BUM!



Kristi gwałtownie wyprostowała się na krześle.

To był tylko sen, ale bardzo realistyczny. Jej serce waliło jak oszalałe, skóra pokryła się potem.

Poderwała się, spojrzała na zegarek i zdała sobie sprawę, że przeraziły ją fajerwerki. Studenci witali Nowy Rok. Słyszała stłumione śmiechy i krzyki. Rozbrzmiały dzwony kościelne. Gdzieś w oddali ktoś piszczał - we śnie wzięła to za jęki rannych.

- O Boże - szepnęła roztrzęsiona.

Zanim zasnęła, czytała o seryjnym mordercy i krwawe obrazy znowu stanęły jej przed oczami. Odgarnęła włosy z twarzy i podeszła do drzwi. W pokoju paliła się tylko lampka na biurku, poza tym spowijała go ciemność. Wyjrzała przez judasza - tylko pusty korytarz skąpany w mdłym świetle żarówki. Ale nadal słyszała jęki. Nie zdejmując łańcucha, odsunęła zasuwę i uchyliła drzwi.

To wystarczyło, by do środka wślizgnął się chudy czarny kot. Wyglodniały zwierzak błyskawicznie ukrył się pod tapczanem. Tylko falująca narzuta wskazywała, gdzie pobiegł.

- No chodź, kotku, nie wolno... - Ruszyła śladem kota, ukłękła i zajrzała pod łóżko. Patrzyły na nią żółte ślepie, okrągłe ze strachu. Zwierzak jakimś cudem wcisnął się w szparę nie szerszą niż jej dłoń.

- No chodź, kocie, nie możesz tu zostać. - Chciała go wyciągnąć, ale kot prychnął i głębiej wcisnął się w szczelinę. - Musisz stąd iść. - Znowu pokazał jej różowy język i ostre kły. - No dobra, spróbujemy inaczej.

Wysunęła skrzynię z pościelą i kot wpadł w szparę między materacem a ścianą. Gdy wsuwała skrzynię na miejsce, myślała, że

zwierzak wyskoczy jak z procy, on jednak najwyraźniej znalazł sobie nową kryjówkę. Manipulowanie tapczanem nic tu nie pomoże, a Kristi wolała nie ryzykować bliskiego kontaktu z przerażonym kotem i jego pazurami.

- Błagam cię... - westchnęła. Musiał jej się trafić bezdomny kot. I do tego dzisiaj. No i w umowie najmu, w paragrafie pięćset siedemdziesiątym szóstym czy którymś tam, jest napisane, że nie wolno jej trzymać zwierząt domowych. Hiram na pewno wyrecytowałby ten paragraf słowo w słowo.

- No chodź... - usiłowała przekonać wystraszonego kota.

Na próżno. Kot ani drgnął.

- A co powiesz na to?

Po chwili szperania w kredensie znalazła puszkę tuńczyka. Zerknęła przez ramię, pewna, że zobaczy zaciekawiony pyszczek, czujne oczy albo chociaż czarną łapkę wychylającą się spod kanapy.

Myliła się.

Nałożyła tuńczyka do miseczki, do drugiej nałała wody i obie ustawiła na podłodze na tyle blisko kanapy, że kot powinien się skusić, a ona zdążyć złapać go za kark i wyrzucić. Musi tylko być cierpliwa.

Postawiwszy miseczki na podłodze, wycofała się.

Czekała, wpatrzona w zegar na mikrofalówce. Minuty ciągnęły się jak godziny. Na dworze było coraz głośniejsze. Ktoś krzyczał, ktoś inny naciskał klakson, co chwila wybuchały fajerwerki. Piętro niżej rozbrzmiały kroki i śmiech. I rozmowy.

Kot nadal siedział pod kanapą. Pewnie wystraszyły go hałasy.

Świetnie, pomyślała, walcząc z bólem głowy. Padała z nóg.

Czas mijał. W końcu dała sobie spokój.

Nie może przecież czekać całą noc.

- No dobrą niech będzie, jak chcesz. - Już w piżamie zamknęła drzwi, sprawdziła zasuwki w oknach i podeszła do tapczanu. Zatrzeszczał pod jej ciężarem. Była pewna, że kot wyskoczy spod łóżka, ale nie. Z drugiego piętra dochodziły śmiechy i muzyka. Pewnie znajomi Mai wrócili z pubu. A jej nowy współlokator nawet nie wytknął nosa spod kanapy.

Najwyraźniej kot, którego w myślach już nazwała Houdini, poszedł spać.

- Już północ! Czas na toast! - Olivia podała Rickowi kieliszek bezalkoholowego szampana. - Oby nadchodzący rok był lepszy od poprzedniego.

- O to nietrudno - odparł, wstając od biurka.

Odkąd naprawiono drogi zniszczone przez huragan Katrina, zamieszkał z Olivią w jej domu w Cambrai. Czasami pomieszkiwała z nimi Kristi. Na piętrze domku, który Olivia odziedziczyła po babce, czekał na nią pokój gościnny. Nigdy jednak nie czuła się dobrze w chatce nad rozlewiskiem, nigdy też nie polubiła jego drugiej żony. Choć zaklinała się, że się cieszy, że ojciec nie jest już sam i w końcu zapomniał o jej matce, jakaś jej część nadal się z tym nie uporała. Olivia wszystko to widziała, ale trzymała język za zębami. Bystra kobieta z tej Liwie. I cholernie piękna.

Z domu nad rozlewiskiem musiał codziennie dojeżdżać do pracy, ale warto było, stwierdził, gdy już się przyzwyczyił do sąsiedztwa aligatorów,

oposów i czapli. Tu miał ciszę i mógł odpocząć od chaosu wielkiego miasta.

Olivia prowadziła niedaleko Jackson Square sklepik z pamiątkami i drobiazgami New Age. Sam sklep nie ucierpiał od huraganu, ale plac tak. Tarociści, ludzkie rzeźby, nawet muzycy wyjechali z miasta, gdy żywioł zniszczył ich domy.

- Nie bądź pesymistą - poprosiła Olivia, gdy Rick wziął od niej kieliszek. - Szczęśliwego Nowego Roku.

W jej oczach koloru starej whisky pojawił się błysk, miodowe loki lekko zafalowały. Postarzała się w ciągu ostatnich lat, lecz zmarszczki w kącikach oczu nie ujmowały jej urody, za to - jak sama twierdziła - dodały charakteru. Ale był w niej też pewien smutek. Pragnęła dziecka, a Bentz nie bardzo miał ochotę na późne ojcostwo. Jego córka z pierwszego małżeństwa zbliżała się do trzydziestki i lada moment może urodzić mu wnuka. Nie powinien płodzić potomka, który mógłby być rówieśnikiem własnego siostrzeńca.

Ale Olivia chciała mieć dziecko.

I na pewno byłaby wspaniałą matką.

- Nie jestem pesymistą- zapewnił żonę, gdy Hairy S wbiegł do pokoju i wskoczył na jego ulubiony fotel. - Tylko realistą.

- I uważasz, że szklanka zawsze jest w połowie pusta. Upił łyk mdłego gazowanego soku i podniósł kieliszek.

- Bo jest.

- Umierasz ze strachu o Kristi.

- Nie wiedziałem, że to widać.

- Odkąd wyjechała, jesteś nieswój. - Olivia usiadła mężowi na kolanach, objęła go i oparła czoło o jego skroń. - Nic jej nie będzie. Jest dorosła.

- Ale dwa razy prawie umarła.

- Prawie - podkreśliła Olivia. - Jednak przeżyła. Jest twarda.

Dopił resztkę bezalkoholowego szampana i przytulił żonę. Harry S zaskomlał, jakby zazdrościł im bliskości.

- Obawiam się, że nie dość twarda.

- To twoja córka. Da sobie radę. - Podniosła szampana do ust i poruszyła kieliszkiem. - Chcesz się zabawić?

- Teraz?

- Mhm. Ty będziesz złym detektywem, a ja...

- Świruską, która czyta w myślach mordercy?

- Miałam na myśli drobną bezbronną kobietkę.

- Tego jeszcze nie było. - Pocałował Olivie i poczuł znajome ciepło jej ust.

Wtedy zadzwoniła jego komórka leżąca na biurku.

- A niech to - mruknęła Olivia. Spojrzał na wyświetlacz.

- Montoya - powiedział. - Zły detektyw nie ma chwili wytchnienia.

- Dopadnę cię, kiedy wrócisz - odparła, gdy podnosił telefon.

- Bentz.

- Szczęśliwego Nowego Roku - odezwał się Montoya.

- Wzajemnie. - Sądząc po odgłosach, Montoya jechał przez miasto. -

Mamy trupa nad rzeką. Nieudana impreza niedaleko kasyna. Będę tam za kwadrans.

- Już jadę. - Ricka ogarnęły wyrzuty sumienia, gdy zobaczył rozczerowanie w oczach Olivii. Chciał się wytłumaczyć, ale położyła mu palec na ustach.

- Będę czekała - szepnęła. - Obudź mnie.

- Masz to jak w banku.

Wziął kluczyki, kurtkę, portfel i odznakę i wyszedł na zewnątrz do wiekowego dżipa. Powinien zmienić samochód, ale nie miał na to ani czasu, ani ochoty. Gdy wsiadał, usłyszał znajomy szelest sfatygowanego skózanego fotela. Wrzucił wsteczny i ominął sedana Olivii. Jadąc w stronę małego mostka, wyjął ze schowka pasek gumy do żucia i włożył do ust. Olivia ma rację. Od wyjazdu Kristi nie jest sobą. Ma swoje powody, a wszystkie dotyczą córki.

Kristi odziedziczyła po matce nie tylko urodę, ale i charakter. Była uparta, wybuchowa i bardzo niezależna. Przyprawiła go o niejedną siwy włos, lecz sądził, że to wszystko jest naturalną częścią procesu dojrzewania i skończy się, gdy Kristi dorośnie, spoważnieje, założy rodzinę. Cóż, na razie nic tego nie zapowiadało.

Trochę za ostro wziął zakręt i opony zapiszczały na asfalcie. Wystraszony hałasem szop ukrył się w zaroślach.

Kristi nie spieszyła się do ołtarza. W szkole średniej chodziła z Jayem McKnightem. Dał jej nawet pierścioneł - przedzaręczynowy, cokolwiek to miało oznaczać. Ale podczas pierwszego roku studiów w College'u Wszystkich Świętych stwierdziła, że wyrosła ze związku z Jayem. Romansowała przez jakiś czas z asystentem Brianem Thomasem, zdaniem Bentza, kompletnym zerem. Ten związek także się rozpadł.

Tymczasem Jay McKnight skończył studia i zaczął pracę w laboratorium kryminalistycznym nowoorleańskiej policji. Bentz nie pojmował, jak córka mogła uznać, że Jay jest nudny i małomiasteczkowy. Najzabawniejsze, że będzie teraz uczył u Wszystkich Świętych. Kristi na pewno go spotka.

Może Rick zdoła go namówić, żeby miał na nią oko...

Tak, musi poprosić Jaya, żeby zapewnił jej bezpieczeństwo. Kristi ma dopiero dwadzieścia siedem lat, a już dwa razy niemal ją stracił. Nie zniesie tego kolejny raz. Dopóki policja z Baton Rouge nie ustali, co się stało z zaginionymi dziewczętami, będzie działał.

Zjechał z autostrady w stronę nabrzeża. Wyludnione dzielnice wyglądały w świetle księżyca groźnie i złowieszczo: porzucone samochody, zniszczone domy, nieprzejezdne ulice... Ta część Nowego Orleanu ucierpiała najbardziej, gdy wały przeciwpowodziowe puściły, i Bentz wątpił, by kiedykolwiek wróciła do dawnego stanu. Nawet Montoya i jego świeżo poślubiona żona Abby porzucili plan wyremontowania domku w mieście. Budynek przetrwał dwieście lat, ale uległ sile Katriny i Montoya musiał dojeżdżać do pracy z domku Abby za miastem.

Wszyscy byli zmęczeni i potrzebowali odpoczynku.

Rick dotarł pod wskazany adres. Były już tam dwie jednostki. Miejsce zbrodni oddzielono taśmą, policjanci trzymali gapiów w bezpiecznej odległości. Mustang Montoi stał na parkingu, a on sam, w ulubionej skórzanej kurtce, rozmawiał z policjantem, który pierwszy przyjechał na miejsce przestępstwa.

Ciało leżało na chodniku, na plecach. Biała kobieta po czterdziestce. Na krótkiej czerwonej sukience wykwitły dwie plamy krwi. Bentz widział oznaki walki: połamane paznokcie prawej dłoni, zadrapania na twarzy. Przyglądał się jej długo, badawczo. To nie jest jedna z zaginionych studentek z Wszystkich Świętych. Twarze Dionne Harmon, Tary Atwater, Monique DesCartes i Rylee Ames wbiły mu się w pamięć. Śniły mu się po nocach. To żadna z nich.

Poczuł ulgę i zaraz wyrzuty sumienia. Ta kobieta także kogoś miała i ten ktoś - matka, ojciec, brat, siostra, ukochany - będzie ją opłakiwał.

- ...moim zdaniem to napad rabunkowy, w którym napastnik posunął się za daleko. Ofiara nie ma portfela ani dowodu tożsamości - mówił policjant.

Nazwisko nieznane, pomyślał Rick.

- Znaleźli ją ci tam. - Policjant wskazał ruchem głowy dwóch mężczyzn i dwie kobiety, którzy stali z boku, z dala od gapiów i przechodniów. - Wracali do domu z baru Pod Huczającą Sową na ulicy Decatur - ciągnął.

Bentz skinął głową. Znał ten lokal.

- Twierdzą, że niczego nie widzieli i nie słyszeli. Prawie weszli na ciało. Ale są nieźle wstawieni.

Bentz spojrział na dwie pary w wieczorowych strojach. Wydawali się trzeźwi.

- Porozmawiam z nimi - zaproponował Montoya i podszedł do czwórki ciemnoskórych młodych ludzi. Dziewczyny rozcierały sobie ramiona, jakby nagle zmarzły. Ich towarzysze mocno zaciskali usta.



Szczuplejsza dziewczyna tępo wpatrywała się w zwłoki, druga odwracała wzrok. Wyższy mężczyzna, chłopak chudej, zapalił papierosa i podał jej.

Komórka Bentza zadzwoniła w tej samej chwili, gdy zjawiała się furgonetka kryminologów. Za kierownicą siedziała Bonita Washington. Zaparkowała za mini vanem. Inez Santiago wysiadła z torbą narzędzi. Washington zgasła silnik.

Rick zerknął na wyświetlacz. Dyspozytorka. Pewnie kolejne morderstwo.

Cholera.

- Bentz - rzucił, patrząc, jak Bonita przepędza policjantów i gapiów z, jak to określała, jej miejsca zbrodni. Była to potężna ciemnoskóra kobieta o inteligencji sięgającej podobno stratosfery i twardym charakterze. Kochała swoją pracę i była w niej dobra. Santiago już fotografowała zwłoki. Żołądek Bentza fiknął salto.

Dyspozytorka podawała mu adres wypadku, który wyglądał na potrącenie ze skutkiem śmiertelnym.

- Zaraz tam przyjadę, tylko skończymy tutaj - powiedział, zanim się rozłączył.

- Odsunąć się! - Washington machnęła ręką. - Kto mi tu włązi, do cholery! Bentz, zabierz ich stąd, dobrze? A ty... - spojrzała na posterunkowego - nie pozwól nikomu, choćby to był sam Jezus Ch., przejść za taśmę.

- Tak, proszę pani.

- No to się rozumiemy. - Posłała mu chłodny uśmiech i zabrała się do pracy. Pobierała próbki, szukała osadu prochu, śladów stóp, odcisków palców.

- Cholera - jęknął Montoya, gdy jego komórka rozdzwoniła się salsą. Zerknął na zegarek. - Minęły dopiero pięćdziesiąt trzy minuty Nowego Roku, a mamy już dwa trupy.

- I będzie więcej - stwierdził Bentz, patrząc na zwłoki. Dwie godziny temu ta kobieta witała Nowy Rok. Teraz nie żyje.

Znów odezwał się jego telefon.

Zacisnął zęby.

Szykuje się koszmar na noc.

Północ.

Godzina duchów.

Chwila, w której jeden dzień umiera, a drugi się rodzi. Dzisiaj rodzi się Nowy Rok. Uśmiechnął się, idąc zalanymi deszczem uliczkami, wsłuchany w huk fajerwerków i korków od szampana, które przypominały strzały z pistoletów.

Nie, żeby interesowała go taka broń. Za mało osobista.

Zbyt duża odległość, czasami nawet kilkadziesiąt metrów, odbiera całą przyjemność, poczucie bliskości, gdy życiodajna krew wypływa z ciała, światło w oczach ofiary powoli gaśnie, a szaleńczy, histeryczny puls powoli zamiera. To jest prawdziwe. Idealne.

Ubrany na czarno, zlewał się z mrokiem. Przemierzając kampus, wdychał zapach marihuany i patrzył obojętnie na parę, która niezdarnie

mocowała się z ubraniem w drodze do jednego z akademików i zapewne wąskiego łóżka, w którym zostaną do rana.

Poczuł ukłucie zazdrości.

Rozkosze cielesne...

Ale musi poczekać.

Zdawał sobie z tego sprawę.

Mimo targającego nim niepokoju.

Mimo narastającej potrzeby.

Pragnął rozkoszy i wiedział, że ją uzyska, powoli odbierając życie... i to nie byle jakie życie. Nie. Starannie wybierał te, które składał w ofierze.

Pragnienie sprawiało ból, nie pozwalało o sobie zapomnieć, drażniło nerwy. Był podminowany. Spięty.

Wyczuwał ich żądzę, ich pragnienie, krew w ich żyłach.

Zacisnął pięści i oczyścił umysł z żądz, ognia, który go spalał.

Nie teraz.

Nie tej nocy.

Nie oni.

Po raz ostatni spojrział na wtuloną w siebie parę i stłumił najbardziej prymitywny instynkt. Polowania. Zabijania.

Nie są tego warci, powtarzał sobie. Masz plan. Nie wolno ci go porzucić.

Bezszelestnie przemykał się wąskimi uliczkami do starego budynku, wspaniałego niegdyś hotelu, w którym teraz zatrzymywały się tylko pająki, szczury i inne robactwo. Na tyłach było wejście dla służby i dostawców. Zbiegł po zmurszałych schodach i własnym kluczem otworzył

drzwi. Nie zwracał uwagi na zardzewiałe, przeciekające rury, potłuczone szkło i przegniłe deski, pamiątki po poprzednich próbach renowacji. Szedł znajomym korytarzem do sypialnych schodów prowadzących w dół. Na dole otworzył ostatnie drzwi i znalazł się w pomieszczeniu przesyconym zapachem chloru.

Odczekał chwilę, pokonał krótki korytarzyk, zapalił światło i mdłe żarówki wyczarowały z ciemności basen rozmiarów olimpijskich. Niebieskie kafelki lśniły w niesamowitym świetle.

Rozebrał się, rzucił ubranie w kąt, nagi podszedł do krawędzi basenu i wskoczył do zimnej wody. Poczul gęsią skórę, ale płynął bez wysiłku, oddychał swobodnie, zawracał lekko, zwinnie. Przecinał wodę jak nóż ciało. Płynął coraz szybciej, jego serce biło coraz mocniej, a płuca zaczynały płonąć. Pięć długości. Dziesięć. Dwadzieścia.

Wyszedł z wody dopiero, gdy poczuł zmęczenie, które uspokajało, wypłukiwało żądzę z serca. Na to przyjdzie czas później. Chłodne powietrze muskało mokrą skórę. Poczul, jak nabrzmiały mu sutki, a członek się skurczył. Witał chłód, idąc ciemnym korytarzem. Jego wzrok przywykł do ciemności, zanim dotarł do komnaty, w której skrywał swoje trofea.

Było tam biurko, czarny stolik i kilka poduszek na betonowej podłodze. Ekran laptopa migotał niebiesko. Zastanawiał się, czy się nie zalogować. Porozumiewał się z innymi przez Internet; miał wiele nicków, ale sam nazywał się imieniem Vlad. Niezbyt oryginalne, ale zgodne z jego celem, uznał. Jak to ujął Szekspir? Czy róża pachniałaby tak słodko, gdyby miała inną nazwę? A Vlad pachnie smakowicie i jeszcze lepiej smakuje.

Zatem na potrzeby swojej misji zostanie Vladem Nabijaczem na Pal.  
Zresztą czyż nim nie jest? Czy nie nadział na pal wszystkich wybranych?

O ironio losu.

Vlad zapalił świeczkę, usiadł po turecku przy niskim japońskim stoliku, otworzył szufladę i wyjął fotografie, zdjęcia robione do legitymacji. Położył pierwszą na blacie.

Siostry, pomyślał, choć nie mają wspólnych genów.

Dotykał każdego zdjęcia opuszkami palców, w takiej kolejności, w jakiej je brał.

Dionne, słodka i bujna, o ciemnej skórze miękkiej jak jedwab, taka dojrzała i ognista... ognista i mokra... Jęczała, że nie chce, ale jej ciało reagowało na jego pieszczoty, pragnęło go. Gardło mu się ścisnęło na wspomnienie tego, jak ją wziął od tyłu, dotykając jej brzucha, gdy skończyła tuż przed nim.

Z trudem przełknął ślinę.

Tara, chuda, za to z pięknymi piersiami. Pełne, białe, o małych blad różowych brodawkach. Pamiętał, jak je ssał, drażnił, gryzł, drapał, a ona krzyczała z rozkoszy... znowu poczuł ogień we krwi. Dotknął zdjęcia Tary i spojrzał na kolejną fotografię.

Monique. Wysoka, szczupła, wysportowana. Jej mięśnie prężyły się, gdy ją rzeźbił dłońmi, gdy badał rozkoszne zakątki jej ciała. Oblizwał palce. Jego członek nabrzmiął.

Kolejne zdjęcie. Rylee. Drobna, wystraszona, ale za to jaka rozkoszna. Jej jasne włosy zwracały uwagę, a gdy była naga, błękitne żyły

niemal przeświecały przez skórę, puls był widoczny w rozszalałym dygocie szyi.

Och, Boże, jaka była soczysta... jej zapach... Odwrócił fotografię - została tam kropla jej krwi. Z uśmiechem podniósł zdjęcie i musnął językiem czerwoną plamkę. Poczuł jej smak, a wraz z nim - dawną euforię.

Jego członek był twardy jak skała. Gotowy.

Żeby posłużyć jako pał.

Oblizwał usta i odłożył zdjęcie. Potem oglądał inne - setki fotografii potencjalnych kandydatek.

Przygotował już najlepsze, ale kilku mu brakowało. Nowych. Dziewczyn, które zaczęły studia od drugiego semestru. Nie miał jeszcze ich zdjęć.

Ale je zdobędzie.

I to wkrótce.

Trafia w poczet wybranych, które wkrótce dołączą do sióstr.

Uśmiechnął się i przesunął językiem po zębach, rozkoszując się smakiem biernej, śmiertelnie wystraszonej Rylee Ames.

W kolejnej grupie znajdzie się, choć nie miał jeszcze jej zdjęcia, córka policjanta, która zamieszkała w kawalerce jednej z jego ofiar. Jakby los sam pchał ją w moje ręce, pomyślał.

Widział ją. Obserwował. Była piękna i miała w sobie dość życia, by nadawać się do jego celów, na jego ofiarę. Kiedy nadejdzie jej pora - jeszcze nie teraz, ale wkrótce. Poczeka, nie ma wyboru, decyzje zapadły już dawno.

Krew zawrzała mu w żyłach, gdy wyobraził sobie, że ją bierze.  
Spojrzał na zdjęcia na stole.

Kristi Bentz wkrótce dołączy do sióstr, choć jeszcze sama o tym nie wie...

## ***Rozdział 5***

---

Więc o tym wszyscy tak gadają, myślała Kristi, siadając w zatłoczonej sali pierwszego dnia wykładów w nowym semestrze. Był poniedziałek po Nowym Roku, ósma rano. Większość studentów wyglądała, jakby dopiero co wstali.

Krzesła skrzypiały, buty szurały, zewsząd dobiegały szepty, a towarzyszyła tym odgłosom cicha muzyka renesansowa. Płynęła z głośników zamontowanych na ścianach nad najwyższymi rzędami krzeseł. Sala wykładowa przypominała amfiteatr: rzędy schodziły coraz niżej, otaczały niewielką katedrę, na której stało biurko i mikrofon. Na blacie leżało kilka książek oraz notes i laptop.

Za biurkiem stał mężczyzna w wieku mniej więcej trzydziestu pięciu lat, zapewne doktor Victor Emmerson. Od niechcienia przeglądał notatki. Miał na sobie sprane džinsy, zniszczoną czarną skórzaną kurtkę narzuconą na biały T-shirt i lustrzane okulary słoneczne zatknięte za kołnierzyk. Jego ciemne włosy wyglądały, jakby dawno nie widziały grzebienia, a trzydniowy zarost nadawał mu wygląd harleyowca, który przed chwilą zeskoczył z motoru. Był uosobieniem przystojnego, posepnego

buntownika i różnił się jak niebo i ziemia od profesorów, których zapamiętała sprzed lat.

Zapisała się na jego zajęcia, bo po pierwsze, taki był wymóg na wydziale, a po drugie, opis wydawał się interesujący. Na razie się nie zawiodła.

Emmerson drapał się w brodę, kartkując notes; podnosił wzrok, tylko kiedy do sali wchodził kolejny student.

Zostało już niewiele wolnych miejsc.

Zajęcia Emmersona cieszyły się ogromną popularnością, ale Kristi podejrzewała, że raczej ze względu na atrakcyjność wykładowcy niż zainteresowanie dziełami Szekspira. Otworzyła laptopa i rozejrzała się dokoła. Poznawała już niektórych studentów. Nieco niżej od niej siedziała Mai Kwan, a pod oknem zebrala się grupka znajomych Lucretii. O dziwo, tuż przed rozpoczęciem zajęć do sali wszedł Hiram Calloway, niewydarzony dozorca. Odwróciła się, nie chcąc, żeby zajął wolne miejsce koło niej. Na szczęście znalazł inne, z tyłu sali.

I dobrze.

Gdy zatrzasnęły się za nim drzwi, Emmerson spojrział na zegar i wyłączył muzykę. Obrzucił studentów mrocznym spojrzeniem.

- Jestem Victor Emmerson, a mój przedmiot to Szekspir 212, więc jeśli zapisaliście się na coś innego, wyjdźcie teraz. Jeżeli ktoś sądzi, że bez trudu dostanie u mnie piątkę, grubo się myli. I też może wyjść.

Nikt się nie ruszył. W sali słyhać było tylko tykanie zegara. Nagle rozdzwonił się telefon. Emmerson spojrział na chłopaka w baseballówce, który szukał komórki w kieszeni.



- Kolejna sprawa. Żadnych telefonów w trakcie zajęć, i chodzi mi nie tylko o dzwonki, ale też sms-y, sprawdzanie godziny, cokolwiek. Jeśli kogoś na tym przyłapię, nie zalicza. Jeżeli wam to nie odpowiada, możecie zrezygnować, nic mnie to nie obchodzi. Tu nie ma demokracji. Ja jestem królem, jasne? Takim jak ci, których dzieje będziemy omawiali, choć nie tak egocentrycznym, mam nadzieję. A skoro już o tym mowa - rozejrzył się uważnie po twarzach studentów - będziemy zgłębiali dzieła Starego Billa tak jak nigdy dotąd tego nie robiliście. Nie ograniczymy się do pobieżnego omawiania jego dramatów i poezji. Poznamy je na wylot. Będziemy czytali je tak, jak chciałby tego sam Szekspir czy ktokolwiek waszym zdaniem je napisał. Ale na tych zajęciach zakładamy, że ich autorem jest William Szekspir. Jeśli uważacie, że w rzeczywistości ich autorem jest Francis Bacon, choć nie miałby na to czasu, albo Edward de Verte czy Christopher Marlowe, choć on podobno umarł w tysiąc pięćset dziewięćdziesiątym trzecim, proszę bardzo, tam są drzwi. - Machnął ręką. - Zdaję sobie sprawę, że wielu naukowców nie wierzy, by biedny analfabeta stworzył dzieła tak wyrafinowane i przesycone znajomością życia klasy wyższej. Nie zrozumcie mnie źle, będziemy dyskutować, i to dużo, o dziełach Szekspira, ale kwestia, czy on je napisał czy nie, to temat tabu. Nic mnie nie obchodzą wasze wątpliwości, jasne? Obchodzi mnie tylko, co sądzicie o jego twórczości. - Przysiadł na krawędzi biurka. - Zakładam, że wszyscy dostaliście plan zajęć pocztą elektroniczną. Jeżeli nie, sprawdźcie w spamie i dopiero jeśli tam niczego nie znajdziecie, zadzwońcie do mnie, a wyślę wam nowy. Będziecie dostawać zadania przez Internet, dlatego wszyscy musicie sobie założyć skrzynki na naszym

serwerze. Jeśli nie wiecie jak, zwróćcie się do administracji, to nie moja sprawa. Ci, którzy dostali i otworzyli plan zajęć, wiedzą, że zaczniemy od Makbeta. A dlaczego? - Uśmiechnął się pod nosem. - Bo czy wyobrażacie sobie lepszy początek semestru niż wiedźmy, przepowiednie, krew, duchy, wyrzuty sumienia i zbrodnia?

Przykuł ich uwagę i dobrze o tym wiedział. Patrzył na skupione twarze i wolno kiwał głową. Napotkał wzrok Kristi i zatrzymał się na sekundę. Czy naprawdę przyglądał się jej odrobinę dłużej, czy tylko jej się wydawało?

Na pewno jej się zdawało.

A jednak kiedy przesunął wzrok dalej, jego uśmiech się zmienił, jakby znał jakąś tajemnicę.

Co się z nią dzieje, do cholery? Wymyśla różne bzdury tylko dlatego, że wykładowca jest przystojny?

- Na tych zajęciach ja o wszystkim decyduję - dodał Emmerson. - Lubię Makbeta, więc... - klasnął i połowa grupy podskoczyła. Znowu znaczący uśmieszek. - Zaczynamy...

- Kristi!

Mijała gmach biblioteki, gdy ktoś zawołał ją po imieniu. Żołądek podskoczył jej do gardła. Poznała ten głos. Odwróciła się i zobaczyła, jak dawna współlokatorka, a teraz asystentka, Lucretia, biegnie za nią z parasolką w garści, w czarnym płaszczu rozwianym przez wiatr. Zanosilo się na deszcz, wicher się wzmagal i ostatnie, na co Kristi miała ochotę, to gawędzić z Lucretią w strugach deszczu.

- Poczekaj!

Nie miała wyjścia. Zatrzymała się i czekała, aż Lucretia ją dogoni.

- Musimy porozmawiać - zaczęła bez wstępów.

- Czyżby?

Lucretia puściła mimo uszu jej ironię.

- Masz chwilę?

Studenci kulili się z zimna i szybkim krokiem przemierzali alejki przecinające trawnik na środku kampusu. Niektórzy jechali na rowerach, ktoś przemknął na deskorolce.

- Chodźmy do kawiarenki, napijemy się kawy. - Lucretia była wyraźnie przejęta.

- O jedenastej mam zajęcia na drugim końcu kampusu. - Kristi zerknęła na zegarek. Dziesiąta trzydzieści sześć. Mało czasu.

- Zajmę ci tylko chwilę. - Lucretia złapała ją za rękę i ciągnęła do budynku z czerwonej cegły, w którym mieściły się świetlica, kawiarenka i biura.

Kristi zabrała rękę, ale posłusznie poszła za nią do kawiarenki i ustawiła się w kolejce za trzema dziewczynami. Zamówiła czarną kawę, a Lucretia wzięła latte z karmelem. Kristi starała się nie myśleć o upływających minutach, ale martwiło ją, że się spóźni na kolejne zajęcia. Wpływ wampiryzmu na kulturę współczesną, z doktorem Dominikiem Grotto.

Gdy dostały zamówione napoje, ruszyła za Lucretią w głąb salki. Mijały stoliki, przy których studenci rozmawiali, uczyli się i słuchali muzyki z odtwarzaczy mp3. Dostrzegła przyjaciółki Lucretii, Trudie i Grace, pogrążone w rozmowie przy stoliku pod oknem. Lucretia chyba

chciała ich uniknąć, bo wybrała stolik w rogu, którego nikt od dawna nie sprzątał. Usiadła tyłem do przyjaciółek.

Kristi zajęła krzesło naprzeciwko i uświadomiła sobie, że zostało jej tylko dwadzieścia minut do następnych zajęć. Na pewno się spóźni.

- Pospiesz się, nie mam czasu - powiedziała, dmuchając na gorącą kawę. Lucretia odetchnęła głośno i zerknęła przez ramię, jakby się obawiała, że ktoś ją obserwuje. Zadowolona, że nikt nie zwraca na nie uwagi, pochyliła się nad stolikiem i szepnęła:

- Na pewno słyszałaś o dziewczynach, które zginęły. Kristi udawała, że niezbyt ją to interesuje. Skinęła głową.

- Było ich cztery, tak?

- Tak. - Lucretia zagryzła wargi. - Na razie mówi się, że zginęły...

- Ale ty uważasz, że to coś więcej?

Lucretia nie tknęła kawy, która stała na poplamionym obrusie, obok torebek z keczupem i musztardą.

- Chyba dzieje się coś... dziwnego. - Zniżyła głos. - Znałam Rylee.

- Znałaś? Dlaczego czas przeszedł?

- To znaczy znam ją - poprawiła się Lucretia - ale nikt, powtarzam, nikt nie widział jej od Gwiazdki. Wydaje mi się, że... o Boże, to niedorzeczne.

- Co?

- Wydaje mi się, że mogła należeć do sekty.

- Sekty?

Energicznie skinęła głową, patrząc, jak opada pianka w nietkniętej kawie.

- Sekty religijnej?

- Sama nie wiem... Słyszysz różne plotki. Ale podobno najpopularniejsze są wampiry.

- Jak w Buffy -postrachu wampirów!

- Nie, prawdziwe.

Kristi spojrzała na nią z ukosa.

- Chodzi ci o nietoperze czy o hrabiego Draculę? Ale Lucretia była śmiertelnie poważna.

- Nie żartuję. Mnóstwo studentów nosi fiolki z krwią na szyi, to już zakrawa na obsesję. Przekroczyli wszelkie granice.

- Ale chyba nie wierzą, że wampiry przesypiają dnie w trumnach, a nocami piją ludzką krew? I że można je zabić tylko osikowym kołkiem albo srebrną kulą? I że nie mają odbicia w lustrze?

- Nie bądź taka.

- Jaka?

- Taka... ironiczna. Nie wiem, w co wierzą. - Nerwowo bawiła się złotym łańcuszkiem na szyi. Między jej palcami połyskiwał złoty krzyżyk wysadzany brylantami.

- Więc Rylee też się wciągnęła w te wampiry.

- Tak, ona... Tak. - Złoty krzyżyk zabłysł w świetle lamp nad stołem.

- Co robisz ci wyznawcy wampirów?

- Nie wiem. Rylee była bardzo skryta.

- Co o niej wiesz?

- Cóż, nie była najbardziej solidną dziewczyną pod słońcem - przyznała Lucretia. - Już raz rzuciła studia, chyba wiosną zeszłego roku. - Odchrząknęła i odwróciła wzrok. Krzyżyk zamigotał.

- I... - naciskała Kristi, czując, że to nie wszystko.

- No cóż... Lubiła dramatyzować, i to bardzo. Próbowwała nawet popełnić samobójstwo.

- Co?!

- Cicho! - Lucretia ściszyła głos i przestała bawić się naszyjnikami. - Zdaję sobie sprawę, że to wołanie o pomoc, nie wiem tylko, czy kiedykolwiek ją dostała. Jej matka cały czas zamartwiała się, czy Rylee nie zajdzie w ciążę i chyba w ogóle nie zauważyła, jak bardzo jej córka cierpi.

- Matka zignorowała jej próbę samobójczą? - zapytała Kristi z niedowierzaniem.

- Rylee, z tego co sama mówiła, porządnie zalaża jej za skórę: późne powroty do domu, imprezy, chłopcy... wszystko, co chcesz. Więc umyła ręce, skupiła się na drugim dziecku. Jak ci się to podoba? - Z głosu Lucretii przebijała gorycz i Kristi przypomniła sobie rodziców byłej współlokatorki, bardzo oddalonych od córki. W każdym razie emocjonalnie. Lucretia odchrząknęła.

- W każdym razie, o ile wiem, matka Rylee uważa jej zniknięcie za kolejny wybryk, chęć zwrócenia na siebie uwagi.

- A ty uważasz, że to ta... sekta.

- Tak.

- I że wpakowała się w coś złego. Lucretia z trudem przełknęła ślinę.

- Mam nadzieję, że się mylę.

- Ale sądzisz, że za bardzo się przejęła zabawą w wampiry i coś poszło nie tak.

Lucretia skinęła głową.

- Tak, chyba tak.

W tej rozmowie było coś nienaturalnego. Lucretia czegoś nie mówiła, czegoś ważnego. Kristi przyglądała się dawnej współlokatorce i zastanawiała się, co się z nią działo podczas minionych lat.

- A ty? - spytała, wyczulona na najmniejszą reakcję. - Co ty sądzisz o tej całej sprawie z wampiryzmem?

Lucretia zerknęła w okno na zachmurzone niebo.

- Czasami sama już nie wiem, co jest prawdziwe, a co nie. Kristi przeszył dreszcz niepokoju.

- Naprawdę?

- Czy wierzę w wampiry? Takie jak w hollywoodzkich filmach? Nie.

- Lucretia wolno pokręciła głową, jakby po raz pierwszy zmagająca się z tą myślą. Niemal nieświadomie zaczęła drzeć serwetkę na strzępy.

- Darujmy sobie Hollywood - mruknęła Kristi. Właściwie powinny sobie darować całą tę rozmowę, jest zbyt dziwna, zbyt nierzeczywista, ale nie zdołała się powstrzymać. Zaginięcia studentek rozbudziły ciekawość i już postanowiła, że zajmie się tą sprawą. Może Lucretia jej pomoże.

Sprawia wrażenie osoby chętnej to zrobić.

- Z filozoficznego punktu widzenia uważam, że każdy tworzy własną prawdę - podjęła Lucretia. - Ludzie, którzy mają halucynacje, czy to z powodu choroby, czy pod wpływem narkotyków, uważają, że są realne.

To ich prawda, choć może nie nasza. Moja babka przed śmiercią widywała ludzi, których nie było w pokoju, i zapewniała, że bywała w odległych miejscach, w których być nie mogła, bo była przykuta do łóżka w domu opieki. Opisywała je z taką dokładnością, że prawie nas przekonała. Śniła? Miała halucynacje? - Lucretia wzruszyła ramionami. - To nieważne. Dla niej to była prawda, rzeczywistość.

- Więc twoim zdaniem członkowie tej sekty zmieniają swoją rzeczywistość? Jak? Za sprawą narkotyków? Choroby psychicznej?

- Albo pożądaniami.

Kristi poczuła w sercu lodowaty powiew.

- Pożądaniami?

Lucretia przestała pastwić się nad serwetką i położyła jej szczątki obok torebek z sosami.

- Tak bardzo chcą w to uwierzyć, aż dla nich staje się prawdziwe. Wiesz, o co mi chodzi. Czasami pragniesz czegoś tak bardzo, że niemal to czujesz w rękach. Pragnąć czegoś... i zrobić wszystko, żeby to zdobyć. - Jej ciemne oczy odnalazły wzrok Kristi. Ścisnęła ją za rękę. - Wszyscy czegoś pragniemy.

Puściła dłoń Kristi, która czuła, jak jej serce bije coraz szybciej.

- Ale to pragnienie... Dlaczego ktoś chciałby stać się wampirem? - Kristi nie mieściło się to w głowie.

- Bo to bardzo zmysłowe. Erotyczne.

- Co? Picie krwi? Życie w ciemności? Kto zdrowy na umyśle chciałby czegoś takiego?...



- Nikt nie twierdzi, że są zdrowi na umyśle. - Lucretia znowu spojrzała jej w oczy, a potem w końcu upiła łyk kawy. - Ci... wyznawcy... w ich życiu albo nic się nie dzieje, albo jest tak straszne, że jakakolwiek magia, czy to czarna czy biała, która je odmieni, jest ich zbawieniem.

- Bzdura. Twierdzisz, że istnieje cała grupa ludzi wierzących w wytwór ludzkiej wyobraźni?

- Dla ciebie to bzdura, ale nie dla nich. Niektórych pewnie pociąga sama otoczka. Wampiryzm kusi. Jest mroczny, zmysłowy. W pewnym sensie romantyczny i namiętny. Ale dla niektórych to coś więcej. Ci naprawdę wierzą.

- Potrzebują pomocy - stwierdziła Kristi.

Lucretia patrzyła na nią pociemniałymi oczami. Co się w nich kryło? Strach? Fanatyzm? Dziwaczna sprawa. Nigdy się nie przyjaźniły, więc dlaczego zwraca się akurat do niej? Przy sąsiednim stoliku dwaj studenci właśnie usiedli nad tacami z hot dogami i frytkami. Śmiali się i żartowali, wyciskając keczup z torebek. Wszystko było jak zawsze.

Czy naprawdę rozmawia z Lucretią o wampirach?

- A co powiesz o doktorze Grotto? - zapytała. Wyobraziła sobie wysokiego sardonicznego mężczyznę o ciemnych włosach i przenikliwym spojrzeniu. - Uważasz, że na swoich zajęciach promuje wampiryzm? Może jest przywódcą tej sekty?

- Co? Nie, skąd! - Lucretia odstawiła kubek tak gwałtownie, że kawa wylała się na stół.

- Ale prowadzi zajęcia...

- Nie o tym, jak być wampirem, na miłość boską, tylko o wpływie mitologii wampirycznej na naszą kulturę. To intelektualista!

- Co nie znaczy, że nie bawi się w...

- Nie rozumiesz, tu nie chodzi o Dominika... - Lucretia energicznie pokręciła głową. - To cudowny mężczyzna. Wykształcony, pełen życia. - Błada jak ściana, wstała, drżącymi rękami starła rozlaną kawę i zabrała swoje rzeczy. - Myślałam, że skoro tyle przeszłaś, a twój tata jest znanym detektywem, pomożesz mi. Przekonasz go, żeby postarał się sprawdzić, co się stało z Dionne, Tara, Monique i Rylee. Ale daruj sobie.

- Twoje przyjaciółki nadal pozostają zaginione - zauważyła Kristi, również wstając.

- To nie moje przyjaciółki, po prostu studentki. Znałam je i tyle.

- A czy one też się znały?

- Chyba tak. Nie jestem pewna. Wszystkie studiowały literaturę angielską i wszystkie miały trudne dzieciństwo. To były dziewczyny, które mogły wpakować się w kłopoty. Ale cóż, powinnam była się domyślić, że wszystko przeinaczysz. - Cisnęła mokrą chusteczkę do kosza na śmieci.

- Powiedziałaś to wszystko policji?

- Nie. Jestem tylko asystentką i nie mam dostępu do... Boże, to takie skomplikowane. Nie mogę rozpowiadać na prawo i lewo o sektach na uczelni. Ale gdy spotkałam ciebie, pomyślałam... miałam nadzieję, że twój ojciec będzie mógł zająć się tym po cichu. Wcześniej nie sądziłam, że dzieje się coś złego. Dionne i Monique ciągle mówiły, że chcą wyjechać.

Ale teraz... sama nie wiem. Tara była nieszczęśliwa, ale Rylee? -

Przeczesała palcami włosy, spojrzała na chłopaków przy sąsiednim stoliku

i zniżyła głos. - Może sobie to wszystko wmawiam, sama nie wiem, co jest rzeczywistością, a co fantazją. Nie wiem nawet, dlaczego ci to mówię.

Kristi także nie wiedziała. Ale nie widziała też nigdy, by ktoś trupio blady zrobił się czerwony jak burak w ciągu paru sekund. Najwyraźniej trafiła w czułe miejsce, wspominając profesora Grotto, na którego zajęcia zaraz się spóźni. Postanowiła na razie zachować tę obserwację dla siebie. Dopija kawę i wyrzuciła kubek. Lucretia tymczasem jeszcze raz przetarła stolik i Kristi zobaczyła pierścionek na jej lewej dłoni.

- Zareczona? - spytała i przypomniała sobie jej zachwyty nad boskim facetem. Czyżby chodziło o Grotto?

Lucretia spojrzała na swoją dłoń i znowu z bladej zrobiła się czerwona.

- To tylko... - wyjąkała - ... to nic takiego. - Zgarnęła torebki z keczupem i wyrzuciła do kosza. - To nie jest pierścionek przedzareczynowy, czy jak to nazywałaś... pamiętasz?

- Tak.

Lucretia wytarła ręce w czystą serwetkę.

- I pomyśleć, że facet, którego rzuciłaś, kiedy tu studiowałaś za pierwszym razem, teraz jest wykładowcą. To dopiero ironia losu.

Kristi starała się cokolwiek z tego rozumieć.

- Jay?

- Tak, Jay McKnight.

Kristi zdrewniała. Choć związek z Jayem od dawna należał do przeszłości, nie miała najmniejszej ochoty go spotykać.

- Jay pracuje w policji w Nowym Orleanie - powiedziała, lecz ogarnęło ją złe przeczucie, gdy dostrzegła błysk triumfu w oczach Lucretii.

- Ale będzie tu uczył. Zastępuje koleżankę, która musiała wziąć urlop.

- Naprawdę? - Kristi wciąż miała nadzieję, że Lucretia albo się myli, albo specjalnie się z nią drażni. Nie uwierzy, dopóki nie zobaczy Jaya McKnighta na własne oczy. Ale złe przeczucie nie ustępowało. - Jaki przedmiot wyklada?

- Coś z kryminalistyką.

- Wprowadzenie do kryminologii?

- Możliwe.

O Boże, nie. Jay jako wykładowca - tego już za wiele.

Przypomniała sobie, jak brutalnie z nim zerwała, i skrzywiła się boleśnie. Choć minęło prawie dziesięć lat, wołała nie mieć z nim więcej do czynienia. Zwłaszcza jako ze swoim nauczycielem. To byłaby istna tortura.

- Do zobaczenia. - Lucretia była już przy drzwiach, gdy Kristi spojrzała na zegar nad drzwiami budynku naprzeciwko.

Za trzy jedenasta.

No tak, znowu się spóźni. Chociaż może się okazać, że warto było stracić początek zajęć. Obawy Lucretii i jej teorie są ciekawe.

- Ale wampiry? - mruknęła i zimny dreszcz przebiegł jej po plecach.

## Rozdział 6

---

Podwójne drzwi kawiarenki zatrzasnęły się za Lucretią i po chwili otworzyły ponownie, by wpuścić grupę roześmianych studentów ociekających deszczem. Podeszli do lady złożyć zamówienie.

Kristi wzięła laptopa i torebkę, wyszła na zewnątrz i zbiegła ze schodów dokładnie w chwili, gdy kościelne dzwony wybiły jedenastą.

- Świetnie - mruknęła pod nosem, widząc, że tylko pojedyncze osoby przemykają alejkami.

Wszyscy pozostali już siedzą na zajęciach.

Nawet Lucretia, która wyszła dosłownie przed chwilą, zniknęła, jakby się rozplynęła w powietrzu.

Nie tak powinnam zacząć semestr, pomyślała, mijając kaplicę i dwustuletnią rezydencję rodziny Wagnerów, fundatorów college'u. Teraz w ich domu mieściło się muzeum. Jeśli wierzyć plotkom, był nawiedzony; trudno się dziwić takim opowieściom o posepnym trzypiętrowym gmaszysku z gargulcami i wieżyczkami na spadzistym dachu.

Minęła furkę z kutego żelaza oddzielającą dom od kampusu, przebiegła koło budynku, w którym mieścił się wydział nauk ścisłych, skręciła za róg i mało brakowało, a wpadłaby na wysokiego ciemnowłosego mężczyznę. Stał tyłem do niej i trzymał rękę przy czole, jakby osłaniał oczy przed deszczem. Był pogrążony w rozmowie. Mijając go, dostrzegła skrawek koloratki i surowe rysy. Mówił coś do drobnej

kobiety w za dużym płaszczu. Kristi od razu ją rozpoznała - to Ariel, przyjaciółka Lucretii. Wyglądała, jakby zaraz miała się rozplakać.

- Ja... po prostu uznałam, że ojciec musi o tym wiedzieć. - Ariel narzuciła kaptur na głowę.

Mężczyzna to ojciec Tony, ksiądz, o którym Irene Calloway mówiła, że jest zbyt nowoczesny. Kristi widziała jego fotografię w albumie. Anthony Mediera uśmiechał się serdecznie i patrzył w obiektyw wielkimi oczami. Teraz jego oczy były poważne, a usta zaciskał w ledwo wstrzymywanym gniewie.

- Nie przejmuj się - rzekł z lekkim włoskim akcentem. - Załatwię to, obiecuję.

Ariel uśmiechała się, ale gdy dostrzegła Kristi, jej twarz stężała. Odeszła szybko, jakby miała nadzieję, że Kristi jej nie rozpoznała. I dobrze.

Kristi już była spóźniona i nie obchodziło jej, co Ariel wyznaje ojcu Tony'emu.

Przemknęła obok kościoła i w końcu, prawie dziesięć minut po czasie, dotarła do Adam's Hall. Wbiegła do środka i przeskakując po dwa stopnie, pognąła na drugie piętro. Drzwi były już zamknięte.

Cholera, pomyślała, uchylając je i wchodząc do sali, w której panowała taka cisza, że słychać było najmniejszy szelest, a co dopiero jej wejście.

W oknach wisiały ciężkie aksamitne kotary, salę oświetlały jedynie świece. Na katedrze stał wysoki mężczyzna. Serce stanęło jej w piersi, gdy

spojrzał na nią niemal czarnymi oczami, a potem znacząco skierował wzrok na zegar.

Przycupnęła na jednym z nielicznych wolnych krzeseł i wmawiała sobie, że jego oczy nie płonęły, że nie jarzył się w nich czerwony błysk. To tylko gra świateł i jej rozbujana wyobraźnia.

Sala przypominała mroczną kryptę, a na tablicy, która służyła za prowizoryczny ekran, straszyl Bela Lugosi jako Dracula...

Zdjęcie zniknęło i zastąpił je wizerunek koszmarne monstrum o ostrych kłach i zakrwawionych ustach.

- Wampiry mają różne postacie i różną moc - powiedział doktor Grotto, patrząc na kolejny obraz. Tym razem była to okładka starego komiksu z wampirem szykującym się do ataku na skąpo odzianą blondynkę o figurze, która przyprawiłaby o zazdrość nawet lalkę Barbie.

Kristi usiłowała wtopić się w tłum studentów - na próżno. Grotto ciągle wracał do niej wzrokiem, zerkał co chwila, gdy włączała laptopa. W końcu odchrząknął i zajrzał do notatek.

- Zaczniemy od Draculi Brama Stokera. Skąd czerpał inspirację. Czy natchnęła go mroczna postać Vlada Nabijacza na Pal, jak sądzi większość? Legendy Rumunii? Węgier? Transylwanii? - Po każdym pytaniu robił efektowną pauzę. - A może szukał jej w innych potworach historii? W Elżbiecie Batory, która torturowała swoje służące, a potem kapała się w ich krwi, by zachować przemijającą młodość? Mit? Legenda? A może prawda?

Grotto wyjaśnił, jak będzie wyglądało zaliczenie, czego oczekuje. Kristi notowała, ale bardziej niż przedmiot interesował ją wykładowca.

Chodził po sali bezszelestnie jak kot, przykuwając uwagę studentów. Wysoki, szczupły, zdawał się ucieleśnieniem wampira.

Obrazy na ekranie zmieniały się, jedne śmieszne, inne okrutne. Kiedy pojawiła się czołówka z serialu Buffy - postrach wampirów, Grotto wyłączył rzutnik, zapalił światło i rozsunął zasłony. Posepna krypta stała się zwykłą salą wykładową.

- Dosyć cyrku - oznajmił, gdy rozległy się jęki zawodu. - Wiem, wiem, dobry show to świetna sprawa, ale tu odbywają się zajęcia uniwersyteckie. Mam nadzieję, że wszyscy sprawdzili program i wiedzą, że w ciągu tygodnia muszą przeczytać Draculę Bramy Stokera. W razie wątpliwości zapraszam po zajęciach. A więc zaczynamy... Co wiemy o wampirach? Czy naprawdę istnieją? Czy żywią się krwią? Czy umieją przemieniać się w inne stworzenia? Czy śpią w trumnach? Dzisiaj zobaczymy, co wiecie, czy raczej sądzicie, że wiecie, o wampirach. - Uśmiechnął się, ukazując lśniące kły, wyjął je i odłożył na stolik. - Jak powiedziałem, koniec z cyrkiem.

Grotto nie potrzebował cyrku, by zainteresować studentów. Zmieniał się z taką samą łatwością, jak mityczne potwory, które badał. W jednej chwili posepny i zamyślony, w następnej był dowcipny i ożywiony. Pisał szybko i zamazył na tablicy, zachęcał słuchaczy do wyrażania własnego zdania.

Kristi dostrzegła kilka znajomych twarzy: Hiram Callowaya - czy nigdy się od niego nie uwolni? - Trudie, przyjaciółkę Lucretii, i Mai Kwan, swoją sąsiadkę.



Świat jest taki mały, pomyślała i zaraz się poprawiła - nie świat, kampus. Przy niespełna trzech tysiącach studentów niektórzy muszą chodzić na te same zajęcia.

Drzwi uchyliły się znowu i do sali weszła Ariel. Grotto przerwał wykład i obrzucił ją gniewnym wzrokiem. Usiadła na pierwszym wolnym krześle. Miała taką minę, jakby chciała zapaść się pod ziemię. Kristi zrobiło się jej żal. Ariel podchwyciła jej spojrzenie, ale zajęła się podręcznikiem, gdy tylko profesor podjął przerwany wątek.

Dziwna dziewczyna, pomyślała Kristi. Sprawiała wrażenie typowej szarej myszki, która nie wyróżnia się z tłumu. Spojrzała na nią ponownie, ale Ariel ukryła twarz w książce.

Czy nadal płacze?

Dlaczego? Tęskni za domem, czy z innego powodu?

Ojciec Tony obiecał, że to załatwi, więc Kristi skupiła się na wykładzie.

Słuchała Grotto i jednocześnie analizowała jego wygląd. Wysoki, o gęstych brwiach, silnej szczęce i nosie, który wyglądał, jakby złamano go więcej niż raz. Jego oczy nie były ani czarne, ani czerwone, tylko piwne, usta wąskie, a ciało umięśnione, jakby dużo ćwiczył. Wyczuwała w nim arogancję, ale też swobodę i obycie. Przypomniała sobie słowa Lucretii. Intelktualista. Wykształcony. Żywy.

Żywy, czyli nie martwy? Nie, po prostu pełen życia czyli energiczny. Lucretia gorąco go broniła, mimo swoich podejrzeń. A do tego ten pierścionek...

Kristi obserwowała dłonie wykładowcy. Duże, silne, z żyłami widocznymi, gdy pisał na tablicy. Nie dostrzegła ani pierścionka, ani obrączki, ani jaśniejszego śladu sugerującego, że ją zdjął. Ezma mówiła, że Lucretia romansuje z wykładowcą. I że to wielka tajemnica.

Usiłowała sobie wyobrazić Grotto z Lucretią. Nie, to niemożliwe. Grotto był inteligentny, lecz emanował też zmysłowością, a Lucretia to typowa ku-jonka. Nie jest brzydka, tylko zacofana towarzysko, pogrążona w pseudointelektualnych pretensjach. Ale może właśnie ta wyniosłość go w niej pociąga?

Kristi przyglądała mu się uważnie.

Ezma miała rację, Grotto to ciacho. Czy coś go łączy z zaginionymi studentkami? Czy to on zainicjował sektę wampiryczną, która zwabiła Rylee?

Kiedy postanowiła wrócić do Baton Rouge, puszczała mimo uszu ostrzeżenia ojca, ale teraz powoli doszła do wniosku, że jego obawy nie były bezpodstawne.

Cztery dziewczyny przepadły bez śladu, nie wiadomo nawet, czy jeszcze żyją. Wszystkie chodziły na te zajęcia. Zbieg okoliczności? Wątpiła w to.

I postanowiła poznać prawdę.

Jay wyszedł spod prysznic i starannie wytarł się ręcznikiem. Miał za sobą tydzień zrywania tapet i zdzierania tynku ze ścian. Długie godziny pracy z dłutem i młotkiem zaowocowały bólem mięśni, ale dom zaczynał się zmieniać. Niemal skończył podstawowe prace, musi jeszcze tylko zdjąć stare linoleum i może zacząć właściwy remont. Włożył bokserki,

spodnie khaki i bawełnianą bluzę, wciągnął skarpetki i buty i zerknął na zegarek. Niecała godzina do pierwszych zajęć. Z Kristi Bentz. Nie słyszał, by ktokolwiek zrezygnował z kursu, więc pewnie ją zobaczy.

Przygotuj się, pomyślał i zaraz się skarcił za dziecinną reakcję. Teraz są dorośli. Co z tego, że chodzili ze sobą w szkole średniej? Później mieli też inne związki.

Zadzwoiła jego komórka. Zobaczył na wyświetlaczu numer Gayle. Czego, do cholery, chce, i to akurat teraz, kiedy on szykuje się na spotkanie z Kristi? Kusilo go, by nie odbierać, ale pomyślał, że może coś się stało i Gayle naprawdę go potrzebuje. Odebrał więc. Stary, poczciwy Jay.

- Cześć - rzucił.

- Cześć, Jay, co u ciebie? - zapytała miękko, głosem, który kiedyś tak go zafascynował.

Dorastała w Atlancie jako jedyna córka sędziego. Była dekoratorką wnętrz, zakochaną w antykach i architekturze Nowego Orleanu, i wydawała mu się mądra, piękna i dowcipna... dopóki nie związali się na poważnie. Wtedy dostrzegł jej zaborczość i wręcz obsesyjną dbałość o szczegóły. Ciągle zwracała mu uwagę, że jego krawat nie pasuje do koszuli i marynarki, a dzinsy są zbyt sprane, by uchodzić za modne. Ciekawe, co o nim mówi fakt, że zawsze wybiera kobiety uparte, mądre, energiczne, które niczego się nie boją? Znowu pomyślał o Kristi Bentz. To dopiero był charakterek! Tak, jeśli chodzi o kobiety, ma fatalny gust.

- Wszystko dobrze - odparł, nie bawiąc się w uprzejmości. - A co u ciebie?

- W porządku.

- To fajnie. - Już szykował się do wyjścia. Wziął kluczyki, portfel i przebiegł wzrokiem salonik, żeby się upewnić, że wszystko zabezpieczył.

- Ale szczerze mówiąc, chwilami czuję się samotna. Tęsknię za tobą. Poczul ucisk w żołądku.

- Wydawało mi się, że kogoś masz. To jakiś prawnik, tak? Manny?

Michael?

- Martin. Ale to nie to samo.

- Cóż, zawsze jest inaczej, czasem lepiej, czasem gorzej. - Po co, do cholery, prowadzi tę rozmowę?

Gayle chyba wyczuła, że posunęła się za daleko, bo zmieniła temat.

- Wiem, że dzisiaj masz pierwsze zajęcia, i chciałam ci życzyć powodzenia.

- Dzięki.

- Będzie świetnie!

Wiedziała, jak połechtąć męskie ego.

- Mam nadzieję.

- Studenci będą zafascynowani kryminalistyką.

- Tak sądzisz? - Zerknął na zegarek. Czas na niego. Gdzie, do cholery, podziała się smycz? Nie chciał zabierać Bruna luzem. Może jest w samochodzie?

- Tak, mój drogi, Słyszałam, jak o tym opowiadasz. Wiesz, zastanawiałam się właśnie...

Zaraz pozna prawdziwy powód jej telefonu.

- Wiem, że zwykle spędzasz weekendy w domu kuzynek w Baton Rouge, ale gdybyś wrócił do Nowego Orleanu, odezwij się. Chętnie wybrałabym się z tobą na wino czy kolację... oczywiście bez zobowiązań.

- Przykro mi, ale chyba nie dam rady w tym semestrze - odparł. - Będę bardzo zajęty.

- No tak, jak zawsze. I to mi się w tobie podoba.

Kolejna bujda. Lubiła mężczyzn, którym mogła rozkazywać. Od tego zaczęły się ich problemy. I na tym się skończyły.

- Słuchaj, Gayle, muszę lecieć. Trzymaj się.

Rozłączył się i gwizdnął na psa. Nie zamierzał wpaść ponownie w sidła Gayle Hall. Dostał nauczkę, a na pamiątkę została mu blizna nad brwiami.

Sprawdził, czy zamknął tylne drzwi, i włożył notatki do sfatygowanej aktówki, w której miał też próbki materiałów dowodowych, które pokaże studentom. Kryminalistyka stała się popularna, odkąd na antenie telewizyjnej' zagościł serial CSI, więc Jay uważał, że powinien pokazać studentom różnice między faktami a fikcją; to, co na ekranie zajmuje niecałą godzinę, w rzeczywistości może trwać wiele dni. Nawet programy dokumentalne przedstawiały zafałszowany obraz, bo tygodnie, ba! miesiące dochodzenia sprowadzały się do kilku słów prezentera, a rozwiązanie zjawiało się w ciągu godziny, minus reklamy. Takiej szybkiej akcji i reakcji oczekiwali widzowie.

Może to dobrze, że nie znają całej prawdy o pracy laboratoriów, które, jeśli wierzyć serialom, ustalają kod DNA z najmniejszej próbki tkanki. Wrzucają ją do probówki, a potem wystarczy jeden przycisk i

proszę bardzo, mamy DNA. W rzeczywistości trwało to miesiącami, do tego dochodził problem materiałów zniszczonych podczas huraganu. Stracono dowody, które mogły jednych obciążyć, innych - oczyścić z zarzutów. Robiło mu się słabo na samą myśl o tym.

Zamknął za sobą drzwi, gwizdnął na psa i z Brunem u boku podszedł do półciężarówki. Deszcz, który od rana zalewał ten skrawek Luizjany, wreszcie ustał. Zostawił po sobie mokrą ziemię i mgłę, która spowijała upiornie białe, bezlistne gałęzie cyprysów.

Idealny wieczór na wykład o morderstwie.

Vlad podciągnął się na rękach, wyskoczył z basenu i poczuł zimne krople na skórze. Podwodne lampy i ekran jego laptopa stanowiły jedyne źródła światła w kryjówce. Uwielbiał pocałunki chłodu na mokrym ciele, ale teraz nie miał czasu się nimi rozkoszować.

Ma mnóstwo do zrobienia.

Coś go gryzło. Usiłował to ignorować, miesiącami sobie powtarzał, że to bez znaczenia, ale z każdym dniem denerwował się bardziej i miał coraz większą ochotę, by naprawić głupią pomyłkę.

Liczył, że się uspokoi, gdy posiadzie ostatnią dziewczynę, ale tak się nie stało, przynajmniej nie do końca. Choć podniecały go jej ostateczne poddanie i śmierć, jednocześnie dręczyła go świadomość, że zblądził. Nawet teraz nerwowo obgryzał paznokcie i wypluwał do basenu. Od dziecka miał ten nawyk. Wtedy czekał na powrót ojca i bał się, że stary znowu zamknie go w wychodku.

Na samą myśl o tym zrobiło mu się niedobrze, więc odepchnął te wizje. Koniec końców, stary dostał za swoje, prawda?

Vlad uśmiechnął się na wspomnienie zakrwawionych wideł. Godzinami opowiadał, jak z przerażeniem znalazł ojca na podłodze szopy - pewnie spadł ze stryszku z sianem i nadział się na widły. Przyznawał, że niechcący zostawił je nie tam, gdzie powinien. A gdyby zęby nie trafiły w arterię, staruszek pewnie by przeżył. On jednak leżał na ziemi jak żółw na plecach, ze złamaną miednicą. Nikt nie słyszał jego krzyków, dopóki Vlad nie wrócił od kolegi i nie znalazł go w kałuży zakrzepłej krwi. Co za pech, że akurat w ten weekend jego matka pojechała z wizytą do siostry.

Ale śmierć starego nie załatwi obecnej sytuacji.

Vlad szczyił się, że dba o najmniejsze szczegóły, i świadomość, że popełnił błąd, nie dawała mu spokoju.

Minał basen, by znaleźć się w wąskim korytarzyku, gdzie do dzisiaj stały metalowe szafki, puste, jeśli nie liczyć tej, w której trzymał swoje skarby. Zręcznie otworzył zamek, spowity chłodem i zapachem chloru.

W środku czekały małe czarne haczyki. Te najwyższe, zarezerwowane dla wybranych, dla królowych, jak je nazywał, były podpisane imionami właścicielek. Zwisaly z nich złote łańcuszki z malutkimi fiolkami. Ostrożnie zdjął jeden z nich i podniósł fiolkę do światła, by napawać się widokiem ciemnoczerwonego płynu... Jak drogie wino, pomyślał. Delikatnie wyjął korek i podniósł do nosa. Wciągał słodki, metaliczny zapach krwi Monique. Zamknął oczy na wspomnienie jej waleczności. Do końca starała się nie ulec narkotykowi, ba! posunęła się nawet do tego, że plunęła mu w twarz.

Roześmiał się, zlizął jej ślinę i wtedy zobaczył jej strach. Naprawdę przeraziła ją nie jego siła, ale to, że rozkoszował się walką.

Widział to w jej źrenicach, nagle szeroko otwartych, wyczuł w falowaniu jej piersi, gdy ją pokonał i czekał, aż narkotyk w pełni zadziała. Widział, jak się szarpała na scenie, zanim całkowicie mu uległa.

Przewidywał, że będzie trudna, że ma walkę we krwi. I nie zawiódł się.

Nie chciała rozstać się z życiem.

Na myśl o Monique zwilżył wargi językiem. Cudownie było obserwować, jak wypływa z niej krew, jak jej skóra bieleje, oddech słabnie, serce bije coraz wolniej, aż przestaje, a on patrzył w jej martwe oczy...

Zadrzał na wspomnienie tamtej chwili, ale to za mało. Wspomnienia są zbyt ulotne.

Na szczęście już wkrótce zaspokoi żądzę krwi.

Zamknął buteleczkę, patrzył na nią przez chwilę i ponownie schował do szafki.

Puste haczyki zdawały się z niego drwić, zwłaszcza ten podpisany imieniem Tary Atwater. Powrócił stary gniew na myśl, jak ta mała suka chciała mu się sprzeciwić i ukryła skarb jemu przeznaczony. Nie zdołał niczego z niej wydusić, umarła szybko, jakby dobrowolnie, bez walki.

Ale gdy wypływały z niej ostatnie krople krwi, uśmiechnęła się leciutko, jakby to ona wygrała.

Zacisnął zęby, rozważając swój błąd.

Fiolka gdzieś jest. Musi ją tylko odnaleźć.

Już oczywiście próbował. Bez rezultatów.

Ale nie podda się.



Zatrzasnął drzwiczki. Dźwięk poniósł się echem. Ciągłe nagi, wrócił do sali z basenem i ruszył dalej, do swego gabinetu. Woda odbijała się w suficie, komputer mruczał cicho.

Fiolka jest prawdopodobnie w mieszkaniu Tary, gdzieś ukryta. Do tej pory trzymał się z dala od kawalerki, ze względu na wścibską gospodynię. Ale teraz ma dwa powody, by tam wrócić. Po pierwsze, był pewien, że w kawalerce jest fiolka z cenną krwią Tary, po drugie - teraz mieszkała tam Kristi Benz.

Wspaniale się składa.

## ***Rozdział 7***

---

Zajęcia Grotto są boskie, prawda? - zachwyciła się Mai. Obladowana koszem z praniem, spotkała Kristi na drugim piętrze, jakby na nią czekała i wypatrywała zza żaluzji w saloniku. - Widziałam, że się trochę spóźniłaś.

- Nie ty jedna - mruknęła Kristi. Usiłowała skontaktować się z wykładowcą, ale bezskutecznie. Nie udało jej się do niego dodzwonić.

- Ale było fajnie, nie uważasz? Ciemna sala, kotary, świece. I do tego te wizerunki wampirów! Niektóre były naprawdę straszne, aż przechodziły mnie dreszcze, a inne kiczowate. No wiesz, Bela Lugosi. Też coś. A wiesz, kiedy myślałam, że umrę? Kiedy Grotto wyjął te sztuczne kły.

- Nie sądzisz, że to już przesada? - Kristi szła do siebie na trzecie piętro. Miała mało czasu. Przejęła zmianę Ezmy w barze, od wpół do

pierwszej do szóstej, i teraz miała zaledwie trzy kwadranse do następnych zajęć.

- Moim zdaniem to było kreatywne i niekonwencjonalne, o wiele ciekawsze niż wykład staruszka w tweedowej marynarce ze skórzanymi łątami na łokciach, który nudziłby bez końca, a my ospale kartkowalibyśmy podręczniki sprzed dwudziestu lat.

- Tego się chyba nie spodziewałaś.

- Słuchaj, podoba mi się, że facet wprowadza trochę życia, czy raczej śmierci, na zajęcia! - Ożywiona Mai powędrowała za Kristi na górę i w ślad za nią weszła do mieszkania. Postawiła kosz z praniem na stole, jakby przyjaźniły się od lat.

Houdini, który opuszczał kryjówkę, tylko gdy myślał, że Kristi nie patrzy, błyskawicznie zeskoczył z parapetu i czmychnął pod tapczan.

- Milutki - mruknęła Mai. - Skąd go masz? Wydaje mi się, że zwierzaki są zakazane.

- To nie mój zwierzak, tylko przybłąda, którego nie mogę się pozbyć. Mai zerknęła w stronę kuchni. Na malutkim chodniczku stały miski z wodą i jedzeniem. Kristi kupiła je podczas ostatniej wizyty w supermarkecie, gdy poszła po kawę, mleko, masło orzechowe i chleb.

- Karmisz go. Pani Calloway się wścieknie.

- Więc niech sama go stąd zabierze. Nie mam nawet kuwety. Mai zmarszczyła zgrabny nosek.

- Więc jak?...

- Korzysta z toalety.

- Co? - Odwróciła się gwałtownie w stronę mikroskopijnej łazienki. Kristi tymczasem zdjęła kurtkę. Mai dostrzegła jej uśmiech. - Nabierasz mnie.

- Zostawiam uchylone okno i wymyka się na dach. Nie uwierzysz, jak wąska szpara mu wystarczy. Na razie nie było żadnej przykrej niespodzianki.

- Nie bardzo starasz się go pozbyć - zauważyła Mai. Kristi wzruszyła ramionami. - Wychodzi na dach?

- A potem chyba złązi po pniu magnolii.

- Nic nie powiem, ale jeśli pani Calloway go zobaczy, oberwiesz. - Mai rozglądała się po pokoju, jakby czegoś szukała albo chciała się go nauczyć na pamięć.

- Jeśli zobaczy Houdiniego, zajmę się tym - mruknęła Kristi.

- Houdiniego? - powtórzyła Mai. - Wybrałaś mu imię?

- Musi się jakoś nazywać.

- Jesteś pewna, że to samiec?

- Jeszcze nie pozwolił mi się na tyle zbliżyć.

Mai patrzyła na nią jak na wariatkę. Podeszła do stolika, który służył Kristi za biurko. Leżały na nim jej notatki na temat zaginionych dziewcząt. Nagle poczuła się nieswojo pod badawczym wzrokiem Mai.

- Studiujesz tu od dawna? - postanowiła zmienić temat.

- Przeniosłam się po pierwszym roku.

- Więc znasz sporo ludzi.

- No tak.

- Słyszałaś może coś o sekcie? O wyznawcach wampirów?

- Żartujesz sobie?

Palce Mai zatrzymały się na oparciu krzesła. Minęła dłuższa chwila i Kristi odniosła wrażenie, że dziewczyna się zastanawia. Nie dawała za wygraną.

- Czy to możliwe, że wszystkie zaginione zaangażowały się w jakiś tajny ruch?

- Wiesz coś? - zainteresowała się Mai.

- Ja nie, ale ty chyba tak - zaryzykowała Kristi. - Powiesz mi?

Mai zerknęła na zdjęcia zaginionych na biurku i podniosła fotografię Rylee Ames. Zagryzła wargi.

- Nie chcę wyjść na wariatkę.

- Powiedz. Odłożyła fotografię.

- Widzisz, wszyscy się teraz interesują wampiryzmem. Wejdź do sieci, a zobaczysz; ciągle jakieś spotkania i imprezy ludzi, którzy naprawdę uważają się za wampiry. To silny nurt kontrkultury. Niektórzy się wciągają dla zabawy i tandetnego dreszczyku emocji, ale inni angażują się w to na poważnie, sypiają w trumnach i piją krew, zdarza się, że ludzką.

- I na kampusie jest taka grupa? Poważna? Wzruszenie ramion.

- No, słyszałam różne plotki.

- Myślisz, że Grotto ma z tym coś wspólnego? Mai uciekła wzrokiem w inną stronę.

- Grotto? No co ty. Słuchaj, to wszystko odbywa się w wielkiej tajemnicy, a ten koleś uczy o wampirach i zwraca na siebie uwagę! Nie, jego zajęcia tylko podsycają zainteresowanie. Wiesz, co myślę?

Przynajmniej część jego słuchaczy należy do takiego ruchu, ale nie posunęłabym się aż tak daleko, żeby mówić o sekcie. To tylko garstka dzieciaków, które fascynują się wampiryzmem i szukają ludzi o podobnych zainteresowaniach.

- Może to ekstremiści - podsunęła Kristi. - Odłam, który posuwa się najdalej. Może to jest ta sekta.

- O ile w ogóle... Ludzie najczęściej przyklepiają etykiety zjawiskom, których nie rozumieją. - Mai znowu zerknęła na zdjęcia na biurku. - Po co ci one?

- Sama nie wiem. Jeszcze. Pomyślałam, że się trochę rozejrzę - odparła. Nie skłamała, przemilczała tylko, że chce napisać o nich książkę, bo przecież, jeśli się okaże, że naprawdę wyjechały, nie będzie o czym pisać. Jeżeli jednak popełniono przestępstwo, będzie miała świetny materiał na powieść opartą na faktach.

Była prawie pewna, że dziewczyny spotkało coś złego. Jest nadzieja, że znajdzie łączące je ogniwo, powód, dla którego zagięły akurat one, i wtedy przekaże to policji. Może przy odrobinie szczęścia znajdzie je żywe. W najgorszym razie postara się, by nie doszło do kolejnych zaginięć.

- Znałaś którąś z nich osobiście?

- Nie - odpowiedź padła błyskawicznie, jednak Mai ciągle stała przy biurku, wpatrzona w fotografie. Miała taką minę, jakby chciała powiedzieć coś jeszcze, ale zmieniła zdanie.

Kristi zerknęła na zegar nad kominkiem.

- Słuchaj, muszę lecieć. Mam zajęcia za kwadrans!

Mai odeszła od biurka i starała się otrząsnąć z przygnębienia, które ją ogarnęło. Podniosła kosz.

- A ja muszę się zająć tym... - Wskazała brudne ciuchy. - Bo inaczej nie skończę do północy. Nasza pralnia jest koszmarna. - Wzdrygnęła się. - W piwnicy nie sprzątało chyba od wojny secesyjnej, czy też, jak zwykli mawiać niektórzy Południowcy, północnej agresji. Widziałam tam miliony pajaków i obawiam się, że są też szczury i węże... Zawsze odkładam pranie na ostatnią chwilę.

Kristi ją rozumiała. Pralnia była ciemna i wilgotna, niski sufit niemal przytłaczał, betonowe ściany wyglądały, jakby z pęknięć ciągle sączyła się woda, w kątach wisiały pajęczyny. Odór pleśni i zgnilizny nie dawał się stłumić, wyczuwała go, nawet gdy używała wybielacza.

- Przeraza mnie to miejsce - mruknęła Mai. - A tak w ogóle chciałam ci powiedzieć, że przegapiłaś super imprezę.

- Następnym razem.

- Czyli za rok? - zdziwiła się Mai i jej wzrok znowu powędrował ku fotografiom na biurku. - Do tego czasu chyba dam sobie spokój z imprezami. Zabawa była świetna, ale ten bałagan później... O nie! - Podeszła do drzwi, oparła koszyk na biodrze, pomachała Kristi na pożegnanie i wyszła.

Kristi od razu pobiegła do łazienki. Szybki prysznic zmył z niej zapach tłuszczu, cebuli i ryb - pozostałość po pracy w restauracji. Wytarła się, upięła wilgotne włosy w luźny kok, włożyła czystą bieliznę, dzinsy i koszulkę i nie patrząc w lustro, musnęła usta błyszczkiem. Przy drzwiach

włożyła buty, porwała bluzę z wieszaka, wciągnęła ją przez głowę, wzięła plecak i wyszła z mieszkania kilka minut po Mai.

Szkoda, że nie przywiozła roweru, nowego, z piętnastoma przerzutkami. Kupiła go po huraganie, w którym straciła starą kolarzówkę. Dumiała o tym, biegnąc wąską uliczką i dalej przez kampus. Zmierzała do Knauss Hall - zwykle odbywały się tam zajęcia z nauk przyrodniczych, ale od pewnego czasu mieścił się tu również nowy wydział kryminalistyki.

Cały czas błagała los, by Jay McKnight nie był jej wykładowcą. Przecież zawiadomiliby ją prawda?

Otóż nie. Wybiera się przedmiot, a komputer albo sekretarz decyduje, do kogo trafiasz.

- Byle nie do Jaya - powiedziała na głos i zrobiło jej się głupio, jakby miała lat czternaście, a nie dwadzieścia siedem. Weź się w garść, Kristi. Dasz radę, choćby nie wiem co.

- O ile wiem, Baton Rouge to nie twoja jurysdykcja - zauważyła Olivia, wchodząc do pokoju gościnnego na piętrze.

Bentz trzymał laptopa na kolanach - nie było mu wygodnie, ale i tak większość pracy wykonywał na posterunku i pochylał się nad monitorem.

Zerknął przez ramię i zobaczył żonę stojącą w drzwiach z filiżanką herbaty. Choć na jej ustach błąkał się uśmiech, w oczach widział jedynie powagę. Miał wrażenie, że jej wzrok przenika do najdalszych zakamarków jego duszy.

- Skąd wiesz, czym się zajmuję?

- Mam dar, zapomniałeś?

Na chwilę tak. Kiedy ją poznał, myślał, że to zwykła wariatka. Przyszła na posterunek i zaczęła opowiadać, jak to widziała morderstwo w chwili popełniania. Uznał, że jest stuknięta. Nie mieściło mu się w głowie, że blondynka o niesfornych lokach i złotych oczach czyta w myślach mordercy, ale udowodniła mu, że się myli. Nadal robiło mu się słabo na myśl o tym, czego doświadczyła i co widziała.

- Tylko w jednej sprawie miałaś wizje - przypomniał jej. - Od tego czasu jesteś bezużyteczna.

- Och, to cios poniżej pasa - odparła z chichotem. - No dobra, nie czytam w twoich myślach, ale cię znam i wiem, o czym myślisz. - Weszła do pokoju i posadziła swój słodki tyłeczek na oparciu fotela, naprzeciwko łóżka przykrytego błękitną narzutą. - Martwisz się o Kristi.

- Nie trzeba być jasnowidzem, żeby to wiedzieć.

- Ale ty się martwisz w związku z zaginięciami tamtych dziewcząt, stąd moja uwaga, że Baton Rouge to nie twój rewir.

- A kogo obchodzą podziały, kiedy ludzie przepadają bez śladu?

- Jasne, ty na przykład byłbyś zachwycony, gdyby ktoś z drugiego końca stanu zaczął węszyć w twoich sprawach. Spójrzmy prawdzie w oczy, Bentz: nie lubisz, kiedy śledztwo przejmuje FBI, wkurzasz się, gdy musisz włączyć do sprawy niektórych kolegów. Ile razy narzekałeś na Brinkmana?

- Jest nieznośny.

- Tu akurat przyznam ci rację. - Poruszyła torebką z herbatą w filizance. Dotarł do niego zapach jaśminu, ale nie oderwał wzroku od monitora, na którym widniały fotografie czterech zaginionych.



- Brinkman chyba odejdzie z pracy.
- Czyżby? - Podniosła wzrok znad filiżanki.
- Z powodu huraganu.
- Przecież minęły już ponad dwa lata.
- Mieszkał nad rzeką i miał tam kilka mieszkań do wynajęcia.

Wszystko przepadło. Mieszkali tam też jego rodzice, ale przeżyli. - Pomiął, że ich koty nie. Ukryły się podczas huraganu i nie wyszły, gdy zjawili się ratownicy. Kilka tygodni później, kiedy woda opadła, Brinkman wrócił i zobaczył znak X na domu rodziców. Doczepiona karteczka informowała, że w środku są szczątki dwóch kotów. Musiał pozbyć się ciała i powiedzieć matce. Teraz jego rodzice mieszkali w Austin, a on poważnie myślał o wyjeździe.

- Przykre.

- No. Ale nic mnie nie powstrzyma przed zajmowaniem się tą sprawą w wolnym czasie. Zadzwoń do chłopaków w Baton Rouge.

- Bo oczywiście bez tego masz za mało roboty. - Wyjęła torebkę z filiżanki i cisnęła do kosza na śmieci.

- Powiedziałem, że robię to w wolnym czasie.

- Który powinieneś poświęcić rodzinie.

- Kristi to moja rodzina.

- Miałam na myśli siebie - mruknęła. Uśmiechnął się.

- Wiem.

Upiła łyk herbaty.

- Mogłabym włożyć seksowny komplecik i wtedy... - zawiesiła głos.

Bentz uniósł brew.

- Zainteresowany?

Wstał zza biurka.

- Jak zawsze. Ale nie potrzebujesz seksownej bielizny.

- Nie? - Podniosła na niego oczy znad filiżanki.

- To strata czasu. - Wyjął jej filiżankę z dłoni i odstawił na parapet. -

A teraz powiedz szczerze, droga pani Bentz, czy próba uwiedzenia mnie wynika z tego, że na mój widok tracisz głowę, czy może to twoje płodne dni?

- Jedno i drugie - odparła i poczuł się, jakby oblała go kubłem zimnej wody.

- Mówiłem ci... ja już chyba nie chcę więcej dzieci.

- Ja też ci mówiłam, potrzebuję dziecka.

Przytulił ją i zobaczył rozpacz w jej oczach. Dałby jej wszystko, ale to...

- Niełatwo jest być dzieckiem gliniarza.

- Żoną też nie, ale warto. Rick, proszę, nie martwmy się na zapas.

Jeśli jest nam pisane mieć dziecko, to będziemy je mieć, a jeśli nie... zobaczymy.

- To znaczy?

- To znaczy, że teraz nie będziemy o tym myśleć.

Przyciągnął ją do siebie i poczuł miękkie, uległe, ciepłe ciało. O ile wiedział, nigdy nie spłodził dziecka. Matka Kristi, Jennifer, zdradziła go i zaszła w ciążę. Miał ochotę odejść, gdy przyznała mu się w ósmym miesiącu, wystarczyło jednak, by raz spojrzął na Kristi tuż po jej narodzinach, i uznał dziecko. Nawet teraz, dwadzieścia siedem lat później,

pamiętał chwilę, w której przyszła na świat, bo ta chwila na zawsze zmieniła jego życie.

Od tego czasu nie zapłodnił ani Jennifer, ani żadnej innej kobiety, nie wiadomo, czy za sprawą skutecznej antykoncepcji czy po prostu szczęścia. Nigdy się nie badał, nigdy się nad tym nie zastanawiał, bo nigdy nie chciał mieć więcej dzieci, ale teraz Liwie się upiera, i to tuż przed jego pięćdziesiątką. Jeśli znowu zostanie ojcem, będzie dobiegał siedemdziesiątki, gdy jego dziecko skończy szkołę średnią. O ile oczywiście wcześniej nie zginie na służbie.

Czy to w porządku wobec dziecka?

Liwie wspięła się na palce i pocałowała go. Jej usta miały smak jaśminu, desperacji i, cholera, uległ jej jak zawsze.

Kristi przyspieszyła kroku.

Powietrze było gęste, ciężkie, nad ziemią unosiły się smugi mgły. Nie była sama. Po kampusie przemykali studenci, mijali ją na rowerach, deskorolkach i pieszo; rozgadane grupki, milczący samotnicy, wszyscy w drodze na zajęcia do budynków z czerwonej cegły, które składały się na College Wszystkich Świętych.

Dziwnie się czuła po powrocie.

Większość studentów była od niej młodsza prawie o dziesięć lat. Oczywiście ci ze studiów podyplomowych byli starsi, ale też było ich o wiele mniej, tak jak trzydziesto- i czterdziestolatków, którzy po latach wrócili na uczelnię. Choć na kampusie pełnym wiekowych budynków oplecionych dzikim winem pozornie nic się nie zmieniło, atmosfera była inna.

Koło biblioteki skręciła w prawo - Knauss Hall wznosił się niedaleko wiekowych rezydencji, będących obecnie domami poszczególnych bractw. Spojrzała na wąską, ocienioną drzewami uliczkę koło budynku z białymi kolumnami, który przypominał domy mieszkalne na plantacjach. Tu mieściło się bractwo Delta Gamma, do którego zgłosiła się poprzednio na prośbę ojca. Nie pasowała tam jednak, do dzisiaj nie wiedziała, co porabiają inne dziewczyny z Delta Gamma, i nic jej to nie obchodziło. Nigdy nie czuła więzi z bractwem. Rick Bentz nie ograniczył się do nalegań, by przystąpiła do stowarzyszenia, uparł się także, by chodziła na tae-kwon-do, a sam nauczył ją obchodzić się z bronią. Bractwo nie wypaliło, w ogóle się tym nie interesowała, ale w tae-kwon-do miała czarny pas i niezłe strzelała.

Zauważyła samochód, jadący bardzo wolno, jakby kierowca szukał czegoś. .. Przeszedł ją dreszcz. Zmrużyła oczy, ale nie widziała twarzy kierowcy.

Pewnie po prostu zabłądził i szuka właściwego adresu, tłumaczyła sobie, choć zaginięcia czterech studentek wzmogły jej podejrzliwość.

Chyba udziela ci się paranoja ojca!

Światła reflektorów dotarły do niej i samochód zwolnił jeszcze bardziej. Nocna mgła zasłaniała okna, nie pozwalała dojrzeć, kto siedzi za kierownicą. Mężczyzna? Kobieta? Czy ma pasażera?

Kościelne dzwony wybiły godzinę i uświadomiła sobie, jak jest późno.

- Cholera - mruknęła. Znowu się spóźni.

Ruszyła biegiem, zapominając o tajemniczym samochodzie i jego kierowcy. Pokonała ostatni zakręt i była o krok od właściwego budynku.

Słyszała, jak samochód przyspiesza i znowu zwalnia. Obejrzała się przez ramię, ale nadal nie widziała kierowcy. Szkoda, że jest za daleko, by odczytać numer rejestracyjny. Z tej odległości widziała tylko, że to ciemny sedan krajowej produkcji, pewnie Chevrolet, choć nie była pewna.

No i co z tego? Samochód, który wolno jedzie, też mi sprawa. Co cię obchodzi, czy to ford, Chevrolet czy pieprzone lamborghini?

Przestań.

Ma teraz ważniejszy problem: możliwe, że w sali wykładowej zastanie chłopaka, którego brutalnie rzuciła przed laty.

Z westchnieniem wbiegła po schodach i szarpnęła za klamkę w przeszklonych drzwiach.

Wyprzedził ją inny student - o dziwo, Hiram Calloway. Ogarnęło ją niemiłe wrażenie, że chłopak ją śledzi. Kiedy potrzebowała pomocy przy instalacji zamków, zapadł się pod ziemię, ale teraz jest wszędzie tam, gdzie ona. Miała przeczucie, że on także zapisał się na zajęcia profesor Monroe... Rany, czy faceci nie starają się mieć poniedziałkowych wieczorów wolnych, żeby oglądać sport w telewizji?

Niech wejdzie pierwszy, żeby mogła usiąść z dala od niego.

Na klatce schodowej unosił się zapach sosnowego płynu do czyszczenia i formaldehydu; przenikał korytarze o jasnozielonych ścianach, pociemniałych z wiekiem. Schody także miały swoje lata; poręcze lśniły, wypolerowane tysiącami dłoni.

Schody wiodły do sporego holu, z którego prowadziły liczne korytarze. Poczula się jak w króliczej norze, a nie na wydziale nauk ścisłych.

Skręciła za róg w długi korytarz. Na jego końcu były otwarte drzwi. Grupa studentów, w tym Hiram Calloway, właśnie wchodziła do środka.

Trzymając kciuki, żeby zajęć nie prowadził Jay, dołączyła do nich. Weszła jako jedna z ostatnich. I potwierdziły się jej najgorsze obawy.

Pośrodku sali bez okien, w świetle jarzeniówek, stał Jay McKnight. Za jego plecami wisiało kilka tablic ilustracyjnych przedstawiających ludzkie ciało.

Serce zamarło jej w piersi. To się nazywa fatalny koniec trudnego dnia. Spojrzała mu w oczy - nie uśmiechnął się, ale też nie odwrócił wzroku. Najgorsze, że los był dla niego łaskawy przez te wszystkie lata. Wysoki, szczupły, miał silnie zarysowaną szczękę i wąskie usta. Jasnobrązowe włosy były dłuższe, niż zapamiętała, i zwichrzone - albo ich nie uczesał, albo starał się nadać za modą. Brązowozłote oczy odnalazły jej wzrok i wydawało jej się, że dostrzegła drobne zmarszczki w ich kącikach. Miał małą bliznę nad brwią, ale poza tym wyglądał tak samo jak dawniej. A nawet lepiej, bo odrobinę przytył, miał ciemniejszy zarost i roztaczał aurę pewności siebie, co potęgowało jego atrakcyjność.

Oczywiście nic jej to nie obchodzi.

Zapomniała o nim, i to dawno.

Usiadła na pierwszym z brzegu wolnym krześle i dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że znalazła się koło Hiram Callowaya. Coraz lepiej, pomyślała z goryczą, ale zaraz się upomniała, że to nic takiego. Jest na

studiach, nie w podstawówce. Przecież nie musi tu siedzieć do końca kursu.

To tylko trzy miesiące, na litość boską. Trzydzieści parę godzin. Da radę! Chociaż patrząc na Jaya McKnighta, pierwszego mężczyznę, którego pokochała, nie była tego taka pewna.

## **Rozdział 8**

---

Nie , nie pozwoli, by go rozpraszała.

Oczywiście zauważył Kristi, ledwie weszła do sali. Co w tym dziwnego? Spodziewał się jej, widział jej nazwisko na liście.

Wydawała się wyższa, niż zapamiętał, pewnie za sprawą obcisłych džinsów, które podkreślały jej długie nogi, i butów na obcasach. Była bardzo zgrabna, miała kształtne ramiona, płaski brzuch, wąskie biodra i małe, ale jędrne piersi.

Nawet w zwykłych džinsach i bluzie przyciągała męskie spojrzenia. Nie porażała urodą modelki, ale była ładna i emanowała pewnością siebie.

Kierując się do tyłu sali, spojrzała na niego, ale jakimś cudem zdołał zachować spokój i nie zdradził się, że ją rozpoznał. Tymczasem grupa przyszłych ekspertów kryminalistyki zajmowała miejsca. Zapewne większość z nich sądzi, że jego praca jest równie fascynująca, jak serialowych ekspertów z CSI w tak modnych, tętniących życiem miastach, jak Las Vegas, Nowy Jork czy Miami, że w jego świecie seksowni, przystojni policjanci ramię w ramię z lekko zdziwaczalymi, lecz za to

genialnymi kryminologami wspólnie pokonują bandytów. Że na co dzień spotyka detektywów, którzy dopadną każdego złoczyńcę i poślą go za kratki. Uważał, że nie powinien całkowicie niszczyć tego wizerunku, ale zmącić go sporą dawką rzeczywistości.

- Pewnie zastanawiacie się, kim jestem - zaczął. Oparł się o biurko i patrzył, jak ostatni spóźnialscy wślizgują się do sali, która najlepsze czasy miała już dawno za sobą; zniszczona podłoga, odrapane ściany i denerwujące jarzeniówki pod sufitem sugerowały, że nie była remontowana od prezydentury Eisenhowera. - Nazywam się Jay McKnight i jestem policjantem z Nowego Orleanu. Skończyłem dwa fakultety, kryminologię i nauki ścisłe, na uniwersytecie w Alabamie. Pracuję także w laboratorium kryminalistycznym, które, jak się domyślacie, po Katrinie jest w opłakanym stanie. Huragan zniszczył naszą siedzibę, sprzęt wart pięć milionów dolarów i mnóstwo materiału dowodowego. Od tego czasu tułamy się po salkach udostępnianych w biurach szeryfa albo zlecamy badania firmom prywatnym, co bardzo spowalnia pracę. Wielu ludzi odchodzi z pracy, bo mają dość ślęczenia nad mikroskopem w prowizorycznym laboratorium w kontenerze.

Słuchali go z zapartym tchem. Nie odrywali od niego wzroku, przestali nawet żuć gumę.

- Ale sytuacja się zmienia. Na lepsze.. Co prawda nie mamy takich siedzib ani laboratoriów jak ci z serialu, ale mamy wreszcie własny kąt na uniwersytecie nowoorleańskim, w kampusie nad jeziorem.

Zerknął na Kristi. Jak pozostali, słuchała go uważnie. Na jej twarzy nie widział żadnych innych emocji oprócz zainteresowania. I dobrze.



- Zdaję sobie sprawę, że większość z was spodziewała się zobaczyć tu profesor Monroe, jednak z powodów osobistych, choroby w najbliższej rodzinie, wzięła urlop i jesteście skazani na mnie. Nie będę wykladał, lecz raczej moderował dyskusję na temat kryminologii i sztuki zbierania dowodów. Omówimy co to jest miejsce zbrodni i jak się je chroni, jak zbierać dowody i co z nimi potem robić. Zajmiemy się wszystkim, od analizy rozprysku krwi, poprzez badania broni palnej, entomologię i biologię. Porozmawiamy o ustalaniu przyczyn śmierci podczas sekcji zwłok.

Chłopak z kilkoma kolczykami w uszach i bandanie na głowie energicznie podniósł rękę.

- A jest nadzieja, że zobaczymy sekcję? W sali rozległy się pomruki i szepty.

- W tym semestrze niestety nie - odparł Jay.

- Szkoda, byłoby fajnie. - Bandana nie ustępował.

- Sam nie wiem; naprawdę byłoby fajnie? - odpowiedział Jay

pytaniem. Studenci reagowali różnie; jedni krzywili się z niesmakiem, inni entuzjastycznie kiwali głowami. - Jak już mówiłem, nie planowałem tego, zresztą jesteście dużą grupą. Podczas sekcji obowiązują pewne zasady i chociaż uważacie, że to fajna sprawa, patolog ma mało czasu, podobnie jak jego ludzie. Jednak żeby urozmaicić zajęcia, co tydzień omówimy konkretną sprawę, już rozwiązaną. Pokażę wam zebrany materiał dowodowy, wy dokonacie jego analizy, a później porównamy to z ustaleniami policji.

Nadal go słuchali. Wykład nie stanowił dla niego problemu, bo kochał swoją pracę. Odszukał wzrok Kristi. Nadal emanowała energią która przyciągnęła go do niej przed laty. Już wtedy, gdy jeszcze chodziła do liceum, a on zaczął studia i dorabiał u ojca, była bystra, wygadana, uparta i twarda, czasami lekkomyślna, ale nigdy nudna. Silna i odważna niemal do szaleństwa, Kristi Bentz miała w sobie coś, czego brakowało innym kobietom w jego życiu, nie wyłączając Gayle Hall.

A teraz siedzi z tyłu sali i wbija w niego te wielkie zielone oczy. Była bez makijażu, długie włosy spięta w koński ogon. Siedziała z rękami założonymi na piersi, jakby rzucała mu nieme wyzwanie: naucz mnie tego, czego jeszcze nie umiem.

Uciekł wzrokiem w przeciwny kraniec sali i skupił się na wysokim chudzielcu z rzadką bródką na pokrytej trądzikiem twarzy.

- Dzisiaj wieczorem wyślę wam pocztą elektroniczną program naszych zajęć. Mam dyżury w piątki, od trzynastej do osiemnastej. Wiem, to fatalna pora dla wszystkich, którzy chcą się wcześniej wyrwać na weekend, ale mój wydział zgodził się tylko na taki układ. Zresztą w każdej chwili możecie do mnie mailować, mój adres znajdziecie w rozkładzie materiału.

Nabrał powietrza.

- Zaczniemy od podstaw anatomii. Omówimy, w jaki sposób można pozbawić człowieka życia i co może zdradzić sekcja. Po przerwie zdefiniujemy miejsce zbrodni jako takie i omówimy zasady zabezpieczania materiału dowodowego. Postanowiłem, że naszą pierwszą sprawę przeanalizujemy w porządku ciało - miejsce zbrodni. Za tydzień

przyjmujemy porządek odwrotny, najczęściej, choć nie zawsze, stosowany w pracy kryminalistycznej. Ktoś wie dlaczego?

W górę gwałtownie wyskoczyła ręka i kiwała się energicznie.

Należała do drobniutkiej blondynki. Jay skinął głową.

- Słuchamy.

- Bo może się okazać, że ciało przeniesiono, a w tej sytuacji trzeba zabezpieczyć zarówno miejsce, w którym je znaleziono, jak i faktyczne miejsce zabójstwa.

- Tak jest - potwierdził Jay, a dziewczyna się rozpromieniła z dumy, że trafnie odpowiedziała na pytanie.

- Spójrzmy na to... - Podszedł do tablic, które wcześniej powiesił na ścianie. Jedna przedstawiała układ kostny, kolejna mięśniowy, następna organy wewnętrzne, a ostatnia zarys ludzkich zwłok i powiększone kopie notatek patologa. Wytłumaczył, że to materiały ze śledztwa w sprawie zabójstwa, do którego doszło przed ponad dziesięciu laty. Grasował wtedy po Nowym Orleanie seryjny morderca, który mówił o sobie Ojciec John. Ślady na szyi ofiary były jedyne w swoim rodzaju, bo Ojciec John dusił swoje ofiary różańcem. Stąd jego przydomek - Różańcowy Morderca.

Jay miał ze sobą nie tylko szkice koronera, ale i zdjęcia zwłok.

Chciał pokazać je później, żeby uświadomić studentom, w jakim stopniu kryminalistyka pomogła w ujęciu zabójcy. Sądził, że ta sprawa ich zainteresuje, bo mordercy nieobcy był kampus College'u Wszystkich Świętych. Oczywiście Kristi może podejść do tego bardziej emocjonalnie; jej ojciec pomógł zdemaskować mordercę. Zauważył, że się wyprostowała.

- Mamy morderstwo, zobaczmy, co dalej. Przyjrzyjcie się zdjęciom ciała i notatkom koronera. - Wziął z biurka stos dokumentów i podał najbliższemu siedzącemu. - Spójrzcie na zwłoki okiem patologa. Zaczniście od strony pierwszej, od jego notatek...

Dzisiaj, pomyślał Vlad, skulony na swojej grzędzie na drugim piętrze. Dzisiaj jest idealna noc na porwanie. Zerknął w górę i przez najwyższe gałęzie drzew dostrzegł wyraźny zarys księżyca wśród obłoków wolno płynących po niebie.

Nie może po prostu zabrać kolejnej ofiary, gdy wraca do domu po zajęciach. Nie może czaić się na tylnym siedzeniu jej samochodu ani skradać się za nią kiedy niczego nieświadoma zajmuje się swoimi sprawami. Nie, on musi postępować zgodnie z zasadami, upewnić się, że wszystko zostało dopięte na ostatni guzik. Może dzisiaj odbierze komuś życie, ale to nie będzie jedna z wybranych. Z tych, które dokładnie przeanalizował i które uważał za królewski dar. Wykształcone i zaszczycone wyborem. Musi zachować ostrożność. Są obserwowane. Ale pozostałe... Wśród nich może polować do woli, choć jak zawsze musi zachować ostrożność.

Gdy kościelne dzwony wybijały godzinę, poczuł, jak jego puls przyspiesza. Już czas.

Z budynków kampusu wylewał się strumień studentów. Szli w różne strony, śmiejąc się i rozmawiając, nieświadomi, że ich obserwuje i że ze swojej kryjówki mógłby, gdyby tylko chciał, powybijać ich jak kaczki - strzelbą, łukiem czy nawet procą. Jako dziecko strzelał z procy do ptaków, wiewiórek i nietoperzy. Miał wyostrzone zmysły wzroku i słuchu, nawet

węch mu się poprawił. Mógłby zabić dowolną ofiarę, i to nie sięgając po broń.

Ale nie zrobi tego.

To oznaczałoby złamanie zasad.

Dzisiaj nie zapoluje na kampusie Wszystkich Świętych.

Poczuł dreszcz na widok dziewczyn, których zdjęcia odłożył na bok.

Wiele z nich znał z imienia. Uśmiechnął się na myśl, że jest wśród nich kolejna wybrana. Zatarł dłonie, wyobrażając sobie, jak idą ku niemu, nieświadome, że same na siebie ściągnęły taki los. Kochanki własnej śmierci...

Już niedługo, pomyślał, gdy księżyc zniknął za chmurą. Najpierw poczuł jej zapach; odwrócił się i zobaczył Kristi Bentz. Szła szybko po asfaltowej drodze wzdłuż Knauss Hall. Śledziła... nie, goniła mężczyznę, który zmierzał w stronę parkingu na skraju kampusu.

Nawet z tej odległości go rozpoznał.

Nowy wykładowca.

No jasne. Z krzywym uśmiechem obserwował Jaya McKnighta, świeżo upieczonego wykładowcę w College'u Wszystkich Świętych.

Córka gliniarza pomachała mu i podbiegła z rozwianymi włosami.

Skryty w cieniu wieży czuł, jak rozpała się w nim krew.

Namiętność? Pożądanie? Gniew? Noc przenikała przez jego skórę, docierała do serca, przyspieszała puls. Serce waliło mu jak młotem, mięśnie się napięły. Wyobraził sobie, jak to będzie ją dotykać... poczuć, jak reaguje na jego dotyk, rozbierać ją powoli, aż stanie przed nim całkiem naga. Oczyma wyobraźni widział jej silne ciało, umięśnione, a jednak

kobiece... nogi, którymi go oplecie, gdy się nad nią pochyli, gorący oddech na jej piersiach, jego zęby na jej sutkach...

Zareagował błyskawicznie; czuł, jak nabrzmięwa mu członek.

Nie! Nie może się zagubić w marzeniach. Jeszcze nie. Najpierw musi się uratować. Bezszelestnie zamknął okno.

Powoli odsunął się od okna, zbiegł ze starych schodów i zdławił pożądanie.

Nie może się spieszyć.

Nie może działać pochopnie.

Musi trzymać się planu.

W najmniejszym szczególe.

Inaczej straci wszystko.

- Jay! Profesorze McKnight! - wołała Kristi, usiłując go dogonić.

Wyszła zaraz po zajęciach i ruszyła w stronę domu, ale doszła do wniosku, że muszą sobie wyjaśnić pewne sprawy, by oczyścić atmosferę. Zawróciła więc i zobaczyła, jak Jay zmierza w kierunku tylnego wyjścia. Dogoniła go dopiero na parkingu dla pracowników. W mdłym świetle latarni pakował książki i teczkę do wiekowej półciężarówki.

Odwrocił się przez ramię i zacisnął usta.

- Kristi Bentz.

- Cześć. - Zatrzymała się w pół kroku jakieś trzy metry od niego. -

Ja... bardzo się zdziwiłam, że prowadzisz zajęcia zamiast profesor Monroe....

- Wyobrażam sobie.

Oblała się rumieńcem.

- To głupia sytuacja. Wiem, że... z mojego powodu rozstaliśmy się w nie najlepszym stylu, i pomyślałam sobie...

- Dawne dzieje, Kris.

Zapomniała już, że tak ją nazywał. Tylko on skracał jej imię.

- Jasne. - Skinęła głową. - Ale kto by przypuszczał, że znajdziemy się na tej samej sali wykładowej, że będziesz moim wykładowcą, że... - Nagle prawda do niej dotarła. - Ty wiedziałeś. Musiałeś wiedzieć.

- Od kilku dni - przyznał i szerzej otworzył drzwi.

Z ciemnej kabiny dobiegło głośnie „hau” i na zewnątrz wyskoczył wielki pies. W świetle latami jego sierść lśniła jak polerowana miedź, a pod nią przeżyły się silne mięśnie.

Kristi cofnęła się o krok.

- To Bruno - przedstawił go Jay.

- Istny olbrzym.

- Nie, słodkie maleństwo. - Poglaskał wielki łeb. - Łagodny jak baranek, chyba że go wkurzysz.

- O nie.

Jay błysnął zębami w uśmiechu i poglaskał obwisłe uszy.

- Pospiesz się - mruknął do psa. - Rób, co trzeba. - Wskazał zarośla na skraju parkingu, obok rabatek kwiatowych.

Bruno posłusznie węszył przez chwilę, uniósł tylną łapę i popatrzył na pana wielkimi smutnymi ślepiami.

- Dobry piesek - pochwalił go Jay. Psisko chciało dać nura w zarośla, ale przywołał go do samochodu. - Później. Wsiadamy.

Bruno zerknął na Kristi i wskoczył na fotel dla pasażera.

- Właściwie dlaczego tu uczysz? - zapytała.

- Zmiana tempa. Po Katrinie policja jeszcze nie doszła do siebie, ale chyba coś o tym wiesz.

Skinęła głową. Pomyślała o ojcu, który pracuje całymi dniami, a jedyne, co dostaje w zamian, to frustracja i rozczarowania. Słyszała nawet, jak wspominał o emeryturze. Dziwne, bo Rick Bentz to policjant z powołania. Dopiero w pracy odżywał. Za to zaangażowanie i etykę zawodową zapłacił wysoką cenę - stracił żonę i pracę w Los Angeles. Kristi obawiała się, że koniec końców straci też życie. Ale ostatnio, po huraganie wszech czasów, był ciągle przepracowany i znużony.

- Nadarzyła się okazja, więc z niej skorzystałem.

- I tym sposobem trafiłam na twoje zajęcia.

- Na to wygląda - mruknął przeciągle i wtedy zdała sobie sprawę, że ta sytuacja, choć niezręczna, stanowi dla niego także źródło dobrej zabawy. Świetnie. Tylko tego jej brakowało.

- Cóż, chciałam się tylko upewnić, że nie żywisz do mnie urazy.

Wzruszył ramionami.

- Nie ma o co.

Poczuła się lekko urażona, ale puściła to mimo uszu.

- Więc możemy zachowywać się normalnie: ty jesteś wykładowcą, a ja studentką.

- Tak.

- W porządku. - Nadal czuła się nieswojo; miała wrażenie, że powinni sobie wyjaśnić milion spraw, ale po co rozgrzebywać stare emocje. Jeśli wierzyć jego słowom, nie będzie żadnych problemów.



- Podwieźć cię? - spytał.
- Och, nie... przejdę przez kampus. - Wskazała kciukiem kierunek.
- Jest późno - zauważył.
- Nic mi nie będzie, naprawdę.
- Wiesz, że kilka studentek zaginęło bez śladu?
- Tak, wiem, ale umiem o siebie zadbać. Tae-kwon-do, pamiętasz?

Uśmiechnął się szerzej, a Kristi przypomniała sobie inny wieczór, podobny do tego. Była wtedy w ostatniej klasie szkoły średniej. Siedzieli sami w mieszkaniu jej ojca. Popełniła zasadniczy błąd - poinformowała Jaya, że zna sztuki walki i położy na łopatki każdego, kto jej wejdzie w drogę. Wtedy także powiedziała, że umie o siebie zadbać.

Uśmiechnął się jak prawdziwy macho.

- Jasne.
- Naprawdę - zapewniła.

Upierała się, że pokona każdego. Jay zarzucił jej, że się przechwala, i z dyskusji zrobiła się kwestia honorowa. Jeszcze nie ustalili, jak ją rozwiążą, gdy ją zaatakował i zwałił z nóg, stosując technikę z zapasów. W ciągu sekundy znalazła się pod nim, przygwożdżona do podłogi.

Leżała na dywanie w salonie, ciężko dysząc, tak wściekła, że najchętniej plunęłaby mu w rozpromienioną twarz. Obserwowali się bacznie, czekając, kto pierwszy się poruszy, spięci i gotowi. Jay wiedział, że jeśli przesunie się choćby o milimetr, Kristi zdoła się wyslizgnąć; ona zaś właśnie na to liczyła.

- Poddajesz się? - zapytał.
- Nie.

- Na pewno?
- Na pewno.
- Położyłem cię na łopatkach.
- Chwilowo. Uśmiechnął się drwiąco.
- Nie odpuszczę.

Łypnęła na niego groźnie i na próżno starała się zignorować rozszalałe zmysły. Prawda była taka, że choć przygniatał ją swoim ciężarem, cały czas starała się omijać wzrokiem jego usta, tak blisko jej twarzy. Wyobrażała sobie, jakby to było kochać się z nim. Właśnie tu i teraz, kiedy są zdyszani i spoceni po zapasach. Widziała, jak pociemniały mu oczy, gdy po głowie chodziły mu pewnie te same myśli.

- No, Kris, przyznaj, że wygrałem - powiedział cicho.

- Chwilowo... - Zwilżyła usta językiem, gdy poczuła jego twardość między nogami. Jęknęła cicho i Jay stracił panowanie nad sobą. Pocałował ją. Mocno. Namiętnie. Cudownie.

Wtedy go ugryzła. Do krwi.

Syknął z bólu, przesunął się minimalnie i zaklął, gdy usiłowała się spod niego wymknąć i kopnąć.

Zastygła w bezruchu, kiedy usłyszała kroki na schodach.

- Złaź! - syknęła.

- Co?

Za drzwiami zabrzęczały klucze.

- To mój ojciec! Złaź!

Jay jednym płynnym ruchem zsunął się z niej i zerwał na równe nogi. Nie musiała mu mówić, co robić; przeskoczył kanapę, pokonał

przedpokój i zniknął w łazience, a ona pospiesznie poprawiła na sobie ubranie i usiadła w fotelu ojca. Zdążyła włączyć telewizor, zanim drzwi się otworzyły i ojciec wszedł do środka.

- Kristi? - zdziwił się na jej widok. Położył klucze, portfel i odznakę na stoliku w przedpokoju i wszedł do salonu, gdy nastawiała kanał sportowy. Jakby interesował ją golf! O rany!

- Cześć! - zawołała radośniej niż kiedykolwiek przedtem. Wiedziała, że jest czerwona na twarzy i ma rozczochrane włosy, udawała jednak, że wszystko jest w porządku, a jej ojciec, policjant, który zawsze wyczuwał, gdy ktoś kłamie, nie zauważył niczego podejrzanego.

- Co słyhać? - zapytał swobodnie.

Mniej więcej w tej chwili Jay spuścił wodę, umył ręce i wyszedł z łazienki. On też był czerwony na twarzy i miał ranę na dolnej wardze. Kristi najchętniej zapadłaby się pod ziemię.

- Dzień dobry. - Jay sięgnął po kurtkę, która leżała na oparciu kanapy. - Muszę lecieć, spieszę się do pracy.

- I dobrze. - Rick Bentz zmrużył oczy. - W moim domu obowiązuje pewna zasada. Wiem, jest staroświecka, ale łatwa do zapamiętania. Podczas mojej nieobecności nie wolno zapraszać tu chłopaków. - Łypnął groźnie najpierw na Jaya, potem na Kristi.

- Przepraszam, tylko ją odprowadzałem.

- I dlatego masz rozciętą wargę?

- Tak, Kristi panu wyjaśni. - Jay zerknął na nią z ukosa. - Dobranoc, Kristi. Do widzenia panu.

Wyszedł, a ona została i musiała wysłuchać przemowy ojca, który zapytał, czy ma ją zapisać do ginekologa i czy chce brać pigułki, czy woli prezerwatywy. Wyjaśniła, że tylko się przekomarzali z Jayem i ugryzła go, żeby odzyskać panowanie nad sytuacją. Wtedy ojciec wybuchł. Krzyczał, że chłopcy nie umieją nad sobą zapanować i że sama pcha się w kłopoty.

- Jasne, tato - syknęła wściekła. - Ale jeśli o to chodzi, na razie nie potrzebuję ani pigułek, ani prezerwatyw. A kiedy będę potrzebowała, sama się o to zatroszczę.

I tak zrobiła. Sześć miesięcy później.

A teraz nie chce, żeby Jay McKnight, chłopak, z którym straciła dziewictwo i którego rzuciła, odwiózł ją do domu. Kiedyś chłopak, dzisiaj mężczyzna i jej nauczyciel.

- Do zobaczenia za tydzień - powiedziała i odwróciła się na pięcie.

- Wolałbym jednak cię podwieźć. Uśmiechnęła się lekko.

- Naprawdę umiem o siebie zadbać - powtórzyła i ruszyła w stronę Wagner House.

- Jakby co, zadzwoń! - zawołał za nią i zaczął dyktować numer. Uniosła rękę, ale nie odwróciła się. Szła w stronę biblioteki. Stamtąd będzie miała bliżej do domu. Wbrew sobie zapamiętała numer Jaya.

Słyszała, jak silnik półciężarówki ożywa. Dobrze. Oczyszczyła atmosferę między nimi i dobrze się z tym czuje.

Po chwili półciężarówka wyjechała z parkingu. Kristi przyspieszyła kroku, idąc przez kampus. Wiatr bawił się jej włosami.

Alejkami przemykali nieliczni o tej porze studenci, latarnie rzucały chwiejne cienie, wiatr szarpał gałęziami. Deszcz ustał, ale powietrze

przesycał ciężki zapach mokrej ziemi, na wilgotnej trawie krople wody mieniły się w świetle księżyca.

Kristi zmierzała na drugi koniec kampusu, do bramy koło jej domu. Minęła Wagner House i zobaczyła jakiś ruch... coś dziwnego. Natychmiast włączył się jej wewnętrzny alarm. Otworzyła torebkę w poszukiwaniu spreju pieprzowego.

Nie wariuj, skarciła się w duchu, to pewnie tylko pies.

Ale czuła, jak oblewa ją zimny pot. Nie chodzi o to, co widzi, raczej o to, czego nie dostrzega. Szła szybko, ze sprejem w rękę. Starła się być czujna i obserwować otoczenie. Znała sztukę samoobrony, więc wiedziała, że da sobie radę.

Ale nie ma sensu niepotrzebnie ryzykować.

Przypomniała sobie uczucie, jakie ją ogarnęło na widok samochodu przejeżdżającego ulicą przed zajęciami; uczucie, które często jej tu towarzyszyło - że jest obserwowana przez niewidzialne oczy.

Przeczesła wzrokiem gęste zarośla. W jej stronę szedł człowiek w ciemnym kapturze. Znieruchomiała, spięta, wyczulona.

A potem zdała sobie sprawę, że to kobieta. Niska i drobna.

Gdy się mijaly, dostrzegła twarz w cieniu kaptura i rozpoznała Ariel, która na jej widok cofnęła się o krok.

Ariel spojrzała na nią i w tym momencie z jej twarzy zniknęły wszelkie kolory, stała się szara jak popiół. Czy to sprawa oświetlenia? Srebrzystej księżycowej poświaty? Blasku latarni spowitych mgłą?

- Ariel? - zawołała Kristi, odwracając się, ale dziewczyna skrzyła w boczną uliczkę i po chwili zniknęła w mroku.

Ta twarz bez koloru... zupełnie jak ojciec w jej wizjach. Kristi przeszedł lodowaty dreszcz.

Wyczuwała, że Ariel jest skazana na śmierć.

## **Rozdział 9**

---

Idiota - mruknął Jay pod nosem. Najchętniej sam porządnie skopałby sobie to i owo. Jechał pustymi uliczkami kampusu. Bruno szczechnął cicho. Przyciskał pysk do wąskiej szpary w oknie i wdychał zapachy nocy.

Jay włączył radio w nadziei, że muzyka pozwoli mu zapomnieć o Kristi. Ale piosenka o zemście na byłej ukochanej sprawiła, że tylko mocniej zacisnął dłonie na kierownicy.

- Cholerny idiota. - Podczas zajęć panował nad sobą udało mu się to także później, gdy go dogoniła, żeby raz na zawsze ustalili pewne zasady. Ale to skończyło się źle. Przynajmniej dla niego. Bo choć uparta i szalona, nadal była cholernie pociągająca.

To choroba... Śmierć jego duszy.

- Cholerny idiota - powtórzył i zmienił stację na lokalną. Doktor Sam, radiowa pani psycholog, udzielała porad zakochanym bez wzajemności. Pewnie zimą wielu ludziom doskwiera samotność. Wyłączył radio i uruchomił wycieraczki, żeby pozbyć się z przedniej szyby drobnych kropli. Nie padało, ale gęsta mgła utrudniała widoczność. Może powinien być bardziej stanowczo zaproponować Kristi, że odwiezie ją do domu?

Niby jak? Musiałbyś ją związać. Zaproponowałeś, odmówiła. Nie chciała. Koniec, kropka.

- Chyba że zaginie bez śladu - powiedział na głos. Zatrzymał się, gdy światło z żółtego zmieniło się na czerwone. Opustoszałą uliczką przemknęło kilku chłopaków na deskorolkach. Koła chrzęściły na asfalcie. Śmiali się, jeden rozmawiał przez komórkę. Kierowali się do sklepu nocnego, który kusił neonami i straszył kratami w oknach. Zanim ponownie zmieniło się światło, przez skrzyżowanie przejechało kilka samochodów.

Jay właśnie ruszał, gdy na jezdnię wyskoczył bury kot.

- Cholera!

Bruno jak szalony drapał w deskę rozdzielczą.

- Spokój! - polecił Jay i przejechał skrzyżowanie.

Bruno odwrócił się i łypał wściekle przez boczną szybę w stronę, gdzie zniknął kot. Ciągłe warczał.

- Daruj sobie - poradził Jay. - Już go nie zobaczysz.

Pies wyraźnie nie miał na to ochoty, ale po kolejnym poleceniu szczechnął krótko i ułożył się na siedzeniu.

- Dobry piesek - mruknął Jay. Wtedy znowu coś zobaczył i z całej siły nacisnął na hamulec. - Jezu!

Półciężarówka wpadła w poślizg, opony piszczały przeraźliwie. Bruno prawie wpadł na deskę rozdzielczą, gdy samochód w ostatniej chwili minął mężczyznę w sutannie. Ksiądz uskoczył w bok i zerknął na półciężarówkę. W jego zamglonych okularach odbijały się reflektory. Na

bladej twarzy malował się strach, wręcz panika. Biegł dalej, aż wiatr wydymał sutannę.

- Wariat! - wrzasnął Jay. Czuł, jak adrenalina pulsuje mu w żyłach. Mało brakowało, a potraciłby człowieka! A ksiądz się nawet nie zatrzymał. Odbiegi między drzewa parku na skraju kampusu.

Co tu się dzieje, do diabła? Ojczulek wyglądał, jakby zobaczył ducha, i chyba nie chciał, żeby jego widziano.

Jay odetchnął, ale ciągle był spięty, i nerwowo zaciskał dłonie na kierownicy. W ciągu zaledwie trzech minut niemal przejechał kota i człowieka.

Ksiądz wydawał się znajomy. Było wprawdzie ciemno, ale Jay miał wrażenie, że już go widział. I to tutaj, w Baton Rouge. Nie dlatego, że co niedziela grzecznie chodził na mszę... nie, to musiało być na kampusie, przy okazji jakiejś uroczystości.

Pokręcił głową i nacisnął pedał gazu, uważnie obserwując drogę.

- Do trzech razy sztuka - mruknął. Mijały go nieliczne samochody, ale nikt go nie śledził, gdy skręcał w cichą uliczkę prowadzącą do domu kuzynek.

Zerknął w lusterko wsteczne, sam nie wiedział dlaczego.

- Lepiej skoncentruj się na jezdni, stary.

Nadal usiłował sobie przypomnieć, skąd zna księdza. To nie Anthony Mediera, ale też ktoś stąd. Kto? I kiedy go widział? Wjeżdżając na podjazd domku ciotki Colleen, zastanawiał się, przed czym kapłan tak uciekał.

Mathias Glanzer!



Tak, to ojciec Mathias, związany z uczelnią. No nieźle, pomyślał. I co teraz?

Zaparkował, schował kluczyki do kieszeni i ruszył do domku. Z Bninem u boku wszedł do kuchni. Starannie omijając wzrokiem zerwane tapety i zdewastowane szafki, sięgnął do lodówki po piwo. Pies głośno chleptał wodę z miski. Jay skierował się do różowego gabinetu na końcu korytarza. Bruno podreptał za nim. Woda kapiała mu z pyska.

- Muszę go odmalować - poinformował psa Jay, gdy ten skulił się na posłaniu w rogu pokoju, gdzie kiedyś stało łóżko Janice... a może Leah? Ścianę nad łóżkiem ozdabiały plakaty z idolami kuzynki: David Bowie, Bruce Springsteen, Rick Springfield i Michael Jackson.

Usiadł przy biurku, otworzył laptopa, zalogował się do sieci, odnalazł stronę college'u i szukał wśród wykładowców, aż znalazł fotografię ojca Mathiasa Glanzera, szefa wydziału teatralnego.

Zdjął kapsel z butelki i upił spory łyk piwa. Ze zdjęcia patrzył na niego mężczyzna z niemal anielskim uśmiechem. Był w białym ornacie wyszywanym złotem, a dłonie złożył jak do modlitwy. Błękitne oczy spoglądały prosto w obiektyw. Miał wyraźnie zarysowany podbródek, pełne usta, wąski nos. Patrząc na zdjęcie, odnosiło się wrażenie, że to człowiek, który znalazł wewnętrzny spokój i głęboką wiarę.

Zupełnie inne wrażenie odniósł Jay wcześniej tego wieczora, gdy ksiądz uciekał, jakby ścigał go sam diabeł.

Dlaczego?

Jay pokręcił głową. Miał za sobą ciężki dzień, a jutro musiał wstać skoro świt i jechać do Nowego Orleanu. Odsunął myśli o księdzu,

otworzył zakładkę z adresami elektronicznymi swoich studentów i wysłał im rozkład zajęć. Na widok nazwiska Kristi Bentz zmarszczył brwi.

Co za pech.

Skrzywił się. Może Gayle nie myliła się, twierdząc, że nigdy do końca nie wyleczył się z pierwszej szkolnej miłości. Do tej pory jej zarzuty wydawały mu się idiotyczne, uważał je za wymysły dyktowane zazdrością.

Ale... gdy tylko zobaczył Kristi, zrozumiał, że nadal o niej myśli. Nie chciał do niej wrócić, o nie, jednak było w niej coś, co podsuwało mu szalone pomysły i kazało przywoływać dawno zapomniane chwile.

Odetchnął głęboko.

Jedyne wyjście - jedyne rozsądne wyjście - to trzymać się od niej z daleka.

Czy nie dość, że wydaje jej się, że przewidziała śmierć własnego ojca? Musi jeszcze nieść radosną nowinę innym?

Kristi otworzyła drzwi i weszła do mieszkania.

Do mieszkania, które nie tak dawno zajmowała Tara Atwater, jedna z zaginionych studentek.

Przestań. Kawalerka nie ma nic wspólnego z jej zaginięciem. Znikła na tej uczelni, ale to cię nie powstrzymało przed wyborem College'u Wszystkich Świętych. I nie zrezygnowałabyś z mieszkania, prawda?

- Za żadne skarby - powiedziała na głos i poczuła mimowolny dreszcz. Ponownie sprawdziła zasuwę w drzwiach. Tymczasem Houdini, który chyba czekał na dachu, wślizgnął się do domu, przebiegł po kuchennym blacie i zniknął.

- Moja macocha dostałaby zawału, gdyby widziała, jak skaczesz po szafkach - poinformowała go. Kot przyglądał się jej uważnie. Nadal nie pozwalał się do siebie zbliżyć, ale chyba nabierał coraz większej ochoty na nawiązanie kontaktu.

Nasypała mu karmy do miseczki, wrzuciła popcorn do mikrofalówki i przez następne pół godziny segregowała dokumenty na biurku. Porządkowała nie tylko notatki wykładów, ale i materiały do książki o zaginionych dziewczynach, którą zamierzała napisać, jeśli się okaże, że spotkało je coś złego.

Rozejrzała się po ciasnym mieszkanku zajmowanym kiedyś przez Tarę Atwater. Czy jak Kristi spała na kanapie? Czy zauważyła, że w szafie śmierdzi kulkami na mole? Narzekała na słabe ciśnienie wody? Robiła sobie popcorn w tej samej mikrofalówce? I miała nieprzyjemne wrażenie, że ktoś ją obserwuje?

Kristi podłączyła laptopa do drukarki, weszła do Internetu i wyszukała wszystkie teksty o zaginionych. Znalazła ich profile na MySpace i przeczytała je dokładnie w nadziei, że znajdzie jakąś wzmiankę o sekcie wampirycznej. I chyba znalazła - w opisie ich zainteresowań były pewne aluzje - ale postanowiła, że później się tym zajmie. Dzisiaj zbiera informacje, analizować będzie je potem.

Prawie nie tknęła prażonej kukurydzy, do tego stopnia pochłonęło ją wyszukiwanie forów poświęconych wampiryzmowi, okultyzmowi i zjawiskom paranormalnym, i sprawdzanie, czy w jakiś sposób łączą się z College'em Wszystkich Świętych. Wiele stron i serwisów stworzono z myślą o ludziach powierzchownie zainteresowanych tą tematyką, ale były

i takie, których autorzy wydawali się naprawdę wierzyć, że demony egzystują wśród ludzi.

- Straszne - mruknęła do kota, który skradał się do miski. Słyszając jej głos, schował się pod kanapą. - Naprawdę straszne. - Lucretia chyba wie więcej, niż daje po sobie poznać. - Może powinniśmy zaopatrzyć się w czosnek i srebrne kule... - Nie, srebrne kule są na wilkołaki!

Houdini zastygł w bezruchu, a potem rzucił się do okna i znikł.

- Powiedziałam coś nie tak? - zdziwiła się Kristi, podeszła do kuchenki i przeciągnęła się.

Wyjrzała w ciemność na teren kampusu. Między chmurami migwały nieliczne gwiazdy, ledwo widoczne na tle łuny światła bijącej od miasta. Po raz kolejny ogarnęło ją niemiłe wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Zimny, wyrachowany wzrok. Opuściła żaluzje, zostawiła tylko szparę dla kota, gdyby raczył się zjawić.

Wracając do komputera, zastanawiała się, czy Tara Atwater też doznawała dziwnego wrażenia, że ktoś z ciemności śledzi każdy jej krok.

Już czas.

Musi się pozbyć ciała.

Gdy Kristi Bentz opuściła żaluzje, Vlad zerknął na zegarek. Parę minut po pierwszej. Doskonała pora. Obserwował ją od dwóch godzin i zaczynał żałować, że nie ona będzie następną. Mignęły mu jej piersi, gdy zdjęła sweter i rozpięła stanik. Lustro nad kominkiem wisiało pod takim kątem, że gdy nie domknęła drzwi łazienki, widział kabinę prysznicową, umywalkę, nawet kawałek sedesu. Z tego samego miejsca obserwował Tarę, kiedy starannie nakładała makijaż albo przekrzywiała głowę,

zapinając kolczyki. Wstrzymywał oddech, ilekroć unosiła ramiona. Nie zdawała sobie sprawy, że unosi wtedy również piersi, dając mu doskonały widok na pełne, jędrne półkule z fiolką między nimi. Gdzie ona ją ukryła, do cholery?

„Nigdy jej nie znajdziesz”. Wydawało mu się, że jej głos wciąż drwi z niego z tamtego świata. Jej dźwięczny śmiech wypełnił mu uszy.

Zacisnął pięści, aż zbielała skóra na kłykciach.

- A właśnie że znajdę - mruknął, ale zdał sobie sprawę, że rozmawia z duchem.

Zacisnął zęby i wrócił na ziemię. Nie może tu sterczeć w nieskończoność, wspominając Tarę. Nie ma też czasu fantazjować o Kristi i wyobrażać sobie, jak wygląda, gdy wychodzi naga spod prysznic. Jeszcze mocniej zacisnął zęby i zdusił pragnienie, które zawsze czaiło się gdzieś pod skórą. Zdawał sobie sprawę, że żądza to tylko jeden element jego życia, a dziewczęta, które tak ochoczo składał w ofierze, to tylko środek do celu.

Zbiegł na dół i wyszedł tylnymi drzwiami. Bezszelestnie przemykał się uliczkami i alejkami. Za każdym razem szedł inną drogą, nie pozwalał sobie na luksus rutyny, nie chciał, by widziano go w tym samym miejscu.

Otworzył drzwi do swojej kryjówki i wszedł. Wiedział, że chłód wody w basenie przyniosłby mu ukojenie, ale nie miał na to czasu. Zbyt długo obserwował Kristi Bentz, starając się odgadnąć, co robi przy biurku. Nie sądził, by tak pilnie przygotowywała się do zajęć.

Ubrany na czarno, zajął się makijażem; pokrył twarz brązowym pudrem, założył ciemną perukę i na wszelki wypadek, nylonową pończochę.

Otworzył ciężkie drzwi, pchnął je ostrożnie i poczuł na skórze zimny powiew, pocałunek mrozu. Zapalił światło. Pojedyncza żarówka wydobyła z mroku grube sople zastygłe przy ścianach chłodni. Światło, które odbijało się w otwartych oczach martwych kobiet wiszących na hakach na mięso, sprawiało, że wydawały się żywe, choć białe jak śnieg, o twarzach wykrzywionych w grymasie przerażenia.

Nie chciał się z nimi rozstawać.

Lubił je odwiedzać po sesji w basenie.

Przechadzał się wtedy między zimnymi ciałami, ocierał o nie, aż ogarniało go podniecenie i krew zaczynała wrzeć w żyłach. Nie studziło jej arktyczne powietrze i gładkie, zimne ciała tych, które zapoczątkowały listę. A ta w przyszłości znacznie się wydłuży...

Zwilżył językiem popękane usta, pochylił się i objął wargami sutek Dionne, ciemniejszy niż pozostałe.

- Będzie mi ciebie brakowało - szepnął. W miarę jak ssał, czuł, jak jego członek nabrzmiwa. Złapał ją za pośladki i przypomniał sobie, ile mu dała rozkoszy...

- W następnym życiu, kochanie - obiecał i zajął się Rylee. Cudowną, oporną Rylee. Nie poświęcił jej wystarczająco dużo czasu. Jej piękne lodowate ciało kusilo, namawiało, by je zostawił i jeszcze się z nią zabawił, ale wiedział, że bezpieczniej będzie zabrać także ją.

Pocałował wykrzywione usta i zajrzał w martwe oczy. Z uśmiechem podziwiał piękną szyję, plecy wygięte w łuk, lodowate kosmyki opadające na ramiona. Przypomnił sobie smak jej krwi. Była słona. Ciepła. Kojąca.

Tak, trudno będzie się z nią rozstać.

Ale będą inne... wiele innych.

Uśmiechnął się w ciemności, gdy wyobraził sobie ich twarze.

Kristi nie mogła zasnąć. Zegarek przy łóżku wskazywał pierwszą, a w jej głowie ciągle wirowały wydarzenia ostatnich dni. Stawały jej przed oczyma twarze zaginionych, przypominała sobie rozmowy telefoniczne, które przeprowadzała między zajęciami, i spotkania ze znajomymi dziewczętami.

- Zawsze wiedziałam, że nic dobrego z niej nie wyrośnie. Zła krew, po ojcu - powiedziała matka Tary Atwater. - On teraz siedzi za napad z bronią w ręku. Co myślę? Że uciekła z chłopakiem, a ja będę musiała spłacić jej kredyt na studia. Zobaczysz. A mam na utrzymaniu jeszcze dwójkę i...

Matka Monique nie była lepsza; wściekła, że córka wyjechała na studia i zostawiła ją z mężem chorym na alzheimera.

- Nie mogła sobie z tym poradzić... z niczym nie mogła. Co za dziewczyna. ...

Brat Dionne uważał, że jego siostra to tania dziwka, Elijah Richards, były chłopak, bez słowa odłożył słuchawkę, a obecny, Tyshawn Jones, także przepadł bez śladu. Koledzy z pizzerii twierdzili, że wcale jej nie znali, bo była bardzo skryta.

Rodzice Rylee cały czas obwiniali się wzajemnie o „kolejny wybryk córki”; bardziej niż prawda interesowało ich obrzucanie się błotem.

Kristi odrzuciła kołdrę, płosząc Houdiniego, który zdobył się na odwagę i podszedł do łóżka, gdy spała.

- Przepraszam - mruknęła, kiedy kot zniknął w ulubionej kryjówce. Boso poszła do kuchni, odgarnęła włosy z twarzy i napiła się wody z kranu.

Ile razy to samo robiła Tara?

Zakręciła wodę, wytarła usta w rękaw za dużej bluzy, która służyła jej za piżamę, i oparta o kuchenny blat patrzyła na mieszkanie swoje i ducha Tary Atwater. Obrotowy fotel stanowił część wyposażenia. Pewnie Tara siedziała na nim, przygotowując się do zajęć.

Słuchała, jak zegar odmierza sekundy, jak buczy lodówka, jak jej serce równo bije. Czuła się, jakby odtwarzała życie Tary, szła jej śladem, stawiała się dziewczyną która pewnego dnia wyszła z zajęć i nigdy nie wróciła.

To bez sensu.

Tara nie miała samochodu, ale miała kartę kredytową, komputer, profil na MySpace i komórkę. I z niczego nie skorzystała, odkąd przepadła. Ostatnią osobą, która ją widziała, była Natalie Croft, dziekan wydziału literatury angielskiej. Kristi jeszcze nie udało się z nią porozmawiać.

Skupiła się na Rylee. Ją widziała jako ostatnia Lucretia Stevens, ale nie powiedziała tego Kristi.

- Coraz lepiej - poinformowała Houdiniego.



Kot czaił się w kącie, nie spuszczać z niej wielkich oczu. Przymknęła powieki i zaczęła masować sobie kark. Po chwili jednak zrozumiała, że i tak nie zaśnie. Włączyła więc komputer i weszła do Internetu. Już wcześniej znalazła kilka stron poświęconych wampirom.

Może dzisiaj los się do niej uśmiechnie. Pogada z osobnikami o nickach KochamKrew, Kly777, WAMPI. Na razie nie znalazła żadnych informacji o sekcje, nikt też się nie przyznał, że wie coś o zaginionych dziewczynach.

Albo wszyscy trzymają język za zębami, albo nie mają o niczym pojęcia. Stawiała na to drugie, ale i tak podtrzymywała rozmowę. Weszła też na profile dziewcząt na MySpace. Oglądała ich znajomych, szukając tropu, który przedtem uszedł jej uwadze.

Na pewno coś znajdzie.

Przecież ludzie nie znikają ot tak.

Nawet jeśli wierzą w wampiry.

Missisipi toczyła swe wody powoli, majestatycznie. Spoglądał na leniwy nurt z nabrzeża na południe od Nowego Orleanu. Hiszpański mech zwieszał się z konarów dębów rosnących wzdłuż grobli.

Vlad wziął głęboki oddech, aż poczuł zapach wilgotnej ziemi i słodkiej wody.

Choć był tu sam, i tak czuł się za bardzo widoczny. Jeśli ciała wypłyną na powierzchnię i ktoś je znajdzie, sprawy się skomplikują, a on ma jeszcze tyle do zrobienia.

Dla niej.

Zawsze dla niej.

Zamknął oczy na myśl o niej.

Idealna.

Piękna.

Kobieta, która bardziej niż inne rozpała w nim ogień. Nie mógł się doczekać, kiedy znowu ją zobaczy... Obserwował ją z daleka, dostawał wzdrowu na samą myśl o jej ciepłym ciele i krwi... zawsze o krwi.

Rozmyślił się - nie wrzuci ich tutaj. Zszedł z grobli między drzewa, do furgonetki. Wsiadł, zawrócił i ruszył wąską drogą wijącą się przez rozlewisko.

Ciszę zakłócały tylko świerszcze i żaby. Co jakiś czas docierał do niego cichy plusk - to aligator wślizgiwał się do wody.

Zaparkował przy na wpół rozwalonej chacie. Obszedł wóz, włożył rybackie buty do bioder, górniczy hełm z lampką i rękawice. Wyjął ciała z wozu. Owinięte plastikiem i obciążone kamieniami, ważyły chyba tonę, gdy niósł je na ramieniu wąską ścieżką wydeptaną przez jelenie. Rozpakował pierwszą i przez chwilę spoglądał na jej nagie ciało. Dionne patrzyła na niego niewidzącym wzrokiem. Ciemna skóra nabrała błękitnawego odcienia, kryształki lodu we włosach powoli topniały.

Nie chciał pozbywać się wszystkich naraz - w ten sposób tylko ułatwiłby sprawę potencjalnemu znalazcy - ale miał coraz mniej czasu. Za długo zwlekał z tą częścią zadania. Najchętniej zatrzymałby je przy sobie na zawsze, choć oczywiście nie mógł.

- Wieczne odpoczywanie - szepnął i zepchnął Dionne do wody. Kiedy zniknęła pod powierzchnią, zawrócił do auta.

Wyjął Tarę. Drugą. Obserwował ją, jak nago przechadzała się po mieszkaniu, tym samym, które teraz zajmuje Kristi Bentz. Wspaniale się składa, pomyślał, taszcząc Tarę nieco dalej. Rozwinał ją i patrzył. Była blada, choć nie zbladła jeszcze do końca letnia opalenizna. Duże piersi o nabrzmiałych sutkach zdawały się prosić o pocałunek, o ostatnią pieszczotę, ale oparł się pokusie. Ona także zniknęła pod powierzchnią wody.

Obrócił jeszcze dwukrotnie. Najpierw zabrał Monique. Za życia wysoką i silną, teraz ciężką i sztywną. Rozwiązał supeł i zauważył, że nawet po śmierci jej mięśnie pięknie rysują się pod skórą. Rude włosy opadały na ramiona i powracały w miniaturze rudymi, oszronionymi loczkami u zbiegu długich nóg. Ze ściśniętym sercem patrzył, jak tonie.

W końcu przyniósł nad wodę ostatni, najmniejszy pakunek i długo przyglądał się Rylee, ślicznej jak cheerleaderka, o błękitnych pustych oczach. Nawet w ostrym świetle latarki była piękna. Miała idealną figurę, wąska talia podkreślała jędrne piersi zwieńczone różowymi sutkami. Na wewnętrznej stronie uda zamarzył wytatuowany motyl. Przypomnił sobie, jak badał go językiem, gdy się z nią bawił.

Tak, będzie mu jej brakowało. Był zły, że nie może już jej oglądać, dotykać, rozkoszować się chłodem jej skóry.

Będą inne... pozwól jej odejść. Niech ustąpi miejsca kolejnym.

Poczuł, jak jego serce przyspiesza. Musi wytrzymać jeszcze tydzień, a potem... Och, potem!

Ze zdwojoną energią wepchnął ciało do mętnej wody. Przyglądał się, jak opada, cały czas wpatrzona w niego martwym wzrokiem.

Miała czystą krew, pomyślał.

Idealną.

Powoli znikąa mu z oczu.

## ***Rozdział 10***

---

Ariel klęczała w kaplicy.

Pochyliła głowę i modliła się o wskazanie właściwej drogi. Jak co rano w tym tygodniu.

Zawsze była bardzo wierząca; miała nadzieję, że wiara pomoże jej przetrwać najtrudniejsze chwile: śmierć Lance'a, starszego brata, rozwód rodziców, nowego ojczyma i niekończący się łańcuch narzeczonych, którzy zjawiali się w jej życiu, odkąd skończyła czternaście lat, i którzy zawsze odchodzili.

Nikt jej nie został.

Nawet matka po rozwodzie schudła, ufarbowała włosy i zaczęła umawiać się z mężczyznami, którzy, tak jak ona, starali się wyglądać na młodszych i ciekawszych niż w rzeczywistości. Z czasem Claudia O'Toole ponownie wyszła za mąż. Tom Browning, kierowca ciężarówki, był w porządku, ale przez niego przysło kolejne marzenie Ariel - że rodzice jednak się zejda.

Dlatego uciekała od rodziny w religię i na studia. A tutaj wszystko się zmieniło.

- Boże, wybacz mi.

Podniosła wzrok na naturalnej wielkości postać na krzyżu między dwoma wysokimi witrażami. Jezus w koronie cierniowej, krwawiący z ran na głowie, rękach i w boku, spoglądał na nią dobrotliwie.

„Jam jest światło...”

- Panie Boże... - Zacisnęła powieki, chcąc powstrzymać łzy.

Dlaczego, skoro Chrystus jest tak blisko i tak bardzo ją kocha, zawsze czuje się samotna? Dlaczego wszyscy ją odrzucają?

- Przyjdź do mnie, Ojczy - szepnęła i przeżegnała się.

Nigdy wcześniej nie wyjeżdżała z domu... to znaczy nie na długo. Przez jakiś czas jeździła do ojca na weekendy, ale w miarę upływu lat coraz rzadziej. No i uciekła z Calem Sieversem, kiedy się dowiedziała, że jest w ciąży. .. Poroniła w trzecim miesiącu. Nie umiała nawet być matką.

Jej ramionami wstrząsnął szloch... Pragnęła tego dziecka, małej istoty, która obdarzyłaby ją miłością. A jej dziewczynka - głęboko wierzyła, że to będzie córka, i wybrała już imię: Brandy - odeszła.

Z trudem przełknęła ślinę i pomyślała o grupie, do której dołączyła. Przyjęto ją tam z otwartymi ramionami.

Nie zadawano pytań.

Nie osądzano.

A przywódca... Spojrzała na krucyfik i wiedziała, że Jezus spogląda w głąb jej duszy i widzi na niej mroczny cień. Kocha Boga, naprawdę.

Ale potrzebuje przyjaciół. Rodziny. I to tu, na ziemi. Jej rodzice żyją własnymi sprawami. Dziewczyny w bractwach to płytkie, zarozumiałe snobki. Ale jej nowi przyjaciele...

Przeżegnała się, wstała i zobaczyła ojca Tony'ego. Przyglądał się jej z balkonu. Biała koloratka kontrastowała z czarną sutanną. Był przystojny, aż za bardzo jak na księdza. Odwróciła wzrok, ale po chwili usłyszała jego kroki na schodach i zrozumiała, że nie uda jej się dotrzeć do bogato rzeźbionych drzwi kaplicy bez rozmowy z nim, może nawet bez spowiedzi.

Zmówiła jeszcze jedną krótką modlitwę i przemknęła między rzędami ławek. Była już niemal przy drzwiach, gdy wyłonił się zza rogu.

- Ariel - szepnął. Jego ciemne włosy lśniły w blasku świateł, na pięknej twarzy malowała się troska. - Masz kłopoty - powiedział i delikatnie dotknął jej dłoni ciepłymi palcami.

- Tak, ojciec - przyznała i zaniósł się szlochami.

- Jak wielu innych. Ale zaufaj mi. - Czarne brwi złączyły się w jedną linię, błękitne oczy szukały jej wzroku. - Porozmawiaj ze mną o tym, moje dziecko - zaproponował miękko, niemal uwodzicielsko.

Ariel z trudem przełknęła ślinę. Czy może mu zaufać? To, co ją trapi, to sprawa bardzo osobista, jednak kusiło ją, by mu się zwierzyć. Patrząc w oczy, które przenikały aż do jej duszy, zastanawiała się, na ile odważy się odsłonić i dokąd posunie się w kłamstwie.

Kristi dopiła kawę, wstawiła kubek do zlewu i uchyliła okno, w razie, gdyby Houdini raczył ją odwiedzić. Słońce zalewało kawalerkę; był to pierwszy pogodny dzień od jej przyjazdu. Bezchmurne niebo zawsze poprawiało jej nastrój, a potrzebowała tego zwłaszcza teraz, gdy ciągle rozmyślała o sektach, wampirach i zaginionych studentkach, gdy szukała dowodów, robiła wykresy, godzinami buszowała po Internecie w

poszukiwaniu artykułów i informacji na forach. Zaczynała rozumieć zaginione, widziała, jak wyglądało ich życie.

Czy nikogo nie obchodziły?

Zwróciła się w tej sprawie do dziekana do spraw studenckich i spotkała się z lodowatą ripostą. Usłyszała, że to nie jej sprawa, co oznaczało, że władze uczelni chowają głowę w piasek z obawy przed złą prasą.

Przemęczona, niewyspana, z trudem znajdowała czas, by coś zjeść. Zatrudniła się w sekretariacie studenckim, żeby zyskać dostęp do akt dziewczyn; teraz wiedziała więcej o ich rodzinach, znała adresy, wiedziała, gdzie pracowały i skąd pochodziły. Jednocześnie wciąż pracowała w restauracji i chodziła na wszystkie zajęcia, uginając się pod stosami lektur.

A cztery zaginione towarzyszyły jej na każdym kroku.

Były przy niej, gdy uczestniczyła w zajęciach, gdy chodziła po kampusie i gdy obsługiwała gości w barze. Znalazła ich nieliczne przyjaciółki i usiłowała pociągnąć je za język, lecz zachowywały dużą ostrożność. Wszystkie twierdziły, że nie słyszały o żadnej sekcji. Ale Kristi wyczuwała, że coś ukrywają.

I ona to odkryje, nawet gdyby musiała poprosić o pomoc jednego z wykładowców. Nie podobał jej się ten pomysł, ale miała dosyć walenia głową w mur.

Dzisiaj blask słońca poprawił jej humor. Od tygodnia żyła w mroku szarych chmur, a ponure noce najchętniej spędzałaby przy kominku, sprawdzwszy uprzednio, czy drzwi są dobrze zamknięte.

Nigdy nie była strachliwa, ani po stracie matki, ani później, gdy cudem uszła z życiem z opresji. Dziwne, że po tym, co przeszła, nie doświadczała napadów paniki. Dopiero teraz, w środku zimy, w mieszkaniu, którego poprzednia lokatorka zaginęła, wszystko się zmieniło. Chwilami ogarniała ją taka sama paranoja jak jej ojca, który, choć nawet nie wytknął nosa z Nowego Orleanu, zdawał się śledzić każdy jej krok.

Ale dzisiaj styczniowe słońce rozpędziło chmury.

Wzięła plecak z laptopem i wyszła z mieszkania.

Była dopiero połowa drugiego tygodnia semestru, a ją już dręczyły liczne dylematy. Po pierwsze, Jay i jej sprzeczne uczucia wobec niego. Podczas drugich zajęć był bardzo profesjonalny, jego spojrzenie ani razu nie zatrzymało się na niej dłużej niż na innych, gdy mówił o materiale dowodowym w sprawie seryjnego mordercy, znanego jako Ojciec John. Zachował kamienny spokój, przedstawiając dowody zebrane przez policję. W czasie przerwy obiegli go zainteresowani studenci, podobnie po zajęciach. Chyba nawet nie zauważył, kiedy wyszła.

I co z tego? Tak jest lepiej, tłumaczyła sobie. To twój wykładowca, koniec, kropka.

A jednak świadomość, że właściwie ją ignorował, bolała. Cóż, czy jej się to podoba czy nie, musi z nim porozmawiać i poprosić o pomoc. - Ale będzie zabawa - mruknęła pod nosem.

Druga sprawa jest o wiele trudniejsza, stwierdziła, wkładając kurtkę. Od kilku dni co jakiś czas widywała Ariel O'Toole, jedną z przyjaciółek Lucretii - a to koło księgarni, a to w kawiarence, a to koło Wagner House. I za każdym razem Ariel była blada, wręcz wyblakła, o spopielalej cerze.



Chora?

A może niedługo będzie miała wypadek? Albo to tylko wybujała wyobraźnia Kristi?

Nikt inny chyba tego nie zauważył. Czyżby tylko ona widziała stan Ariel? Tak jak widziała śmierć wpisaną w rysy ojca? I czy powinna porozmawiać z Ariel? A może z Lucretia?

Zmarszczyła brwi, wsuwając komórkę do torebki. Wyszłaby na wariatkę, mówiąc ludziom, że przewiduje śmierć. Czy ma jakieś dowody swego daru? Raczej słabe. Kiedyś wprawdzie widziała na przystanku kobietę, która poszarzała na jej oczach, a tydzień później umarła, tyle że - jeśli wierzyć nekrologom - miała dziewięćdziesiąt cztery lata.

Usiłowała odsunąć od siebie te ponure myśli, ale nie miała czasu na relaks. Dzisiaj ma zajęcia z doktorem Prestonem, kolejnym przystojniakiem. Wyglądał jak kalifornijski surfer: miał niesforne jasne włosy i fantastycznie umięśnione ciało, co podkreślał, nosząc obcisłe T-shirty i także dzinsy. Podczas zajęć przechadzał się po sali, patrzył na studentów i podrzucał kawałek kredy. Nigdy się nie zatrzymywał, nigdy nie przestawał mówić i bawić się kredą, chyba że pisał akurat coś ważnego na tablicy przed kolejną rundą.

Preston kojarzył się ze słońcem i beztroską, natomiast Deana Senegal, która wykładała dziennikarstwo, stanowiła jego całkowite przeciwieństwo. Althea Monroe była na urlopie, więc profesor Senegal była jedyną kobietą wśród wykładowców Kristi. Miała około czterdziestu lat, mówiła z prędkością karabinu maszynowego i patrzyła na świat zza eleganckich okularów w prostokątnych oprawkach. Była ładna, bystra i

doświadczona; pracowała w dziennikach w Atlancie i Chicago, zanim zdecydowała się na karierę naukową i objęła katedrę w College'u Wszystkich Świętych. Wzięła roczny urlop, gdy urodziła bliźniaki, ale teraz, kiedy dzieci miały półtora roku, wróciła na uczelnię. Senegal była bardzo konkretna, pragmatyczna i prawie nigdy się nie uśmiechała.

Schodząc ze schodów, Kristi zastanawiała się, kogo już zna ze swojego budynku. Na drugim piętrze obok Mai mieszka bezdzietne małżeństwo, na pierwszym, koło Hirama - singiel, którego widywała tylko wieczorami, gdy wchodził albo wychodził. Był wysoki i nosił ciemny płaszcz, ale nigdy nie miała okazji przyjrzeć się jego twarzy.

Kiedy wyjmowała zapomniany podręcznik z hondy, zauważyła samochód pani Calloway. Biały kabriolet rzucał się w oczy. Nie w takim wozie wyobrażała sobie gospodynię.

Właśnie otwierała drzwiczki, gdy Irene wysiadła z auta i spojrzała na chwasty przy skraju parkingu.

- Cholerne paskudztwa - mruknęła i dopiero wtedy dostrzegła Kristi. -O, dzień dobry. Podobno sama założyłaś zasuwki. - Gniewnie pokręciła głową i sięgnęła po kapelusz z szerokim rondem, uzupełnienie stroju, na który składały się brązowe spodnie, różowa flanelowa koszula i beżowy sweter z podwiniętymi rękawami. - Mówiłam, że Hiram to załatwi.

- Nie udało mi się z nim skontaktować.

Starsza pani włożyła kapelusz, przykrywając siwe loki.

- W takim razie musisz mi dać komplet kluczy do mieszkania, a jeśli się łudziś, że odliczę ci koszt zamków od...

- Dorobię pani komplet - burknęła Kristi, zirytowana chciwością Irene. - Słyszałam, że poprzednią lokatorką była Tara Atwater.

Od razu wiedziała, że trafiła w czuły punkt.

- Tara? Ta, która zniknęła, nie płacąc za ostatni miesiąc? Owszem, mieszkała tam.

- A teraz ślad po niej zaginął.

- Ja wiem tylko, że uciekła, nie płacąc czynszu.

- Może ją porwano.

- Porwano? - Pani Calloway prychnęła pogardliwie. - Niemożliwe.

To imprezowiczka i puszczalska. Moim zdaniem zrobiło jej się tu za ciasno i czmychnęła.

- I nikt jej od tej pory nie widział.

- Słyszałam, że sięgała po narkotyki. - Irene zmrużyła oczy. -

Dziennikarze szaleją, gdy dziewczyny rzucają studia, i robią z igły widły, ale policja nic nie mówi o żadnym porwaniu. Wszystkie te zaginione już wcześniej robiły takie numery. Nawet ich rodziny się nie przejmują.

Dzwoniłam do matki tej Atwater. Zbyła mnie. W kółko narzekała, że ma dwie prace i dwójkę młodszych dzieci na utrzymaniu. A ojciec? To dopiero typ! Recydywista, teraz chyba też siedzi. Nikt mi nie zapłacił zaległego czynszu.

- Czyli nikt tak naprawdę nie przejmuje się Tarą.

Irene wzruszyła chudymi ramionami.

- Przecież mówię, że to puszczalska. Ciągle uganiała się za chłopakami. - Znów prychnęła z pogardą, schyliła się i wyrwała chwast, który odważył się wyrosnąć na parkingu. - A to oznacza kłopoty.

- Wie pani, z kim się spotykała?

- Nie wtykam nosa w sprawy moich lokatorów.

Kristi dobrze wiedziała, że Irene Calloway uwielbia plotki.

Wystarczy trochę czasu i odpowiedniej porcji pochlebstw, a wyciągnie niej wszystko, co chce wiedzieć.

- A kto zabrał rzeczy Tary? Ktoś musiał je spakować, skoro wyjechała tak nagle.

- Nikt! A za przechowanie też sobie policzę! Dzisiaj przestrzeń nie jest tania, nawet schowki....

- Spakowała ją pani?

- Ja? Nie - przecząco pokręciła głową. - To robota dozorca.

Hiram, ten nierób. Świetnie.

Kristi zostawiła Irene, która, mamrocząc coś pod nosem, wrywała kolejne chwasty, przebiegła przez ulicę na czerwonym świetle i skręciła w stronę Adams Hall, oplecionego winoroślą gmachu, w którym mieścił się wydział literatury angielskiej. Miała tam zajęcia z pisania kreatywnego z profesorem Prestonem.

Była już na schodach, gdy odezwał się jej telefon - grał melodyjkę przypisaną do numeru ojca.

No oczywiście.

- Cześć - zaczęła pogodnym, jak miała nadzieję, głosem, choć była trochę zła, że zadzwonił. Czy zdarzył się chociaż jeden dzień, żeby jej nie sprawdził pod jakimś pozorem? No, może jeden czy dwa, ale zwykle Rick Bentz telefonował codziennie pod byle pretekstem.

- Pomyślałem sobie, że zadzwonię, bo ostatnio mówiłaś, że chciałybyś mieć tam rower. Może podrzucę ci go w ten weekend?

- Daruj sobie, tato. Wymyśliłeś to, żeby zadzwonić. - Zmrużyła oczy i patrzyła na kaplicę wznoszącą się po drugiej stronie rozległego trawnika, dom parafialny i refektarz, które stanowiły część dawnego kompleksu klasztorowego.

Ojciec roześmiał się.

- Trudno się pozbyć starych nawyków - odparł.

- Wiem, i naprawdę przydałby mi się rower, ale nie musisz przyjeżdżać. Zabiorę go przy najbliższej okazji.

- I co? Wsadzisz do hondy?

- Kupiłam bagażnik... - Zobaczyła, jak z kaplicy wychodzą dwie osoby: ksiądz, nie ojciec Tony, tylko ten drugi, i Ariel O'Toole. Co Ariel robiła w kaplicy z księdzem? Ma z nim romans? Rozważa życie zakonne? Wyznaje miliardy grzechów? - Słuchaj, tato, muszę kończyć. Pogadamy później... Albo napisz mi sms-a, dobrze? Pa.

Wiecznie ponury ksiądz Mathias wrócił do kaplicy, a Ariel szła w jej stronę. Po raz kolejny jawiła się jej w odcieniach szarości. Kristi przeszył zimny dreszcz. Nie może tak po prostu do niej podejść i powiedzieć, co widzi. Ariel uznałaby ją za wariatkę. Musi uciec się do podstępu. Wśliznęła się do budynku i czekała w holu, aż szklane drzwi się otworzą i wejdzie przez nie grupka studentów. Ariel szła na końcu, ze spuszczoną głową, i nie zauważyła Kristi, skręcając w stronę sali wykładowej.

Kristi ruszyła za nią. Weszła do sali tuż po niej i usiadła przy sąsiednim stoliku. Ariel nadal nie zwracała na nią uwagi, i dobrze. Kristi

udawała zainteresowanie, gdy Preston rozwodził się nad potrzebą odpowiedniego ujęcia tematu.

Dzisiaj częściej opierał się o biurko, mniej spacerował. Krede jednak podrzucał nadał. Kristi wydawało się, że pod kalifornijskim wdziękiem i opalenizną dostrzega mrok.

Wpadasz w paranoję, jak ojciec.

- Porozmawiajmy o zeszlotygodniowym zadaniu - mówił Preston. Zamienił kredę na plik papierów. - Mielicie napisać dwie strony o tym, co was przeraża najbardziej. Większość posłużyła się opisem, ale... - Kartkował prace, aż znalazł tę, której szukał. - Pan Calloway wykazał się interesującym podejściem do tematu. Píše tak: „To zajęcia z pisania kreatywnego, ale ja nie jestem twórczy, gdy mam pisać na zadany temat. Czuje, że tłamsi się moją»kre-atywność«" - przy czym to ostatnie słowo jest w cudzysłowie. - Odnalazł zadziorny wzrok Hirama. - Bardzo interesujący sposób, by nie napisać na zadany temat. - Powiódł wzrokiem po pozostałych, jego spojrzenie zatrzymało się na Kristi, i mówił dalej: - Wolałbym, żeby Calloway napisał coś w stylu: „Jestem przykutty do biurka i piszę pracę, która mnie mierzi". Wtedy dostałby piątkę, a tak musi zadowolić się czwórką bo pracą czy raczej jej brak, nosi znamiona oryginalności. - Uśmiechnął się. - A teraz przeczytam państwu coś bardziej tradycyjnego i w pełni zasługującego na ocenę bardzo dobrą. Autorką pracy jest Mai Kwan. Muszę przyznać, że ma talent, pisze obrazowo i przejmująco.

Kristi zerknęła na Mai i zobaczyła, jak ta lekko uniosła głowę, gdy Preston zaczął czytać.

- „Boję się diabła. Tak, Szatana, Lucyfera, ucieleśnienia Zła. Dlaczego? Ponieważ wierzę, że czai się w każdym z nas. W każdym razie wiem, że jest we mnie, kryje się w mrocznych zakątkach mojej duszy. Staram się go tam zatrzymać, bo boję się, co moglibyśmy zrobić - on i ja, jego narzędzie. Nie potrafię sobie wyobrazić bólu i nieszczęść, które moglibyśmy spowodować, gdybym go uwolniła”.

Preston znów się uśmiechnął i spojrzał na Mai, jakby dobrze ją znał.

- To tylko pierwszy akapit, a już widzimy zmagania autorki, wyczuwamy jej walkę i strach przed obłędem. Zwróćcie uwagę, że nie pisze: gdyby diabeł się uwolnił, ale: gdybym ja go uwolniła. Na razie to ona kontroluje Szatana i swój obłęd. - Skinął głową, aż jasne włosy zaśniły w świetle żarówek. - Doskonale, panno Kwan. Tylko pani pracę ocenilem na bardzo dobrą, bo tylko ona brzmiała wiarygodnie.

Mai się uśmiechnęła, zarumieniła i spuściła wzrok, jakby Preston ją spieszył. Kristi nie dała się nabrać. Za dobrze zna sąsiadkę, by uwierzyć w skromne minki. Zastanowił ją jednak temat pracy.

Szatan w duszy? Nie pająki, węże, ciemne zaułki? Nie samoloty, katastrofy i związek z nieodpowiednią osobą? Diabeł w sercu? Skąd się to wzięło?

- Jezu - mruknęła i Ariel zerknęła na nią z dezaprobatą. - To makabryczne - wyjaśniła Kristi. Ariel tylko wzruszyła ramionami.

Wszystkie wysiłki, by zbliżyć się do Ariel, spełzały na niczym. W tym tempie miną wieki, zanim zdobędzie jej zaufanie, a miała wrażenie, że czas Ariel się kończy. Ale czemu się tym przejmuje? To, że widzi Ariel w szarościach, może być tylko wytworem jej wyobraźni.

Usiadła wygodniej i starała się skupić na wykładzie. Preston kilka razy podrzucił kredę, rozdał prace i zadał kolejny temat.

Kristi wychodziła z sali tuż za Ariel. Nadal było ciepło, ale słońce skryło się za chmurami.

Wkrótce straci kolejną okazję, by się zbliżyć do Ariel. Ale cóż, nigdy nie potrafiła udawać. Ciągłe słyszała, że w jej uczuciach można czytać jak w otwartej księdze. Nie ma rady, trzeba otwarcie powiedzieć dziewczynie, co się dzieje.

- Ariel! - zawołała.

- Słucham? - Ariel zatrzymała się w pół kroku i znacząco spojrzała na zegarek.

- Wszystko w porządku?

- O co ci chodzi? - Ariel zaczęła iść coraz szybciej, jakby chciała uciec.

- Mam wrażenie, że coś cię gryzie. - Kristi dotrzymywała jej kroku i starała się nie myśleć, że za pół godziny ma być w pracy.

Ariel zerknęła na nią z ukosa.

- Przecież ledwo mnie znasz.

- Ale widzę, że coś cię dręczy.

- I chcesz mi pomóc? - Spojrzała na Kristi z niedowierzaniem. W tej chwili Kristi postanowiła być z nią całkiem szczerą.

- Słuchaj, wiem, że to zabrzmiało idiotycznie, ale mam... nie wiem, jak to nazwać... zdolność jasnowidzenia. Pojawiło się to, kiedy o mało nie umarłam. Od tej pory... widzę przyszłość. Nie zawsze, czasami. I jestem w stanie określić, czy komuś grozi niebezpieczeństwo.



Ariel skuliła się.

- Mówię serio - zapewniła Kristi.

- I co chcesz mi powiedzieć? Że jestem w niebezpieczeństwie? Albo ci odbiło, albo to jakiś głupi kawał.

- Jesteś w niebezpieczeństwie - potwierdziła Kristi - śmiertelnym.

- Naprawdę ci odbiło! Daj mi spokój!

- Czasami, kiedy na ciebie patrzę - ciągnęła Kristi - jesteś szara, jak w czarno-białym filmie.

Ariel zadrzała. Cofnęła się i rozejrzała nerwowo, jakby szukała ratunku.

- Daj mi spokój! - Teraz prawie krzyczała. - Bierzesz coś? Albo zwariowałaś. To wcale nie jest śmieszne.

Kristi podeszła bliżej.

- Odejdź! I to już! - wrzasnęła Ariel.

- Martwię się o ciebie.

Ariel cofnęła się o kolejny krok.

- Chyba ty jedna - odparła, zatrzymując się w bramie Wagner House. Była tak blada, że już teraz wyglądała jak trup. - Trzymaj się ode mnie z daleka! Słyszysz? Nie zbliżaj się do mnie, bo pójdę na policję i zdobędę zakaz zbliżania się do mnie!

Kristi nie zdążyła odpowiedzieć, bo zza rogu wyłoniły się Trudie i Grace. Ariel zobaczyła je i zamachała gwałtownie, jak tonący w oczekiwaniu na koło ratunkowe. Po chwili dołączyła do przyjaciółek i przeszła przez bramę. We trzy wbiegały po schodach, kierując się do drzwi wejściowych. O ile Kristi wiedziała, Wagner House był siedziba

pierwszych osadników na tej ziemi. Teraz w gmachu mieściło się muzeum.

Grace pociągnęła ciężkie drzwi i dziewczęta weszły do środka. Ariel odwróciła się i spojrzała na Kristi. Potem ciężkie drewniane drzwi zamknęły się z głuchym łoskotem.

Kristi nie wiedziała, co robić. Najwyraźniej Ariel nie chce jej pomocy. I może słusznie, bo skąd ta pewność, że spotka ją coś złego? Wprawdzie staruszka z przystanku umarła, ale ojciec nadal żyje. Tyle że wizje biało-czarnego ojca pojawiały się rzadko, czasami nie widziała ich miesiącami.

Kristi naprawdę chciała uwierzyć, że się myli, że jej wizje nic nie znaczą. Jednak w przypadku Ariel O'Toole szarość była bardzo wyraźna i trwała. Musiała ostrzec Ariel. Teraz Ariel uważa ją za wariatkę, albo sądzi, że Kristi zrobiła jej okrutny kawał. Tak, niepotrzebnie powiedziała jej prawdę, ale jakie miała inne wyjście?

Spojrzała w wysokie okna Wagner House. Wydawało jej się, że widzi Ariel, zniekształconą przez wiekowe szybki. Ciągłe błądą i nierzeczywistą.

## ***Rozdział 11***

---

Porucznik Esperanza z wydziału zaginionych pochyliła się nad biurkiem, opierając wydatny biust na ladzie dzielącej jej biurko od reszty sali, i łypnęła groźnie na Portię. Nie lubiła, gdy ktokolwiek inny wtrącał

się w jej sprawy. Lacey Esperanza dobiegała sześćdziesiątki, farbowała włosy na rudo i nie należała do najszczuplejszych. Była inteligentna, bezczelna, czasami wredna i poważnie traktowała swoją pracę. Czasami aż za bardzo.

- Powiem ci to samo, co powiedziałam dziennikarzom i innym detektywom: zwróćcie się do cholernego FBI. Oni mają środki, ludzi i cholerną wiedzę, żeby się z tym uporać. Z mojego punktu widzenia sprawy po prostu nie ma. No dobra, cztery dziewczyny zniknęły ze Wszystkich Świętych. Ale zaginione? Zamordowane? Niby gdzie się podziały zwłoki? Nie wiem, a mam ręce pełne roboty z przypadkami autentycznych - tu zrobiła cudzysłów krwiście czerwonymi paznokciami - zaginięć. Rozumiesz, krewni nie mogą ich znaleźć i zgłaszają to nam. - Pochyliła się i znalazła tak blisko, że Portia poczuła zapach papierosowego dymu zmieszany z aromatem perfum. - Co jest nie tak w tym college'u, że nie wiedzą, gdzie się podziały ich studentki? Uniwersytet Luizjany jest chyba sześć razy większy, a nie mają takich problemów.

No właśnie. Dlaczego dziewczyny znikają tylko z mniejszej uczelni? Portia nie podzieliła się swoimi obawami z Esperanza, ale uważała, że na kampusie College'u Wszystkich Świętych poluje bardzo niebezpieczny drapieżnik. Lacey miała rację. Uniwersytet Luizjany, oddalony od Wszystkich Świętych o zaledwie pół godziny jazdy, nie zgłosił zniknięcia żadnej studentki. Podobnie prywatny College Naszej Pani znad Jeziora, Uniwersytet Południowy, uczelnie katolickie ani nawet szkoła piękności. Znikały tylko dziewczyny od Wszystkich Świętych. Na razie.

Dopóki drapieżnik poluje właśnie tutaj. Dobry Boże, oby się myliła.

- I wiesz, co jeszcze ci powiem. - Lacey wyraźnie się rozkręcała. - Codziennie dostaję około stu wiadomości, i to po odrzuceniu spamu. Po weekendach bywa dwa razy tyle. Mam pełne ręce roboty. Niech federalni się tym zajmą. Ale... - rozłożyła ręce - jeśli chcesz przejrzeć akta, proszę bardzo. Chyba nieźle sobie radzicie w waszym wydziale, skoro masz czas na grzebanie w papierach.

Zwróciła się do koleżanki siedzącej za biurkiem tak sterylnie czystym, że trudno było uwierzyć, iż ktoś przy nim pracuje. Żadnego zdjęcia, ani pół roślinki, nawet tabliczki z nazwiskiem. Kosz na śmieci też był pusty.

- Mary Alice, przynieś detektyw Laurent wszystko, czego chce. Ja idę na przerwę.

Zgarnęła paczkę papierosów z blatu, na którym piętrzyły się stosy dokumentów, posłała Portii sztuczny uśmiech i pomaszerowała między wiekowymi biurkami w stronę schodów prowadzących na zewnątrz.

Mary Alice podniosła na Portię wielkie piwne oczy.

- Przepraszam za Lacey. Ma poważne kłopoty z córką. Dziewczyna dobiega czterdziestki i wciąż nie potrafi znaleźć stałej pracy. A przecież ma troje dzieci. Najstarszy wnuk Lacey, już się wpakował w kłopoty. Kiepska sprawa.

Portia skinęła głową.

- Rzeczywiście.

- Tak bywa. - Mary Alice odepchnęła się od biurka i wstała. - Co mam pani przynieść?

Portia podała jej listę nazwisk.

- Wszystko, co o nich macie.

Mary Alice przebiegła wzrokiem krótką listę.

- Czwórka zaginionych. Są w naszej bazie danych. Nie macie własnych akt?

- Formalnie nie - odparła Portia. - Widziałam, co jest w bazie, ale chciałabym rzucić okiem na oryginały.

- Mnie tam wszystko jedno, o ile Lacey się zgadza. - Mary Alice podeszła do szafy, stukając obcasami. Poszukała chwilę i wróciła z czterema cienkimi teczkami.

Portia pokwitowała odbiór akt. Postanowiła wszystko skserować, bo choć miała nadzieję, że żadnej z dziewczyn nie stało się nic złego, instynkt podpowiadał jej, że to tylko kwestia czasu, nim znajdą ciało którejś z nich.

Dwa wykłady już za mną, zostały jeszcze dwa, pomyślał Jay, jadąc do Baton Rouge w piątkowy wieczór. Bruno jak zwykle przyciskał pysk do uchylonego okna, a z głośników płynął głos Bruce'a Springsteena. Nawet w ciemności widać było ślady Kariny: martwe drzewa wyrwane z korzeniami, zniszczone drewniane domy, jedne butwiejące i gnijące, a tuż obok inne, remontowane przez upartych mieszkańców Luizjany.

Jay przyzwyczał się już do nowego trybu życia; odpoczywał, remontując stary dom, a nauczanie dawało mu ogromną satysfakcję. Oczywiście, jeśli nie liczyć Kristi. Po pierwszym spotkaniu, gdy go dogoniła, żeby sobie wyjaśnili pewne sprawy, a potem nie chciała, by ją podwiózł, niewiele rozmawiali. Na zajęciach o nic nie pytała, a on nie udzielał jej głosu. Siedziała z tyłu sali i notowała z nieprzeniknioną twarzą. Wyglądała na znudzoną.

Zupełnie jak nie Kristi.

Uśmiechnął się na myśl, ile wysiłku kosztuje ją taka poza. Skoro udaje znudzoną, pewnie ma takie same problemy jak on z zaakceptowaniem ich nieoczekiwanego spotkania.

I dobrze, pomyślał. Włączył wycieraczki, by pozbyć się z przedniej szyby wilgoci zostawionej przez wieczorną mgłę.

Zasłużyła na to, choćby za to, co się z nim teraz dzieje. W ciągu minionych dwóch tygodni śniła mu się już trzy razy. Jeden sen był szczególnie podniecający: kochali się na łóżku, które płynęło ciemną rzeką. W drugim obserwował, jak Kristi odchodzi z mężczyzną bez twarzy; wzięła go pod rękę i weszli do kościoła przy akompaniamencie bijących dzwonów. W trzecim śnie zaginęła. Wróciła na moment, by znowu rozpląnąć się w gęstej mgłę. Ten koszmar dręczył go zeszłej nocy. Obudził się z bijącym sercem i spocony ze strachu.

- To będzie ciężki semestr - poinformował Bruna i wyłączył kierunkowskaz na znak, że zjeżdża z autostrady. W tym momencie odezwała się jego komórka. Jay wyłączył radio i odebrał, nie patrząc na wyświetlacz.

- McKnight.

- Cześć.

No proszę, o wilku mowa. Zacisnął usta. Zawsze i wszędzie rozpozna głos Kristi Bentz.

- To ja - zaczęła. - Kristi Bentz - dodała, jakby nie wiedział.

- Zapamiętałaś mój numer. - Wycieraczki hałasowały, więc je wyłączył.

- No, tak.

Zacisnął dłonie na kierownicy.

- O co chodzi?

- Musisz mi pomóc.

- Z pracą domową?

Wahała się tylko przez chwilę, ale to wystarczyło, by stał się czujny.

- Tak. Kłamczucha.

- Mów.

Zjechał z głównej drogi w kierunku przedmieść.

- Nie mogę, nie przez telefon. To zbyt skomplikowane, zresztą spieszę się do pracy. Słuchaj, dużo mnie kosztowało wykonanie tego telefonu.

Pierwsze szczerze słowa w całej rozmowie. Nie odpowiedział.

- Pomyślałam sobie, że... moglibyśmy się spotkać.

- Spotkać? U mnie w biurze?

- Nie, gdzie indziej.

Jay patrzył na jezdnię. Nastolatek na skuterze wyprysnął z bocznej uliczki i przemknął mu przed nosem.

- Jezu! - krzyknął.

- O kurczę... Domyślam się, że to odpowiedź przecząca.

- Nie mówiłem do ciebie. Jestem w samochodzie i mało brakowało, a stuknąłby mnie skuter. - Zwolnił. - Gdzie?

- Nie wiem, może w Wodopoju?

- Na drinka?

- No pewnie. Ja stawiam.

Dodał gazu i skręcił w uliczkę, przy której stał jego tymczasowy dom.

- Czyli randka? - zapytał, świadomy, że doprowadza ją do pasji.

- Cholera, Jay, to tylko piwo.

- Piwo i pomoc - zauważył. - Czegoś ode mnie chcesz.

- Nazwij to, jak chcesz. - W jej głosie pojawiła się nuta irytacji. -

Dzisiaj o dziesiątej? Spotkamy się na miejscu, pracuję niedaleko.

Zdawał sobie sprawę, że pakuje się w kłopoty, godząc się na to spotkanie. W wielkie kłopoty, których nie potrzebował. Wystarczy, że ma ją na zajęciach, by dręczyły go koszmary. Coś więcej skończy się źle.

Zawahał się.

Kogo niby chce oszukać? Nie oprze się pokusie. Jak zawsze, gdy chodzi o nią.

- O dziesiątej - potwierdził i od razu tego pożałował. Kretyn! Idiota!

- To do zobaczenia. - Rozłączyła się, a on nadal ścisnął telefon w dłoni. Czego ona od niego chce? Zaparkował, ale jeszcze długo nie wysiadał z wozu.

- Nieważne, co to jest - oznajmił psu - nie skończy się dobrze.

Kristi rozwiązała fartuch, cisnęła go do kosza z brudną bielizną koło tylnych drzwi restauracji, zdjęła plecak z wieszaka i weszła do ciasnej łazienki. Ściągnęła bluzkę i spódnicę, przesiąknięte zapachem tłuszczu, zrzuciła czarne czółenka, które nosiła w pracy, i wcisnęła wszystko do torby. Zamiast prysznicza musi wystarczyć odrobina perfum. Włożyła dzinsy i bluzę z długim rękawem. Jęknęła, widząc się w lustrze. Jednym



ruchem ściągnęła gumkę z włosów, aż rozsypały się na ramionach, upchała brudne ciuchy w plecaku i zawiązała sportowe buty.

Dochodziła już dziesiąta, a nie chciała się spóźnić. Była wściekła, że musiała prosić Jaya o pomoc, ale szukając informacji o zaginionych, co chwila waliła głową w mur. Potrzebowała współnika z odpowiednimi kontaktami. Ojciec nie wchodził w rachubę, a Jay był na kampusie, więc przynajmniej część tygodnia spędzał w Baton Rouge i jako wykładowca miał dostęp do wszystkich danych. Ona, choć kilka godzin tygodniowo pracowała w sekretariacie, nie zdołała przeniknąć przez zamknięte drzwi i dorwać się do akt. Nie знаła też hasła do bazy danych, w której przechowywano najważniejsze informacje.

Musiała zatem zwrócić się po pomoc do kogoś z wykładowców.

Zastanawiała się nad Lucretią, ale rozmyśliła się; gdyby ona coś wiedziała, powiedziałaaby o tym.

Musi jakoś przekonać Jaya, żeby jej pomógł.

Nie zadzwoniłaby do niego, gdyby ktoś inny mógł zapewnić jej dostęp do niezbędnych informacji - taką przynajmniej miała nadzieję. Zaakceptowała już myśl, że musi się męczyć kilka miesięcy na jego zajęciach. Ale teraz to co innego. Nawiąże z nim bliższy kontakt.

I może właśnie tego chciałaś.

- Zamknij się, dobrze? - skarciła niesforny głos w głowie. Wcale nie chce zbliżyć się do Jaya, ani teraz, ani nigdy. Zadzwoniła do niego z konieczności - przecież cel uświęca środki.

- Randka, akurat - mruknęła. Wyszła z łazienki i sięgnęła po kurtkę. Pomachała Ezmie na pożegnanie i ruszyła do tylnych drzwi. Na ganku

dwaj kucharze palili w błękitnej poświacie latarni. Było chłodno, gęsta mgła pełzała między samochodami i zwieszała się z gałęzi drzew.

Kristi puściła się biegiem. Wodopój, studencka knajpa, o tej porze będzie tak zatłoczony, że nie musi się obawiać intymnej atmosfery, a w tylnej salce jest trochę spokojniej niż przy barze. Może się zdarzyć, że ktoś zobaczy ich razem, ale co z tego?

Wpadła do baru spóźniona tylko o osiem minut. Pchnęła drzwi ramieniem i rozejrzała się. Jay siedział przy barze wpatrzony w ekran telewizora, z piwem w dłoni. Siedział tyłem do niej, ale rozpoznała zmierzwione ciemne włosy, szerokie ramiona w szarej bluzie i džinsy, w których był na zajęciach, wypłowiałe, z podartą kieszenią. Stołek koło niego był pusty, ale oparł o poprzeczkę stopę w adidasie, jakby trzymał dla niej miejsce.

Akurat. Wcale nie chciał tu przyjść. Słyszała wahanie w jego głosie.

Od kilku dni zbierała się na odwagę, by do niego zadzwonić, a zrobiła to tylko dlatego, że bardzo potrzebowała jego pomocy.

Odetchnęła głęboko, lawirując między stolikami. Ludzie śmiali się, żartowali, flirtowali, drinki dźwięczały kostkami lodu, powietrze zasnuwał papierosowy dym mimo wysiłków klimatyzatora. Muzyka płynąca z głośników przeplatała się z odgłosami rozmów.

Gdy podchodziła, Jay odsunął stołek, jakby wyczuł jej obecność.

- Niezła sztuczka - powiedziała.

Wskazał szklanką lustro za barem. Napotkała swoje spojrzenie i usiadła.

- A już myślałam, że jesteś jasnowidzem. Uśmiechnął się lekko.

- Gdybym był, wiedziałbym, czego ode mnie chcesz, prawda?

- No tak. - Zwróciła się do barmana: - Piwo bezalkoholowe, cokolwiek z beczki.

- Coors? - Barman starł ladę i cisnął szmatę do wiadra.

- Może być. - Uśmiechnęła się sztucznie i spojrzała w surowe oczy Jaya. - Pewnie się zdziwiłeś, kiedy zadzwoniłam.

- Jeśli chodzi o ciebie, nic mnie nie dziwi.

Barman postawił przed nią oszronioną szklanę. Podała mu dowód osobisty i kilka banknotów.

- To napiwek - mruknął Jay do barmana. - Piwo na mój rachunek. - Zwrócił się do Kristi: - Porozmawiamy w sali obok, tam, gdzie grają w rzutki. Powiesz mi, o co ci chodzi.

- I ogram cię.

- Chyba w twoich snach, kochanie - rzucił i jej głupie serce zabiło mocniej. Nie ulegnie jego urokowi, ani teraz, ani nigdy. Przecież nie zapomniała, dlaczego zerwała z nim przed laty. Najgorsze, że ma trzydniowy zarost, taki niby niechlujny szyk, którego nie znosiła. Wygląda przez to jak znużony życiem kowboj. Cholera. Mógłby przynajmniej być brzydki.

Wzięła swoje piwo i znowu przeciskała się między stolikami. Kelner właśnie sprzątał stół pod ścianą. Gdy skończył, Kristi usiadła, a Jay zajął miejsce naprzeciwko niej. Postanowiła darować sobie wstępne pogaduszki i od razu przejść do sedna sprawy.

- Potrzebuję twojej pomocy, bo jesteś wykładowcą i masz dostęp do akt, które dla mnie są nieosiągalne.

- Taa - mruknął sceptycznie.

- Zajmuję się zaginięciami czterech dziewcząt - wyjaśniła i zanim zdążył jej przerwać, powiedziała mu wszystko o swoich dotychczasowych ustaleniach, obawach Lucretii, fakcie, że nikogo nie interesuje los czterech studentek, i wreszcie to, że mogły skończyć tragicznie.

Jay założył ręce na piersi, oparł się wygodnie i słuchał, przyglądając się jej tymi cholernymi złotymi oczami.

- Nie uważasz, że to sprawa policji? - zapytał, kiedy skończyła.

- Czyli dla ciebie - odparła.

- Pracuję w laboratorium.

- Ale masz dostęp do wszystkich akt. Pochylił się i oparł łokcie na stole.

- Kristi, istnieje coś takiego jak jurysdykcja, podział terytorialny, że już nie wspomnę o tym, że nikt poza tobą i napalonymi dziennikarzami nie podejrzewa przestępstwa.

- Co z tego, że mogę się mylić? Będziemy przynajmniej mieli świadomość, że spróbowaliśmy. Na razie nie robimy nic, bo nikomu nie zależy na tych dziewczynach.

- My? Przecież to twój pomysł.

Upił spory łyk piwa i spojrzał na nią. Myślał intensywnie, niemal widziała trybiki w jego mózgu. Jedno, co zawsze w nim podziwiała, choć zarazem bardzo ją denerwowało, to że wielki z niego społecznik.

Prawdziwy pozytywista, jeśli chodzi o sprawy karne.

- Nieważne, czyj to pomysł. Musimy to sprawdzić.

- Zwróć się do tutejszej policji.

- Już to zrobiłam. Nic mi to nie dało.
- To chyba o czymś świadczy.
- Tylko o tym, że one nikogo nie obchodzą! - Uniosła się.

Zapomniała już, jaki bywa wkurzający.

- Skoro miejscowi mają to w nosie, zwróć się do ojca.
- Zastanawiałam się nad tym, ale uznałam, że to bez sensu. Ojciec i tak się denerwuje, że tu jestem. Wie o zaginionych i jest pewien, że ja będę następna.

- I może ma rację, skoro ciągle wieszysz.
- Tylko jeśli na kampusie działa psychopata; jeśli nie, nic mi nie grozi. Ale jeżeli tak, musimy coś zrobić.
- Narazając cię na niebezpieczeństwo?
- Jeśli zajdzie taka potrzeba.
- Na Boga, Kristi, czy ty się niczego nie nauczyłaś po poprzednich przejściach? - Zacisnął usta w wąską kreskę i sam sobie odpowiedział: - Najwyraźniej nie.

- Pomożesz mi czy sama mam się tym zająć?
  - Nie próbuj szantażu emocjonalnego. - Uniósł brew z blizną i dopił piwo.
  - Skąd to masz? - Wskazała bliznę.
  - Wkurzyłem pewną kobietę.
  - I to porządnie, jak widzę. Pobiła cię?
  - Cisnęła we mnie pierścionkiem.
- Więc tak się skończyły zaręczyny, o których co nieco słyszała.
- Czyli namiętna.

- Aż za bardzo.

- A to w ogóle możliwe?

I znowu ten wszechwiedzący uśmieszek.

- Są różne namiętności, Kris - odparł. - Kiedy nie dostajesz tego, co chcesz, pasja zmienia się we frustrację i gniew. Uznałem, że lepiej mi będzie bez kobiety, która jednego dnia mówi, że mnie kocha, a drugiego chce mnie zabić. - Odnalazł jej wzrok. - Tyle informacji o moim życiu uczuciowym chyba ci wystarczy. A teraz powiedz, czego ode mnie oczekujesz. Danych osobowych, ocen, podań? Wszystkiego o zaginionych?

- Byłoby super.

- I nielegalnie. Nie ma mowy.

- No dobrze, więc przejrzyj ich akta i daj znać, jeśli znajdziesz coś podejrzanego, coś, co może je łączyć, oprócz chodzenia na te same zajęcia i rozbitych rodzin. Jesteś gliniarzem.

- I mogę stracić pracę.

- Proszę tylko, żebyś się rozejrzył, a nie łamał prawo. Przechodząca kelnerka zapytała, czy im przynieść kolejne piwo. Jay skinął głową.

- Ja też poproszę - mruknęła Kristi, czekając na jego odpowiedź.

Milczał, więc powiedziała: - Jeśli coś znajdziesz, od razu pójdziemy na policję. Albo do straży uniwersyteckiej.

Nadal się nie odzywał.

- No, Jay. Zagrajmy w rzutki. Jeśli wygram, przejrzysz akta.

- A jeśli przegrasz? - spytał.

- Nie przegram.

- Wciąż taka pewna siebie? - Zmarszczył brwi. - Nie ma mowy. Chcę wiedzieć, co mogę wygrać.

Wróciła kelnerka. Pustą szklanekę Jaya wymieniła na pełną, a przed Kristi postawiła nowe piwo, tak że teraz miała półtora.

- No dobra, profesorze. Jeśli wygrasz, dostaniesz, co chcesz. Dopła pierwsze piwo i wstała. Akurat jedna tarcza była wolna. Podeszła do niej i wyjęła rzutki z futerału. Jay także wstał.

- Zgoda. Ale uprzedzam, że nie spodoba ci się to, czego zażądam. Przeszył ją dreszcz, lecz zignorowała go i skupiła się na grze. Bóg jeden wie, czego Jay mógłby zażądać. Tyle że nie zażąda. Bo ona nie przegra.

## ***Rozdział 12***

---

Silnik półciężarówki szumiał cicho, a Jay, stojąc pod domem Kristi, doszedł do wniosku, że jest idiotą. Stuprocentowym idiotą.

Kristi spakowała się i sięgnęła do klamki. Przegrał z nią w rzutki. I to nie raz, ale trzy partie na pięć. Podejrzewał, że te dwa razy wygrał tylko dlatego, że umyślnie nie trafiała w tarczę, by jego męskie ego za bardzo nie ucierpiało. Chociaż to raczej nie w jej stylu. Odkąd pamiętał, walczyła zajadle do ostatniej kropli krwi. Celowa przegrana nie leży w jej naturze.

Oczywiście mógłby zwalić winę na piwo, ale wypił tylko trzy w ciągu kilku godzin. Kristi zresztą dotrzymywała mu kroku i alkohol w najmniejszym stopniu nie wpłynął na jej celność.

No i przegrał ten cholerny zakład, za to zgodziła się, żeby ją odwiózł. I tak znaleźli się na parkingu pod domem, w którym mieszkała, staroświecką kamienicą z greckimi kolumnami i szerokimi gzymsami. Nawet w mdłym świetle latarni widać było, że budynek stracił dawną urodę. Imponującą niegdyś rezydencję podzielono na małe mieszkanie, a ganek i balkon na piętrze służyły za korytarze.

Szkoda, pomyślał, ale nie powiedział tego na głos.

Kristi zerknęła na niego.

- Wejdiesz na górę? - zapytała. Otworzyła drzwi i wyskoczyła z kabiny. - Mieszkam na trzecim piętrze.

Nie, pomyślał. To byłby gigantyczny błąd. Jednak jego ręka już znalazła klamkę. Wsiadł, schował kluczyki do kieszeni i skarcił się w duchu, że to robi.

Przynajmniej rozejrzę się po mieszkaniu i upewnię, że Kristi jest bezpieczna, tłumaczył sobie. Miał jednak świadomość, że to tylko wymówka. W rzeczywistości nie chciał się z nią rozstawać...

Minęli zapuszczony trawnik i bujne zarośla. Na rogu budynku ktoś siedział na werandzie i palił papierosa. Śledził ich wzrokiem, gdy wchodzili na górę, ale milczał.

Kristi była już na schodach. Jay szedł za nią.

Nie ufaj jej. Pewnie, mogła się zmienić podczas tych dziewięciu lat, ale jak mawiała babcia, tygrys nie zrzuci pasków w ciągu jednej nocy. Ani nawet dekady.

Dotarli na trzecie piętro. Kristi szła przed nim i nie mógł nie zauważyć, że ma bardzo obcisłe dżinsy.



Boże drogi, ale fajny tyłeczek.

Aż za dobrze go pamiętał. Zmełł w ustach przekleństwo.

Oderwał od niej wzrok i rozejrzał się dokoła. Było tu tylko jedno mieszkanie, wtulone w poddasze. Na niższych piętrach mieściły się po dwa, trzy, lecz spadzisty dach ograniczał dostępną przestrzeń. Pewnie kiedyś znajdowały się tu kwatery służby.

Okienko w korytarzu wychodziło na małe podwórko za domem. Dalej widać było wysoki mur otaczający college. Jay dostrzegł wierzchołki drzew, wieżę kościelną i spadzisty dach kaplicy, a także inne budynki. Rozpoznał charakterystyczną fasadę biblioteki i wieżyczkę na Wagner House.

Choć przekonany, że popełnia duży błąd, wszedł do mieszkania i zamknął za sobą drzwi.

Kristi rzuciła plecak na sfatygowany tapczan, zdjęła kurtkę i powiesiła ją na wieszaku w holu.

- Fajnie tu, co? - zapytała z wyraźną dumą.

Drewniana podłoga zdradzała lata użytkowania. Kominek zajmował całą ścianę, na przeciwległej kusiły wysokie okna. Kuchnię udawał blat ze zlewem i kuchenką. Wszędzie unosił się zapach starości, którego nie stłumiły aromatyzowane świece ani kadzidełka. Mieszkanku przydałby się taki lifting, jaki zafundował domkowi ciotki Colleen, ale Kristi była zachwycona.

- Cóż, fajnie na pewno, ale czy modnie, nie jestem pewien. W jej oczach błysnęło rozbawienie.

- No jasne, co ty o tym wiesz?

- Punkt dla ciebie, Bentz - przyznał. - Moda to nie moja bajka.

- Cóż... - Zapomniała, o czym rozmawiali, interesował ją tylko powód, dla którego go zaprosiła. - Zobacz, co już mam. - Wskazała biurko zavalone papierami.

Na wierzchu stał laptop. W poobijanym kubku czekały długopisy, w miseczce leżały spinacze, taśma klejąca i zszywacz. Na tablicy korkowej na ścianie wisiały fotografie czterech zaginionych, a poniżej Kristi umieściła dane osobowe i wszystko, co udało jej się ustalić: cechy charakteru, sytuacja rodzinna, narzeczeni, przyjaciele, praca, adresy z ostatnich pięciu-sześciu lat, wybrane zajęcia i wszelkie inne informacje, które zdołała zdobyć.

- Tyle samo uwagi poświęcasz studiom? - zapytał. Kristi wzruszyła ramionami.

- Napijesz się piwa? O rany, poczekaj, nie wiem, czy coś mam. - Podeszła do kącika kuchennego i zajrzała do małej i najwyraźniej pustej lodówki.

- Przykro mi, nie spodziewałam się gości. Mam tylko lemoniadę. Możemy się podzielić.

- Dzięki - odparł.

Kristi wyjęła butelkę i zamknęła lodówkę nogą. Wlała lemoniadę do dwóch szklanek i wyszperała w szafce torebkę kukurydzy do prażenia.

- Nic nie jadłam - wyjaśniła.

Włączyła mikrofalówkę i podała mu lemoniadę. Wziął szklankę, nie odrywając wzroku od korkowej tablicy z informacjami. Kristi upiła łyk lemoniady i powiedziała:

- Każda dziewczyna ma swój kolor. Dionne, pierwsza zaginiona, żółty.

- Wszystkie informacje o Dionne były zaznaczone żółtym markerem.

- Potem zaginęła Tara, która, tak się akurat składa, mieszkała właśnie tutaj...

Oderwał wzrok od tablicy i spojrzał na nią.

- W tym mieszkaniu? - zapytał z niedowierzaniem. Skinęła głową.

- Właśnie tutaj.

- Chyba żartujesz - powiedział, choć widział, że Kristi mówi poważnie. Wreszcie zainteresowała go naprawdę. Jedna z zaginionych mieszkała właśnie tutaj? Wpatrywał się w dane o Tarze, jakby od tego zależało jego życie. - Mieszkała tu, zanim zaginęła? Wiedziałas o tym, kiedy się tu wprowadzałaś?

- Nie, to tylko zbieg okoliczności. - Odstawiła szklanekę na stolik, podeszła do biurka, wzięła gumkę do włosów i związała je w luźny kucyk, odsłaniając łabędzią szyję.

Jest piękna, pomyślał Jay. Upił łyk lemoniady.

- Nie podoba mi się to - powiedział ogarnięty nagłym niepokojem. W mikrofalówce strzelała kukurydza, pokój wypełnił zapach gorącego masła.

- Jeśli naprawdę je porwano...

- Naprawdę - rzekła z naciskiem, bardzo pewna swego.

- A ty tu mieszkasz?

- Przecież nie wiedziałam o tym! - prawie krzyknęła. Kukurydza strzelała coraz głośniejsze. - Ale to i tak bez znaczenia - dodała już spokojnie.

-Zmieniłam zamek, zainstalowałam nowe zasuwki w oknach. Jestem tu

bezpieczna nawet bardziej niż gdzie indziej. Jeśli ktoś stoi za ich zniknięciami - wskazała zdjęcia dziewczyn - a jestem o tym przekonana, nie wróci tutaj. Piorun nie uderza dwa razy w to samo miejsce.

Jay pokręcił głową.

- Nie rozmawiamy o wybrykach natury.

- Nie? - Nagle ściszyła głos.

Zaskoczyła go.

- O co ci chodzi?

- Wydaje mi się - starannie dobierała słowa - że za ich zniknięciem stoi ktoś z gruntu zły. Mroczny.

- Mroczny?

- Tak. Wydaje mi się, że mamy do czynienia z istotą tak złą, tak zdeprawowaną, że nie można jej nazwać człowiekiem.

- Co ty sugerujesz, Kristi?

- Dużo czytam. O wampirach. Jay odetchnął z ulgą i roześmiał się.

- No dobra. Nabrałaś mnie.

- Mówię poważnie.

- Daj spokój. Chyba nie wierzysz w romantyczną...

- Nie ma w tym nic romantycznego - przerwała mu. - Pytasz, czy wierzę w wampiry? Nie, skądże. Ale są tacy, którzy w nie wierzą. A jeśli wierzysz, że coś istnieje, to tak jest. Przynajmniej dla ciebie.

- Więc ten, kto porywa dziewczyny, wierzy w wampiry; do tego zmierzasz?

- Niemal słyszę twój śmiech.

- Nie, naprawdę nie jest mi do śmiechu.

- Podejrzewam, że on wierzy w wampiry albo nawet w to, że sam nim jest. A człowiek z taką obsesją byłby bardzo niebezpieczny.

Jaya przeszył lodowaty dreszcz. Co to było? Strach? Przeczucie?

- Ponosi cię wyobraźnia - odparł, ale słyszał wahanie w swoim głosie. Kristi tylko pokręciła głową.

- Posłuchaj mnie, Lucretio - rzucił gniewnie do telefonu. - Zdaję sobie sprawę, że się niepokoisz. Ba, wiem nawet, że chcesz to wszystko rozplatać, że masz wyrzuty sumienia, ale nie możesz mieć wszystkiego. Albo mi ufasz, albo nie.

- Ufam ci - zapewniła. Przypomniała sobie jego przystojną twarz i ich pierwszy pocałunek: delikatną, czułą komunię ust, która zapowiadała o wiele więcej. Stali wtedy na tylnym ganku Wagner House, o zmierzchu, w deszczu. Mówiło się, że budynek jest nawiedzony; według niej był magiczny. Jedyne źródło światła stanowiły oplatające go bożonarodzeniowe lampki. Każda żaróweczka była jak świeczka rozjaśniająca grudniową noc. Przypomniała sobie zapach deszczu na jego skórze i drzenie, które ją ogarnęło, gdy dotknął jej ust swoimi.

Chciała mu się oddać, a on o tym wiedział.

Wiele godzin później kochali się raz za razem w jej pokoju i czuła, jak ich dusze stapiają się w jedno.

A teraz z nią zrywa?

- Nie rozumiem - powiedziała cicho. Oboje wiedzieli, że to kłamstwo.

- Jeśli nie mogę liczyć na całkowite zaufanie...

- Chciałeś powiedzieć: całkowitą władzę - wpadła mu w słowo z dawną werwą- i posłuszeństwo. Ślepe posłuszeństwo.

- Zaufanie - powtórzył miękko i przypomniała sobie, jak muskał oddechem jej ucho, a jego usta dokonywały cudów z jej nagim ciałem. Sprawiał, że drżała jednocześnie z zimna i gorąca...

Oddawała mu się ochoczo, podziwiała jego siłę, gdy unosił się na łokciach i całował jej piersi. Patrzyła, jak się porusza, widziała, jak w nią wchodzi.

Czasami odwracał ją na brzuch i brał od tyłu. Często ją gryzł, zostawiając na jej karku ledwie widoczne ślady, żeby przez cały tydzień miała pamiątkę po zmysłowej sesji.

- Powiedziałaś przecież, że ci ufam.

- Ale ja nie ufam tobie, w tym problem. Oboje wiemy, co zrobiłaś, Lucretio. Zdradziłaś mnie. Zdaję sobie sprawę, że nie wiedziałaś, co myśleć. Bałaś się. Ale powinnaś była przyjść z tym do mnie, a nie do kogoś z zewnątrz.

- Proszę cię.

- To koniec.

Te słowa niosły się echem po jej głowie. Twarde. Ostateczne.

- Nie, przepraszam, powinnam była...

- Powinnaś była zrobić dużo rzeczy. I mogłaś je zrobić, ale teraz jest już za późno, i dobrze o tym wiesz.

- Nie! Nie wierzę!

- No właśnie. Nie wierzysz i na tym polega problem. Ale chyba zdajesz sobie sprawę, że to, czego doświadczyłaś, jest święte i nie wolno ci o tym mówić. Umiesz trzymać język za zębami? Tak czy nie?

- Tak!

- Zatem jest szansa. Marna, lecz jednak szansa, że będzie ci wybaczone.

Jej serce zabiło żywiej, choć podejrzewała, że on znowu kłamie. Kusi ją, żeby nie poszła na policję albo do władz uczelni.

- Ale jeśli piśniesz choć słowo, nie zdołam cię ochronić.

- Grozisz mi?

- Ostrzegam.

Boże drogi. Łzy wezbrały jej pod powiekami, dławily w gardle. Rozpacz ścisnęła serce. Nie może go stracić.

- Kocham cię. Chwila milczenia.

- Wiem - rzucił i rozłączył się.

Patrzyła na milczący telefon, czuła, jak łzy spływają jej po policzkach. Nie tak miało być, nie tak. Kocha go. Kocha.

- Nie! - jęknęła. Czuła, jakby wrywano jej duszę. Bez jego miłości była pusta. Bezużyteczna.

Szlochała głośno i nie pomagały racjonalne pociechy. Na świecie jest mnóstwo innych mężczyzn.

- Nie takich jak on - powiedziała na głos. - Nie takich jak on. -

Objęła kolana ramionami i kołysała się monotonicznie. Nie chciała myśleć, że już nigdy go nie pocałuje, nie dotknie, nie poczuje go w sobie, ale ta świadomość towarzyszyła jej cały czas. Przez łzy spojrzała na biurko.

Stał tam komputer i zdjęcia - nie jego, nie godził się na to - jej przyjaciółek. I jeszcze doniczka z kaktusem oraz kubek pełen długopisów i ołówków. Były w nim także nożyczki. Ostre nożyczki.

Zagryzła usta. Czy zdobędzie się na odwagę, by z tym skończyć?

On nie jest tego wart.

- Właśnie że jest. - Poświęci się, udowodni mu, jak bardzo go kocha.

Przeleje swoją krew!

Dlaczego nie obdarzyła go ślepym zaufaniem? Dlaczego nie jest taka jak inne... i dlaczego wciągnęła w to Kristi Bentz? Gdyby nie to, kochałby ją nadal. Pieściłby ją, powtarzał, że jest piękna.

Osunęła się na podłogę, skuliła do pozycji embrionalnej i kołysała się monotonicznie. Żadnej ulgi. Otworzyła oczy i znów spojrzała na nożyczki. Bez trudu przetnie nimi skórę i otworzy żyły.

Wciąż jednak się wahała.

Gdyby wcześniej z równą ochotą zamieniła krzyżyk na fiolkę z krwią, teraz nie zastawiałaby się, czy popełnić samobójstwo z miłości.

Zadzwoniła mikrofalówka. Nieliczne ziarna jeszcze pękały, strzelały jak karabin. Jay milczał od kilku minut.

- Martwię się o ciebie - powiedział w końcu. - Zostawię ci Bruna.

Kristi roześmiała się. Chciała, żeby jej wysłuchał i uwierzył, ale strażnika jej nie trzeba. Od tego ma ojca.

- Pani Calloway oszaleje ze szczęścia. Nie pozwala trzymać zwierząt.

- Podeszła do mikrofalówki i ostrożnie wyjęła pękłą torebkę.

Jay spojrzał na miseczki stojące koło lodówki.

- Chyba już złamałaś zakaz.



Otworzyła torebkę i po kuchni rozszedł się maślany zapach.

- Houdini to włóczęga, nie mieszka tutaj - odparła. Widząc jego niedowierzanie, dodała: - Nie mam nawet kuwety. Więc dzięki za psa, ale nie.

- W takim razie ja zostanę.

Wstrzymała oddech.

- Cóż... To chyba też kiepski pomysł. I jak to wytłumaczysz mojemu ojcu?

- Powiem mu prawdę. Może zgodzi się nam pomóc.

- Nie - powiedziała, wsypując prażoną kukurydzą do miski. - Teraz w niczym nam nie pomoże.

Jay spojrział przez okno w stronę kampusu. Było uchylone i usłyszał, jak kościelny dzwon wybija godzinę. Północ. Godzina duchów.

- Nie podoba mi się, że mieszkasz w mieszkaniu Tary Atwater. To nie wygląda na zwykły zbieg okoliczności.

Podeszła do biurka, odsunęła kubek ze spinaczami i postawiła miskę z kukurydzą na blacie.

- Znalazłam to mieszkanie w Internecie. Zadzwoiłam i wynajęłam je, zanim się dowiedziałam, że Tara tu mieszkała. - Wzięła kilka ziarenek kukurydzy i pchnęła miskę w stronę Jaya, częstując go bez słów.

Zaczerpnął garść. - Wtedy nie miałam pojęcia, że Tara Atwater jest jedną z zaginionych. Oczywiście coś o nich słyszałam. Ojciec wspominał, że mogło im się coś stać, w telewizji też coś o tym mówili, ale myślałam, że to tylko poszukiwanie sensacji. Nikt zresztą nie twierdził, że dziewczyny zostały porwane, przecież teraz też nie jesteśmy tego pewni. A dlaczego

wylądowała akurat w tym mieszkaniu? Bo większość wynajęto na cały rok szkolny już we wrześniu i w grudniu; gdy ja szukałam kwatery, na rynku był mały wybór.

- Odnoszę wrażenie, że chcesz przekonać samą siebie. Uśmiechnęła się blade.

- Masz rację - przyznała. - Ale nadal uważam, że to zbieg okoliczności.

- Jasne, to tylko zbieg okoliczności, że mieszkasz w mieszkaniu Tary Atwater i bawisz się w domorosłego detektywa, próbując rozwikłać sprawę zaginionych studentek.

- Zaciekawiała mnie ta sprawa, a potem Lucretia poprosiła mnie o pomoc.

- Lucretia? - Zmarszczył brwi. - Nie miałaś przypadkiem współlokatorki o takim imieniu? Nie przepadałaś za nią...

- Tak, to ona - potwierdziła Kristi i streściła Jayowi swoją rozmowę z Lucretią na temat zaginionych dziewczyn. - Obiecałam jej, że się tym zajmę - podsumowała.

- Nadal mi się nie podoba, że mieszkasz tu sama. - Jay miał nieprzyjemne wrażenie, że sytuacja wymyka mu się z rąk.

- To tylko mieszkanie. Niestety, pies nie może tu zostać. Ty też nie. Koniec, kropka. - Podniosła wzrok na korkową tablicę. - Wracamy do kolorów.

Tara to różowy, Monique zielony, a Rylee niebieski. Wypisałam wszystko, co mogło je łączyć: ludzi, miejsca, przedmioty. To te miejsca, gdzie pojawiają się dwa, trzy lub cztery kolory.

Cztery kolory łączyły się tylko w jednym miejscu - na grafiku zajęć zaginionych. Wszystkie dziewczyny studiowały literaturę angielską i chodziły na zajęcia tych samych wykładowców.

- Miały niewielu przyjaciół i fatalną sytuację rodzinną - ciągnęła Kristi.

- Skontaktowałam się z ich rodzicami, ale nic mi to nie dało. Rodzice zaginionych uważają, że brak wieści o córkach oznacza, że wszystko jest w porządku. Wszystkie cztery miały w przeszłości kłopoty z alkoholem, narkotykami i nieodpowiednim towarzystwem. Rodziny spisały je na straty.

- A przyjaciele?

- Jeśli któraś miała bliską przyjaciółkę, jeszcze do niej nie dotarłam. Nawet Lucretia twierdzi, że żadnej dobrze nie znała. - Kristi zmarszczyła czoło, aż między brwiami pojawił się surowy mars. - Próbowałam się do niej dodzwonić, ale nie odbiera i nie oddzwania.

- Dlaczego?

- Nie mam pojęcia - odparła, machinalnie bawiąc się długopisem. - Może uznała, że musi coś zrobić, więc podzieliła się ze mną swoimi obawami, a teraz umywa ręce.

- Pozbyła się wyrzutów sumienia i zwała wszystko na ciebie.

- Albo żałuje, że cokolwiek powiedziała. Jay westchnął.

- Więc to były cztery samotnice.

- Rozmawiałam z ludźmi, którzy chodzili z nimi na zajęcia, i z ich znajomymi z pracy. Wszyscy powtarzali: nie znałem jej, była bardzo skryta, trzymała się na uboczu, i tak dalej.

Jay jeszcze raz przyjrzał się tablicy, zwłaszcza punktom, gdzie kolory się nawarstwiały.

- Wszystkie miały pisanie z Prestonem, Szekspira z Emmersonem, dziennikarstwo z Senegal i wampiry z Grotto? - Przeszył go dreszcz. - Jezu, Kristi, przecież to twój rozkład.

- Wiem.

- Wiesz?

Wzruszyła ramionami.

- Oczywiście. Pamiętaj, że to system komputerowy układa nam plan, więc nie tylko one miały taki rozkład. Są też pewne różnice. Na przykład Tara miała zajęcia z twoją poprzedniczką, profesor Monroe, a Monique i Rylee - literaturę z Croft, szefową wydziału. Dionne - pochyliła się nad tablicą - miała jeszcze religię z ojcem Tonym i wprowadzenie do prawa karnego z Hollister.

- Sporo.

- Chyba chciała zrobić dwa semestry w jeden, tak mi się wydaje.

Kiedy zaginęła, była zapisana na sześć przedmiotów. I do tego pracowała w pizzerii. I jeszcze jedno. Wszystkie cztery brały udział w moralitetach księdza Mathiasa, organizowanych przez wydział teatralny.

- W moralitetach?

- Wiem, wiem, dziwnie to brzmi. Tak średniowiecznie. Jeszcze nie do końca wiem, o co w tym chodzi, ale słyszałam od dziewczyn na wampirach, że pierwszy będzie wystawiony w niedzielę, więc się tam wybieram. Nie poszedłbyś ze mną?

- A chcesz?

Zabrzmiało to jak pytanie o randkę i od razu się wycofała.

- Nie, lepiej pójdę sama. Ktoś mógłby cię zauważyć.

- Może jednak pójdę.

- Nie. Naprawdę, Jay. To moja sprawa.

- Nie podoba mi się to - mruknął. Jeśli Kristi ma rację, w kampusie grasuje psychopata, który porywa kobiety; jeśli się myli, coś innego je wystrasza. Cztery zaginięcia na tak niewielkiej uczelni muszą budzić niepokój. - Nie mieści mi się w głowie, że administracja się tym nie zajmuje.

- Administracja zamiata sprawę pod dywan. I tak spadła im liczba chętnych, obawiają się złej prasy. Poruszyłam ten temat w rozmowie z dyrektorem do spraw studenckich i mało brakowało, a wyrzuciłaby mnie z gabinetu.

- Ale odpowiedzialność...

- Nie ma problemu, nie ma odpowiedzialności. Wyznają zasadę: nie pytaj, nie będziesz oszukany. A zatem nie ma problemu.

- Cholera. - Pokręcił głową. - Musisz iść z tym na policję.

- Zastanów się. Wejść na posterunek w Baton Rouge i dokąd się skieruję? - Wzruszyła ramionami. - Do wydziału zaginionych? Pokażę im wykresy i powiem... no, co? Że jestem córką nowoorleańskiej gwiazdy policji, detektywa Ricka Bentza, i mają mnie słuchać? Zresztą nawet jeśli tego nie powiem, skojarzą nazwisko, dodadzą dwa do dwóch i wkurzą się, że nie przestrzegamy jurysdykcji. Po takim numerze wyrzucą mnie na zbity pysk, a ojca wezwą na dywanik. Wielkie dzięki.

Chudy czarny kot wślizgnął się przez uchylone okno nad zlewem.

- Cześć, Houdini - zawołała, gdy ukrył się pod tapczanem. - Milutki jak zwykle, co? - zażartowała.

Jay nie pozwolił na zmianę tematu.

- Władze muszą się dowiedzieć, co znalazłaś. Zadzwoń do ojca i wytłumacz. ..

- Jasne. Zabierze mnie stąd, ani się obejrzę.

- Nie może, jesteś dorosła.

Spojrzała na niego jak na wariata.

- No pewnie, powiedz mu to! Albo przyśle mi ochroniarza, albo sam się tu zainstaluje. Nie, angażowanie detektywa Bentza nie wchodzi w grę. Owszem, jestem dorosła i załatwimy to po mojemu.

- Cokolwiek to znaczy.

- Tak jest. - Nagle uśmiechnęła się, jakby wyczuła, że skapitulował, choć był pewien, że niczego nie dał po sobie poznać.

Boże, jaka ona jest piękna. Starał się nie zwracać na to uwagi, ale to cholernie trudne, kiedy tak na niego patrzy tymi zielonymi oczami. Poczuł, jak ogrania go pożądanie, przypomniał sobie, jak trzymał ją w ramionach, zdyszana i spocona. Zaszło mu w gardle. Odwrócił wzrok, wbił ręce w kieszenie i zacisnął zęby, żeby stłamsić głupie pragnienia. Ona tu opowiada o porwaniach i potencjalnym morderstwie, a on myśli tylko o jednym. Bez sensu.

- Czas na mnie - mruknął.

- Ale pomożesz mi?

- Pod warunkiem, że nie będę musiał łamać prawa.

- Obiecuję - zapewniła i zrobiła taką minę, jakby chciała ugryźć się w język.

Nie musiała się tłumaczyć. Pamiętał, że to samo powiedziała prawie dziesięć lat temu, gdy wsuwał jej pierścionek na palec.

- Świetnie - rzucił lekko, jakby o tym zapomniał. Nie ma sensu babrać się w przeszłości. Przecież byli wtedy dziećmi. - Do zobaczenia na zajęciach.

I wyszedł. Nawet się nie obejrzał.

Miałem rację, pomyślał zbiegając ze schodów. Jeśli chodzi o Kristi Bentz, jestem kretynem pierwszej wody.

## ***Rozdział 13***

---

Po wyjściu Jaya Kristi przez ponad godzinę buszowała w cyberprzestrzeni. Wymyślała sobie nowe nicki, wchodziła do różnych czatroomów, pełnych dzieciaków, które zamiast spać, zaglądały do sieci. Zaintrygował ją tylko jeden pokój, w którym rozmowa obracała się głównie wokół wampirów i krwi w literaturze, a nie wokół mutantów, wilkołaków i wampirów z najbardziej kiczowatych produkcji dwudziestego pierwszego wieku. Przez większość czasu milczała, śledziła tylko wypowiedzi pozostałych uczestników. W innych czatroomach rozmawiano o serialu o Buffy i serii filmów o Bładzie, a tutaj dyskusja dotyczyła wampirów w literaturze. Przez moment wydawało jej się nawet, że moderatorem dyskusji jest Dominic Grotto we własnej osobie. Padały

pytania o Elżbietę Batory, hrabiankę, która kąpała się we krwi służących, pojawił się też Vlad Tepes, Palownik, znany także jako Vlad Dracula, który, jak się powszechnie uważa, zainspirował Bramę Stokera, autora książki o hrabim Draculi. Dyskutowano o Rumunii i Transylwanii, starano się rozróżnić prawdę od fikcji i cały czas wracano do tematu picia krwi.

Przed wszystkim jednak uczestnicy tego czatroomu wydawali się szczerze zainteresowani tematem, nie chodziło im tylko o zaszokowanie pozostałych internautów.

Kristi nałała sobie dietetycznej coli i zapisała nicki wszystkich obecnych na czacie z uwagami, co interesowało ich szczególnie. Wyglądało na to, że wszystkie nicki jakoś łączą się z krwią. Ponieważ nie chciała się wyróżniać, zalogowała się jako ABRh-1984, choć ani nie miała takiej grupy krwi, ani nie urodziła się w 1984 roku. Starła się ukryć prawdziwą tożsamość. Co kilka minut zadawała jakieś pytanie, żeby nie pomyśleli, że ich szpieguje.

Choć właśnie to robiła, bo po cóż innego miałyby ślęczeć nad monitorem o tak późnej porze?

Męczyło ją śledzenie dyskusji na kilku czatach jednocześnie. Początkowo plątały jej się wątki poszczególnych rozmów, szybko jednak to opanowała i bezbłędnie klikała we właściwe okienka. Interesowali ją internauci z Baton Rouge, albo przynajmniej z Luizjany. Niestety po nickach nie sposób się zorientować, skąd pochodzą ich właściciele.

To było jak szukanie przysłowiowej igły w stogu siana, choć starła się zawęzić zakres poszukiwań, wymieniając nazwę stanu.



Aż wreszcie trafiła w dziesiątkę - ktoś wspomniał College Wszystkich Świętych i wampiryzm.

- Bingo - szepnęła, jakby się bała, że pozostali użytkownicy czatu ją usłyszą. Na szczęście wyłączyła kamerkę i mikrofon. Nie wierzyła własnemu szczęściu. Niejaki Dracoola mieszkał niedaleko. A przynajmniej coś go łączyło z uczelnią.

Czekała. Starła się czytać między wierszami, ba, nawet sobie wyobrażała poszczególnych użytkowników, choć widziała ich awatary; przeważały krople krwi, ostre kły i nietoperze. Goście w czatroomie się zmieniali, jednak kilka osób siedziało tam wytrwale. W końcu Po ProstuO wspomniał/a zajęcia profesora Grotto.

Kristi przeszył dreszcz oczekiwania. Coś się dzieje.

Zareagowało kilka osób i od razu zapisała sobie ich nicki. Dracoola, s, Drapieżca18, SexyVamp21, Deathmaster2, Domin8trxxx.

- Rany - szepnęła do kota, który zatrzymał się w połowie drogi do miski. - Co to za ludzie? - Houdini przywarł do ściany, spięty i przerażony.

Kristi zastanawiała się, w jaki sposób poruszyć temat zaginionych, ale rozmowa zmierzała w innym kierunku, a chciała zaprzyjaźnić się ze świrami, którzy nocami prowadzą z nieznajomymi wirtualne rozmowy o krwi, wampirach i innych stworzeniach nie z tego świata. Pozwoliła, by inni narzucali ton rozmowie, i jednocześnie cały czas szukała najmniejszych aluzji do szkoły, wampiryzmu na uczelni i zaginionych. Niedawno do czatroomu zajrzał DrDoNoGood. W jego pytaniach było coś niepokojącego.

Zna go?

Czy może ją?

Lekarz? Student medycyny? A może doktor nauk humanistycznych? Zagorzały fan Jamesa Bonda, ewentualnie Iana Fleminga? Przecież jego nick to nawiązanie do tytułu Doktor No.

Odpowiedział na kolejne pytanie i Kristi znieruchomiała. Dokładnie to samo pytanie widniało w jej notatkach z wykładów profesora Grotto.

Czyżby DrDoNoGood to internetowe alter ego Dominika Grotto?

Myśli kłębiły jej się w głowie. Czyżby to akronim jego nazwiska? A może tylko szuka nieistniejących połączeń w ciemną noc. Albo...

Serce zabiło jej szybciej, gdy przeczytała pierwsze litery internetowego nicka. DDNG albo DrDNG.

Czy aby drugie imię Grotto nie zaczyna się na N? A może na siłę dopatruje się związku? Doszukuje się znaczenia tam, gdzie go nie ma? Chyba ma pełne imię i nazwisko Grotto. W materiałach otrzymanych z uczelni.

Cały czas zerkając w monitor, znalazła na półce informator o college'u. Był sfatygowany, ale otworzyła go jedną ręką i znalazła rozdział z informacjami o poszczególnych wykładowcach.

- No, szybciej, szybciej - mruzczała. Z trudem skupiała się na wirtualnej rozmowie, która dotyczyła picia krwi i jej aspektu seksualnego.

- Fuj - wzdrygnęła się. - Wielkie dzięki. - W końcu otworzyła przewodnik na zdjęciu doktora Grotto. Jezu, ależ on przystojny. Przenikliwe spojrzenie, silnie zarysowany podbródek, wysokie czoło, ciemne włosy. I podpis pod fotografią: dr Dominic Nicolai Grotto.

Czy DrDoNoGood i dr Dominic Nicolai to ta sama osoba?

Nie mogła tego udowodnić, ale poczuła dreszcz, jakiego doznawał jej ojciec, gdy znajdował wskazówkę rzucającą odrobinę światła na zagmatwane drogi myślenia zabójcy.

- Jaki ojciec, taka córka - mruknęła pod nosem i zadała proste pytanie o zajęcia.

Zastanawiała się, czy można w jakiś sposób ujawnić jego prawdziwą tożsamość, jakoś go zdemaskować. Może odwoła się do jego próżności, zacznie narzekać na jego wykłady i poczeka, co się stanie.

Nadal skupiona na czacie, który teraz dotyczył kulturowych konotacji picia ludzkiej krwi, wyjęła notatki z wykładów. Może Grotto zareaguje, kiedy zacytuje jego słowa... Albo stwierdzi, że lepszy z niego aktor niż intelektualista, że jego zajęcia to nie tyle literatura, co teatr... Na pewno nie oprze się pokusie i zareaguje. Otworzyła nowe okno z notatkami z wykładów, ale zanim wymyśliła odpowiednie pytanie, DrDoNoGood się wylogował.

- O nie! - zawołała i szybko przejrzała wszystkie czatroomy w nadziei, że znajdzie go gdzie indziej. Niestety, jeśli nawet nadal przebywał w cyberprzestrzeni, był w pokoju, którego jeszcze nie zlokalizowała. - Co za pech! - Odepchnęła informator i już miała się wylogować, gdy w pokoju przed chwilą opuszczonym przez DrDoNoGood pojawiło się dziwne pytanie.

Zadał je Deathmaster7, a brzmiało:

- Nosicie fiolkę?

Kristi zastygła w bezruchu.

Trzy osoby odpowiedziały twierdząco, Drapieżca8 wystukał szereg znaków zapytania. Najwyraźniej też nie rozumiał, o co chodzi. Pojawiły się dwie odpowiedzi przeczące, jedna osoba milczała. Kristi postanowiła iść w ślad za większością i wystukała: tak.

- Witamy w klubie - mruknęła i zastanawiała się, w jaki sposób rozwinąć temat. Nagle coś sobie przypomniała: czy Lucretia nie wspominała, że dziewczyny z sekty i zarazem z zajęć Grotto noszą fiołki z własną krwią?

Deathmaster7 zapytał:

- Czyją?

Kristi gapiła się na monitor. Z mocno bijącym sercem uświadomiła sobie, że może wreszcie trafiła na związek, którego szukała, by się dowiedzieć czegoś więcej o rzekomej wampirycznej sekcji na kampusie. A jeśli się myli? Jeśli Lucretia wprowadziła ją w błąd? Czekwała z palcami na klawiaturze. Musi zachować ostrożność i nie odpowiadać pochopnie.

Odpowiedziała PoProstuO:

- Z moją, a niby czyją?

Reszta milczała, a że Kristi za wszelką cenę chciała podtrzymać rozmowę, napisała:

- Z moją.

Pozostali w końcu odpowiedzieli to samo.

Po raz pierwszy, odkąd zaczęła buszować po sieci, miała poczucie, że coś znalazła, i nie mogła opanować radości. Na samą myśl zagryzła usta niemal do krwi. Skąd pewność, że PoProstuO pisze o krwi? Kim jest? W jaki sposób, o ile w ogóle, wszyscy użytkownicy czatroomu są związani z

sektą? Zastanawiała się, czy PoProstuO to ktoś, kogo codziennie widuje na zajęciach Grotto. Czy jej nick, tak jak nick Kristi, powstał wyłącznie na użytek tego czatu? Czy jej grupa krwi to 0? A może O oznacza oposa albo Olgę?

Poczuła przyływ adrenaliny, nie mogła usiedzieć spokojnie. Była prawie pewna, że PoProstuO to kobieta. Wyczuwała to.

Czy PoProstuO naprawdę nosi fiolkę z własną krwią? O Boże! Wtedy uświadomiła sobie, że przecież wie, kto to jest! Na kampusie jest studentka, która przedstawia się tylko pierwszą literą imienia! Po prostu O!

Mówił jej o niej ojciec, który przesłuchiwał ją kilka lat wcześniej w trakcie śledztwa w jednej ze spraw związanych ze Szpitalem Naszej Pani od Cnót, opuszczonym szpitalem psychiatrycznym pod Nowym Orleanem. Wśród ofiar tamtego psychopaty była studentka College'u Wszystkich Świętych.

Bentz i Montoya przyjechali do Baton Rouge i przesłuchali studentów, krewnych oraz wykładowców ofiary. Dziewczyna z fiolką krwi na szyi była jedną z jej koleżanek.

Kristi zakreśliło się w głowie z wrażenia. Przeciągnęła się, aż coś trzasnęło jej w kręgosłupie, ale nie odrywała wzroku od monitora. W myślach odtwarzała swoją rozmowę z ojcem. Nie mieszkała z nim wtedy, tylko wpadła z wizytą. Olivii nie było w domu, Bentz i Montoya właśnie omawiali sprawę i Montoya wspomniał dziwną dziewczynę z fiolką krwi na szyi. Miała na imię Ofelia, ale prosiła policjantów, żeby się do niej zwracali O albo Po Prostu O.

Na zajęcia do Grotto rzeczywiście chodzi Ofelia, cicha dziewczyna, która zawsze siedzi z tyłu sali. Kristi nigdy z nią nie rozmawiała, nie znalazła się nawet na tyle blisko, by zobaczyć, czy nosi fiolkę na szyi.

Ale to się zmieni.

Choć sama myśl, że ktoś upuszcza sobie krew do malutkiej fiołki i później nosi... Boże, to naprawdę na granicy normalności. Ekran zamrugał. PoProstuO się wylogowała.

Kristi była rozczarowana. Wiedziała, że jest o krok od odkrycia czegoś ważnego, choć nie miała pojęcia, co to może być. Zerknęła na zegarek i jęknęła. Druga, a od rana ma zajęcia. No i musi przemyśleć wszystko, czego się dowiedziała. Przetrawić to. Może dobrze, że PoProstuO się wylogowała, bo rozmowa utknęła w martwym punkcie. Nawet Drapieżca18 miał dosyć i zniknął.

Oczy piekły ją ze zmęczenia i wpatrywania się w monitor. Wyłączyła laptopa i zastanawiała się, w jaki sposób skłonić Ofelię, by się przyznała, że właśnie ona jest PoProstuO. Jeśli nosi fiolkę na widoku, byłby to dobry punkt zaczepienia, ale Kristi musi udawać, że jest kimś innym, bo jej wirtualne alter ego - ABRh-1984 - twierdzi, że też nosi fiolkę, a tego nie sposób udawać. Członkowie sekty - jeśli takowa w ogóle istnieje - pewnie noszą takie same fiołki, może na takich samych łańcuszkach, więc zdradzałyby się, mając co innego. Zapewne fiołki mają określony kształt, kolor albo... Nie, nie będzie teraz o tym myśleć.

Ziewnęła, przeciągnęła się i pozazdrościła kotu, który już ukrył się pod tapczanem.

Nie potrafiła ocenić znaczenia dzisiejszego odkrycia, wiedziała jednak, że to coś ma dużo wspólnego z wykładami profesora Grotto. Może sekta, o której mówiła Lucretia, to w pewnym sensie kontynuacja zajęć?

- Nie wiem, co to jest, wiem tylko, że jestem coraz bliżej rozwikłania tajemnicy... z której powstanie świetna książka - powiedziała na głos, patrząc, jak ciemnieje ekran komputera.

Po co komu fiolka z krwią na szyi? I co - jeśli w ogóle - ma to wspólnego z zaginionymi dziewczętami?

Podeszła do okna z widokiem na kampus.

Gdzieś tam czai się drapieznik polujący na dziewczyny, które wybrały określoną kombinację przedmiotów.

- Kim jesteś, zboczeńcu? - szepnęła. - Kim, do cholery, jesteś?

Północ dawno już minęła. Władza męczył głód, żądza, której nie potrafił dłużej ignorować. Potrzeba zabijania pulsowała w nim, gdy zbliżał się do Nowego Orleanu. Jego furgonetka mknęła po szosie w słabym o tej porze ruchu ulicznym.

Tym lepiej.

Nie powinien dzisiaj polować. To niebezpieczne. Może popełnić błąd. I czyja to będzie wina? Tylko i wyłącznie jego.

Wiedział o tym, ale nie mógł dłużej czekać. Rozumiał, że są pewne powody, dla których musi czekać, a jednak nie potrafił opanować pokusy i dlatego wybrał gorszą kobietę, która zaspokoi pragnienie fizyczne, lecz nie intelektualne.

Ma też inne sprawy do załatwienia. Musi uciszyć niewiernego, zamknąć usta niespokojnym, bo inaczej wszystko straci, a na to nie może pozwolić. Rozbolała go głowa.

Był pusty. Głodny. Spragniony dreszczu zabijania. Nie mógł się dłużej powstrzymać.

Tłumaczył sobie, że to dzisiejsze zabójstwo to ofiara dla niej, dla tej, z którą związał się na zawsze, na którą był skazany.

No i może nieoczekiwane zabójstwo gorszej zbije z tropu policję, skieruje ich poszukiwania na manowce w innym mieście.

Nie rób tego. Jeśli ulegniesz i zabijesz, ryzykujesz zdemaskowaniem. Zerwą ci maskę z twarzy.

Ręce mu drżały, gdy rozważał, czy nie zawrócić, czy nie zdusić w sobie pragnienia, które stało się jakby osobną istotą żyjącą w jego wnętrzu, tak silną i potężną że był jej niewolnikiem. Pokornym niewolnikiem. Przełknął ślinę i poczuł w sobie pustkę... Na horyzoncie pojawiły się odległe światła Nowego Orleanu. Jego dłonie na kierownicy przestały drżeć. Nie ma odwrotu.

Dobrze wiedział, kogo pragnie: kobiety idealnej. O niemal przezroczystej skórze, długiej, zgrabnej szyi i pełnym, dojrzałym ciele. Zapłonął na myśl, że ją bierze.

Żywą... Tak, musi być żywa, musi wiedzieć, że czeka ich gorąca, długa noc namiętności, podczas której zaspokoi wszystkie jego pragnienia. A na koniec da mu największy dar - krew.

Jakże pragnął osiąść ją już dzisiaj.



Poczuł dreszcz rozkoszy, gdy sobie wyobrażał, co z nią zrobi. Przed. I po.

W jego gardle wezbrał jęk oczekiwania. Krew huczała mu w uszach, puls przyspieszał na myśl o nadchodzących chwilach.

Na ułamek sekundy zamknął oczy, kiedy poczuł erekcję. Dobrze. Musi ją czuć, musi być nabuzowany testosteronem, by pozostać bystry, skupiony i bezwzględny.

Zerknął na swoje odbicie w bocznym lusterku i uśmiechnął się pod nosem. Idealne przebranie. Nikt go nie rozpozna. Zjechał z autostrady i ruszył przez miasto, ostrożnie, nie przekraczając dozwolonej prędkości. Wiedział, gdzie zaparkować i gdzie czekać.

Już dawno to zaplanował, świadomy, że w którymś momencie ulegnie pragnieniu i poszuka gorszej, która go zadowoli na kilka dni.

Zaparkował na prawie pustej uliczce w dzielnicy, która szczególnie ucierpiała od huraganu. Stało tu zaledwie kilka samochodów, w tym część porzuconych wraków. Otworzył okno i zaciągnął się rześkim nocnym powietrzem. Nawet tu, w opuszczonym zakątku miasta, Luizjańska noc pulsowała życiem. Słyszał bzyczenie owadów, szelest skrzydeł nietoperzy, czuł zapach szczurów w kanałach, szopów buszujących w śmietnikach, węża na pniu drzewa.

Z dala dobiegał stłumiony szum autostrady. Co jakiś czas mrok przecinały światła reflektorów i ulicą przemykał samochód.

Opadł na fotel i niecierpliwie bębnił palcami po kierownicy. Pragnął wielu gorszych, które oddadzą życie bez wyrafinowanych rytuałów towarzyszących śmierci tych wybranych, które zabije tylko po to, by

oddały krew. Nieobecności tej, którą weźmie dzisiaj, nikt nie zauważy przez kilka dni. Doskonale.

Na pewno wkrótce nadejdzie. Obserwował ją już wcześniej i wiedział, gdzie mieszka. Była piękna, miała zadbane ciało, ale nie obchodził jej rozwój intelektualny. I to jej błąd. Jej duszy nic nie uratuje. Nie jest królową, tylko służącą.

Tak jak ty, odezwał się złośliwy głos w jego głowie. Czy to ty rządysz? Skąd! Straciłeś wolną wolę już dawno i proszę, siedzisz tu, posłuszny zasadom, które cię ograniczają. Nieważne, czy to przyznasz czy nie, masz na szyi obrozę. A smycz jest zawsze krótka.

Nie chciał słuchać tych szeptów, wiedział, że to świętokradztwo. I wtedy ją zobaczył; była sama, bez przyjaciółki, która jej czasem towarzyszyła. Bardzo dobrze. Szła szybko na wysokich obcasach, zdecydowana, spięta. Silna.

Tancerka.

W klubie mówią na nią Bodiluscious, ale naprawdę nazywa się Karen Lee Williams.

Miała na sobie spódniczkę mini, T-shirt i dżinsową kurtkę. Szła wąską uliczką spustoszoną przez Katrinę. Wiedziała, że to niebezpieczne, ale była to najkrótsza droga do domu.

I doskonale miejsce, by zaginać.

Gdy oddaliła się niemal o przecznicę, bezszelestnie wysiadł z samochodu. Żadnych świateł czy alarmu, tylko ciche szczeknięcie drzwi.

Mimo ciemności odnalazł ją wzrokiem i ruszył za nią kryjąc się w cieniu opustoszałych budynków. Jak to dobrze, że idzie na skróty po nocy

spędzonej przy rurze, gdzie zarabiała pieniądze na narkotyki, zamiast na dziecko.

On ją uwolni od marnego życia.

Narzekła na swój los, ale nie próbowała nic zmienić. Paplała tak tylko, żeby wzbudzić w nim współczucie.

Jakiś czas szedł za nią a potem skręcił w opustoszałe podwórka. Dzięki wyczulonym zmysłom bezbłędnie omijał śmieci, szczury i bezpańskie psy.

Dzisiaj uwolnię ją od męki, pomyślał. Krew huczała mu w uszach.

Karen była w fatalnym nastroju.

Miała za sobą ciężką noc, a teraz wracała pieszo do domu na obolałych nogach. Szła przez dzielnicę Nowego Orleanu, w której nie czuła się bezpiecznie, ale nie miała wyboru. Jej samochód zepsuł się kilka tygodni temu, a na taksówkę jej nie stać.

Zresztą powinna się trochę przewietrzyć, odpocząć od głośniejszej muzyki, rozochoconych klientów i dymu z papierosów. Im bardziej oddalała się od Bourbon Street, tym spokojniejsza stawała się chłodna noc. Wyobraziła sobie nawet, że czuje zapach rzeki.

Tańczyła do jedenastej. Potem zastąpiła ją najnowsza zdobycz Wielkiego Sonny'ego, dziewczyna, która miała najwyżej szesnaście lat. Karen była gotowa się o to założyć. Mała Baby Jayne - z ostrym makijażem, blond warkoczami prawie do tyłka i w obcisłej koszulce na cyckach, których pozazdrościłaby jej Dolly Parton - przyciągała mnóstwo klientów, chociaż za cholerę nie umiała tańczyć przy rurze. Karen długo ją

obserwowała skulona w cieniu przy drzwiach. W jej tańcu nie było uwodzenia, pokusy, tylko od razu konkret.

To nie w porządku, że ona, Bodiluscious, została zdegradowana w wieku trzydziestu lat. Jeszcze niedawno dostawała takie napiwki, że potrafiła w ciągu jednej nocy zarobić na czynsz i kokainę, a teraz... Odkąd huragan spustoszył miasto i do klubu trafiła Baby Jayne, Karen miała szczęście, jeśli zarobiła na wszystkie opłaty. Może to i dobrze, bo zwykle wszelkie nadwyżki finansowe trafiały do jej nosa. Nie brała od dwóch miesięcy i chciała, żeby tak zostało. Weźmie się w garść. Przecież nie będzie tańczyć do końca życia.

Szła w stronę małego domku, który jakimś cudem prawie nie ucierpiał od huraganu.

Gdy przechodziła przez jezdnię, miała dziwne wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Ale uparcie patrzyła przed siebie, uważając, żeby nie się nie potknąć na popękany chodniku. Skręci nogę i co? Koniec pracy.

Może już czas załagodzić sprawę z matką i wrócić do San Antonio. Wtedy widywałyby małą częściej niż dwa razy w miesiącu. Uśmiechnęła się na myśl o Darcy. Ma dopiero dziesięć lat, a już jest najlepszą uczennicą w klasie. Obrazek, który namalowała Karen na Gwiazdkę, to istne чудо. Tak, mała daleko zajdzie, chociaż jej ojcem jest drań, który siedzi za posiadanie narkotyków, a matka sześć nocy w tygodniu tańczy przy rurze.

Ulicą przejechał jakiś samochód. Karen szła dalej. Nowy Orlean stał się niebezpieczny, a jeśli wierzyć mediom, przestępczość osiągnęła niebotyczny poziom. Ona jednak jest ostrożna. Zawsze nosi mały pistolet pod kurtką. Jeśli ktoś ją zaatakuje, będzie gotowa.

Samochód zniknął za rogiem, lecz to jej nie uspokoiło. Czowała, że coś jest nie tak.

Nie opuszczało jej wrażenie, że ktoś ją obserwuje, może nawet śledzi. Rzuciła szybkie spojrzenie za siebie, ale niczego nie zobaczyła... Czy aby na pewno? Czy gdzieś tam, tuż za zasięgiem wzroku, ktoś się nie kryje?

Przeszył ją dreszcz i przyśpieszyła kroku. Niemal biegła na wysokich obcasach.

Na wszelki wypadek otworzyła torebkę, w której miała pistolet, telefon komórkowy i pojemnik z gazem. Znowu zerknęła za siebie i znowu nikogo nie zobaczyła.

Dobrze. Jeszcze tylko trzy przecznice dzieli ją od domu. Tam działają uliczne latarnie, a w co najmniej jednej czwartej domów mieszkają ludzie. Szybciej, szybciej, szybciej!

Szła tak szybko, że brakowało jej tchu, a przecież była dumna ze świetnej kondycji, jaką zapewnia jej taniec. Przy pierwszej latarni głęboko zaczerpnęła powietrza. Po raz kolejny obejrzała się za siebie, świadoma, że w jasnym świetle jest łatwym celem.

Zobaczyła swój dom na rogu i skarciła się myślach, że nie zostawiła zapalonego światła. Nie lubiła wchodzić do ciemnego domu. Ale już za kilka chwil będzie bezpieczna.

Wbiegła po niedawno wyremontowanych schodkach z kluczem w dłoni i otworzyła drzwi.

Otoczył ją zapach świeżej farby. Zasunęła zasuwę i podniosła rękę do kontaktu. W domu panowała cisza. Dziwna cisza. Nie szumiała lodówka, nie szeptał wentylator. Nacisnęła kontakt.

Nic.

W holu nadal panowała ciemność. Usłyszała jakiś szelest. Kroki?

O Boże, ktoś tu jest?!

Z mocno bijącym sercem ponownie nacisnęła kontakt. Znowu nic. Jedną ręką szukała pistoletu w torebce, a drugą macała drzwi w poszukiwaniu zasuwy.

Czyjaś dłoń nakryła jej rękę i zacisnęła się.

Karen zaczęła krzyczeć i wtedy druga dłoń zakryła jej usta.

O Boże, nie! Miotła się w panice. Wbiła zęby w skórę rękawiczki na ustach. Kopała go, ale tylko wzmocnił uścisk.

- Spokojnie, Karen Lee - powiedział głosem uwodzicielskim i przerażającym zarazem.

Zna ją? Więc to nie przypadek? Walczyła coraz zacieklej.

- Nic nie możesz zrobić - szepnął.

I tu się mylisz, draniu, pomyślała, gdy jej palce znalazły chłodną kolbę pistoletu. Wyjęła broń z torebki i podniosła, gotowa odstrzelić dupkowi głowę. Ale wtedy dostrzegła jego twarz i mało brakowało, a upuściłaby pistolet.

Patrzyły na nią czerwone ślepie spod czarnego kaptura.

Zaledwie centymetry od jej twarzy znajdował się upiorny czarny pysk.

Oblicze zła, pomyślała w panice.

Poczuła na sobie gorący oddech.

O Boże!

Mocując się z bezpiecznikiem, usiłowała zebrać myśli. Musi się tylko odwrócić i wypalić.

Ale kątem oka widziała tego posłańca piekieł, który odsłonił ostre kły. Boże drogi!

Odbezpieczyła pistolet i podniosła rękę. Błysk zębów. Trysnęła krew. Rozbolało ją całe ramię.

Nacisnęła spust.

Huknął strzał i powietrze wypełnił zapach kordytu.

Ale napastnik trzymał ją nadal. Wykręcił jej ramię, tak że była całkiem bezbronna. Nie miała już siły walczyć. Bark pulsował bólem.

O Boże, spudłowała. A teraz ten ból... nie do wytrzymania. Boże, pomóż mi go pokonać!

Wygięła się w łuk w nadziei, że go kopnie w goleń albo w krocze, ale był ciężki i silny, same mięśnie i determinacja.

Nogi się pod nią ugięły.

Zobaczyła, jak podłoga spieszy jej na spotkanie, i mogła już liczyć tylko na to, że ktoś usłyszał strzał. Buch!

Uderzyła głową w podłogę i niemal zemdląła z bólu.

Zanim zdążyła krzyknąć, opadł na nią i zacisnął ręce na jej gardle. Ścisnął coraz mocniej. Miotła się szaleńczo, drapiąc go po skórzanym ubraniu. Nie ulegnie mu łatwo, o nie!

Ale jej płuca płonęły żywym ogniem, błagały o powietrze, a jego dłonie zaciskały się.

Zamachała gwałtownie rękami.  
Płuca groziły eksplozją.  
W kącikach oczu pojawiła się ciemność.  
Nie, nie, nie!  
Chciała krzyczeć, ale nie mogła, nie mogła nawet odetchnąć.  
O Boże... Boże...  
Jej nogi znieruchomiały.  
Ręce były ciężkie jak z ołowiu.  
Ból w płucach stał się nie do wytrzymania.  
Boże, daj mi umrzeć. Skończ tę mękę!  
Pochylił się i przez coraz gęstsza mgłę zobaczyła kły. Białe. Lśniące.  
Ostre jak igły.  
Wiedziała, co się wydarzy.  
Szybkie ukłucie, a potem jego dłonie ustąpiły i mogła wciągnąć  
powietrze w obolałe płuca.  
Ale było już za późno. Wiedziała, że umrze.

## ***Rozdział 14***

---

Skoro chcesz je pożyczyć na cały dzień, proszę bardzo, ale muszą do nas wrócić jutro o... - chłopak w koszulce moro i wyblakłych džinsach spojrział na zegar wiszący nad wejściem do wypożyczalni - ...o dziewiątej trzydzieści sześć, chociaż jeśli chcesz, dam ci czas do dziesiątej. - Puścił



do Kristi oko i uśmiechnął się szczerbatymi zębami poplamionymi tytoniem. Udawała, że tego nie zauważa.

- Dzięki - mruknęła. Miała nadzieję, że nie wyczuł sarkazmu w jej głosie. Przecież to tylko dzieciak.

Mniej więcej osiemnastoletni Randy, jak głosiła plakietka na koszulce, był chudy i pryszczaty, ale i tak usiłował z nią flirtować. Kristi odpowiedziała uśmiechem. Przecież pomógł jej znaleźć odpowiednie narzędzia w magazynie pełnym różnorakiego sprzętu i domorosłych majsterkowiczów.

- Trzydzieści dolców - oznajmił Randy.

- Co?!

- To droga zabawa - wyjaśnił.

Toż to rozbój w biały dzień, pomyślała Kristi. Jasne, to drogi sprzęt, ale ile w takim razie kosztują nowe?

- Świetnie - mruknęła.

- Przyznaj się, co zrobiłaś? - Randy robił się trochę za bardzo wścibski. - Zapomniałaś kombinacji zamka w szafce?

Tak, taka ze mnie durna kobietka z dziurawą pamięcią.

- Mniej więcej - odparła. Podała mu dwie dwudziestki, poczekała na resztę i podziękowała za pomoc przy noszeniu niewygodnego sprzętu.

- Dam sobie radę - zapewniła, wsuwając dziesięciodolarówkę do portfela.

- Jakby ci się nie udało - powiedział - no bo wiesz, jesteś kobietą, a to sprzęt dla faceta, zamienimy je na piłkę do metalu. To załatwi sprawę.

- Zapamiętam - odparła, siląc się na spokój. Przecież nie jest słabą idiotką, do cholery. Chociaż kiedy miała osiemnaście lat, też nie błyszczała inteligencją, więc nie ma się co czepiać chłopaka. Wzięła narzędzia i ruszyła na parking do samochodu.

Rozważała, czy nie poprosić Jaya o pomoc. Pewnie ma własne przecinaki do metali. Ale wolą ograniczyć jego udział w sprawie. Po pierwsze, błędnie interpretował jej zainteresowanie jego osobą. Sądził, że chce się z nim spotykać, a to przecież nie tak. Lepiej zachować dystans. No i zadawałby za dużo pytań, a ona zamierza działać na granicy prawa. Jay i tak będzie miał kłopoty, kiedy się wyda, że zdobył informacje, o które go prosiła, w aktach szkolnych i policyjnych - o ile, rzecz jasna, to zrobi. Nie była pewna, czy się na to zdobędzie, więc nie powiedziała mu wszystkiego, czego się dowiedziała od Lucretii. Wzbudziła jego zainteresowanie, ale pewne rzeczy musi zrobić sama. Włamanie do schowka z rzeczami Tary Atwater to jedna z nich.

Nadal zdenerwowana, usiadła za kierownicą. Na szybie osiadł kurz, w środku było gorąco, bo słońce świeciło mocno nawet zza gęstych chmur. Kristi wyjechała z parkingu. Nie udało jej się ominąć dziur w nawierzchni, więc opryskała i tak zabłoconego pikapa i faceta z papierosem w ustach, który pakował piłę do wozu.

- Idiota - mruknęła, skręcając w boczną uliczkę, która prowadziła do autostrady.

Nie wszystko zaplanowała, ale będzie improwizować. To istny dar losu, że rzeczy Tary są w schowku w piwnicy. Oczywiście przekaze wszystko policji, ale dopóki władze nie zainteresują się zaginięciami, ma

wolną rękę. Sprawdziła, jakiego zamka użyła Irene Calloway, i przez dwie godziny szukała w sklepach z artykułami żelaznymi, zanim znalazła taki sam.

Teraz jest wreszcie gotowa.

Minął ją wielki SUV pokryty naklejkami z logo Uniwersytetu Stanowego Luizjany. Fan lokalnej drużyny, pomyślała. Uniwersytet Luizjany z siedzibą w Baton Rouge, o wiele większy od College'u Wszystkich Świętych, stanowi znacznie bezpieczniejsze łowisko. Zapewne więc ten, kto to robi, czuje się w college'u bezpiecznie... To albo student, albo wykładowca, albo absolwent. Ktoś silnie związany z tą uczelnią kto ma tu swoje kryjówki, umie się poruszać, wie, jak wtopić się w tło.

Przeszył ją dreszcz na myśl, że wśród oplecionych winoroślą budynków krąży psychopata, któremu do tej pory uchodzą na sucho przerażające zbrodnie.

- Już niedługo, draniu - powiedziała i zerknęła na szybkościomierz. Jechała zdecydowanie za szybko, o prawie czterdzieści kilometrów przekraczała limit prędkości. Zwolniła i zerknęła w boczne lusterko, prawie pewna, że zobaczy światła radiowozu. Ale tym razem jej się upiekło. Całe szczęście. Nie stać jej na mandat.

Zjechała z autostrady w pobliżu kampusu i wąskimi, krętymi uliczkami dotarła do parkingu, gdzie zawsze zostawiała samochód. Zamiast wbiec na górę, zeszła do piwnicy. Otworzyła ją kluczem, który dostała od Irene Calloway. W piwnicy było ciemno, małe okienka pokrywał wieloletni brud, w kątach wisiały pajęczyny.

- Cudownie - mruknęła Kristi, skręcając za róg. Jeszcze trzy kroki i znalazła się w najgłębszych czeluściach budynku. Było tu sucho, choć ślady na ścianach zdradzały, do jakiego miejsca kiedyś dotarła woda.

Po jednej stronie stały dwie pralki. Obie pracowały, bucząc rytmicznie. Kristi postanowiła nie włamywać się do boksu z rzeczami Tary, bo obawiała się, że ktoś ją przyłapie, a nie chciała się tłumaczyć. Lepiej poczeka do nocy i zejdzie tu z kilkoma pudłami. Na samą myśl, że znajdzie się tu w nocy sama, zrobiło jej się słabo.

Wyszła z piwnicy i poszła do siebie po laptopa. Zaczyna pracę dopiero za kilka godzin, więc do tego czasu posiedzi w kafejce. Mają tam bezprzewodowy Internet, a przy okazji będzie mogła przysłuchiwać się rozmowom. Kawiarnia nad Rozlewiskiem niedaleko Wagner House była ulubionym miejscem spotkań. Spakowała laptopa, związała włosy w koński ogon, założyła czapkę baseballową i wyszła.

Droga do kawiarni zajęła jej dwadzieścia minut. Miała szczęście, bo kiedy weszła, akurat zwolnił się stolik pod oknem. Kristi położyła plecak na krześle i stanęła w kolejce po waniliową latte i ciastko malinowe. Ekspres do kawy syczał, zasnuwając parą tłumy gości. Kristi rozejrzała się. Dostrzegła kilka znajomych twarzy.

Na szczęście nikt nie szarzał jej w oczach.

Właśnie odbierała zamówienie, gdy do kawiarni weszła wysoka, długonoga dziewczyna o ciemnych włosach opadających do połowy pleców. Wydawała się znajoma. Po chwili Kristi przypomniała sobie, że na zajęciach siada zwykle koło Ariel O'Toole. Dziewczyna rozglądała się po sali, jakby kogoś szukała.

- Cześć - rzuciła Kristi, mijając ją. Boże, jak ona ma na imię? Zinnia? Zahara? Coś na Z...

- Cześć. - Dziewczyna miała taką minę, jakby nie kojarzyła Kristi.

- Zena, tak? Przyjaciółka Ariel?

- No... tak.

- Jestem Kristi, chodzimy razem na niektóre zajęcia, do Grotto na wampiry i do Prestona na pisanie.

- Hm... - w głosie Zeny nie było ani krzty entuzjazmu, najwyraźniej dziewczyna nadal nie dodała dwóch do dwóch.

I dobrze.

- Widziałaś ostatnio Lucretię?

- Nie, ostatnio nie. Byłam bardzo zajęta próbami do spektaklu.

- Jesteś w grupie teatralnej - domyśliła się Kristi. Zena rozpromieniła się.

- Owszem.

- U księdza Mathiasa?

- Tak. Nie bardzo mnie kręca moralitety, ale wiesz, od czegoś trzeba zacząć. Obiecał, że jeśli dobrze mi pójdzie, da mi rolę w czymś większym.

Na wiosnę mają wystawić coś Tennessee Williamsa. Może Tramwaj zwany pożądaniem. Chciałabym zagrać Blanche DuBois.

- Kto by nie chciał? - odparła Kristi, choć nie miała najmniejszej ochoty na występy na scenie. - Ale dlaczego akurat moralitety?

- Sama nie wiem. - Zena wzruszyła ramionami. - To chyba osobista pasja księdza. - Podeszła do lady i zamówiła herbatę i babeczkę.

Kristi zorientowała się, że Zena nie ma ochoty na dalszą rozmowę, wróciła więc do stolika i otworzyła laptopa. Zerknęła na monitor i jednocześnie obserwowała Zenę. W pewnej chwili drzwi znowu się otworzyły i do kawiarni weszła Trudie, zarumieniona i zdyszana. Stała za Zeną i wkrótce obie zaczęły się rozglądać za wolnym stolikiem. Zauważyły ławę, od której właśnie odchodziły dwie kobiety z dziećmi. Jeden malec spokojnie ssał smoczek, drugi natomiast szykował się do potężnej awantury. Matka wpakowała synka do wózka, żeby zabrać go na zewnątrz przed wybuchem. Jej towarzyszka z grzecznym dzieckiem spokojnie czekała. Kiedy kobiety w końcu wyszły, Trudie i Zena błyskawicznie zajęły ich stolik.

Kristi wyteżęła słuch, by usłyszeć, o czym rozmawiają ale docierały do niej tylko pojedyncze wyrazy. Usłyszała nazwisko księdza Mathiasa i słowo „moralitet”, a potem, zdaje się, słowo „siostry”. Nic więcej. Doszła do wniosku, że jest beznadziejna w podsłuchiowaniu, i już miała wyjść, gdy do kawiarni wpadła Lucretia w rozpiętym czarnym płaszczu i czarnych kozakach na wysokich obcasach, w których miała ponad metr osiemdziesiąt. Kristi zastanawiała się, czy ją zawołać - to przecież Lucretia poprosiła ją o pomoc - uznała jednak, że poczeka i zobaczy, co się wydarzy. Może Lucretia z kimś się tu umówiła? Z kochankiem, chłopakiem albo narzeczonym. A może po prostu wpadła na kawę. Nieważne. Lucretia, choć nigdy nie tryskała optymizmem, wydawała się wyjątkowo spięta. Nerwowo przeczesywała palcami kręcone włosy, patrząc na jadłospis, jakby widziała go po raz pierwszy. Albo jakby była myślami milion kilometrów stąd.

Kristi nadal w czapeczce, pochylona za monitorem, miała nadzieję, że Lucretia jej nie zauważy.

Niestety. Gdy Lucretia oderwała wzrok od listy kaw, spojrzała prosto na nią. Natychmiast wyszła z kolejki i ruszyła do niej, niemal przewracając po drodze stolik z przecenionymi świątecznymi kubeczkami. Przytrzymała go w ostatniej chwili.

- Śledzisz mnie? - spytała.

- Nie - odparła Kristi - siedzę tu od pół godziny.

- Na pewno? - Lucretia zerknęła na Trudie i Zenę, były jednak pogrążone w rozmowie i jeszcze jej nie zauważyły.

- Na pewno - potwierdziła Kristi. - Ale dzwoniłam do ciebie. Dwa razy się nagrałam.

- Wiem, wiem. Byłam bardzo zajęta... Posłuchaj... - Oparła dłonie na blacie koło laptopa i pochyliła się nad Kristi. - Pomyliłam się - powiedziała ledwo słyszalnym szeptem. - Jeśli chodzi o te dziewczyny.

- Czyli Tarę i...

- Tak, tak - Lucretia energicznie pokiwała głową. Jej grdyka poruszyła się, jakby z trudem przełknęła ślinę. - Niepotrzebnie w ogóle powiedziałam ci o... Myliłam się, jasne? Jestem pewna, że prędzej czy później te dziewczyny się znajdą. Wszystkie w przeszłości uciekały z domu.

- Ale mówiłaś, że przyjaźniłaś się z nimi.

- Nie, że się z nimi przyjaźniłam, tylko że je znałam - sprostowała. - A teraz mówię, że się pomyliłam, więc... po prostu zapomnij o tym. Twój ojciec jest policjantem. Wiesz, jak to jest. Gdyby działo się coś naprawdę

złego, policja już by tu była, więc daj sobie spokój, dobrze? I... nie dzwoń do mnie więcej.

- Dobrze się czujesz? - zaniepokoiła się Kristi.

Lucretia zamrugwała nerwowo.

- Oczywiście. Dlaczego pytasz?

- Jesteś bardzo blada.

- O Boże. - Lucretia znowu z trudem przełknęła ślinę i popatrzyła na Kristi, jakby zobaczyła ducha. - I co, uważasz, że grozi mi niebezpieczeństwo, tak jak Ariel? Mówiła mi. Twierdzi, że ci odbiło.

Kristi wzdrygnęła się. Wiedziała, że zrobiła błąd, mówiąc Ariel o swoich obawach, i że prędzej czy później to się na niej odbije.

- Chyba bardzo się przyjaźnicie.

- Po prostu wie, że kiedyś razem mieszkaliśmy. Przecież to ja was sobie przedstawiłam, zapomniałaś już? Ale teraz całkiem ci odbiło. Opowiadasz jakieś głupoty, że widzisz ją w odcieniach szarości...

- Czasami... - Kristi przerwała. Po co się wysiła? Niby jak wytłumaczy, że czasem widzi ludzi w odcieniach czerni i bieli, jakby cała krew odpłynęła z ich ciał.

Cała krew...

Jej serce zabiło niespokojnie, gdy dostrzegła podobieństwo z kultem wampirycznym. Ale przecież ta kobieta z przystanku nie chodziła na zajęcia Grotto.

- Po prostu czasami mam wizje.



- Bredzisz jak wariatka, więc daruj sobie te gadki. I zostaw mnie w spokoju, do cholery. Kristi, spójrzmy prawdzie w oczy: jesteś dziwna. Może to skutek tego, przez co przeszłaś, ale na pewno nie jesteś normalna.

- Sama mnie prosiłaś, żebym się rozejrzała - przypomniała jej Kristi podniesionym głosem. Starsi państwo przy sąsiednim stoliku łypnęli groźnie.

- Nie rób sceny - syknęła Lucretia. - Boże, jak ja załuję, że cię w to wciągnęłam.

- W co?

- W nic!

Lucretia podniosła rękę, żeby odgarnąć włosy z czoła. Rękaw jej płaszcza trochę się zsunął, odsłaniając bandaż na nadgarstku.

- Co ci się stało? - zapytała Kristi, wskazując opatrunek. Lucretia zbladła i natychmiast opuściła rękę.

- Nic takiego. Skaleczyłam się nożem. Straszna ze mnie niezdara. - Było oczywiste, że kłamie. - Ale nic mi nie jest, naprawdę. Zresztą to nieważne. Proszę cię, Kristi, zapomnij, o czym wtedy rozmawialiśmy...

- O sekcje...

- Myliłam się, do cholery! I teraz chcę, żebyś się wycofała.

- Ale... - Kristi przerwała, bo Lucretia odwróciła się na pięcie i ruszyła do stolika Trudie i Zeny. Trudie odsunęła się, żeby zrobić jej miejsce.

Kristi nie wiedziała, co o tym myśleć. Było jasne, że Lucretia jej unika, ale żeby teraz zaprzeczać, że zwróciła się do niej po pomoc? Przecież sama sugerowała, że dziewczęta mogły zostać porwane. Sama

mówiła o sekcje i wampirach. O co tu chodzi? I do tego ten bandaż. Kristi uznałaby, że to nic ważnego, gdyby nie reakcja Lucretii.

Dopadli ją, pomyślała i przeszył ją dreszcz. Ktoś się dowiedział, że ze mną rozmawiała, i teraz jej grożą. Śledzą ją, straszą, może nawet zrobili jej krzywdę - stąd bandaż.

Zerknęła na stolik Lucretii i jej przyjaciółek i napotkała wzrok byłej współlokatorki. Była blada jak ściana, a usta zacisnęła w wąską kreskę. Przez ułamek sekundy patrzyła Kristi w oczy, potem odwróciła wzrok. I w tym momencie jej twarz stała się szara jak popiół.

Serce Kristi na moment przestało bić. Co to ma znaczyć, do cholery?!

Może nic takiego, tłumaczyła sobie. Ostatnio często to widzisz, prawda? A nikt nie umarł... Jeszcze...

Lucretia odzyskała normalny koloryt, jakby nigdy nie poszarzała. Chyba naprawdę mi odbiło, pomyślała Kristi.

Przypomniała sobie ich rozmowę. Lucretia chciała, żeby zapomniała o wszystkim, o czym rozmawiały wcześniej. Dlaczego? Czyżby ktoś ją nastraszył?

Kristi zamknęła laptopa, schowała do pokrowca i nie patrząc na Lucretię, wyszła z kawiarni. Nie wycofa się tak łatwo. Wręcz przeciwnie, teraz jeszcze bardziej niż przedtem chciała się dowiedzieć, co naprawdę stało się z Dionne, Tarą, Monique i Rylee.

Dopiero w samochodzie uświadomiła sobie, że Lucretia nie miała pierścionka, którym się tak szczyliła. Dobrze zapamiętała nagie palce z

obgryzionymi paznokciami, kiedy oparła dłonie na blacie i spytała:  
„Śledziłaś mnie?”

Nie śledziłam, odparła w myślach, ale może to całkiem dobry pomysł.

- Mówiłam ci już, nie mam pojęcia, z kim się spotyka Lucretia Stephens. - Ezma cisnęła fartuch do kosza z brudną bielizną. - Może to tylko plotki.

- A od kogo je słyszałaś? - Kristi nie da się tak łatwo spławić. Dochodziła jedenasta i obie zbierały się do wyjścia.

- Chyba ktoś z uczelni, jakiś wykładowca... - Ezma pstryknęła palcami, jakby to miało pomóc jej sobie przypomnieć. - Kurczę, kto to był? Może... Mam! - rozpromieniła się. - To było tutaj, słyszałam, jak rozmawiały dwie kobiety. Profesor Croft, dziekan wydziału literatury angielskiej, i... zaraz, z kim wtedy była? - Potarła podbródek. - Chyba z tą od dziennikarstwa, tą nową.

- Profesor Senegal?

- Tak, z nią. Niewiele słyszałam, bo mówiły cicho, zwłaszcza gdy byłam w pobliżu. Wprawdzie wszyscy plotkują, ale Croft to szefowa wydziału, a knajpa to miejsce publiczne. - Wzruszyła ramionami, policzyła otrzymane napiwki i odłożyła kilka banknotów dla pomocników. Kristi zrobiła to samo.

Razem wyszły z restauracji. Noc była bezchmurna i chłodna. Kristi wsiadła do hondy, a Ezma wskoczyła na skuter i włożyła kask. Po chwili zniknęła za zakrętem.

Kristi przekręciła kluczyk w stacyjce. Zwykle chodziła do pracy na piechotę, ale dzisiaj miała mało czasu, więc przyjechała autem. Zanim wrzuciła bieg, po raz kolejny wybrała numer profesora Grotto i znowu trafiła na jego pocztę głosową. Nie zwracała sobie głowy zostawianiem wiadomości - zrobiła to już dwa razy. Najwyraźniej Grotto ich nie odsłuchuje albo ignoruje ją. Nie, to bez sensu.

Bębniła palcami w kierownicę. Po chwili namysłu zdecydowała, że jeśli Grotto nie odezwie się do niej w poniedziałek, pójdzie do jego gabinetu i zmusi, by z nią porozmawiał. No i są jeszcze internetowe czatroomy. Może zagai Dr. DoNoGood, jeśli się pojawi. Poflirtuje z nim, podrażni jego ego. Do tej pory nie uruchomiła swojej kamerki internetowej, wołała anonimowość, ale jeśli to jedyny sposób, by do niego dotrzeć... Kupi tanią perukę, kolorowe szkła kontaktowe i za pomocą rekwizytów z pracowni charakteryzacji zmieni sobie kształt nosa albo policzków...

W jakiś sposób zmusi drania do rozmowy.

Ruszyła. W drodze do domu znacznie przekraczała dozwoloną prędkość, ale nie mogła się doczekać, kiedy w końcu dobierze się do schowka z rzeczami Tary Atwater.

Może wreszcie czegoś się o niej dowie.

Zaparkowała pospiesznie i pobiegła na górę. W mieszkaniu przebrała się, wrzuciła brudne ciuchy do torby, wzięła proszek do prania, przecinak i latarkę, i zeszła do piwnicy. Z nerwami napiętymi jak postronki zapaliła górne światło. W nocy piwnica wydawała się jeszcze większa, a jej zakamarki jeszcze ciemniejsze. Pralki stały spokojnie, suszarki milczały.

Dobrze.

Ostrożnie wyjęła przecinak i położyła na ziemi koło siatkowych boksów, a potem włączyła dwie pralki ze swoimi rzeczami.

Przy akompaniamencie szumu wody przyglądała się zawartości schowków. W jednym były sprzęty ogrodowe, w drugim dostrzegła pudła z nazwiskiem Tary. I datą - trzydziestego czerwca, ponad miesiąc po jej zaginięciu.

- No to do roboty - mruknęła.

Niestety, Randy o mentalności jaskiniowca miał rację, mówiąc, że niełatwo posługiwać się przecinakiem. Miała za mało siły, by przeciąć kłódkę.

Spróbowała ponownie. Ścisnęła ręczki, aż zabolą ją ramiona, a mięśnie zadrżały z wysiłku.

- Kurczę - sapnęła, znowu naciskając z całej siły. I znów bez rezultatu.

Odwróciła przecinak, oparła go na ziemi, przycisnęła jeden uchwyt do metalowych drzwi, a na drugi naparła całym ciałem. Zamknęła oczy... Trzask.

O Boże, ktoś tu idzie?!

Co za idiota urządza pranie w środku nocy?

Serce biło jej jak szalone, w żyłach pulsowała adrenalina. Stęknęła głośno, nacisnęła jeszcze mocniej i... wtedy usłyszała trzask otwieranych drzwi na górze. A potem kroki.

Nie!

Pchnęła jeszcze jeden, ostatni raz! Kłódka ustąpiła.

Nie sprawdziwszy, czy przecięła metal do końca, ukryła przecinak w swojej torbie z praniem i złana potem, choć w piwnicy wcale nie było gorąco, pochyliła się nad suszarką, jakby sprawdzała stan bielizny.

Tylko że w suszarce były cudze rzeczy. Nadal mokre.

- Cholera - mruknęła i wyprostowała się w tej samej chwili, gdy na ścianie pojawił się cień.

Dobry Boże, czy to porywacz? Czy właśnie w ten sposób znajdował ofiary? Czy Tara była tu, gdy...

Już miała sięgnąć po przecinak, by w razie czego posłużył jej jako broń, gdy w słabym świetle żarówki dostrzegła Hiram.

Odetchnęła z ulgą i wróciła do rzeczywistości. Czy Hiram zauważył przeciętą kłódkę?

- Cześć. To twoje? - wskazała suszarkę i otworzyła drugą. Także była pełna.

- Taa... - Hiram miał na sobie flanelowe spodnie od piżamy, szarą bluzę z kapturem i filcowe kapcie.

- Nie włączyłeś suszarek? - zdziwiła się.

- Owszem.

- Kiedy?

- Jakiś czas temu. - Zacisnął usta ocienione mizernym zarostem.

- Ubrania nadal ociekają wodą.

- Nastawiłem na najniższy tryb, żeby dzinsy się nie skurczyły - odparł, jakby Kristi była idiotką, która nie ma pojęcia o praniu czy suszeniu.

- Za pół godziny - oznajmiła - będą mi potrzebne obie suszarki.

- No to masz pecha - mruknął w odpowiedzi. Sądząc po stroju, niewykluczone, że po raz pierwszy od Gwiazdki pofatygował się do pralni.

Hiram znowu nastawił suszarkę na najniższą temperaturę.

- Pół godziny - powtórzyła.

Rzucił jej gniewne spojrzenie i odwrócił się twarzą do boksów.

Cholera! Jej serce biło coraz szybciej. Czy zauważy przeciętą kłódkę i oskarży ją o włamanie? Kątem oka dostrzegła swoją torbę z brudną bielizną i zarysem przecinaka. Kopnęła suszarkę. Głuchy łoskot poniósł się echem po piwnicy.

Hiram odwrócił się błyskawicznie.

- Co to za hałas?

- Nie wiem, cały czas tak wali, odkąd tu przyszłam.

- Suszarka? Która?

Wskazała tę kopniętą.

- Coś z nią nie tak. Jesteś tu dozorcą więc mógłbyś ją naprawić.

- Przy mnie nie stuka.

- Skąd wiesz? Byłeś tu? - zapytała i wyczytała z jego spojrzenia, że nie. Dobrze. Nie przyłapie jej na kłamstwie. - Idź po narzędzia.

Skinął głową i ruszył w stronę schodów.

- Zajmę się tym - powiedział. - Jak skończysz, przyczep kartkę, żeby nikt nie używał tej suszarki, dopóki jej nie naprawię.

Odetchnęła z ulgą gdy wszedł na schody. Kolejne stopnie skrzypiały pod jego ciężarem.

Kiedy tylko drzwi na górze się zamknęły, zdjęła kłódkę, otworzyła boks i zaczęła przeszukiwać pudła. Ciuchy, płyty, świece, zdjęcia, książki,

drobiazgi osobiste. Przeglądała zawartość kolejnych pudeł i wyciągała tylko to, co mogło zawierać interesujące ją informacje - notes, kasetkę z biżuterią, kalendarz, recepty.

Potem założyła nową kłódkę. Dopóki nikt nie będzie chciał się dostać do rzeczy Tary, włamanie pozostanie tajemnicą.

## ***Rozdział 15***

---

Kristi, niech szlag trafi jej mały tyłeczek i bezczelność, załazła mu za skórę. Co do tego nie ma wątpliwości, stwierdził Jay, zły na siebie. Może Gayle jednak miała rację.

Może nigdy tak naprawdę nie wyrósł z Kristi Bentz.

- Dureń - mruknął, siedząc w swoim gabinecie w Nowym Orleanie. Od ich wczorajszego spotkania cały czas o niej myślał, martwił się, że wpakowała się w coś niebezpiecznego.

W rezultacie, zamiast wymontować starą wannę w domku ciotki Colleen, wstał o świcie i pojechał z psem do Nowego Orleanu. Zostawił Bruna w domu, udał się do laboratorium kryminalistyki, uruchomił swój komputer i sprawdził wszystkie policyjne bazy danych, do których miał dostęp, szukając informacji o zaginionych studentkach.

Zadzwoił też do swoich znajomych w policji w Baton Rouge, do szeryfa z posterunku we wschodniej części miasta, a nawet do starego kumpla z college'u, który pracował w policji stanowej Luizjany. Tych, których nie było na posterunku, łapał w domu albo na komórkę. Była



wprawdzie sobota, ale uznał, że to nieistotne. Musi zgłębić przyczyny obsesji Kristi bez względu na koszty.

Masz obsesję na jej punkcie, odkąd zobaczyłeś ją po raz pierwszy, szeptał jakiś głos w jego głowie. Jeśli się łudzisz, że kierują tobą inne motywy niż chęć ponownego jej zdobycia, jesteś w błędzie.

To nieprawda, próbował przekonać sam siebie. Przejąłby się obawami każdego studenta. Może nie zaangażowałby się aż tak bardzo i ograniczył do przekazania zdobytych informacji odpowiednim władzom, ale coś by zrobił.

Spójrz prawdzie w oczy McKnight: jesteś zaślepiony, nie ustępował wewnętrznemu głosowi.

Jay zajmował gabinet niewiele większy od schowka, ale najważniejszy był komputer z dostępem do policyjnych baz danych.

- Mam tu wszystko, czego mi trzeba - powiedział na głos.

Przydałoby się jeszcze piwo, ale zadowolił się puszką letniej mrożonej herbaty z automatu i ciasteczkami z masłem orzechowym.

Przynajmniej panował tu spokój, policjanci z weekendowej zmiany pracowali w innych pomieszczeniach, z dala od jego dziupli.

Wszyscy, z którymi się skontaktował, byli chętni do współpracy i obiecali zadzwonić, jeśli się czegoś dowiedzą, ale póki co, nie przekazali mu niczego nowego.

Wszyscy też uważali, że Dionne Harmon, Monique DesCartes, Tara Atwater i ostatnia zaginiona, Rylee Ames, po prostu wyjechały. Nie korzystały z kart kredytowych? Pewnie znalazły inne źródło pieniędzy, na

przykład handlują prochami albo się prostytuują. A może hazard? Albo żyją na koszt facetów?

Jedyny promyk nadziei pojawił się podczas rozmowy ze starym kumplem Raymondem Sonnym Crawleyem, z którym Jay kiedyś chodził do szkoły, a który teraz pracował w Wydziale Zabójstw w Baton Rouge.

- Jezu, McKnight - jęknął, gdy odebrał komórkę. - Co jest?

Rozmawiałeś z Laurent czy co? Na tym polega problem z tą babą ona nigdy nie odpuszcza, mówię ci. Nie ma ciał, nie ma żadnych śladów zbrodni, ale ona się upiera, że te dziewczyny porwano, zamordowano i Bóg wie co jeszcze. Mamy tu huk roboty i naprawdę nie musimy sobie wymyślać dodatkowych spraw, ale jej się nie da przekonać. Wkurza wszystkich dokoła.

- Kim jest ta Laurent? - spytał Jay i zapisał sobie nazwisko.

- Portia Laurent, młodszy detektyw w naszym wydziale. Ma fioła na punkcie tych dziewcząt. Kurde, wszyscy chcemy je znaleźć, tyle że na razie nie ma sprawy. Ale wiesz, jacy są nowi. Nakręcają się byle czym. Nie, żebym lekceważył sytuację, ale na razie po prostu nie możemy niczego zrobić - nie mamy zwłok, narzędzia zbrodni, podejrzanych ani świadków. Więc dlaczego cię to, do cholery, interesuje?

- Z czystej ciekawości - odparł Jay wymijająco. Już wcześniej zdecydował, że nie wspomni o Kristi, chyba że uzna, że znalazła się w niebezpieczeństwie. - Pracuję tam, a o zaginionych sporo się mówi.

- Jakbym o tym nie wiedział. - Sonny zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko. - Jeśli nie ma żadnych sensacyjnych wiadomości, zjawiają się dziennikarze i szukają sensacji tam, gdzie jej nie ma. Weźmy Belindę Del

Ray z WMTA, co za upierdliwa baba! Ładna, przyznaje, i wie, jak tę urodę wykorzystać, ale jest jak pitbul z kością chwytaś? Nie przyjmuje odpowiedzi odmownej i wtyka nos w nie swoje sprawy, chociaż pokazujemy jej drzwi. Oczywiście nie interesują jej oficjalne wypowiedzi rzecznika o nie. Chce więcej, niż możemy jej dać. Oficjalne stanowisko departamentu brzmi: nie ma ciała, nie ma sprawy. Ale niektórzy dziennikarze nie wiedzą, kiedy przestać.

- Robią, co do nich należy. - Jay bawił się w adwokata diabła. Miał mieszane uczucia wobec prasy. Z jednej strony, to zło konieczne, ale czasami bywa przydatne. Choć zdarza się, że utrudniają pracę, zwłaszcza agresywni reporterzy chcący za wszelką cenę wyrobić sobie nazwisko.

- Hm - mruknął Sonny. - Chyba nie znasz zbyt wielu dziennikarzy. Tą drogą do niczego nie dojdzie.

- Opowiedz mi o tej Laurent. Dlaczego nie łyka stanowiska firmy?

- Kurde, nie mam pojęcia, co jej chodzi po głowie. Sam ją zapytaj. Cholera, mam drugi telefon.

Rozłączył się, a Jay popatrzył na notes na biurku. Portia Laurent. Ciekawe, co ma do powiedzenia. Wyrwał kartkę z jej nazwiskiem, wsunął do kieszeni dżinsów i zabrał się do pracy.

Pod koniec dnia wiedział niewiele więcej niż poprzedniego wieczora. Ale to wystarczyło, by uznał, że Kristi na coś trafiła. Co do wampiryzmu, dziwiło go, że tylu ludzi się tym para. Nie tylko książki, telewizja, gry online, ale i cała kultura internetowa, związana, jak sądził, z prawdziwymi, realnymi ludźmi.

Sekta?

Może.

Na kampusie College'u Wszystkich Świętych? Oby nie.

Rozmyślał o zaginionych i o zajęciach Grotto. Z tego, co słyszał od innych wykładowców, wynikało, że facet urządza dla studentów prawdziwy teatr: nosi sztuczne wampirze kły i kolorowe szkła kontaktowe, żeby jego oczy wydawały się czarne. Nieludzkie, pozbawione emocji. Jednak nikt się tym nie przejmował. Przecież to tylko dodaje dramatyzmu. A studenci za tym przepadają.

Jay masował sobie kark i kręcił głową, by rozluźnić napięte mięśnie. Z ekranu patrzyła na niego Rylee Ames. Młoda. Piękna. Pełna życia. Przynajmniej na zdjęciu. Co się z nią stało?

Uciekła? Porwano ją? Zamordowano?

A może należała do tajemniczej sekty?

Czy stoi za tym Grotto? Ale przecież on wręcz obnosi się z wampiryzmem na oczach wszystkich, dosłownie sam wytyka się palcem. A może to kwestia jego ego? Może naprawdę uważa, że jest niezwyciężony? Jeśli tak, jest pierwszym podejrzanym na liście. Jay wbił zęby w mdłą landrynkę i rzucił opakowanie do kosza. Cały czas myślał o Grotto. Może czas sprawdzić go dokładniej, niż zrobiła to uczelnia. A co z innymi profesorami? Z administracją? Z tego, co wiedział, do sekt przystępują osoby z najróżniejszych grup społecznych. Skoro ma możliwość, powinien z niej skorzystać. Musi tylko sprawdzić nazwiska i adresy. Część informacji jest ogólnie dostępna, inne nie. Sprawdzi, co się da, nie łamiąc prawa.

A potem?

Co, jeśli będzie musiał posunąć się dalej?

- Cholera - mruknął. Jeśli zajdzie taka potrzeba, przekroczy i ten próg.

Telefon zawibrował mu w kieszeni.

Wyjął go i zobaczył na wyświetlaczu domowy numer Gayle. Jęknął w duchu. Czy w ogóle odbierać? Jeśli tego nie zrobi, tylko opóźni nieuniknione. Starał się być dla niej miły. Nic to nie dało. Nie rozumiała aluzji.

- Cześć - rzucił, siląc się na swobodny ton.

- Co u ciebie? - Była pogodna i chyba trochę zdyszana.

- Mnóstwo roboty.

- Jak zawsze. - Westchnęła i wyobraził sobie, jak się naburmuszyła.

Boże, czy naprawdę kiedyś uważał, że to urocze? - Pewnie jesteś w Baton Rouge i nie masz czasu na drinka?

- Nie, Gayle.

- Mogłabym do ciebie przyjechać.

Nie powiedział, że jest w Nowym Orleanie. I tak nie zamierzał tu nocować, a już na pewno nie u Gayle.

- Pracuję.

- Ale przecież - zaczęła, wyraźnie przygotowana na taką odpowiedź - nie będziesz pracował całą noc, prawda? Mogłabym u ciebie zostać...

Uznałby to za śmieszne, gdyby nie było tak żalosne. Gayle, przyzwyczajona do luksusu, nocuje w bungalowu ciotki Colleen bez ciepłej wody i ogrzewania.

- Są tu spartańskie warunki. Śpię w śpiworze na sienniku.

- Uroczo. - Celowo udała, że nie zrozumiała, co miał na myśli. -  
Przenocuję w hotelu. Jedna noc w cywilizowanych warunkach dobrze ci  
zrobi.

- Nie sędzę. - Usiadł wygodniej. Krzesło zatrzeszczało pod jego  
ciężarem, gdy opierał nogi na biurku. Pomyślał o różnicach między Gayle  
i Kristi i o tym, że do Gayle tak naprawdę nigdy nie czuł tego, co do  
Kristi. Pod tym względem Gayle miała rację, kobieca intuicja jej nie  
zawiodła.

- Unikasz mnie - stwierdziła, wyraźnie naburmuszona. Jay zacisnął  
zęby. Tego się nie da załatwić delikatnie.

- Teraz naprawdę nie mam dla ciebie czasu. Słyszał, jak gwałtownie  
zaczerpnęła tchu.

- No pięknie. Tego się nie spodziewałam. O ile pamiętam, mieliśmy  
zostać przyjaciółmi.

Ktoś minął drzwi jego gabinetu, słyszał oddalające się kroki i szmer  
rozmowy. Nieco dalej zadzwonił telefon.

- Chyba inaczej rozumiemy przyjaźń. Zaatakowała.

- Nie chcesz, żebym do ciebie przyjechała.

- To zły pomysł. - Chwila ciszy. Nie mógł tego załatwić, nie raniąc  
jej, ale uznał, że chwilowe okrucieństwo okaże się najłagodniejszym  
środkiem na dłuższą metę. - Gayle, nie powinniśmy się więcej spotykać.  
Nawet jako przyjaciele.

- Dlaczego to robisz? - zawołała oburzona.

- Oboje uznaliśmy, że to już koniec.

- Ty tak zdecydowałeś, nie ja!

- Nie byłaś ze mną szczęśliwa.

- Ale mogłabym być.

- Do cholery, Gayle. Nic by z tego nie wyszło. Oboje to wiemy.

- Bo ty na to nie pozwoliłeś.

- Nie będziemy się teraz o to kłócić.

- Ty draniu! - Nadal nie rozumiała, w czym rzecz. - Znowu chodzi o

Kristi Bentz, tak? Wiedziałaś. Chciałeś pojechać do Baton Rouge, bo ona tam studiuje... Jesteś ciekaw, skąd o tym wiem?

Nie, wcale nie. I w tym problem.

- To już koniec, Gayle.

- Na miłość boską, Jay, czy ty nigdy nic nie zrozumiesz?! - W tym momencie rozmowę z Gayle na sekundę przerwał sygnał oznaczający drugie połączenie.

- Muszę kończyć, mam rozmowę na drugiej linii.

- Spotykasz się z nią! Do cholery, Jay! Miej chociaż tyle przyzwoitości, żeby się do tego przyznać! Nadal się w niej kochasz!

- Żegnaj, Gayle. - Rozłączył się, ale jej słowa niosły się echem w jego głowie, głośne i wyraźne: „Nadal się w niej kochasz”.

Tak. Kristi nadal go pociąga. I to bardziej niż kiedykolwiek. Odebrał drugi telefon.

- McKnight? - głos Ricka Bentza kompletnie go zaskoczył.

- Tak.

- Mam do ciebie prośbę. - Bentz od razu przeszedł do sedna.

- Jaką?

- Kristi jest potrzebny rower. Jeśli ja pojedę do Baton Rouge, zarzuci mi, że się wtrącam w jej życie. Wiem, że tam uczysz i że masz pikapa. Mógłbyś go zabrać?

To się nazywa ironia losu, pomyślał Jay.

- Oczywiście. - Rozwahał, czy się nie zwierzyć starszemu policjantowi; jakby nie było, to ojciec Kristi, a ona z uporem maniaka pakuje się w kłopoty. Ale w końcu postanowił trzymać język za zębami. Na razie.

Umówili się, że Jay wpadnie później po rower na posterunek. Nie przyznał się, że Kristi jest jego studentką, że usiłuje rozgryźć tajemnicę sekty i poprosiła go o pomoc, a on chce się z nią częściej spotykać.

Odłożył słuchawkę i przez chwilę zastanawiał się, co powie Bentzowi, jeżeli Kristi wpadnie w poważne tarapaty. Jak się wtedy będzie czuł?

Zmełł w ustach przekleństwo. Kristi udusiłaby go gołymi rękami, gdyby się dowiedziała, że powiedział o wszystkim jej ojcu.

Cholera! Co za sytuacja! Wyłączył komputer i wstał. Najwyższy czas wracać do Baton Rouge.

Nic!

W rzeczach Tary Kristi nie znalazła niczego, co pomogłoby jej rozwiązać zagadkę zniknięcia poprzedniej lokatorki tego mieszkania.

- Niech to szlag trafi - Kristi przycupnęła na piętach i jeszcze raz przejrzała rzeczy Tary rozłożone na podłodze w saloniku. Wbrew jej oczekiwaniom w szkatułce z biżuterią nie było naszyjnika z fiolką krwi.



Nie znalazła też żadnej mapy, która wskazywałaby drogę do miejsca sekretnych spotkań wyznawców wampirów.

- Coś tu musi być - przekonywała się. - Muszę to tylko znaleźć.

W dobytku Tary brakowało najbardziej oczywistych rzeczy: komputera, torebki, portfela, telefonu komórkowego. Nie było pamiętnika, listów miłosnych ani notesu z adresami. W pudle z ciuchami znalazła plecak. Zajrzała do każdej kieszeni i wywróciła go na lewą stronę, aż wysypała się zawartość bocznego schowka: pudełko po papierosach, dwa paski gumy do żucia, pół rolki miętusów, paragony z lokalnego supermarketu, pognieciony tampon i gumka do włosów.

Poczuła się jak Geraldo Rivera, który w latach osiemdziesiątych przed kamerami, na oczach milionów widzów, otworzył, jak przypuszczano, sejf Ala Capone, a w środku znalazł tylko śmiecie. Ona też trafiała tylko na śmiecie po zaginionej.

Po niefortunnym spotkaniu z Hiramem trzy razy schodziła do piwnicy z workiem na bieliznę i taszczyła na górę rzeczy Tary. Szukała wszędzie, przekonana, że znajdzie coś ważnego. Na próżno.

- Ojciec byłby rozczarowany - poinformowała kota, który przyglądał się jej z gzymsu nad komikiem. - Na pewno coś przegapiłam. Ale co?

Była załamana.

- Może się do tego nie nadaję - mruknęła i zaczęła pakować wszystko z powrotem do pudeł. Gdy skończyła, wyjęła notatki do pracy domowej zadanej przez Prestona i położyła się do łóżka, by studiować kolejną sztukę Szekspira.

- Jutro - zapewniła Houdiniego, który wskoczył na tapczan i ułożył się w najdalszym krańcu, gotowy do ucieczki, gdyby coś go przestraszyło.

Ich związek się zacieśniał, ale bardzo powoli. Houdini czasami już niemal dawał się pogłaskać, lecz ilekroć wyciągała rękę, zmykał. Miała szczęście, jeśli musnęła go czubkami palców.

Tak samo odnoszą się do siebie z Jayem: czujnie, podejrzliwie, z zainteresowaniem, ale i strachem. Ale przecież Jay to tylko wykładowca, który zgodził się jej pomóc w ustaleniu, co się stało z zaginionymi. Nie ma mowy o związku natury erotycznej czy emocjonalnej.

- Prawda, Houdini? - spytała.

Kot przyglądał się jej bez mrugnięcia okiem.

Ksiądz Mathias Glanzer szedł nerwowo przez kościół, mijając wotywnie świece, wypalone niemal do cna. Jego kroki niosły się głuchym echem po pustej nawie. Przed ołtarzem zatrzymał się, uklęknął, przeżegnał i pomodlił o pomoc. Czuł na sobie wzrok Jezusa, a w nim...

Złość?

Współczucie?

Dłonie złożone do modlitwy były wilgotne, ciało pod sutanną pokryło się potem strachu i wstępu do samego siebie. Pełnił posługę kapłańską od prawie piętnastu lat, a nadal szukał i wątpił. Jego wiara była chwiejna, choć nikomu nie przyznałby się do tego.

Ale Bóg wie.

- Wybacz mi - szepnął. Zdawał sobie sprawę, że powinien tu zostać i modlić się godzinami, lecz modlitwa nie przynosiła ukojenia, a łaska

boska nie dawała pociechy. Wstał i wyszedł ze świątyni. Drzwi zamknęły się za nim z cichym, jakby ostatecznym odgłosem.

Zanosiło się na deszcz. Gęste chmury zasłaniały księżyc i gwiazdy przed burzą, która nadciągała od wybrzeża.

Ksiądz Mathias przyjechał do tego college'u w nadziei, że gdy zmieni uczelnię, zmieni także siebie. Na nowo odnajdzie Boga.

Tak jak małżonkowie, którzy nie dbają o związek, zbyt pewni swojej wzajemnej miłości, uznał, że jego wiara jest czysta, silna i niewzruszona. Stał się próżny. Dumny. Pyszny.

Ślepa ambicja zawiodła go wysoko. I z wysoka strąciła. Teraz staczał się w ciemność tak nieprzeniknioną, że obawiał się, iż nie ma z niej powrotu. Decyzja o przyjeździe do College'u Wszystkich Świętych okazała się nie zbawienna, lecz przeklęta.

Najchętniej obwiniłby o to księdza Anthony'ego, Dominika Grotto i Nathalie Croft z jej idiotyczną wizją wydziału literatury angielskiej. Żywił wrogie uczucia nawet wobec uczelnianej administracji, ale w głębi duszy zdawał sobie sprawę, że głupotą jest pomstowanie na współpracowników i zwierzchników. Winę ponosi on sam. Pomyślał o męczennikach, którzy nosili włosiennicę, biczowali się, całymi dniami leżeli krzyżem na lodowatych posadzkach i pościli do omdlenia...

Długo wmawiał sobie, że takie próby są dla słabych i ograniczonych, że on jest ponad to. Teraz rozumiał, że jest inaczej. Że właśnie te próby pokazują prawdziwą siłę, a tchórze tacy jak on - słabi śmiertelnicy - nie podejmują Bożego wyzwania.

Nigdy tego nie zmienisz, Mathiasie, nie pokonasz samego siebie. Zresztą nawet gdyby ci się to udało, Bóg przejrzy twoje żalosne wysiłki, zajrzy w twoją duszę i zobaczy w niej ciemność.

Zna twoje grzechy.

Rozbrzmiały kościelne dzwony. Ich głębokie tony wibrowały mu w głowie, niosły się echem po sercu. Powinny dodać mu otuchy, tymczasem jedynie przypominały, jak wiele z własnej woli, niemal ochoczo, utracił.

Z trudem przełknął ślinę i przeżegnał się, idąc po wilgotnej trawie. Wróci do siebie, napije się brandy i pomyśli nad planem ucieczki.

Tchórz! Nigdy się nie uwolniesz! Sam własnoręcznie skazałeś się na piekielne męki. Jesteś Judaszem.

Kątem oka dostrzegł ruch, minimalne drżenie zarośli za gankiem w zachodnim skrzydle kościoła.

Powtarzał sobie, że nie ma powodu do niepokoju, że to pewnie kot na nocnych łowach albo opos, albo... O, Boże.

Znieruchomiał.

Ciemna postać wyprostowała się na pełną wysokość pod wąskim oknem.

- Ksiądz Mathias - szepnęła ochryple, podchodząc bliżej. Ogarnął go strach mroczny jak dusza samego Lucyfera.

- Tak, synu?

Istota, bo tak o niej myślał, była potężna. To przebrany człowiek czy stwór nie z tego świata? Mężczyzna? A może Amazonka? Stworzenie bez płci? Rysy nikły pod ciemnym kapturem, oczy zdawały się płonąć czerwienią.

Mathias drżał, zlany lodowatym potem.

W ciemnościach błysnęły białe kły. Usta, ciemne, jakby poplamione krwią szepnęły ostrzegawczo:

- Nie zdradź nas. Widzę strach w twoich oczach, czuję go w twoim zapachu. - Usta skrzywiły się z niesmakiem. - Jeśli dojdzie do mnie choć słowo o zdradzie, uznam, że to twoja wina. I ukarzę cię.

Mathias zdążył unieść ręce z krucyfiksem, by odstraszyć demona, gdy ten złapał go za nadgarstek.

- Nie!-jęknął ksiądz.

Rozległ się trzask rozrywanego materiału. Usta się rozchyliły. Kły wbiły się w ciało.

- Auu! - krzyknął ksiądz. Demon nie puszczał jego ręki.

- Błagam, nie!

- Cicho! - Demon podniósł głowę i z jego ust spłynęła krew, krew kapłana. - Uciekaj - syknął. Między ostrymi kłami mignął rozdwojony język.

Ojcze przenajświętszy, co to za bestia z piekła rodem?

Przerażony ksiądz osunął się na kolana i po omacku szukał różańca, niemal sparaliżowany strachem.

Jeśli go znajdą w takim stanie... nie będzie miał nic na swoje usprawiedliwienie.

Stwór odwrócił się, niemal bezszelestnie przemknął po trawniku i rozpląnął się w ciemności.

Mathias skulił się na ziemi. Po twarzy spływały mu łzy. Łzy strachu. Łzy żalu. Łzy złamanego człowieka bez wiary.

- Ojciec nasz - próbował się modlić, ale słowa utkwiły mu w gardle. Skrucha przyszła za późno. Przekroczył próg i już nie ma odwrotu. Modlitwa nic mu nie pomoże. Spowiedź, która zmywa wszystkie grzechy, też nie przyniesie ukojenia. Prawda jest taka, że jak wielu przed nim, zaprzedał duszę diabłu.

A teraz szatan upomniał się o swoje.

## ***Rozdział 16***

---

Boomer Moss polował na aligatory przez całe życie. Czasami legalnie, z zezwoleniem, w sezonie łowieckim, a czasami, jak choćby tej nocy, kłusował. Uważał, że aligatory to paskudne gady i trzeba je zabijać, a jeśli przy okazji zarobi się trochę na skórze, głowie i mięsie, tym lepiej. Wyświadcza światu przysługę, zabijając te potwory, ot co.

Fakt, że istnieje coś takiego jak sezon łowiecki i trzeba kupować zezwolenia i wysyłać formularze do urzędników rządowych, działał mu na nerwy. Jego przodkowie od ponad dwustu lat łowili na bagnach, rzekach, jeziorach i kanałach w okolicach Nowego Orleanu. Rząd nie ma prawa mówić mu, co ma robić.

A nocne polowanie na bagnach to przeżycie, jakich mało. Boomer miał w przenośnej lodówce kilka piw. Jego łódka sunęła bezszelestnie po czarnej powierzchni, mijając szkieletowate pnie cyprysów. Wprawdzie zastawił sidła, ale nigdy nie wiadomo, kiedy w wodzie natkniesz się na drania, śpiącego albo czuwającego.

Czasami zabijał szopa lub oposa, albo węża, jeśli miał szczęście. Uważał rozlewiska za swoją własność. Tutaj on jest królem i ziemia, woda i wszystko, co na nich jest, należy do niego. Nie będzie sobie zawracał głowy żadnymi pozwoleniami - o nie. A szop i opos to lepsza przynęta niż krowie flaki, na które pozwalał rząd. Zresztą rząd powinien się zająć ważniejszymi sprawami.

Boomer przeczesywał mroczne rozlewisko ostrym światłem latarki. Liczył, że zobaczy ślepią tuż nad powierzchnią mętnej wody. O tej porze roku aligatory są ospałe, nieruchawe, ale można je znaleźć.

Zastawił sidła i miał nadzieję, że złapie się w nie co najmniej jeden sukinsyn, a jeżeli szczęście się do niego uśmiechnie, może nawet pięć albo sześć. Na razie poczeka, sprawdzi, czy przynęta się trzyma tam, gdzie ją umieścił, kilka stóp nad wodą.

Widział ślepią aligatorów w ciemności i wiedział, że one nie tylko też go widzą ale i wyczuwają jak każdy ruch w wodzie. Cholerne zębate jaszczury. Usłyszał plusk i zobaczył, jak wielkie cielsko zsuwa się do wody niedaleko gniazda ukrytego w trawie; wzgórek błota zdradzał, że samica złożyła tam jaja.

- No chodź, mamuśka - zawołał miękko. - Chodź do tatusia! - Czekał z pistoletem w dłoni, ale samica zniknęła w mroku, więc popłynął dalej, wsłuchany w odgłosy nocy: szelest skrzydeł nietoperzy, pohukiwanie sowy, rechot żab, bzyczenie owadów. Co jakiś czas rozlegał się kolejny plusk: albo ryba wyskoczyła na powierzchnię, albo aligator wślizgnął się do wody.

Już od kilku godzin włóczył się po bagnach i ani razu nie udało mu się na tyle zbliżyć do wielkiego jaszczura, żeby go zastrzelić i wciągnąć do łodzi. Wypił wszystkie sześć piw i zjadł dwie kanapki z ostrygami, które mu przygotowała Mindy Jo.

W końcu, gdy noc miała się ku końcowi, sprawdził sidła. Pierwsze były puste, zniknęła też przynęta.

- Cholera - zaklął i popłynął do drugiej pułapki, a tam nad wodą wisiał aligator. Dwa i pół metra jak w mordę strzelił.

- Alleluja, bracie! - powiedział Boomer, celując w mały mózdzek potwora. Strzelił. Musiał mieć pewność, że gad nie żyje, zanim go odetnie. Nie miał ochoty miotać się w małej łódce z dwustu kiłowym żywym potworem. I z martwym będzie niewygodnie.

Dźgnął go wiosłem i dopiero gdy się upewnił, że aligator nie żyje, ostrożnie wciągnął wielkie cielsko do łodzi. Był to samiec, wspaniały okaz, prawie nie miał blizn na skórze. I dobrze, dostanie za niego kupę pieniędzy. Boomer już nie uważał, że ta noc okazała się klęską. Sprawdził pozostałe sidła, ale były puste, przynęta nadal kołysała się nad wodą. Póki co, niech wisi dalej. Może jakiś się jeszcze skusi.

Zawrócił w stronę polany, na której zaparkował półciężarówkę. Nie zawracał sobie głowy patroszeniem zdobyczy, tylko owinał cielsko w wilgotną plandekę, cisnął na pakę i pojechał do domu, małej chatki głęboko w lesie.

Był w dobrym humorze. Wróci do domu, weźmie prysznic, obudzi żonę i będzie ją posuwał, aż miło, jak zawsze po udanym polowaniu. Już



nie mógł się doczekać. Zaciśnął dłonie na kierownicy starego chevroleta. Samochód podskakiwał na wyboistej drodze.

Mindy Jo lubiła, gdy ją budził, żeby się kochać. Pewnie jest w domu i czeka na niego, już mokra. Kiedy był nabuzowany testosteronem po udanym polowaniu, godzinami kochali się w wielkim starym łożu; doprowadzał ją na skraj orgazmu i przestawał, ujeżdżał ją jak ogier.

Wprowadził auto do garażu, obłożył aligatora lodem i wszedł do domu. Co tam, daruje sobie prysznic i zobaczy, jak zareaguje Mindy Jo, gdy poczuje zapach polowania... Robił tak już kilka razy i teraz też uznał, że to fantastyczny pomysł. Zrzucił więc ubranie, cisnął koszulę moro na kuchenną podłogę koło nowej pralki i wszedł do sypialni.

Pan tego świata.

Było ciemno, opuszczone żaluzje nie wpuszczały ani odrobiny światła, śmierdziało dymem papierosowym i cholernymi kotami, które uparcie trzymała w domu.

- Skarbie, to ty? - mruknęła z twarzą wtuloną w poduszkę.

- Owszem, to ja, i jestem napalony jak cholera. Złapałem wielkiego aligatora.

- Och.

Dotknął jej uda koniuszkami palców. Odsunęła się z niechęcią. Nie dał się nabrać. Ukląkł na materacu koło niej. Był już twardy jak kamień.

- Słyszałaś? Jest wielki. - Dotknął jej piersi.

- Och, Boomer, nie teraz, daj spokój.

- O nie, skarbie. - Może, jeśli mu się poszczęści, zrobi mu loda.

- Ale cuchniesz. - Odwróciła się do niego, tak że jej usta dzieliły tylko centymetry od jego rozporka. - Nie kąpałeś się?

- Nie.

- O Boże, Boomer, idź się umyć!

Ale on już się nad nią pochylał, już wyciągał rękę po jej małą, miękką dłoń.

- Nie wytrzymam, skarbie. Jesteś taka piękna.

- Akurat, ty kłamco! W tych ciemnościach niczego nie widać.

- Widzę cię w wyobraźni.

- Bzdura - odparła, ale jej ręka już się zamknęła na jego członku.

Rozchyliła usta, gdy ją całował, przyjęła go, jak zawsze rano, z zapalem. Wieczorami coraz częściej była zbyt zmęczona na seks i zbywała jego zaloty, ale rano budziła się napalona. Bardzo mu to odpowiadało.

Uznał, że skoro całą noc pracował, nie będzie się z nią cackał. O nie. Załatwi sprawę szybko, ostro, dotknie ją tam, gdzie trzeba, doprowadzi na szczyt, a kiedy już zacznie jęczeć, skończy. Ale źle zinterpretował jej reakcję. Tego ranka była bardzo ciasna i nie do końca gotowa, więc skończył, zanim porządnie ją rozgrzał i opadł na nią jak martwy aligator.

Wtedy naprawdę się wkurzyła.

- Ty draniu - burknęła i zepchnęła go z siebie. - Co ty sobie wyobrażasz?

- Spokojnie, skarbie, zaraz się tobą zajmę.

- Daruj sobie, nie mam ochoty. - Usiłował ją pocałować, ale odepchnęła go. - Przestań, Boomer. Spuściłeś się, to daj mi spać. - Odsunęła się na swoją stronę łóżka i po omacku szukała papierosów na

nocnym stoliku. Jeden z tych jej durnych kotów spacerował po poduszce. Musnął ogonem twarz Boomera, który zaraz sobie przypomniał, że tak naprawdę nigdy nie są sami, bo zawsze obserwują ich cholerne kociska.

Zamknął oczy i postanowił, że się prześpi. Aligatorowi nic się nie stanie, leży pod lodem. Usłyszał szczęk zapalniczki i po chwili dotarł do niego zapach dymu. Był zmęczony, więc zaraz zasnął i obudził się jakieś sześć godzin później, gdy poczuł, że Mindy Jo się wierci. Chciał pospać dłużej, zasłużył na to, do cholery, ale musiał zajrzeć do aligatora, upewnić się, czy lód nie stopniał. Zresztą cholerne koguty sąsiada, Jeda Stompa, zaczęły pisać, a ich pisanie obudziłoby zmarłego.

Trochę bolała go głowa, gdy gramolił się z łóżka. Klepnął Mindy Jo w nagi pośladek, poszedł do kuchni i włożył brudne myśliwskie ciuchy.

Słońce stało już wysoko; kruk na dachu przyglądał mu się badawczo i krakał irytująco.

- Zamknij się, do cholery - burknął i pożałował, że nie ma pistoletu pod ręką. Cholerne ptaszysko.

W garażu otworzył klapę półciężarówki i ściągnął pakunek z aligatorem na asfaltowy podjazd. Do kruka dołączył jakiś inny ptak. A w dodatku z domu dobiegał warkot młynka do kawy. Mindy Jo jak co rano miele kawę, choć jego zdaniem to gra niewarta świeczki, skoro można kupić mieloną za grosze.

Nie zwracając uwagi na poranną kakofonię, Boomer wziął najostrzejszy nóż i zabrał się za aligatora. To ciężka robota, ale oczyma wyobraźni już liczył banknoty. Jeszcze dzisiaj sprawdzi pozostałe sidła.

Może los się do niego uśmiechnie. Prawie skończył najgorszą robotę, gdy usłyszał skrzypnięcie drzwi.

Mindy Jo, w jedwabnym szlafrocisku i różowych kapciach ze sztucznymi piórkami, wyszła na werandę. W jednej ręce trzymała kubek z kawą, w drugiej - zapalonego papierosa. Trzy cholerne koty ocierały się o jej nogi. Boże, jak on ich nienawidzi.

- Duży - stwierdziła. - Nie zeszła z werandy, patrzyła na aligatora z daleka. - Tylko jeden? - Zaciągnęła się papierosem, odchyliła głowę do tyłu i wypuściła dym kąciem ust.

- Na razie. Później sprawdzę inne sidła. - Spocił się przy obdzieraniu gada ze skóry. - Ma mało blizn, dobra skóra, dostanę za nią kupę szmalu.

- To dobrze - odparła, zaciągając się głęboko. Kogut znowu zaczął.

Mindy Jo nie zwracała na to uwagi. - Grzanki i bekon?

- Tak.

- Jajka?

- Jasne... Ej! Co to jest? - Obdzierał ze skóry mnóstwo aligatorów, ale nigdy nie widział żołądka o tak dziwnym kształcie. - Coś ty zżarł, bracie?

- Nie waż się patroszyć go tutaj! - wrzasnęła Mindy Jo.

Za późno. Ciekawość zwyciężyła i Boomer już rozciął żołądek. W powietrzu rozszedł się smród martwych ryb. Boomer odskoczył.

- O cholera! - Mało brakowało, a zwymiotowałyby na sam widok.

- Co jest?! - zawołała Mindy Jo.

- Chyba mamy problem - odparł. Zastanawiał się, jak wytłumaczy, skąd się wziął aligator, i już wymyślał kłamstwa, które ocalą mu skórę. Ale miał też sumienie. - Mamy kłopot. Dzwonź po szeryfa!

- Po szeryfa? - Mindy Jo ruszyła w jego stronę.

- Rób, co ci mówię. Ten cholerny gad nie pogryzał słonych paluszków. Mindy Jo stanęła koło Boomera. Musnął go jej cień, gdy zajrzała do żołądka martwego gada.

- O Jezu! - Otworzyła szeroko oczy. W żołądku aligatora, wśród krabów, żab, żółwi i ryb, leżała ludzka kobieca ręka z pomalowanymi paznokciami.

Dalej, dalej, dalej.

Kristi ciąła wodę szybkimi, płynnymi ruchami; oddychała spokojnie, równo, czuła, jak naprężają się jej mięśnie. Pływała od pół godziny, a chciała dotrzeć do czterdziestu minut.

Okna uczelnianej pływalni zasnuła mgła, ale oprócz starszego pana kilka torów dalej miała cały basen dla siebie.

Nie pływała od ponad miesiąca, więc rozkoszowała się każdym ruchem. Czuła, jak gromadzi energię. Jak oczyszcza się jej umysł.

Dalej.

Pomyślała o Jayu i w końcu przyznała, że sprawiło jej przyjemność ponowne spotkanie z nim. Ale tylko jako z przyjacielem... Dalej.

Nie znalazła niczego ciekawego w rzeczach osobistych Tary Atwater, ale poszuka jeszcze raz. Na pewno jest tam coś, co wiąże się z jej zniknięciem z mieszkania, które teraz wynajmowała Kristi.

Dalej.

I Ariel, i jej ojciec nadal żyją i mają się dobrze. Może jej wizje to tylko omamy wzrokowe, a nie zapowiedź przyszłości.

Dalej.

Wampiry nie istnieją. Porozmawia z Grotto i zobaczy, co powie. Dopiero potem może zwróci się do policji. Dalej.

Może powinna zadzwonić do Jaya... O, nie. Potrzebuje wprowadzić jego pomocy, ale przecież nie chce na nowo z nim zaczynać. Dalej.

Kłamczucha. Jay ma w sobie coś, co cię kręci. Cholera!

Nie wolno jej o nim myśleć jak o mężczyźnie, ta forma ich związku to już przeszłość. A jednak... rozczuła ją sposób, w jaki odgarnia włosy z oczu, fascynuje chłopięcy uśmiech czający się w kącikach ust, intryguje błysk w ciemnych oczach. Tak, jeśli chodzi o tego faceta, nie dojdzie ze sobą do ładu.

Powtarzała sobie, że nie chciała go przedtem i nie chce teraz, nie może. Zakazany owoc? Przesada. Jednak myślała o nim w sposób, w jaki nie powinna, i to doprowadzało ją do szału.

Dopłynęła do brzegu basenu i zerknęła na zegarek. Czterdzieści trzy minuty. Dość. Dyszała ciężko, gdy podciągała się na betonową krawędź. Co Jay ma w sobie, że tak na nią działa? Zdjęła ręcznik z wieszaka i wytarła się energicznie, jakby chciała wytrzeć Jaya ze swego życia.

Spojrzała na turkusową powierzchnię wody i zauważyła, że starszy pan pływający kilka torów dalej już wyszedł. Była sama na pływalni o oknach zasnutych parą. Sądząc po grze cieni, zimowe słońce już zachodziło, zapadał zmrok.

Nagle poczuła, że ktoś ją obserwuje, ktoś niewidoczny. Zadrżała. Skarciła się w duchu za te obawy.

Nie przesadzaj. Poszukiwania rzucają ci się na mózg.

W szatni zdjęła mokry kostium, wzięła prysznic, włożyła dżinsy i bluzę. Wychodząc z budynku, po raz kolejny pożałowała, że nie ma ze sobą roweru i musi iść na piechotę. Alejkami przemykało wielu studentów, którzy szli na wieczorne zajęcia albo do biblioteki. Niektórzy rozmawiali, inni słuchali muzyki albo gadali przez komórki. Dostrzegła wysoką blondynkę, z którą chodziła na różne zajęcia, i zobaczyła, jak jej skóra staje się szara.

To szaleństwo.

Czyż nie wytłumaczyła sobie przed chwilą, że to tylko przywidzenia? Ariel żyje, jej ojciec też nadal ściga złoczyńców w Nowym Orleanie. To zwykły figiel jej wyobraźni. A jednak...

Kristi ruszyła za szarą postacią. W rekordowym tempie minęły kaplicę. Musiała niemal biec, by dotrzymać jej kroku, i obawiała się już, że dziewczyna wyjdzie z kampusu i skieruje się na parking.

- Cholera - mruknęła, zastanawiając się, co powie, kiedy w końcu ją dogoni. „Dobrze się czujesz? Jezu, ale jesteś blada. Może chcesz, żebym z tobą powtórzyła materiał na zajęcia Grotto?” - Idiotyzm - stwierdziła.

Blondynka tymczasem dotarła do Wagner House, wbiegła po schodach i podeszła do drzwi.

Ale przecież muzeum jest zamknięte.

Blondynka - jak ona ma na imię? Maren? Marie? - weszła do środka.

Po chwili wahania Kristi minęła furtkę i pokonała schody. Tabliczka na drzwiach głosiła, że muzeum jest zamknięte, ale kiedy nacisnęła klamkę, drzwi ustąpiły. Dziwne, pomyślała, wchodząc do środka. Drzwi zamknęły się cicho. Była sama w jakby nawiedzonym domu. Po blondynce wszelki ślad zaginął.

W przestronnym holu stał staroświecki stolik, a na ścianie wisiała tablica z historią domu. Lampa Tiffany'ego rzucała bursztynowe światło rozjaśniając najmroczniejsze zakamarki.

Z lewej strony schody prowadzące na piętro, z prawej kuśił salonik. Tam także paliła się tylko jedna lampa. Środek podłogi zajmował perski dywanik, pod ścianami stały zabytkowe meble, na regałach widniały książki oprawne w skórę.

Wiedziała, że dom należał kiedyś do Ludwika Wagnera, pierwszego osadnika w tej okolicy, plantatora ryżu albo bawełny. Zapisał swój majątek nie tylko rodzime, ale też Kościołowi katolickiemu, pod warunkiem że powstanie uczelnia Wszystkich Świętych. Jego potomkowie do dziś zasiadali w radzie nadzorczej i mieli znaczący wpływ na politykę uczelni. Dom służył jako muzeum i miejsce uroczystych przyjęć. Aksamitne sznury, trzymające zwiedzających w bezpiecznej odległości od eksponatów, przypominały o muzealnym charakterze budynku.

Marcia, Marcy, czy jak tam ma na imię, przepadła jak kamień w wodę. Kristi podeszła do schodów. Wokół panowała cisza, ale w powietrzu nadal unosił się zapach perfum. Przez chwilę rozważała, czy nie zawołać blondynki, lecz zrezygnowała z tego pomysłu.



Kilka dni temu do tego domu weszła Ariel z przyjaciółkami. Wtedy Kristi nie zwróciła na to uwagi, bo przyszły w godzinach pracy muzeum. Ale teraz...

Zajrzała do jadalni. W półmroku dostrzegła podłużny stół przykryty obrusem, na którym stały ozdobne świeczniki. Mahoniowy kredens zajmował całą ścianę, łukowate sklepienie prowadziło do kuchni, odciętej aksamitnym sznurem. Kristi przeskoczyła go, sięgnęła do torebki i wyjęła breloczek z kluczami, przy którym miała latarkę. Zapaliła ją i rozejrzała się po kuchni. Stał tam stary piec na węgiel drzewny, a tuż obok nowoczesna kuchenka gazowa. W kącie dostrzegła ubijak do masła. Przeszklone drzwi wychodziły na tylny ganek. Wyjrzała przez okno, ale nie otworzyła go z obawy, że włączy alarm.

W domu nadal panowała śmiertelna cisza. Żadnego dźwięku, żadnego ruchu. Nie buczała lodówka, nie tykał zegar. Słyszała tylko bicie swego serca i własne kroki, ciche, bo była w butach do biegania.

Gdzie się podziała blondynka?

Spotyka się tu z kimś?

Pracuje tu?

Na dworze zapadł zmrok, nieliczne lampy nie były w stanie rozproszyć ciemności. Dom był mroczny i cichy. Jakby nie miał duszy.

Opanuj się, skarciła się w myślach. Teraz wpada w inną pułapkę i wszędzie widzi postacie i motywy ze sztuk Szekspira, które kazał jej czytać profesor Emerson. A do tych krwiożerczych bohaterów dochodziły potwory z zajęć Grotto. Nagle stanął jej przed oczami: wysoki,

przystojny i ponury, z oczami, które wydawały się przenikać człowieka na wskroś.

To tylko pozory, upomniała się. Show.

Ruszyła dalej. Minęła drzwi spiżarni i jeszcze jedno, za którymi, jak się domyślała, była chłodnia albo schody do piwnicy. Zawróciła przy schodach dla służby, zerknęła na kolekcję kuchennych utensyliów i wróciła do drzwi wejściowych. Znowu stała u stóp ciemnych schodów, za aksamitnym sznurem. Spojrzała w górę. Nie paliło się żadne światło.

Odważy się?

Musi, przecież nie jest tchórzem. Blondynka - ma na imię Marnie, tak - jest gdzieś tutaj.

Szybko przeskoczyła wytarty aksamitny sznur i ruszyła na górę po spłowiełym chodniku w kwiaty. Towarzyszyło jej tylko niebieskawe światło miniaturowej latarki.

Na półpiętrze stał mężczyzna.

O Boże! jęknęła w duchu i odruchowo sięgnęła do torebki po gaz.

Już miała rzucić się do ucieczki, gdy zdała sobie sprawę, że mężczyzna się nie rusza. Oświetliła go latarką i przekonała się, że to tylko zbroja przy oknie.

Zacisnęła usta, policzyła do dziesięciu, a potem wbiegła na piętro. Spodziewała się długiego korytarza z wieloma drzwiami, tymczasem znalazła się w bibliotece pełnej regałów z książkami. W rogu kuśił przytulny kącik do czytania. Nieco dalej stał wielki fortepian. Na czarnym drewnie połyskiwał srebrny metronom.

Kristi minęła regał i fortepian. Dalej zobaczyła korytarz i drzwi do sypialni, oddzielonych wielką łazienką. Widać było, że dodano ją o wiele później. W jednym pokoju królowało łoże z baldachimem w kwiaty, w drugim nad komikiem wisiała strzelba.

Mnóstwo antyków.

Ale ani śladu blondynki.

Przez chwilę zastanawiała się, czy dziewczyna nie przebiegła przez dom na przestrzal - weszła frontowymi drzwiami, a wypadła tylnymi. Jeśli tak, traci tu tylko czas. A jednak...

Wróciła do schodów i poświeciła w górę.

- Raz kozie śmierć - powiedziała i ruszyła na drugie piętro. Tam, jak się spodziewała, zobaczyła dwoje drzwi.

Włosy zjeżyły się jej na karku, gdy przypomniała sobie, jak wędrowała po krętych, pustych korytarzach szpitala psychiatrycznego Naszej Pani od Cnót pod Nowym Orleanem i jak stanęła oko w oko z psychopatą. Zawahała się. Wprawdzie Wagner House to nie to samo co stary szpital, ale aż za dobrze pamiętała, czym się skończyła tamta wyprawa - wizjami, które trwają do dzisiaj.

Zebrała się na odwagę, położyła dłoń na klamce i otworzyła pierwsze drzwi. Zaskrzypiały stare zawiasy.

Super. Niech wszyscy się dowiedzą, że tu jesteś.

Był to pokój dziecinny. W rogu stało małe białe łóżeczko, a pod oknem - koń na biegunach z wyliniąłą grzywą. Tylko że... kołysał się.

Jakby jechało na nim niewidzialne dziecko.

Mało brakowało, a Kristi upuściłaby latarkę.

W pustym domu porusza się koń na biegunach.

Wreszcie się zatrzymał, ale serce Kristi biło coraz szybciej.

Podeszła do zamkniętej szafy. Czy odważy się ją otworzyć? A co, jeśli...

Złapała za rączkę i pociągnęła. Drzwi się otworzyły.

Odłoniły ciemne wnętrza pełne wieszaków. Nie krył się tam morderca, nie czaił wampir z obnażonymi kłami umazanymi krwią, duch małego dziecka nie błagał płacząco o pomoc.

Kristi odetchnęła z ulgą. Oto, co znaczy atmosfera.

A potem dostrzegła drzwi prowadzące do drugiego pomieszczenia. Otworzyła je i zobaczyła kolejny pokój dziecienny. Na stole stał wiktoriański domek dla lalek. Kusił najdrobniejszymi szczegółami.

Wróciła do holu i sprawdziła pozostałe pomieszczenia. Pierwsze okazało się sypialnią z szerokim łóżkiem i wózkiem inwalidzkim u wezłowania. W drugim pokoju chyba mieszkał chłopiec, którego pasją były łodzie i wędkarstwo. Na stoliku poniewierała się talia kart i stara proca.

Ale nie było tu blondynki.

Kristi podeszła do okna i wyjrzała w noc. Widziała stąd plac pośrodku kampusu i kilka innych budynków. Między drzewami mignął jej mur, a za nim linia dachów, dość dobrze widoczna, bo oświetlała ją latarnia uliczna. Wysokie okna pozwalały zajrzeć do pokoju. Było co prawda zbyt daleko, ale... Jej serce zabiło szybciej.

Zmrużyła oczy. Zrobiło jej się słabo na myśl, że stojąc tutaj, można... Przy oknie przemknął cień. W jej mieszkaniu! Czyżby ktoś był w środku?

Ogarnął ją gniew. Chciała jak najszybciej wrócić do siebie i stanąć twarzą w twarz z włamywaczem.

A jeśli on ma broń? Cztery dziewczyny zaginęły, nie zapominaj.

Może ten, kto teraz jest w jej mieszkaniu, przegląda jej notatki, myszkuje w jej komputerze, szpera w rzeczach Tary...

Idąc do schodów, usłyszała rytmiczny dźwięk. Kroki?

Więc jednak nie jest tu sama.

Zbiegła piętro niżej. Tutaj dźwięk był wyraźniejszy. Ledwo zdała sobie sprawę, że jest zbyt monotony jak na ludzkie kroki, zobaczyła, że to metronom odmierza rytm niesłyszanej muzyki.

Przeszedł ją dreszcz.

Ktoś go uruchomił.

Ktoś albo coś.

Zacisnęła dłoń na pojemniku z gazem i omiotła latarką najdalsze zakątki pomieszczenia. Nikogo nie zauważyła.

Nie wierzy w duchy i wampiry, ale w domu na pewno jest ktoś oprócz niej. Czy to Marnie bawi się jej kosztem? Raczej nie, po co miałyby to robić? A jeśli nie ona, to kto?

Usłyszała, jak otwierają się drzwi wejściowe. Z bijącym sercem skuliła się w holu na pierwszym piętrze. Rozległy się stłumione głosy - kobiece - i kroki, więcej niż jednej osoby. Co tu się dzieje, u licha? Zgasiła latarkę, ostrożnie podeszła do poręczy i spojrzała w dół, ale nikogo nie zobaczyła. Słyszała tylko kroki w korytarzu, a potem, jak się jej zdawało, na tyłach domu.

Zeszła na parter. Cały czas ścisnęła w dłoni pojemnik z gazem, idąc w stronę kuchni. Nic.

Kobiety zniknęły.

Kristi zatrzymała się i nasłuchiwała chwilę. Cisza. Wyjrzała przez okno, ale nikogo nie dostrzegła. Pozostawała tylko jedna możliwość - dziewczęta musiały zejść do piwnicy.

Złapała za klamkę i próbowała otworzyć drzwi. Ani drgnęły. Więc dziewczęta miały klucz.

Przypomniało jej się, co Lucretia mówiła o sekcie. Czyżby spotykała się właśnie tutaj, w starym domostwie z gargulcami i duchem? Jej serce zabiło szybciej. Poczula na plecach strużkę potu i mocniej zacisnęła dłoń na pojemniku z gazem, jakby od tego zależało jej życie.

Przyłożyła ucho do ściany, chcąc coś usłyszeć, ale dom był cichy jak grobowiec. Ponownie nacisnęła klamkę. Nic z tego. Omiotła światłem latarki kuchenne ściany w poszukiwaniu klucza albo czegoś, co mogłoby go zastąpić, lecz niczego nie znalazła.

Nie mogła dłużej czekać.

Nie, jeśli chce przyłapać włamywacza w swoim mieszkaniu.

Z gazem w jednej i komórką w drugiej dłoni wymknęła się z Wagner House i ruszyła biegiem przez kampus. Adrenalina dodawała jej sił. Nie czuła na sobie oczu, które śledziły każdy jej krok.

Biegnij, Kristi, biegnij. I tak nie uciekniesz.

Vlad patrzył, jak dziewczyna pędzi przez kampus. Uśmiechnął się pod nosem. Wiedział, że była w budynku, wyczuł jej obecność, a potem

zobaczył ją ze swojej kryjówki nad werandą. Dzielna. Nierozsądna, ale silna i mądra.

Jedna z wybranych.

To tylko kwestia czasu, zanim dołączy do pozostałych. A choć nie złoży się w ofierze z własnej woli, odda się całkowicie. Jest znacznie bardziej ekscytująca niż te żalosne nieudacznice, które przyszły same. Szukały tego, co tylko on mógł im dać, chciały poczuć, że wreszcie do kogoś należą.

Wprawdzie nie wiedziały, jaką ofiarę mają złożyć, ale to nieistotne. Koniec końców, wszystkie ulegały.

Kristi też ulegnie.

Śledził ją wzrokiem, aż zniknęła za placem, i zbiegł ze schodów.

Dzisiaj jest noc wyborów. Noc ofiary będzie później.

Miał nadzieję, że krew popłynie w wystarczającej ilości...

Ale wiedział, że tak nie będzie.

Nigdy tak nie jest.

Tego głodu nie da się zaspokoić.

## ***Rozdział 17***

---

Kristi wybrała numer. Nie lubiła zachowywać się jak słaba kobietka, która w każdej trudnej sytuacji od razu szuka pomocy u faceta, ale teraz naprawdę potrzebowała wsparcia, a tylko Jay mógł go udzielić. Z gazem w jednej ręce i telefonem w drugiej dobiegła do swojej kamienicy i

zatrzymała się przy żywopłocie koło schodów. W słuchawce rozległ się sygnał. Jeden. Drugi.

- No, odbierz - zaklinała. Jay odebrał.

- Cześć.

- Mam problem - zaczęła prosto z mostu. - Ktoś jest w moim mieszkaniu.

- Jesteś tam teraz? - spytał nerwowo.

- Nie, przed domem. Widziałam cię w oknie.

- Mężczyzna? - Jayowi wyraźnie ulżyło, że Kristi nie jest w mieszkaniu.

- Chyba tak.

- Już jadę. Nie wchodź beze mnie.

- Jay...

- Powiedziałem, że jadę - burknął. - Poczekaj.

Nad jej głową otworzyły się drzwi, więc ukryła się pod schodami i czekała, aż pojawi się intruz. Miała nadzieję, że zdoła go sfotografować w świetle latarni. Jeśli włamywacz ma samochód, zapisze numer rejestracyjny, a jeżeli jest pieszo, pójdzie za nim.

Czekała, gotowa śledzić intruza.

A jeśli on ma broń...

Rozległy się kroki na schodach. Liczyła stopnie. Dziesięć, jedenaście, dwanaście... I przerwa. Na drugim piętrze.

Cholera. Chyba ją zobaczył. Przywarła do ściany, wpatrzona w schody, nad którymi świeciły żarówki, po jednej na każdym piętrze. No



dawaj, draniu, zaklinała w myślach. Po chwili kroki rozległy się ponownie, ale nie zbliżały się.

Co jest, do cholery?!

No tak, przeszedł za barierkę i posuwa się po szerokim gzymsie do drugich schodów, obok uliczki prowadzącej na kampus. Puściła się biegiem, wypadła z cienia i w tym momencie na parkingu zahamowała półciężarówka. Jej reflektory oświetliły cały budynek.

Jay!

Wyskoczył z auta.

- Co się dzieje? - spytał.

- Ucieka! - Słyszała, jak intruz zbiega ze schodów na przeciwległym krańcu budynku, przeskakuje przez poręcz i biegnie przez ulicę. - Tam! - Dostrzegła postać w czerni, która po chwili zniknęła za rogiem.

Rozległ się pisk hamulców, a potem ryk klaksonu i krzyk:

- Idioto, uważaj, jak chodzisz!

- Kto to? - zapytał Jay.

- Nie wiem. - Kristi wcisnęła komórkę i gaz do kieszeni bluzy, zarzuciła plecak na ramię i ruszyła biegiem po nierównym asfalcie. Złapie tego drania, do cholery!

Jay bez trudu dotrzymywał jej kroku. Zagwizdał i Bruno wyskoczył z kabiny półciężarówki z cichym warknięciem. Byli już przy rogu budynku, gdy na skrzyżowaniu zniknął czerwony nissan. Jechał w stronę autostrady.

Na uliczce przed kampusem nie było żywej duszy.

- O nie! - Kristi przebiegła przez jezdnię i wpadła w bramę między dwiema kolumnami. Cholera! Niemożliwe, żeby uciekł.

Minęła bramę, popędziła do dębów przy ogrodzeniu i zatrzymała się. Ciężko dysząc, patrzyła na ocienioną drzewami alejkę, tę samą, którą niedawno przybiegła. Jay stanął koło niej i rozglądał się bacznie. Mgła spowijała kampus białym całunem. Studenci - czy to w grupkach, czy pojedynczo - przemykali między drzewami, przecinali plac i wchodzili do budynków. Kristi spojrzała na bibliotekę i gmach, w którym mieściła się studencka kafejka, ale nie dostrzegła nikogo, kto uciekałby w mrok.

- W prawo! - krzyknęła jakaś dziewczyna. Jej słowom towarzyszył chrzęst zmienianej przerzutki. Przemknęła koło nich pochylona nad kierownicą roweru.

Bruno warknął cicho. Kristi rozglądała się dokoła.

Wszystko wyglądało zwyczajnie. Wśród drzew nie przemykała się żadna ciemna postać, nikt nie wkradał się do żadnego z budynków.

- Do diabła! - Zawołała sfrustrowana.

- Widziałas go? - spytał Jay. Kristi pokręciła głową.

- Nie, dostrzegłam tylko cień w oknie, a potem ciemną postać. - Wskazała Bruna. - On nie może go wytropić? - Przecież jest półkrwi ogarem.

- Ale jest też prawie ślepy - odparł Jay. - Ma jednak świetny węch. Może wyczuje, czy włamywacz zostawił coś u ciebie.

Jay przyglądał się przechodzącym studentom.

To bez sensu - pomyślała Kristi. Intruz na pewno uciekł. Wzięła głęboki oddech, usiłując opanować gniew i frustrację.

- Zgubiliśmy go - powiedziała.

- Na to wygląda. - Jay ze zmarszczonym czołem obserwował trzy dziewczyny idące do biblioteki. - Powiedz, co dokładnie się stało? Jak zdołał dostać się do środka?

Kristi tylko pokręciła głową. Jay spojrział na nią badawczo.

- No dobra. Zacznijmy od początku.

- O Jezu... - Wolą nie myśleć, że włamywacz mógł ukraść jej komputer czy notatki. Dokumenty, telefon komórkowy i karty kredytowe miała przy sobie, ale wszystko inne zostało w mieszkaniu: informacje dotyczące czterech zaginionych studentek, jej skromna biżuteria, na szczęście głównie sztuczna, i zdjęcia rodziców... O Boże, jeśli je zabrał... Nawet nie chce o tym myśleć.

Jay na pewno będzie nalegał, żeby wezwała policję, a wtedy będzie musiała wytłumaczyć, skąd się u niej wzięły rzeczy Tary Atwater - o ile nadal są w jej mieszkaniu - i zdradzić, że jej zdaniem coś spośród nich może się wiązać ze zniknięciem pozostałych dziewcząt.

No i ojciec. Jęknęła w duszy. Co z tego, że jest dorosła? Rick Bentz i tak dowie się, co robi. I Kristi słono za to zapłaci.

Przygotowała się do walki, bez której raczej się nie obejdzie. Już nieraz stawiała czoła ojcu, po prostu zmierzy się z nim jeszcze raz. Prędzej czy później starszek zrozumie, że nie może jej ciągle mówić, co ma robić, prawda?

Ale do tego czasu cholernie utrudni jej życie.

Na trzecim piętrze stanęli przed jej drzwiami - zamkniętymi na klucz i zasuwę.

- Włamywacz ma klucz? - zdziwił się Jay, bo wyglądało na to, że nie sposób dostać się ośrodka bez otworzenia zamka. - To nieco zawęży pole poszukiwań.

- Owszem - przyznała i pomyślała o Irene Calloway i jej wnuku, jedynych osobach poza nią, które miały klucze. Ale dlaczego miałiby myszkować po jej mieszkaniu?

Kristi, targana różnymi uczuciami, od wstrętu po wściekłość, otworzyła drzwi i weszła do środka.

- Czekaj - polecił Jay psu. Spojrzał na Kristi. - Niczego nie dotykaj.

- Wiem. - Jeśli mają wezwać policję i zgłosić włamanie, nie powinni naruszyć miejsca przestępstwa.

W mieszkaniu było ciemno i cicho. Zapaliła światło. Wszystko wyglądało tak samo, jak przed jej wyjściem. Laptop stał na biurku, na ścianach wisiały plakaty, rzeczy Tary poniewierały się na plandece na ziemi. Zdjęcia były tam, gdzie je zostawiła, wyglądało na to, że nic nie zginęło. Nikt też nie zapalił lamp, jedynym źródłem światła był stary piecyk, który służył jako nocna lampka ten sam, w świetle którego dostrzegła cień w oknie. Mieszkanie wyglądało tak samo jak wtedy, gdy z niego wychodziła.

A jednak ktoś tu był. Widziała go. Przeszył ją dreszcz. Kto to był? Czego chciał?

- To bez sensu - mruknęła.

- Co?

Uważnie przeglądała papiery na biurku.

- Nic nie zginęło i wszystko jest na swoim miejscu.

- Jesteś pewna?

- Tak, chyba tak. - Błądziła wzrokiem po kominku, półkach, stoliku i łóżku. Na koniec spojrzała do kuchni, gdzie w zlewie piętrzył się stos brudnych naczyń, jak w chwili jej wyjścia.

- Ale ktoś tu był? - spytał Jay.

- Wydaje mi się, że tak. Widziałam go w blasku światła. Kiedy wróciłam, słyszałam kroki na trzecim piętrze, potem, na drugim, dostał się na drugą klatkę schodową. Nie wiem, czy mnie zobaczył, ale nie wyszedł schodami od mojej strony, tylko uciekł drugą. - Podeszła do zlewu, zdjęła szklankę z suszarki i nalała sobie wody. - Na pewno ktoś tu był. - Wzięła spory łyk letniej wody.

- Ale niekoniecznie w środku.

- Jestem pewna, że widziałam... - już miała powiedzieć, że widziała kogoś w mieszkaniu, ale czy rzeczywiście? Wyrzała przez okno nad zlewem i popatrzyła w dal, ale z tej odległości nie widziała nawet zarysu Wagner House między drzewami. Ponieważ w gmachu nie paliły się żadne światła, nie była w stanie go umiejscowić, a co dopiero dokładnie określić, gdzie znajduje się okno na drugim piętrze, z którego wypatrzyła intruza.

Wagner House jest bardzo daleko. Jest ciemno.

Po raz pierwszy zwątpiła w to, co widziała.

- Kristi?

- Ja... już sama nie wiem. Chyba kogoś widziałam.

Spojrzał na przedmioty starannie ułożone na brezentowej płachcie.

- Co to jest?

- To długa historia - mruknęła wymijająco. Nie wiedziała, czy chce mu o tym opowiedzieć. Zapaliła świece w całym mieszkaniu, po chwili jednak doszła do wniosku, że ich światło tworzy zbyt intymny nastrój, i zapaliła wszystkie lampy.

Jay gwizdnął na psa, kazał mu leżeć, zamknął drzwi i usiadł okrakiem na jedynym krześle w pomieszczeniu.

- No to masz szczęście, bo mam mnóstwo czasu.

Przyjechali technicy. Bonita Washington, jedna z najinteligentniejszych kobiet, jakie Bentz znał, warczała na wszystkich i pilnowała, by nikt nie naruszył jej miejsca zbrodni.

- Mówię poważnie - ostrzegła. - Macie włożyć plastikowe ochraniacze i niczego nie dotykać. Zwłaszcza ty - jej zielone oczy zatrzymały się na partnerze Bentza, Reubenie Montoi. Była Afroamerykanką dumną ze swoich korzeni, miała lekką nadwagę i wiedzę kryminalistyczną w małym palcu. - Wpisałeś się? - zapytała Bentza.

Skinął głową i wszedł za nią do małego domku, niedawno odremontowanego. Ledwie minął próg, zatrzymał się i rozejrzał. Poprzewracane meble i ciemna plama na podłodze, najpewniej krew.

- Sprawdziliśmy - Bonita skinęła głową. - To krew.

- Ale ciała nie ma?

- Nie.

Jeden z techników fotografował miejsce zbrodni, inny zbierał odciski palców. Sprawa zaczęła się od telefonu Alda Cordini, Wielkiego Ala, właściciela baru ze striptizem w Dzielnicy Francuskiej. Karen Lee Williams, znana także jako Bodiluscious, od kilku dni nie przychodziła do

pracy, więc wysłał kogoś do jej domu. Nikt nie otwierał, a samochód - zepsuty, jak mówiła szefowi - stał w garażu.

Krwi na podłodze było za mało, by podejrzewać morderstwo, ale kilkudniowa nieobecność Karen i fakt, że nie było jej w żadnym szpitalu, sugerowały, że jednak mogła zostać zamordowana. Albo porwana, pomyślał Bentz i wrócił myślami do zaginionych studentek z Baton Rouge.

Nie przypuszczał, by zaginięcie Karen Lee w jakikolwiek sposób wiązało się z tą sprawą - nie było żadnego elementu wspólnego - lecz ze względu na córkę ciągle myślał o wydarzeniach w College'u Wszystkich Świętych. Dziewczyny zaginęły bez śladu. Karen Lee najwyraźniej stawiała opór.

Rozejrzeli się po małym domku, porozmawiali z nielicznymi sąsiadami, którzy wrócili do tej dzielnicy po huraganie. Żaden nie zauważył niczego podejrzanego. Montoya i Bentz dowiedzieli się jedynie, że Karen Lee ma córkę, która mieszka z jej matką gdzieś w Teksasie. Dziewczynka, mniej więcej dziewięcioletnia, ma na imię Darcy. Nikt nie wiedział, czy Karen ma innych krewnych bądź przyjaciół i czy jest z kimś związana. Sąsiedzi nie wiedzieli też, co się stało z ojcem dziecka, bo Karen Lee nigdy o nim nie opowiadała.

- Czyli mamy jedno wielkie nic - stwierdził Montoya, gdy wrócili do samochodu Bentza. - Nawet ciała nie mamy.

- Może jeszcze żyje. Montoya pokręcił głową.

- Nie wierzę. Może żyła, kiedy ją stąd zabierał, ale teraz już na pewno jest trupem.

- Może będziemy mieli szczęście. - Bentz obstawał przy swoim.

Włączył się do ruchu. Pojadą do klubu, ustalą, kto widział Karen ostatni i kto tamtej nocy był w barze. Może zabójca obserwował ją i śledził.

- Szczęście to mają głupi - stwierdził Montoya i sięgnął do kieszeni po papierosa, zanim sobie przypomniał, że przecież rzucił palenie.

- Więc może się do nas uśmiechnie - zażartował Rick.

Jay pochylił się na krzesło.

- Podsumujmy: złamałaś prawo, otwierając schowek, następnie majstrowałaś przy materiale dowodowym w - co niewykluczone - sprawie o morderstwo albo porwanie i wreszcie bez pozwolenia weszłaś do Wagner House w pościgu za blondynką, która, jak twierdzisz, należy do sekty wampirycznej. Co prawda nie znalazłaś blondynki, za to słyszałaś głosy, a kiedy wyjrzałaś przez okno, zobaczyłaś kogoś w swoim mieszkaniu i ruszyłaś mu na spotkanie. - Nie sposób było nie wyczuć jego dezaprobaty.

- Ktoś tu był - upierała się Kristi. - No i co z tego, że złamałam prawo? Przynajmniej staram się dowiedzieć, co się z nimi stało. Daj spokój, Jay. Ty też nie jesteś bez winy. Szperałeś w dokumentach rządowych.

- Ja nie ryzykowałem życiem.

- Życiem nie, ale karierą - owszem. Dobra, dajmy sobie spokój. Sprawa wygląda tak: ktoś tu był, a ja chcę wiedzieć, kto i dlaczego. - Zerknęła na komputer. Podczas rozmowy weszła do sieci i zalogowała się do kilku czatroomów. Mignęło jej kilka znajomych nicków. PanŚmierci7 zaglądał do różnych pokoi, PoProstuO czaiła się, ale milczała.



- Jak myślisz, kto to był? - Jay wyjrzał przez okno uchylone dla kota, ale można było dostać się do niego tylko od strony dachu.

Już mu powiedziała, że tylko Hiram i Irene mają klucze, więc teraz wzruszyła ramionami i odparła:

- A niby kto? Hiram albo Irene.

- Zaczniemy od nich. Na razie zostaję tutaj. - Wyprostował długie nogi. Bruno leżał koło niego, na chodniczku między krzesłem i tapczanem.

- To kiepski pomysł.

- Wyrzucisz mnie? - zapytał z błyskiem w ciemnych oczach.

Prowokował ją.

- Jay...

- Profesorze McKnight - poprawił ją. Łypnęła na niego groźnie, lecz tylko się uśmiechnął. - Kris, nie wyjdę stąd, więc lepiej zamówmy coś do jedzenia, chińszczyznę albo jakieś tajlandzkie cuda, i chodźmy spać. Masz do wyboru: albo to, albo wracamy do domu ciotki i prześpisz się ze mną w śpiworze. Jednym.

Przyglądała mu się z niedowierzaniem.

- Żartujesz, prawda?

- Uważasz, że ktoś się tu włamał - przypomniał jej i sięgnął po komórkę. - Więc co? Chińszczyzna? Curry? A może pizza z pieczarkami i pepperoni?

- Nie jadam pieczarek.

Kąciki jego ust uniosły się w uśmiechu.

- Wiem.

Poczuła zdradzieckie ciepło, że zapamiętał jej wstręt do pieczarek, i ta reakcja zdenerwowała ją jeszcze bardziej.

- Niech będzie... pizza.

- Jaka?

- Nie wiem. Wstał.

- To zdecyduj, a ja pójde po twój rower.

- Po mój rower?

- Twój ojciec prosił mnie, żebym go podrzucił. Wiedział, że będzie ci potrzebny, a nie chciał zjawiać się tu niespodziewanie, żebyś mu zarzuciła, że jest nadopiekuńczy. Nic mnie nie obchodzi, jakie są układy między wami, ale przywiozłem rower. Mogą go ukraść z wozu. Zaraz wracam.

- Dzięki. - Ton jej głosu zdradzał targające nią sprzeczne uczucia.

- Co powiesz na wszystkie dodatki poza grzybami? - Jay już wybierał numer pizzerii. Gdy wychodził, słyszała, jak składa zamówienie. Po chwili wrócił z rowerem i zamknął drzwi. Houdini, który czaił się pod tapczanem, w końcu się ujawnił i zamruczał gniewnie pod adresem Bruna. Psisko leniwie uniosło powiekę.

- Następny słyszy głosy - mruknął Jay i oparł rower o ścianę przy drzwiach łazienki.

Houdini nie dawał za wygraną. Z głośnym sykiem wypadł ze swojej kryjówki, skoczył na tapczan, a stamtąd na gzyms kominka i wyżej, na półki.

- Zawsze jest taki towarzyski? - spytał Jay.

- Tak.

Bruno miał to wszystko w nosie. Westchnął głośno i ułożył łeb na przednich łapach.

Houdini przebiegł po półce, po drodze strącając zdjęcie Kristi, które spadło na ziemię. Ramka pękła, szkło się zbiło. Kot, przerażony hałasem, przemknął przez pokój, jak czarna błyskawica, wskoczył na szafkę i zniknął za oknem.

- Bardzo przyjacielski - zauważył Jay.

- Jest coraz lepiej.

- Jasne.

- Naprawdę. - Zebrała szkło z ziemi, podniosła zdjęcie i usiłowała postawić je na półce zawieszanej wysoko nad jej głową.

- Pomogę ci.

- Dam sobie radę.

- Pod warunkiem, że skombinujesz drabinę. - Wyjął jej fotografię z dłoni i postawił na półce.

Kristi postanowiła nie zwracać uwagi na bliskość jego ciała za sobą, na jego zapach - wody kolońskiej i piżma.

Jay wahał się odrobinę za długo i wiedziała, że on także poczuł tę iskrę między nimi. Zastanawiała się, czy tak jak ona wspomina, jak z nim zerwała. Uważała wtedy, że jest za młody, za dobrze znany... a teraz... nie, nie będzie myślała o tym, jakie uczucia w niej kiedyś budził, o tym jak pragnęła jego pocałunków, jego pieszczot, jego ciężaru na sobie...

Przysunął się jeszcze bliżej i poczuła jego szeroką klatkę piersiową na swoich plecach, dotyk jego ramienia na tyle głowy.

- Co to jest? - zapytał i czar prysł.

- Co?

Badał palcami brzeg półki nad głową.

- Nie wiem... poczekaj... - Wspiął się na palce, ustawił zdjęcie na miejscu i, jakby nie zdawał sobie sprawy z napięcia między nimi, mruknął:

- Odsuń się.

Ledwie to zrobiła, wspiął się na czubki palców.

- Chyba coś znalazłem, zagłębienie w półce, tuż przy ścianie.

Poczekaj, nie sięgam tam... O, mam... - Cofnął się i opuścił rękę, w której trzymał złoty łańcuszek. Kołysała się na nim mała fiołka z ciemnoczerwonym płynem.

- O Boże. - Kristi przeszedł dreszcz. Od razu wiedziała, że to krew Tary Atwater.

Vlad skradał się zapomnianym tunelem łączącym podziemne laboratorium z innym opuszczonym pomieszczeniem w sercu kampusu, o którego istnieniu wiedzieli tylko nieliczni. Ludwik Wagner kazał wykopać tę piwnicę i urządził w niej miejsce prywatnych uciech. Marmurowe ściany okalały wielką wannę pośrodku komnaty. Wypełniała ją ciepła woda z podziemnego źródła. Mrok rozpraszały tylko świece. Tu na dole nie było elektryczności.

Leżała w wannie, a woda obmywała jej boskie ciało; ciszę zakłócał jedynie plusk kropli i szmer ciągu wentylacyjnego.

Elizabeth.

Miała nieskazitelnie białą skórę i krągłe, różowe brodawki, które czasem unosiły się nad powierzchnię i wtedy twardniały na zimnie. U zbiegu alabastrowych ud widniała kępka ciemnych loków. Jej idealnego

ciała nie szpeciły ślady po opalaniu ani starcze plamy. Kruczoczarne włosy upięła na czubku głowy krwistoczerwoną spinką.

Miała zamknięte oczy, ale wiedział, że wyczuła jego obecność. Zawsze tak było. Łącząca ich więź zadzierzgnęła się bardzo dawno i umacniała z czasem.

Elizabeth fascynowała go od małego. To ona uczyniła z niego istotę, jaką jest dzisiaj. Był to długotrwały proces, ciągnął się latami, a jednak wydawało mu się, że wyczuła jego słabość, ledwie go zobaczyła. I rozumiała jego potrzeby. Choć miała wtedy zaledwie pięć lat, a on tylko siedem, osnuła go swoją siecią, sprawiła, że jej zapragnął. Pragnął jej dziś, i to tak bardzo, że robił wszystko, czego zażądała.

Z własnej woli.

Z rozkoszą.

On miał iloraz inteligencji bliski geniusza. Ona miała jeszcze wyższy. Nigdy o tym nie zapominał. Nie pozwalała mu na to.

Pozwalała mu na zdrady, wręcz zachęcała do nich, a czasami nawet je obserwowała, lecz oboje wiedzieli, że należą do niej. Na wieki będzie jej sługą. Niewiele przed nią ukrywał, ale dzisiaj musi zachować ostrożność. Nie zdradzi, że Mathias, płaczliwy ksiądz, zaczyna tchórzyć. Nie zdradzi, że ta suka Lucretia ma wyrzuty sumienia i zwierza się Kristi Bentz, córce gliniarza, która twierdzi, że widzi śmierć, zanim nadejdzie, że poznaje to po cerze ofiary - bladej i szarej, jakby odpłynęła z niej cała krew.

Jasnowidzenie?

Ciekawe, czy kiedy spojrzy w lustro, zobaczy własną twarz bez kropli krwi?

Na razie jednak musi o tym zapomnieć. Teraz skupi się na Elizabeth.

Lekko uniosła powieki, na tyle, że dostrzegł odbicie płomyków świec w źrenicach, ale nie zdołał odczytać jej emocji. Komnata była zimna i prawie pusta. Tylko wąskie łóżko i stolik, a na nim lampa i kilka książek - Elizabeth czytała wszystko o swojej imienniczce. No i mnóstwo luster. Widział w nich swoje odbicie. Zwielokrotniały każdy jego ruch.

- Wiedziałam, że dzisiaj przyjdiesz - powiedziała.

Bez słowa podszedł do wanny i przysiadł na marmurowym obramowaniu. Z czystej, ciepłej wody unosił się zapach lilii i róż. Pozwoliła mu się dotknąć; błędził palcami po jej udzie, ale kiedy chciał wniknąć w najbardziej intymny zakątek, odepchnęła jego rękę.

- Jeszcze nie - szepnęła chrapliwym głosem, który tak na niego działał. Wiedział jednak, że jest gotowa jak on, że jej krew także pulsuje pożądaniem.

- Jeszcze nie - powtórzyła, jakby chciała przekonać samą siebie, że nie nadeszła pora, którą sama wyznaczyła. - Przywiozłeś więcej, prawda? Z polowania?

Spojrzał na nią, zdumiony jej przenikliwością graniczącą z jasnowidzeniem.

- Myślałeś, że nie wiem o striptizerce?

- Sama ustaliłaś zasady - przypomniał.

- Ale striptizerka? No wiesz? - Zmarszczyła nos. - Nie podoba mi się to. - Dotknęła wąskiego podbródka mokrą dłonią. - Zdaję sobie sprawę, że

kończy się nam zapas i musimy go uzupełnić, ale striptizerka? Nie zapominaj, że to doznanie nie tylko fizyczne, ale i intelektualne.

W to akurat wątpił. Niech wymyśla wyszukane wymówki, niech racjonalizuje, ile chce, on umiał spojrzeć prawdzie w oczy: oboje uwielbiali tropienie, polowanie i zabijanie. Tortury ją kręciły bardziej niż jego. Jemu wystarczała zwykła, prymitywna rozkosz, zadawanie bólu nie było mu potrzebne. Nie udzielił mu się jej sadyzm; nie stosował go, chyba że potęgował rozkosz. Przede wszystkim jednak szukał seksu i śmierci.

Chciał powiedzieć, że krew to krew, ale ugryzł się w język, a ona zastanawiała się głośno, dręczona pokusą.

- Zużyjmy resztę - zdecydowała w końcu.

- Wtedy nic nam nie zostanie. Będziesz musiała poczekać na nową porcję.

- Myślisz, że to narkotyk? Że jestem uzależniona? - Uśmiech wykrzywił jej doskonale usta i z najwyższym trudem powstrzymał się, by nie wziąć jej tu i teraz, przed rytuałem. Ale poczeka.

- Czy uważam, że jesteś uzależniona? - powtórzył. - Oczywiście. Nie zaprotestowała, tylko przechyliła głowę, odsłaniając długą szyję.

- Może i tak, ale zła krew? O nie. Poczeka. - Droczyła się z nim, rozbawiona jego sprzeciwem. - Czy nie mówi się, że cierpliwość to cnota?

- I nagroda przypadnie cierpliwemu.

- Albo cierplivej - poprawiła.

- Albo cierplivej.

- Ale teraz nie chcę czekać. Wszedł księżyc, to odpowiednia pora.

- Dobrze. - Wiedział, co się teraz stanie. Z bijącym sercem wyciągnął rękę do kranu nad wanną, wychodzącego z pojemnika, który starannie chłodził i z zapalem napełniał. Otworzył zawór i patrzył, jak jej puls przyspiesza. Wbiła lśniące, białe zęby w dolną wargę.

Krew płynęła powoli, wąską wstążką. Lodowato zimna, gęsta, rozplywała się w ciepłej wodzie szkarłatnym pasmem.

Kiedy pierwszy czerwony język dotknął jej skóry, wstrzymała oddech i z rozkoszą przymknęła powieki; wierzyła - jak ta, której imię przybrała - że krew młodych kobiet przedłuży jej życie, da młodość i urodę.

Krwawe źródło młodości.

Wariatka?

Czy wizjonerka?

Nie obchodziło go to. Ważne było, że dawała mu pretekst do polowania, do zabijania, a na dodatek mógł sobie wmawiać, że zabija w imię wyższego celu. Dla niej. Szaleństwo? Czy czasami nie wątpił we własny rozum? Czy rzeczywistość i fantazja nie zlewały mu się w jedno? Tak, wie aż za dobrze, jak cienka linia dzieli geniusz od obłądu.

Jest jej oddanym uczniem, to pewne.

Przesunęła językiem po wargach.

Wkrótce będzie gotowa. Już wydawała ciche, gardłowe jęki, sygnał dla niego. Jego nozdrza się rozszerzyły, gdy poczuł zapach wody, krwi i swego podniecenia.

Zaraz zaprosi go do wanny. Już rozchyłała uda, oddychała coraz szybciej i płycej.



Za chwilę będzie ją pieprzył jak szalony.

Rozpiął pasek i jego spodnie opadły na ziemię. Kopnął je na bok i zdjął koszulę. Miał erekcję, w jego żyłach pulsowało pożądanie. Wszedł do wanny i usiadł. Myślał, że go przyjmie, lecz poczuł jej paznokcie na plecach.

Odchyliła głowę do tyłu i szepnęła mu do ucha:

- Następnym razem - wydyszała. - Następnym razem chcę iść z tobą. I to nie po podstarzałą striptizerkę, która pracuje za dolary wciskane w majtki! Chcę kogoś młodszego, mądrzejszego, a nie kobietę, w której zostało niewiele życia. Niepotrzebnie się zgodziłam na te gorsze. Skoro są gorsze, nie chcę ich.

- Nie mogę bez końca brać ich z kampusu - zaprotestował. Piękna twarz wykrzywiła się w kpiącym grymasie.

- Czy naprawdę sama muszę o wszystkim myśleć?

- Nie, skądże.

Nie dała się przekonać.

- Pojdę z tobą i upewnię się, że jest odpowiednia.

- Przecież już mi pomogłaś przy wyborze - zauważył. Elizabeth także przeglądała zdjęcia studentek.

- Niepotrzebnie się zgodziłam na gorsze - powtórzyła, siadając prosto. Woda zabarwiona krwią spływała z jej ramion i piersi czerwonymi smugami.

Boże, jak pragnął je zlizywać. Ale Elizabeth nie jest w nastroju.

- Nie rozumiesz? - wyjęła ręce z wody. - Krew prostytutek jest skażona. Dlatego to nie działa i moja skóra się nie zmienia.

- To nie były prostytutki.

- Więc skąd je brałeś?

Już otworzył usta, ale ugryzł się w język. Nie chciał mówić o swoim poprzednim życiu, o którym ona wszystko wiedziała. Tylko ona wie, kim on jest naprawdę, tylko ona może go zniszczyć.

I tylko ona może go uszczęśliwić.

- Oczywiście, że możesz mi towarzyszyć - powiedział.

- Nie pytałam o pozwolenie, nie ty o tym decydujesz, pamiętaj! - odparła i ponownie opadła w czerwoną wodę.

Dotychczas nigdy nie wyruszała na łowy. Ale ona też ciągle ewoluuje, nie zatrzymuje się w miejscu, nie popada w rutynę. Tyle że trochę się martwił o następną wybraną. Początkowo była bardzo chętna i dumna, że trafiła do kręgu wtajemniczonych. Wybrał ją, a ona z otwartymi ramionami powitała szansę poczucia przynależności. Teraz jednak wyczuwał jej niepokój. Wahanie. Zdenerwowanie.

Może będzie musiał zmienić sposób działania, żeby zapewnić sobie jej współpracę. Elizabeth się to nie spodoba. Byłoby lepiej, gdyby poszedł sam.

- Jesteś pewna, że chcesz brać w tym udział? - zapytał. Nadal nie zdołał niczego wyczytać z jej przymrużonych oczu.

- Oczywiście. - Czerwone usta rozchyliły się, gdy krwista woda obmywała jej ciało. - Wydawało mi się, że zrozumiałeś. Następnym razem będę się przyglądać. I to nie tylko aktowi, ale także ostatecznemu oddaniu. Ofierze.

## Rozdział 18

---

Boże drogi! - Jay patrzył na malutką fiolkę. - Co to jest, do cholery?

- Krew Tary Atwater - odparła Kristi. Przyglądała się znalezisku jak cennemu, ale przekłętemu klejnotowi. - Założę się o każdą sumę.

- W takim razie musimy zawiadomić policję. - Ostrożnie podał jej cienki łańcuszek. - A ty powiesz im, co znalazłaś.

- Sama nie wiem. Nadal nie mamy dowodów, że popełniono morderstwo.

- To już sprawa policji. - Podrapał się w zarośnięty podbródek. Zastanowił się, co właściwie oznacza ich znalezisko. - Myślisz, że włamywacz szukał właśnie tego?

- Może. Niczego innego nie zabrał.

- Więc chyba warto zebrać stąd odciski palców.

- A ty nie możesz tego zrobić? Przecież jesteś policjantem. I pracujesz w laboratorium.

- Owszem, ale jeśli chcemy przyskrzynić drania, nieważne, kim jest, musimy postępować zgodnie z procedurami.

Westchnęła.

- Zabiorą moje notatki. I komputer. Zaczną mnie sprawdzać.

- Pewnie tak. Dzwoniłem do kumpla w Baton Rouge. Podał mi namiary na policjantkę, która tak jak ty interesuje się sprawą zaginięć i podejrzewa, że dziewczynom coś się stało. Nazywa się Portia Laurent.

- Wreszcie ktoś nie daje się nabrać na idiotyczną bajeczkę, że wszystkie uciekły. Gdybym mogła dać jej coś więcej... może zdecydowałyby się na współpracę.

Rozległ się dzwonek do drzwi i oboje aż podskoczyli.

- Ja otworzę - rzucił Jay i wyjrzał przez wizjer. Pod drzwiami stał pryszczaty nastolatek z długimi włosami i nerwowym tikiem. Trzymał przed sobą płaskie pudło w torbie termoizolacyjnej.

- Pizza! - zawołał.

Jay spojrzął na Kristi i oboje roześmieli się jednocześnie. Otworzył drzwi, zapłacił, dał chłopakowi napiwek i zamknął drzwi na zasuwę. Kristi tymczasem wsunęła fiolkę do torebki foliowej i położyła na ręczniku w kuchni. Myśl, że buteleczka zawiera krew Tary, budziła w niej grozę, ale nie chciała, by Jay wiedział, co czuje.

- Zanim wezwiemy policję, zrobię kopie wszystkich dokumentów - powiedziała, sięgając po kawałek pizzy. Odruchowo spojrzała na fiolkę. Z trudem przełknęła ciasto.

Jay skinął głową. Ciekawe, czy siedzą pośrodku miejsca zbrodni? Pudełko z pizzą leżało między nimi na kanapie. Bruno śledził wzrokiem każdy kęs w nadziei, że coś dostanie. Na nim krwawe znalezisko nie zrobiło najmniejszego wrażenia.

- Dlaczego fiolkę ukryto? - Kristi odłożyła niedojedzony kawałek. - A może ktoś o niej zapomniał?

- Nie, była schowana, ktoś ją wcisnął w tę szparę przy ścianie.

- Ale czemu? Dziewczyny, które mają coś takiego, noszą swoje fiolki na widoku.

- Myślisz, że to Tara ją schowała?

- A kto inny? - odparła Kristi. Wytarła palce w serwetkę, wstała, podeszła do biurka i zaczęła kopiować wszystkie pliki na pen drive'a. - Skoro mamy iść na policję, do tej detektyw Laurent, muszę zadzwonić do taty. - Skrzywiła się na samą myśl. - Oczywiście dostanie szau, ale przynajmniej zadba, żeby moje rzeczy wróciły do mnie w nienaruszonym stanie.

- Poświęcisz się i wysłuchasz kazania? - zdziwił się Jay. Zamknął pudełko z pizzą ku wielkiemu rozczarowaniu psa.

- Nie pierwszy raz.

- A ja sobie z tobą pomieszkam.

- Nie musisz.

- Owszem, muszę. - Był bardzo stanowczy.

- Ale...

- Och, Kris, przyznaj: tak naprawdę chcesz, żebym został.

- Akurat! - Jego arogancja doprawdy nie znała granic. Nawet się nie spieszył.

- I tak wiem, że tego chcesz - oznajmił.

Prychnęła gniewnie, wyrwała pen drive'a z komputera, zamknęła energicznie i wsunęła do torebki.

- Nie mieści mi się w głowie, że to powiedziałeś - syknęła.

- Co nie zmienia faktu, że tak uważasz.

- Jay, błagam... - ugryzła się w język i podeszła do szafy, z której wyjęła wiekowy śpiwór i poduszkę z odgryzionym rogim, dzieło Hairy'ego S, kundla macochy. Jay obserwował ją z uśmiechem i to

doprowadzało ją do szału. Powinna go wyrzucić, tyle że naprawdę nie chciała zostać sama.

Ale to wcale nie znaczy, że go pragnie.

- Proszę bardzo, rozgość się na krześle. Możesz oprzeć nogi o stolik.

- Cisnęła mu śpiwór i poduszkę. - Ale potrzebuję jeszcze tygodnia, zanim powiem ojcu czy tej Laurent, co się dzieje. Do tego czasu powinnam zebrać wystarczająco dużo informacji. Jeśli teraz zgłoszę się na policję, sama sobie zwiążę ręce. Dla funkcjonariuszy z Baton Rouge będę tylko córeczką Ricka Bentza, która się bawi w detektywa. A ojciec uzna, że znowu niepotrzebnie ryzykuję, i dostanie furii.

- I słusznie.

- Potrzebuję trochę czasu - powtórzyła.

- Nie mogę ci go dać, Kris.

- Oczywiście, że możesz. Dzięki temu zbierzemy więcej dowodów.

- Nie masz takiej pewności.

- A właśnie że mam. To ciebie dręczą wątpliwości.

- Powinniśmy je mieć oboje - zauważył. - Tylu rzeczy jeszcze nie wiemy. Cały czas spekulujemy. Niech policja się tym zajmie.

- Proszę tylko o tydzień. Przez tyle czasu nikogo nie obchodził los tych dziewczyn... - Podeszła do niego, aż stykały się ich stopy.

Starzał się nie zwracać na to uwagi, ale poczuł zapach mydła zmieszany z zapachem jej skóry. Była tak blisko, w blasku lamp jej włosy mieniły się rudymi refleksami. Co za połączenie. Odchyliła głowę do tyłu i uśmiechnęła się lekko, prosząco, zmysłowo. Tym uśmiechem zawsze zwałała go z nóg.

- A potem zostawisz tę sprawę w spokoju?

- Tak, wycofam się i zdam się na policję. Jasne, to akurat jest w jej stylu.

- Może być niebezpiecznie.

- Nie zrobię żadnego głupstwa.

W to kompletnie nie wierzył.

- Kris...

- Proszę - szepnęła.

Spojrzał w jej rozszerzone ciemne źrenice i poczuł pożądanie. Niech ją szlag trafi. Dobrze wie, jak na niego działa.

- Starasz się mnie uwieść - stwierdził chłodno, usiłując opanować emocje.

- Obrażasz mnie.

- Czyżby?

- Tak! - Miała taką minę, jakby chciała go uderzyć. Nie zrobiła tego jednak. - Przypominam ci, że to ja zerwałam z tobą, a nie odwrotnie.

- I to był największy błąd twojego życia - odparł spokojnie.

- Największym błędem mojego życia było to, że ponownie się z tobą związałam! - krzyknęła. Ledwie padły te słowa, pożałowała, że nie może ich cofnąć. Patrzył na nią takim wzrokiem, jakby czytał w jej myślach, dumny olbrzym. Co on takiego w sobie ma, że doprowadza ją do szaleństwa? - Zmieniłam zdanie. Idź.

- Nie.

- Idź!

- Tak naprawdę chcesz, żebym został, ale jesteś zbyt uparta, by to przyznać.

- Dprowadzasz mnie do szału!

- I bardzo dobrze.

Wszelkie próby splawienia Jaya tylko pogarszały sytuację. Jakimś cudem to on ciągle był górą. Teraz uśmiechał się tym cholernym chłopięcym uśmiechem, któremu nigdy nie mogła się oprzeć. Wiedziała, że za chwilę ją pocałuje. O Boże, nie może do tego dopuścić.

Nigdy w życiu.

- Nawet się nie waż... - zaczęła.

Za późno. Błyskawicznie odrzucił koc i przyciągnął ją do siebie. Zamknął jej usta pocałunkiem, który pozbawiał ją tchu. Co za idiotyzm!

I skąd ta fala gorąca? Bez sensu! Kompletnie bez sensu!

Ale nie odepchnęła go, gdy muskał językiem jej zęby, ba! usłyszała, jak jęczy cicho, niemal zachęcająco. Na miłość boską, Kristi, przestań! I to już!

Jego dłonie błędziły po jej plecach, przyciągały ją i czuła, że zatracą się w pragnieniu, które ją ogarniało... W końcu znalazła w sobie dość siły, by go odepchnąć.

- Brak formy, McKnight - powiedziała i cofnęła się, świadoma, że ciężko dyszy, a w jej głosie dominują obrzydliwe gardłowe nuty. - Jesteś moim nauczycielem.

Roześmiał się.

- A ty jesteś pełnoletnia. Kiepski argument.

- Mamy wspólną przeszłość. Nie było dobrze.



- Źle też nie. - Nie cofnął się ani o krok, patrzył na nią rozpalonym bursztynowym wzrokiem, z ustami zaciśniętymi w wąską kreskę.

- Odsuń się... zaraz coś wymyślę.

- Kończą ci się pomysły.

- Jay...

- Co? - Jego usta były coraz bliżej.

- Masz przywidzenia - powiedziała i odsunęła się gwałtownie. - Tak, McKnight, masz przywidzenia i jesteś głupi jak but. A nawet gdybyś mi się podobał, choć tak nie jest, ale gdyby, nie jestem idiotką i nie związałabym się z tobą ponownie. Zwłaszcza teraz. Nie rozumiesz? Jest między nami iskra - przyznała - ale to nic nie znaczy.

- Owszem, znaczy - sprzeciwił się.

- Nie. - Podniosła śpiwór, rzuciła mu i wskazała fotel. Potem spojrzała na psa i pokazała dywanik. - A ty śpisz tutaj.

Bruno przechylił łeb i zamachał ogonem, lecz się nie poruszył. Jay gwizdnał.

- Waruj - powiedział i Bruno podszedł do dywanika. - Pana się słucha. Kristi puściła złośliwość mimo uszu.

- Mamy mało czasu. Włamywacz szukał fiolki i idę o zakład, że nie da za wygraną. Wkrótce znowu zaatakuje.

- Niewykluczone, że ty jesteś następnym celem. - Jay spoważniał. - I dlatego tu był.

- Nie sądzę.

- Miejmy nadzieję, że się nie mylisz. - Pogłaskał psa i podszedł do roweru.

Wsunał ramę pod klamkę wejściowych drzwi, tak, żeby rower się przewrócił, gdyby ktoś usiłował je otworzyć. Spojrzał na Kristi i pokręcił głową.

- Chyba zwariowałem, że się na to godzę, ale dobrze, rozegramy to po twojemu. - Jego oczy odnalazły jej wzrok. - Nie pójdę na policję. Masz tydzień i ani sekundy dłużej.

Zrobi to czy nie?

Ariel rozejrzała się po ciasnym mieszkanku i westchnęła. W co ona się, u licha, wpakowała? Jasne, pragnęła przyjaciół i poczucia przynależności do grona wtajemniczonych. Podobała jej się nawet cała wampiryczna otoczka.

Nigdy nie czuła się równie pełna życia, jak w chwili, gdy pozwoliła, by on wbił się w jej szyję i utoczył kilka kropli krwi do fiolki.

Rytuał był ekscytujący, a świadomość, że staje się częścią czegoś mrocznego, zakazanego i zmysłowego, wręcz upajała. Myśl, że wybrano właśnie ją, uderzała do głowy. Po raz pierwszy w życiu czuła, że jest kimś ważnym, że komuś na niej zależy, że jest lepsza od innych.

Teraz ogarnęły ją wątpliwości.

Jutro kolejne spotkanie, po moralitecie. Denerwowała się. Tak naprawdę nie wiedziała, kto należy do grupy wtajemniczonych, ale kilka dziewczyn robiło aluzje i podejrzewała, że należą do niej Trudie, Grace i chyba także Zena. Były też inne, tak, lecz nie miała pojęcia, kim są.

Poczuła, jak przeszywa ją dreszcz strachu. Wyczuwała instynktownie, że do grona wtajemniczonych należały te cztery zaginione, o których co jakiś czas przypominają sobie lokalne gazety. Nie miała

pewności, bo skąd - rytuał jest tak dziwaczny, tak mroczny... Ale dziewczyny zagięły, a ona podczas ceremonii słyszała ich imiona... On je wymawiał, nazywał jej siostrami.

Czy przyłączyły się do grupy dobrowolnie?

Oczywiście, że tak! Nie wygłupiaj się! Zniknęły, bo same się wpakowały w... w to, w co ty pchasz się z entuzjazmem! Albo nie żyją albo....

- Nie! - powiedziała na głos do czterech ścian ciasnego pokoiku, w którym mieszkała. - Nie, nie, nie!

Nie zdradziłby ich. Te dziewczyny pewnie wyjechały, bo przeraził je rytuał. Dionne, Tara, Monique i Rylee, ta ostatnia. W pamięci Ariel zapisała się jako osoba powierzchowna, ale wiecznie smutna i zagubiona.

Czy to możliwe, że wszystkie nie żyją?

Krew zastygła jej w żyłach, gdy rozglądała się po pokoiku, który od ponad roku nazywała domem. Patrzyła na tandetne bibeloty, które kupiła, chcąc uwić sobie przytulne gniazdko, na sfatygowane meble, na nieliczne zdjęcia rodziny, która miała ją w nosie, i na półkę, którą sama zmontowała.

Poczuła ucisk w gardle. Z nerwami napiętymi jak postronki podniosła wzrok na wizerunek Jezusa na ścianie koło okna. Zawsze była bardzo religijna, przekonana o sile swojej wiary, a teraz.... Tak, Ojczy... zblądziłam.

Z trudem przełknęła ślinę.

Do tego ta cała Bentz. Córka gliniarza. Twierdzi, że wyczuwa grożące Ariel niebezpieczeństwo, że widzi to w kolorze jej skóry!

Przeszedł ją dreszcz na myśl, że może ona zniknie następna...

- Nie ma mowy. - Podeszła do lodówki i wyjęła butelkę wódki.

Odkręciła zakrętkę, podniosła butelkę do ust i upiła spory łyk. Musi się uspokoić.

To wszystko przez Kristi Bentz. Co za wariatka. Ariel otarła usta wierzchem dłoni i zobaczyła swoje odbicie w lustrze. Rzeczywiście jest blada, a oczy ma okrągłe ze strachu.

Może powinna uciec.

Jak inne.

Ile czasu minie, zanim się spakuje i wyjedzie?

Zrób to jeszcze dzisiaj, zanim zmienisz zdanie. Wskakuj do autobusu i zmykaj stąd.

Podeszła do szafy i sięgnęła na górną półkę po wielki plecak, do którego zmieści cały swój żaloszny dobytek. Właśnie go zdejmowała, gdy rozdzwoniła się jej komórka.

Z bijącym sercem wyjęła telefon z torebki i spojrzała na wyświetlacz.

To on.

Jakby wiedział.

Serce zabiło jej szybciej na myśl, że zaraz usłyszy jego głos i kolejne zapewnienia, że mu na niej zależy, że ją kocha...

Nie odebrała, poczekała, aż włączy się poczta głosowa.

Kilka minut później na schodach rozległy się kroki i ktoś zapukał do drzwi.

- Ariel. - Jego głos był niski, melodyjny i zdecydowany. - Otwórz.

Kristi była pośrodku basenu w budynku ciemnym jak noc. Tylko przy brzegu stały nieliczne świece. Ich wątłe płomyki zdawały się niknąć w mroku.

Miała wrażenie, że męczy się w wodzie już od kilku godzin. Rozejrzała się dokoła. Jest tu sama? Spojrzała w dół, na dno. Woda była głęboka i ciemna, więc nie dostrzegła nikogo w bezdennej toni. Ale czuła czyjąś obecność tak wyraźnie, jakby ten ktoś dyszał jej w kark.

Uciekaj! podpowiedział jej instynkt.

Nabrała w usta stęchłego powietrza i ruszyła w stronę brzegu. Wciąż miała poczucie, że gdzieś w wodzie czai się zło.

Nie myśl, tylko uciekaj. Jesteś dobrą pływaczką, płyn! Dalej! Dalej! Dalej!

Zmuszała ręce i nogi do intensywnych ruchów, ale były ciężkie jak z ołowiu i choć robiła wszystko, co w jej mocy, nie zbliżyła się do brzegu ani odrobinę.

Dalej! Mocniej! Zacisnęła zęby i wzięła kolejny zamach. Poczwała pod palcami coś dziwnego, jakby włókna. Usiłowała uwolnić rękę, ale włókna nie puszczały. Pociągnęła je za sobą do góry.

I nagle znalazła się twarzą w twarz z obciętą głową Tary Atwater. Otwarte oczy patrzyły martwo z siennej twarzy, z szyi sączył się strumyk krwi, barwiąc wodę na czerwono.

Kristi krzyknęła i usiłowała uwolnić palce. Panika kępowała ruchy, ale płynęła do przodu, ciągnąc głowę za sobą. Wtedy coś ją uderzyło, coś, co płynęło z dołu, od dna.

Kolejna głowa! Nawet w mdłym świetle świec zobaczyła jasne włosy. Głowa odwróciła się i Kristi napotkała spojrzenie otwartych oczu Rylee.

Wrzeszcząc, płynęła dalej, ciągle trzymając głowę Tary. Znowu uderzyła o coś ramieniem. Odwróciła się i zobaczyła Dionne. Z jej karku sączyła się krew, oczy patrzyły niewidzącym wzrokiem.

Nie!

Dionne zamrugła i spojrzała w dół, jakby chciała ją ostrzec. I wtedy Kristi zrozumiała, choć nie widziała dna, że zło czai się tam, w głębi. Dalej! Szybciej! zaklinała się.

Odwróciła się i zobaczyła jeszcze jedną głowę. Ale nie Monique, jak się spodziewała. Na powierzchni unosiła się popielata twarz Ariel. Boże, ratunku!

W panice miotała się, próbowała uciec, ale im rozpaczliwiej parła do brzegu, tym bardziej on się odsuwał.

Płuca jej płonęły, ciało ciążyło. Wiedziała, że zaraz utonie, umrze tutaj, wśród obciętych głów.

I to zanim zdążyła powiedzieć Jayowi, że go kocha, zanim pożegnała się z ojcem.

Chciała krzyknąć, ale głos uwiązł jej w gardle. Czowała, że coś ciągnie ją w dół, w mrok. Boże, ratunku! Kolejny atak paniki.

Gorączkowo mlóciła rękami, chcąc wypłynąć na powierzchnię. Nagle zobaczyła, że woda staje się czerwona, czerwona jak krew...

- Kristi! - zawołał męski głos. Poczowała jego dłoń na kostce, ściągał ją w dół, w krwawą otchłań!

- Kris!

Otworzyła oczy i zobaczyła Jaya, który pochylał się nad nią. Leżała na tapczanie w ciemnym mieszkaniu, rozjaśnianym jedynie blaskiem świec, i drżała jak osika.

- Jay - szepnęła i objęła go za szyję.

- Już w porządku, koszmar się skończył - zapewnił. Przyciągnął ją do siebie i przytulił.

Ona jednak wiedziała, że to nieprawda. Zło jest prawdziwe, czai się gdzieś na kampusie.

Ciągle dygocąc, usiłowała wziąć się w garść. Przywarła do Jaya, czerpała siłę z samej jego bliskości.

Pocałował ją w skroń. Zamrugła szybko, by powstrzymać łzy ulgi. Wiedziała, że gdyby go tu nie było, obudziłaby się i sama poradziła sobie z koszmarem, ale tak dobrze jest się w niego wtulić i poczuć jego siłę.

- Już w porządku?

- Tak - skłamała. Wcale nie było w porządku, ale nie zamierzała rozkleić się przy Jayu na kawałki.

- Opowiesz mi?

- Nie teraz. Na razie nie chcę o tym myśleć. - Odetchnęła głęboko, wpatrzona w błękitną poświatę piecyka. Tu była bezpieczna. Mieszkanie pachniało czosnkiem i pomidorami po pizzy i jaśminem z wypalonych świec. Fiolka leżała na stoliku. - Później ci opowiem. Rano.

- Dobrze. - Siedział na łóżku i wciąż ją obejmował. Przesunął się, by było mu wygodniej, i jakimś cudem jego usta znalazły się tuż koło jej warg.

Poczuła jego zapach i zalała ją fala gorąca. Zastanawiała się, czy go nie odepchnąć, ale nie miała na to ani siły, ani ochoty. Gdy powiedział jej, że go pragnie, odparła, że chyba oszalał, lecz oczywiście trafił w dziesiątkę. A teraz pragnęła go jeszcze bardziej.

Odnalazł jej wzrok w ciemności. To, co zobaczył w jej oczach, sprawiło, że przestał się wahać.

- Kris... - szepnął i pocałował ją. Najpierw powoli, nieśmiało, jakby się spodziewał, że go odepchnie.

Nie zrobiła tego.

Tu, w bezpiecznych czterech ścianach swego mieszkania, z dala od wszelkiego zła, odwzajemniła pocałunek.

Powróciły wspomnienia tego, jak się kochali przed laty. Smakował słono. Znajomo. Zmysłowo. Jak mogła kiedykolwiek pomyśleć, że nie jest wystarczająco dobry, mądry i męski?

Idiotka.

Jej serce znowu zaczęło bić jak oszalałe, ale tym razem nie ze strachu, tylko z pożądania. Ramiona, wcześniej tak ciężkie, teraz otoczyły jego szyję i przyciągnęła go do siebie jeszcze bliżej. Płonęła.

Przykrył ją sobą i odgarnął jej włosy z twarzy. Patrzyła, jak przełyka ślinę, usiłując się opanować. Czowała jego erekcję. Był twardy i gotowy. Oddzielała go od niej tylko cienka bawełna.

- Kris - szepnął. W błękitnym świetle zobaczyła jego oczy, pociemniałe z pożądania. - Nie chcę...

- Oczywiście, że chcesz.

- Ja...



- Pragniesz mnie - rzuciła mu w twarz słowa, które powiedział jej wcześniej.

Z jękiem zsunął się z niej, ale chwyciła go za ramiona i przytrzymała.

- Kristi, jest czwarta rano. Nie mam ochoty na słowne utarczki.

- A na co?

- Nie rób tego.

- Czego?

- Sama wiesz.

- Tak.

- Igrasz z ogniem - ostrzegł.

- Nieprawda. - Uniosła się na łokciu i mocno pocałowała go w usta.

Nie zareagował, ale wyczuwała w nim płomień i wiedziała, że z trudem nad sobą panuje.

- Powiedziałaś mi, że między nami nic nie ma i nie będzie, a teraz, po koszmarnym śnie, chcesz się kochać?

- Obiecuję, że rano nie stracę do ciebie szacunku. Roześmiał się.

- Boże, dziewczyno, jak ja za tobą tęskniłem. - Nie zdążyła odpowiedzieć, bo znowu ją całował. Tym razem nie było odwrotu. Zsunęła mu bokserki, a on niemal zerwał z niej piżamę.

Objęła go za szyję. Miotali się na małym, wąskim łóżku. Jak dawniej.

Wszystko wydało się takie naturalne, nawet skrzypienie starego łóżka i ciche pochrapywanie psa.

Czuła ogień w żyłach, jej skóra płonęła wszędzie tam, gdzie jej dotknął. Całował jej usta, szyję, rowek między piersiami, muskał kciukami sutki, aż pożądanie rozlało się w niej płynnym ogniem i myślała tylko o tym, żeby kochać się z nim do rana albo jeszcze dłużej...

Błądziła dłońmi po jego silnych ramionach, rozkoszowała się szorstkim dotykiem włosów, gdy pieścił jej piersi.

Wygięła się w łuk i jęczała gardłowo.

Był coraz niżej, rozsuwał jej nogi, dotykał pośladków. Zacisnęła dłonie na prześcieradle.

Od kiedy go kocha? Ile lat zmarnowała? Krzyknęła, kiedy poczuła na sobie jego usta. Wierciła się niespokojnie, chciała więcej, chciała poczuć go w sobie.

- Jay - szepnęła łamiącym się głosem. - Jay... O Boże!

- Już, kochanie. - Uniósł ją i położył sobie jej nogi na ramionach.

Spojrzała na niego. Uśmiechnął się zawadiacko, przyciągnął jej biodra i wszedł w nią jednym płynnym ruchem.

Jęknęła. Serce biło jej tak mocno, że bała się, że pęknie. Wycofał się, by po chwili wrócić.

- O Boże!

Znowu w niej był. I znowu pieścił ją dłonią.

Obserwowała jego powolne ruchy, wiedziała, że chce zaspokoić przede wszystkim ją. Wreszcie przyspieszył i poruszał się coraz szybciej, aż nie mogła oddychać, nie mogła myśleć. Mimo ciemności widziała go, czuła, rozpoznawała jego zapach.

Coraz szybciej wchodził w nią i przyciągał do siebie. Poczwała jego dłoń w najskrytszych zakamarkach swego ciała. Przyprawiał ją o dreszcze rozkoszy.

Jeszcze, pomyślała jak przez mgłę, jeszcze! Szybciej! Szybciej!

Złapała go za ramiona i wygięła się w łuk, gdy targnęły nią pierwsze spazmy orgazmu. Po chwili Jay krzyknął i opadł na nią.

Ciężko dyszał, a ona leżała wtulona w niego, spowita zapachem seksu, piżma i jaśminowych świec.

Pocałowała go w ramię i poczuła słony smak potu. Odwrócił się, musnął ustami jej szyję i lekko ugryzł.

- Ej!

Roześmiał się, targając jej włosy.

- Drażnię się z tobą.

- To niebezpieczne - wydyszała. Ciągłe nie mogła złapać tchu. - Nie wiesz, co mi się śniło.

- Ach tak, przepraszam - rzekł, ale znowu się roześmiał. - Każesz mi wracać na fotel?

- Nie... chociaż właściwie zasługujesz na to, zbrojeńcu.

- Panie profesorze zbrojeńcu. Jęknęła.

- Zapomniałam, jaki z ciebie tandeciarz.

- I jaki ogier i przystojniak, i...

Wyciągnęła poduszkę spod głowy i rzuciła w niego.

- Nie prowokuj mnie - ostrzegł.

Uniosła brwi.

- A niby co mi zrobisz?

- Chcesz się przekonać?
- Pewnie dużo gadasz, a mało robisz.
- W takim razie udowodnię ci, że się mylisz. Co ty na to? -

Pocałował ją mocno i poczuła, jak przed chwilą ugaszony ogień znowu bucha jasnym płomieniem.

Po raz pierwszy od przyjazdu do Baton Rouge czuła się bezpiecznie. Uśmiechnęła się.

- Na pewno da pan radę, profesorze?

W odpowiedzi znowu ją pocałował, a potem zwinnie odwrócił na brzuch i wepchnął poduszkę pod biodra. Przykrył ją sobą i szepnął jej do ucha:

- Sama zobaczysz.

Kristi zachichotała z twarzą wtuloną w prześcieradło i śmiała się dopóki jego powolne ruchy nie wywołały jej reakcji. Wtedy znowu zaczęła drżeć, błagała o więcej... więcej... więcej...

## ***Rozdział 19***

---

Puk, puk, puk!

Kristi jęknęła i spojrzała na zegarek. Wpół do dziesiątej. Kto się do niej dobija w niedzielny poranek i dlaczego? Już chciała naciągnąć poduszkę na głowę, gdy uświadomiła sobie, że nie jest sama. Jay leżał tuż obok.

Przypomniała jej się ich miłosna noc i uśmiechnęła się pod nosem.

Puk! Puk!

Tajemniczy gość nie dawał za wygraną. Idź sobie, pomyślała i przywarła do Jaya. Ale po chwili zerwała się, porażona myślą, że pod drzwiami stoi jej ojciec.

Jay podniósł głowę.

- Co się dzieje? - spytał.

- Wyglądasz koszmarnie - stwierdziła, patrząc na jego zapuchnięte oczy i rozczochrane włosy.

- A ty pięknie.

- Jasne.

Pukanie nie ustawało. Zanim zdążyła powstrzymać Jaya, wstał i naciągnął bokserki.

- Nie otwieraj! - krzyknęła. Nie chciała, żeby ktoś zobaczył w jej mieszkaniu półnagiego wykładowcę.

Nie słuchał. Wyjrzał przez judasza i odstawił rower.

- Kto to? - spytała Kristi, naciągając piżamę. - Jay, do cholery... Nie otwieraj!

Ale on już otwierał drzwi. Jej bielizna poniewierała się na podłodze. Zakłęła pod nosem, wkładając bardzo nieseksowaną koszulkę z logo drużyny All Saints.

Do pokoju wtargnęło chłodne powietrze... Jay stał w drzwiach, zasłaniając osobę na korytarzu. Bruno przecisnął się obok niego i wesoło machał ogonem. Między biodrem Jaya a framugą Kristi dostrzegła czerwoną koszulkę i spodnie khaki.

- Pani do kogo? - zapytał Jay.

- Ja... szukam Kristi Bentz - odparł znajomy głos.

Mai Kwan. Kristi skrzywiła się. Świetnie. Wścibska sąsiadka na tropie.

Wstała z tapczanu, który zaskrzypiał niemiłosiernie, przykryła narzutą skotłowaną pościel i kopnęła majtki pod łóżko. Odgarnęła włosy z czoła i stanęła za Jayem.

- Profesor McKnight - Mai właśnie wyciągała do niego rękę. - Nazywam się Mai Kwan i mieszkam piętro niżej.

Jezu! Przedstawiła mu się. I co teraz?

- Nie jestem profesorem. Ani nawet doktorem, przynajmniej jeszcze nie.

- Cześć! - Kristi chciała, by zabrzmiało to radośnie i swobodnie, ale wypadło sztucznie. Mai nawet na nią nie spojrzała. Koncentrowała się na Jayu.

- Pracujesz też dla policji, prawda? Ciekawe, skąd to wie?

- Owszem.

- Nie wiedziałam, że wy... - dopiero teraz spojrzała na Kristi - ..nie wiedziałam, że się znacie.

- Chodziliśmy do tego samego liceum - wyjaśnił Jay.

- I dlatego wpadłaś czy chodzi o coś innego? - wtrąciła Kristi, chcąc powstrzymać Jaya od dalszych wynurzeń, ale objął ją ramieniem. Niech go szlag! Posłała mu miażdżące spojrzenie.

- Pomyślałam, że pójdziemy pobiegać albo na kawę, albo... sama nie wiem - odparła Mai. - Ale widzę, że masz towarzystwo, więc... może innym razem.

Czy to tylko jej wyobraźnia, czy Mai naprawdę zerknęła znacząco na Jaya przy ostatnich słowach?

- I tak nic by z tego nie wyszło. Mam mnóstwo nauki, a za kilka godzin zaczynam pracę. - Dlaczego to powiedział? Przecież nie musi tłumaczyć się Mai z tego, co robi. Oby tylko Jay nie okazał się na tyle uprzejmy, by zaprosić ją do środka.

- Mai Kwan? - Jay pstryknął palcami. - Dzwoniłaś do mnie kilka dni temu? W sprawie artykułu do uczelnianej gazety?

Kristi patrzyła ze zdumieniem na sąsiadkę. Mai lekko uniosła głowę i odparła:

- Tak, to ja. Piszę pracę z kryminalistyki. Chciałam przeprowadzić z tobą wywiad, zapytać, co studiowałaś, gdzie pracujesz i czy informacje, które przekazujesz na wykładach, przekładają się na praktyczną robotę policyjną. Chętnie porozmawiałabym z jeszcze kimś z policji, na przykład z ojcem Kristi, bo jest znany i rozwiązał kilka spraw związanych z naszym kampusem.

To tyle, jeśli chodzi o bezinteresowną przyjaźń, pomyślała Kristi. Mai Kwan uśmiechnęła się do Jaya.

- W dowolnej chwili, ustal czas i miejsce.

Kristi nie wierzyła, że wizyta sąsiadki była przypadkowa. Mai albo zobaczyła jego wóz na ulicy, albo widziała, jak wczoraj tutaj wchodził i postanowiła doprowadzić do spotkania.

- Sprawdź w kalendarzu i oddzwonię - powiedział Jay. - Mam twój numer na poczcie głosowej.

- No tak. - Mai, wyraźnie rozczarowana, spojrzała na Bruna. - To twój pies? - spytała.

- Tak.

- Słodki. - Kucnęła, żeby podrapać Bruna za uszami.

- Nie mów mu tego, wierzy, że jest groźny.

Mai roześmiała się, a Kristi zwątpiła, że kiedykolwiek wyczuje sytuację i sobie pójdzie.

- No dobra, Kristi, zobaczymy się później. - Posłała Jayowi promienny uśmiech. - Miło było pana poznać, profesorze McKnight.

Kristi zamknęła za nią drzwi i spojrzała na Jaya z wyrzutem.

- O ile pamiętam, prosiłam wyraźnie, żebyś nie otwierał.

- Wstydzisz się mnie?

- Nie... Tak... Sama nie wiem - odparła. - Po prostu nie chcę, żeby po kampusie się rozeszło, że śpiam z wykładowcami, rozumiesz?

Skinął głową ale widziała, że nie traktuje tego poważnie.

- Możesz na mnie polegać, nie pisnę ani słowa.

- Nie o ciebie mi chodzi - mruknęła i poszła do kuchni. Zajrzała do szafki, chociaż wiedziała, że nie ma kawy. - Świetnie się bawiłeś, otwierając drzwi.

- Masz dzisiaj kiepski humor, co?

- Mało spałam.

Stanął za nią i objął ją w talii.

- Za to intensywnie. I było cudownie - przypomniał, burząc jej włosy oddechem.



Przemknęło jej przez myśl, że mogłaby go pocałować i opaść z powrotem na rozścielone łóżko, ale naprawdę nie miała czasu.

- Jest w Mai coś, co mnie niepokoi. Zadaje za dużo pytań, jakby chciała wiedzieć o mnie wszystko. Teraz chyba wiem, co ją naprawdę interesuje; mój ojciec, słynny detektyw.

- Chyba?

- Skąd wiadomo, że mówi prawdę? Nie ufam jej i tyle. Opuścił ręce.

- Nikomu nie ufasz.

Zabolało bardziej, niż powinno. Zatrzasnęła szafkę i odwróciła się do niego.

- O Boże... Robię się taka jak ojciec!

- Przecież właśnie bawisz się w detektywa. Całe to dochodzenie - pokazał palcami cudzysłów - dotyczące zaginionych. Nie jestem psychologiem, ale wydaje mi się, że chcesz coś udowodnić drogiemu papie.

- Ale ja ufam ludziom, jasne? Nie jestem taka jak on.

- Nie we wszystkim - odparł z uśmiechem.

Zmrużyła oczy. Nadal podejrzewała, że Mai chodzi o coś więcej niż artykuł do uczelnianej gazetki.

Jay rozsądnie nie kontynuował tematu. Otworzył lodówkę. Bruno błyskawicznie znalazł się u jego boku.

- Przykro mi, bracie, niewiele tu znajdziemy.

- Wybieram się do sklepu, ale ciągle wypada mi coś ważniejszego.

- Z głodu nie umrzemy - uspokoił ją i wyjął trzy kawałki pizzy owinięte w folię aluminiową. - Mamy śniadanie.

- O nie!

- Masz kawę?

- Skończyła się. Mam jedną torebkę herbaty i kilka piw. To wszystko.

- Na piwo za wcześnie, a za herbatę dziękuję. Chcesz kawałek? - rozwinął folię i podsunął jej zimną pizzę.

Spojrzała na wołowinę z zastygłym białym tłuszczem na brzegach, pomarszczone oliwki, grube plastry pomidora i cebuli i zrobiło jej się niedobrze.

- Nie, dzięki, zjedz wszystko. Przekąszę coś w restauracji. Mamy kanapkę śniadaniową, bodajże tost Duncana. Tak naprawdę to podróbka Mctostów z McDonalda, ale może się skuszę.

Jay, nadal tylko w bokserkach, oparł się o blat kuchenny i pałaszował zimną pizzę. Bruno, czujny jak zawsze, siedział u jego stóp wpatrzony w jedzenie, i z nadzieją machał ogonem, ilekroć Jay na niego spojrzał.

Kristi odwróciła wzrok. Dawniej, gdy ze sobą chodzili, nigdy nie mieszkali razem, więc ten ranek był dla niej trudny. Nie bardzo wiedziała, jak ich związek - o ile w ogóle można tak to nazwać - ma się rozwinać.

- Idę pod prysznic. Mam dzisiaj mnóstwo rzeczy do załatwienia i niestety muszę także popracować.

- Ja też. - Skinął głową. - Powinienem zająć się remontem. - Otrzepał dłonie i Bruno ochoczo zajął się szukaniem okruszków na podłodze. - Muszę też podpisywać na maile i ocenić prace, w tym twoją.

- Bądź miłosierny.

- Po dzisiejszej nocy będę wyjątkowo surowy, żeby nikt mi nie zarzucił, że cię faworyzuję.

- Nie przesadzaj. Zresztą nikt się o tym nie dowie, zapomniałeś już? - przypomniała, choć wątpiła, by Mai trzymała język za zębami.

- Nie mam planów na wieczór.

Zerknęła na niego z ukosa.

- Chcesz mnie zaprosić na randkę?

- Owszem, teraz moja kolej. - Zgniół folię, cisnął ją do kosza i wytarł ręce papierowym ręcznikiem. - Do tej pory ty ciągle zapraszałaś.

- Strzałki to nie była randka.

- Jasne. - Jego oczy błysnęły figlarnie. - Spotkamy się tutaj. O której kończysz pracę?

- Między wpół do trzeciej a trzecią, zależy od liczby klientów. Mam dzisiaj lunch. Potem muszę dokończyć kilka prac pisemnych, a później chciałabym zajrzeć do kilku czatroomów.

- Zadzwoń do mnie, to się umówimy. - Przeszedł do saloniku i podniósł z podłogi swoje dzinsy.

Więc tak po prostu znowu są parą? Zastanawiała się, czy to rozsądne odgrzewać stare uczucia, i uznała, że na razie może sobie na to pozwolić.

- Dobra.

- Ja też jestem ciekaw tych czatroomów. I Wagner House.

Zebrał swoje ubrania z tapczanu i strzepnął dzinsy. Spojrzała na jego nogi, silne, muskularne, pokryte ciemnymi kręconymi włosami.

Wystarczyło, by popatrzyła, jak Jay się ubiera, i już uginały się pod nią kolana, a fakt, że chyba nie zdawał sobie sprawy z tego, jak na nią działa,

czynił go jeszcze atrakcyjniejszym. Obserwowała, jak naciąga koszulę, wsuwa ręce w rękawy i opuszcza ją na płaski brzuch.

Boże, ależ on przystojny. Aż za bardzo.

Odwróciła się, gdy zaczął zapinać koszulę.

- Miałaś mi opowiedzieć, co ci się śniło - powiedział. Poklepał się po kieszeni i zabrzączały klucze. Spokojny, że są na miejscu, sięgnął po buty.

- Zapomniałaś już?

- Nie. - Na wspomnienie krwawego basenu i głów zaginionych przeszedł ją zimny dreszcz. - O, nie.

- Chcesz o tym pogadać?

- Nie teraz, może później. Spojrzał na nią zaniepokojony.

- Aż tak źle?

- Dosyć.

Ze zmarszczonym czołem włożył i zaczął zawiązywać buty.

- Odprowadzić cię do restauracji? Energicznie pokręciła głową.

- Nie, nic mi nie jest, naprawdę. - Później ci opowiem o tym koszmarze.

- Jesteś pewna?

- Na sto procent.

- Skoro tak... - Zawiązał drugi but i spojrzał na psa. - Gotowy?

Bruno szczeknął radośnie i zakręcił się w kółko przy drzwiach.

- Zakładam, że to miało oznaczać „tak”. - Puścił oko do Kristi. - Zobaczymy się później.

Skinęła głową, przekonana, że łąda moment zniknie za drzwiami. On jednak ją zaskoczył. Pokonał dzielące ich metry i objął tak nagle, że aż jęknęła.

- Ej...

- Chyba nie myślałaś, że tak łatwo się mnie pozbędziesz?

- Co?

Pocałował ją. Mocno, namiętnie. Wróciły wspomnienia poprzedniej nocy. Tak łatwo byłoby wrócić do łóżka... Objęła go, przerwała pocałunek i dotknęła jego czoła swoim.

- Nie zapomnij o mnie - szepnął.

- Nie zapomnę. Roześmiał się.

- I uważaj na siebie. - Zanim odpowiedziała, wypuścił ją z objęć i wyszedł z psem przy nodze. Słyszała, jak lekko zbiega po schodach. Zamknęła drzwi na klucz i starała się nie myśleć o tym, że się w nim na nowo zakochuje. Ma za dużo problemów, by dumać o subtelnościach jej związku z McKnightem. Związku? Co jej, u diabła, chodzi po głowie? I skąd pomysł, że mogłaby się w nim zakochać? Przecież to idiotyzm. Cisnęła koszulę na ziemię, zdjęła spodnie i znowu to poczuła... dziwne wrażenie, że ktoś ją obserwuje.

Wzdrygnęła się. W mieszkaniu nikogo nie ma, okna są zasłonięte. Nikt jej nie widzi. Nikt.

A jednak czuła, że niewidzialne oczy śledzą każdy jej ruch.

- To wyrzuty sumienia po nocy z Jayem - tłumaczyła sobie, ale na wszelki wypadek zamknęła się w łazience na klucz.

Odkręciła kurek, poczekała, aż woda się nagrzeje a potem, nie myśląc o niewidocznym podglądaczu, wzięła jeden z najkrótszych pryszniców w życiu.

Remont może poczekać, zdecydował Jay, jadąc do bungalowu, żeby zostawić materiały budowlane, które leżały na pace pikapa.

Znowu zanosiło się na deszcz, w powietrzu czuć było wilgoć, a niebo pokrywały gęste chmury. W niedzielny poranek ruch był niewielki, tylko przy kościołach widziało się więcej samochodów.

Skłócone kuzynki Janice i Leah powinny wziąć na wstrzymanie, pomyślał Jay. Pewnie znowu zaczną go naciskać, zwłaszcza Leah i Kitt, jej niewart funta kłaków mąż, który całymi dniami ćpał, brzdąkał coś z zespołem garażowym i marzył o sławie. Domek zmarłej teściowej uważał za żyłę złota i zarazem szansę na przedłużenie statusu bezrobotnego muzyka. Jay zdawał sobie sprawę, że kuzynkom zależy na jak najszybszej sprzedaży, i naprawdę zamierzał zająć się remontem, ale teraz miał ważniejsze sprawy na głowie.

Przede wszystkim bezpieczeństwo Kristi Bentz.

Granitowe blaty i zlew z nierdzewnej stali, marzenie Leah, zajmują dalsze miejsce na liście priorytetów.

Najpierw rozpakuje zakupy, a potem pojedzie do Kristi i przeszuka jej mieszkanie, choć nie miał pojęcia co może tam znaleźć. Tara Atwater zaginęła przed kilkoma miesiącami, zresztą nie istnieją żadne podstawy, by przypuszczać, że do ewentualnej zbrodni doszło akurat w kawalerce. Ale jeśli ktoś się włamał, jest nadzieją że zostawił odcisk palca, włos, odcisk buta... cokolwiek.

Mieszkanie wydawało się nienaruszone, lecz poprzednia lokatorka przepadła jak kamień w wodę.

- Tak, trzeba się rozejrzeć - powiedział do psa. Zatrzymał się na światłach i patrzył, jak młoda kobieta z wózkiem przechodzi przez jezdnię. Po zmianie świateł wyprzedził furgonetkę pełną rozbawionych nastolatków, gnany pospiechem, którego sam nie rozumiał.

Zamierzał zainstalować u Kristi nowy zamek, do którego klucza nie będzie miała ani Irene Calloway, ani jej wnuk, ani ktokolwiek inny. Rozważał także umieszczenie kamery nad drzwiami wejściowymi.

Potem sprawdzi wykładowców od Wszystkich Świętych, przede wszystkim Dominica Grotto. Uzyskał już pewne informacje, ale wciąż pozostawało, oględnie mówiąc, sporo luk, a chciał wiedzieć jak najwięcej o nauczycielach zaginionych. Kiedy Kristi będzie w pracy, on zwiedzi Wagner House. Wczoraj działo się tam coś, co przeraziło Kristi nie na żarty, a ona nie boi się byle czego.

Skręcił i w tym momencie pod koła skoczył mu szczeniak beagle. Jay z całej siły nacisnął hamulec. Bruno poleciał na deskę rozdzielczą. Sedan jadący z przeciwka zatrzymał się z piskiem opon.

Wysoki, chudy dwudziestoparolatek wybiegł na jezdnię ze smyczą w dłoni i wołał niesfornego psa, lawirując między samochodami.

- Nic ci nie jest, stary? - Jay spojrzał na Bruna.

Pies wgramolił się na fotel pasażera i szczeknął za uciekającym szczeniakiem. Jay podjechał pod domek ciotki Colleen. Na jego widok Bruno mocniej przycisnął pysk do szyby i zamachał ogonem.

- Uważasz, że to nasz dom? - Jay spojrzał na zapuszczony budynek ze zdewastowaną werandą i zarośniętym podwórkiem. - No co ty!

Ale jeśli nie ten dom, to co? Jego mieszkanie w Nowym Orleanie? Też nie.

Szczerze mówiąc, od Katriny nie opuszczało go wrażenie, że nigdzie nie może na dłużej zagrzać miejsca. Świeżo wyremontowany apartament wydawał się niewygodny i ciasny, a mieszkając z Gayle ciągle się pilnował, żeby nie chodzić po domu w butach albo nie oblać czegoś kawą. Jej mieszkanie było zbyt idealne, wszystko miało tam swoje miejsce, poza nim. Był jedynym elementem, który nie pasował ani do tego domu, ani do jej życia.

U Kristi mógł wypić piwo, zjeść zimną pizzę w niedzielny ranek i zostawić dzinsy na podłodze.

I co z tego?

Kawalerka Kristi Bentz też nie była prawdziwym domem. W każdym razie nie takim, o jakim marzył.

Nie podobał mu się kierunek, w którym zmierzały jego myśli. Wysiadł z samochodu, a Bruno wyskoczył za nim i podlał chyba wszystkie krzaczki po drodze do drzwi. Jay rozładował pakę, wniósł wszystko do środka, wziął prysznic i nakarmił psa.

Cały czas wracał myślami do Kristi i ich miłosnej nocy. Zamiast zachować dystans, wylądował z nią w łóżku. Ale przecież, jako naukowiec, nie wierzył w romantyczne brednie. Seks to tylko seks, czasami lepszy, czasami gorszy, nie ma jednak nic wspólnego z więzią



emocjonalną. W pewnym sensie liczył nawet, że po nocy z Kristi będzie z niej uleczony.

Oczywiście się mylił.

I to bardzo.

Z Kristi doświadczał czegoś więcej niż fizycznego spełnienia. Zawsze tak było. Co więcej, gdyby miał być ze sobą szczerzy, musiałby przyznać, że teraz fascynuje go ona o wiele bardziej niż dawniej.

- Romeo od siedmiu boleści - mruknął pod nosem. Rozebrał się, wszedł pod prysznic i od razu zapragnął, żeby Kristi była tu z nim, żeby mógł ją namydlić, poczuć pod palcami jej skórę śliską od piany, całować jej piersi w strumieniach wody, a potem wziąć ją na ręce, poczuć, jak oplata go nogami w pasie, i...

O cholera! Stanął mu na samą myśl. Umył się szybko, nastawił wodę na lodowatą i czekał, aż erekcja opadnie. Po kilku minutach wytarł się i włożył czyste dżinsy i bluzę, które wyjął z torby. Jeszcze skarpetki, buty i był gotowy. Sięgnął po laptopa, wszedł i zawołał Bruna, który czuwał pod drzewem, na którym schroniła się wiewiórka.

- Daruj sobie - poradził psu, gdy wiewiórka pisnęła ironicznie, machając ogonem. - Idziemy.

Jay wszędzie zabierał Bruna ze sobą. Pies grzecznie czekał w samochodzie, gdy on załatwiał różne sprawy, i na pewno było mu lepiej w aucie niż w zamkniętym domku.

Wyjechał z podjazdu na ulicę. Najbliższy postój - sklep z artykułami żelaznymi. Potem Wagner House, po południu otwarty dla zwiedzających.

Może też wpadnie na lunch do restauracji, w której pracuje Kristi i obejrzy ją w akcji.

Będzie wściekła.

A on zachwycony.

Kristi mknęła na rowerze przez kampus, mijając pieszych, biegaczy i skateboardzistów. W świetle dnia Wagner House nie wydawał się groźny; rzygacze, spadzisty dach, wieżyczki i witrażowe okna były tylko elementami architektonicznego stylu dawnych czasów.

Zanim wyszła, znalazła na liście studentów Marnie Gage. Na monitorze pojawiło się jej zdjęcie i krótki życiorys. Marnie skończyła szkołę średnią w Portland w Oregonie, a teraz studiowała literaturę angielską i pasjonowała się teatrem.

Znowu wydział literatury, skonstatowała Kristi. Nie trzeba być geniuszem, by się domyślić, że chodzi na te same przedmioty co zaginione dziewczyny. Można by dojść do wniosku, że cały wydział jest jakoś zamieszany w sektę wampiryczną.

To idiotyzm, zbeształa się w duchu.

Czy aby na pewno?

Poczuła gęsią skórkę, bo znów miała wrażenie, że ktoś obserwuje ją z ukrycia. Ktoś zły.

Zimny podmuch wiatru musnął jej kark. Chmury na niebie niosły zapowiedź deszczu. Oparła rower o ogrodzenie z kutego żelaza i nacisnęła klamkę w furtce. Zamknięta. Próbowwała majstrować przy zasuwce, ale klamka nie ustępowała. Tabliczka na ogrodzeniu informowała, że muzeum

otworzy swe podwoje dopiero o drugiej po południu i będzie czynne do wpół do szóstej.

Ale wczoraj wieczorem dom był otwarty.

Przecież weszła do środka. Tak jak Marnie Gage i co najmniej jedna osoba. Dokąd poszli? Do piwnicy? Czy właśnie tam odbywały się spotkania sekty, której istnienie zasugerowała Lucretia?

- Bardzo dziwne - mruknęła do siebie. Wyteżyła wzrok, ale widziała tylko szczyty piwnicznych okien, ciemne i nieprzeniknione. To na pewno tylko składzik. Nikt nie organizuje tam sekretnych spotkań ku czci wampirów, nikt nie pije tam krwi.

Ale przecież Marnie Gage weszła do budynku i ktoś szedł za Kristi, gdy była na piętrze. Czyżby to Marnie poczekała i ruszyła za nią? I czyje głosy dobiegały z piwnicy? Czy to miejsce w jakiś sposób łączy się z zaginionymi dziewczętami? Z tą cholerną sektą, której istnieniu Lucretia teraz zaprzeczała?

Kristi przeszył lodowaty dreszcz. Widziała tu Ariel, a potem Marnie. Twarze obu stały się śmiertelnie blade. Zostaje więc Lucretia. Kristi była gotowa się założyć, że jej dawna współlokatorka jest jakoś związana z mrocznym budynkiem.

No dobrze, a ojciec?

Zacisnęła palce na ogrodzeniu. O ile wiedziała, Ricka Bentza nic nie łączyło ani z Wagner House, ani z College'em Wszystkich Świętych. Wprawdzie prowadził kilka spraw związanych z uczelnią i studiuje tu jego jedyna córka, ale to wszystko. Wizje jego poszarzałej twarzy raczej nie mają z tym związku.

Więc może jej wizje oznaczają tylko tyle, że ma problem z głową, że coś się w niej poprzestawiało, gdy padła ofiarą ataku.

Mnóstwo pytań i żadnych odpowiedzi.

- Muzeum można zwiedzać po południu. Mało brakowało, a dostałaby ataku serca.

- Od czternastej. - Ksiądz Mathias spojrział w ciemniejące niebo.

- Wiem, ale spieszę się do pracy, a... - myślała gorączkowo - chyba zgubiłam tu okulary.

- Sprawdzę w rzeczach znalezionych. - Ksiądz otworzył furtkę.

Zadarł przy tym rękaw sutanny, odsłaniając zabandażowaną rękę.

- Co się księdzu stało? - zapytała odruchowo.

- Nic takiego, drobny wypadek w ogrodzie - odparł szybko. -

Skaleczyłem się sekatorem. Następnym razem chyba poczekam na ogrodnika. Proszę przyjść o drugiej. Będzie pani mogła odebrać okulary, jeśli je znajdziemy.

- Są mi bardzo potrzebne do pracy - nalegała Kristi. - Mogę wejść z księdzem?

- Przykro mi, moje dziecko, ale nie mogę na to pozwolić. Druga już niedługo, zresztą wchodzę tylko na moment. - Wślizgnął się przez furtkę i wbiegł po schodach do drzwi.

Kristi odruchowo przytrzymała furtkę stopą, by się nie zamknęła, i poczekała, aż ksiądz wejdzie do środka. Gdy drzwi się za nim zamknęły, weszła na teren posesji. Zajrzała przez okno do piwnicy, ale pomieszczenie było ciemne, więc niczego nie dostrzegła.

Obeszła dom i stanęła na werandzie z tyłu budynku. Już miała nacisnąć kłamekę, gdy usłyszała dobiegający z wnętrza kobiecy głos.

- Mówiłam ci, że masz się tym zająć. I nie mów, że to mój problem!

Drugi głos, męski, był bardziej oddalony.

Ksiądz Mathias czy ktoś inny?

Kristi wyteżyła słuch, ale nie usłyszała, co mówił mężczyzna, tylko szybką odpowiedź kobiety.

- Cała ta sprawa wyszła nam bokiem, ale powinieneś sobie jakoś poradzić, i to im szybciej, tym lepiej, zanim włączy się w to policja.

Zdajesz sobie sprawę, co to oznacza?

I ponownie męski głos. Sprzecza się? Tłumaczy?

Serce Kristi biło jak oszalałe. Już miała wejść do środka, gdy znowu ogarnęło ją dziwne wrażenie, że jest obserwowana. Powoli powiodła spojrzeniem w górę budynku, od parteru przez pierwsze piętro i wyżej, na strych. Krew zastygła jej w żyłach, gdy zobaczyła twarz... kobietą, bladą jak ściana, wykrzywioną strachem. Ariel O'Toole?

Ona albo ktoś inny. Kristi widziała twarz za krótko, by ją rozpoznać. Zamrugła i twarz zniknęła. Okno było puste.

## Rozdział 20

---

Jest niedzielne przedpołudnie, ale wiedziałem, że cię tu zastanę. - Vernon oparł się o biurko Portii Laurent. W dłoni trzymał grubą kopertę.

- Sugerujesz, że nie mam innego życia? - spytała. Wzruszył ramionami.

- Nie, tylko że jesteś pracoholiczką.

- Swój pozna swego - odparła i spojrzała na niego. Boże, ależ on przystojny. Czarne oczy, prosty nos, ogolona na łyso głowa o idealnym kształcie i usta pełne śnieżnobiałych zębów.

- Może i tak - przyznał.

- Więc co cię tu sprowadza w to niedzielne przedpołudnie?

- Pomyślałem, że będziesz chciała rzucić na to okiem. - Podał jej kopertę. - Wreszcie doczekałaś się ciała.

- Co?

- W każdym razie kawałka. Otworzyła kopertę i wyjęła z niej zdjęcie.

- Boże - jęknęła, patrząc na coś, co wyglądało jak ręka w pierwszym stadium rozkładu. Kobieca. Lewa. Z pomalowanymi paznokciami. - Gdzie to było?

- W żołądku aligatora. Masz szczęście, że kłusownik, drobny rzezimieszek nazwiskiem Boomer Moss, okazał się na tyle bystry, by to zgłosić. Przechesujemy rejon rozlewiska, gdzie zabił aligatora, ale nie

liczyłbym na wiele. Gad mógł się przemieszczać, a ciało dryfować. Z pierwszych oględzin wynika, że ciało było w wodzie niecały tydzień, ale patolog jeszcze nie ma pewności.

Portia, już opanowana, skinęła głową. Przyszła do pracy w niedzielny ranek, żeby nadrobić zaległości, bo zawsze odkładała papierkową robotę na później.

- Więc myślisz, że to jedna z dziewczyn od Wszystkich Świętych? Pewnie masz rację. Ktoś je porywa, jakiś czas trzyma przy życiu, a potem zabija i wyrzuca ciała - mówiąc to, doświadczała sprzecznych uczuć: była podekscytowana i zarazem pełna obrzydzenia. Mimo swoich obaw miała nadzieję, że dziewczyny rzuciły studia i wyjechały w nieznane. Teraz zdała sobie sprawę, że jej czarny scenariusz okazał się prawdziwy. Del zmarszczył brwi i zacisnął usta.

- Mamy same pytania i żadnych odpowiedzi. Możliwe, że to ręka innej kobiety.

Portia pokręciła głową. Instynkt podpowiadał jej, że patrzy na szczątki Tary, Monique albo Rylee. Dionne wykluczał kolor skóry, bo ręka była biała. I należała do dziewczyny, która lubiła śliwkowy lakier do paznokci.

- Jeśli nie utrzymuje ich przy życiu, czemu tak wczesne stadium rozkładu?

- Nie wiem, ale chyba nie rozczłonkował ciała. Ręka została odgryziona. Zdaniem patologa odgryzł ją aligator, chociaż w jego żołądku nie było innych części ciała, sprawdziliśmy.

- A skąd wniosek, że to jedna z dziewczyn z college'u?

- Nie zgłoszono zaginięcia innej białej dziewczyny. Sprawdziłem też w szpitalach: nie mieli nikogo bez ręki, efektu spotkania z aligatorem czy innej przygody. No i jest jeszcze coś; patolog twierdzi, że w ręce nie było krwi.

- Może wypłynęła, gdy aligator ją odgryzł.

- Patolog mówi, że do odgryzienia doszło już po śmierci.

- A znaki charakterystyczne? - spytała Portia. - Monique złamała kiedyś lewy palec wskazujący podczas zajęć na szkolnym boisku. A Tara miała tatuaż. - Portia przysunęła się do komputera i jej palce zaczęły śmigać po klawiszach. Otwierała pliki z informacjami na temat zaginionych studentek. Po chwili znalazła to, czego szukała. - Tak, Tara Atwater miała tatuaż, ale na prawym ramieniu. Serce przeszyte strzałą.

- A pozostałe?

- Szukam. - Portia sprawdzała w różnych plikach. - Powinno coś być - mruknęła, pragnąc za wszelką cenę ustalić tożsamość dziewczyny. - Wzięłeś odciski? - Wskazała głową zdjęcie na biurku.

- Próbowałem, ale nawet jeśli uzyskamy wyraźny odcisk, nie wiadomo, czy odciski dziewczyn są w bazie.

- Niektóre miały przeszłość kryminalną, narkotyki... O, mam. Dionne i Monique aresztowano. Dionne ma tatuaż na plecach, kwiaty i kolibry. Na pewno któraś miała jakieś znamię na lewej ręce. - Ale niczego nie znalazła.

- Kazałem ci zostawić tę sprawę - zauważył Vernon, gdy zamykała plik.

- Dobrze, że cię nie posłuchałam, prawda?



O dziwo, błysnął zębami w uśmiechu. Del Vernon, ponury przystojniak z boskimi pośladkami, posłał jej seksowny uśmiech.

- Ryzykujesz, nie wypełniając moich poleceń. Tym razem ty miałaś rację, nie ja. Zapamiętaj sobie ten dzień, bo wątpię, by jeszcze kiedyś się powtórzył.

Jasne, pomyślała Portia i odprowadziła go wzrokiem.

Ariel? Czy naprawdę zobaczyła Ariel z przerażeniem w oczach? Ale co ona robi w Wagner House?

Kristi wbiegła po schodach i spróbowała otworzyć drzwi. Nie były zamknięte na klucz. Zaskoczona, weszła do zimnej kuchni. Jej serce biło coraz szybciej. Dostrzegła drzwi do piwnicy i zrozumiała, że to jej jedyna szansa. Nikt nie wie, że tu jest.

Zakradła się do drzwi, położyła rękę na klamce ...

Drzwi się otworzyły. Błyskawicznie cofnęła dłoń. Do kuchni wszedł ojciec Mathias.

- Och! - Skupił wzrok na Kristi i zmarszczył brwi. - To znowu ty. Przecież mówiłem, że muzeum jest zamknięte.

- Tak, ale moje okulary...

- Sprawdziłem, nie ma ich tu. - Wyraźnie zirytowany, starannie zamknął za sobą drzwi. - Teraz już naprawdę musisz stąd iść.

- Proszę ojca? - rozległ się kobiecy głos. Ten sam, który słyszała przez okno. - Co się dzieje?

Do kuchni weszła wysoka postawna kobieta w czarnym płaszczu obszytym ciemnym futrem. Głęboko osadzone oczy patrzyły bystro znad orlego nosa.

- Kim jesteś? - spytała i zanim Kristi zdążyła odpowiedzieć, dodała: -  
I co tu robisz?

- Twierdzi, że podczas zwiedzania zgubiła okulary - wyjaśnił ksiądz  
Mathias.

Kobieta uniosła brwi w niedowierzaniu.

- Kiedy?

Kristi była przygotowana na to pytanie.

- W weekend, byłam tu z przyjaciółkami.

- Doprawdy? - Ironiczny uśmiech kobiety podkreślał złośliwość w jej  
głosie. - Personel spróbuje je znaleźć. Wróc za jakiś czas.

- Kiedy są mi potrzebne już teraz - upierała się Kristi. - Bez nich nie  
mogę czytać.

- Już to mówiłaś, a ja powtarzam, że muzeum jest jeszcze zamknięte  
- wtrącił się ksiądz Mathias.

- Więc pani nie jest kustoszem? - zdziwiła się Kristi.

- Skądże - zachnęła się kobieta. - Kustoszem jest Marylin Katscher.

Kristi nie dawała za wygraną.

- Więc co pani tu robi? Jak na muzeum zamknięte dla zwiedzających,  
kręci się tu sporo osób!

- Jestem Georgia Clovis - przedstawiła się kobieta. - Georgia Wagner  
Clovis - dodała z naciskiem, jakby to wszystko wyjaśniało.

Mathias, niczym posłuszny szczeniak, wyjaśnił:

- Pani Clovis pochodzi od Ludwika Wagnera i...

- W prostej linii - zaznaczyła Georgia, i jej uszmiłkowane usta  
wygięły się w podkówkę.

- Pochodzi w prostej linii od naszego dobroczyńcy - podjął ksiądz -  
dzięki któremu powstał ten college.

Kristi posłała Georgii obojętne spojrzenie.

- Pani Clovis, tak jak jej brat i siostra - ciągnął ojciec Mathias -  
zasiada w radzie nadzorczej Wagner House, bardzo ważnej dla naszej  
uczelni. A teraz idź już i wróć, kiedy będzie pani Katscher...

- Ktoś jest na piętrze - powiedziała Kristi, ciekawa, jak zareagują.  
Zabrnęła już tak daleko, że równie dobrze może pójść na całość. Pewnie  
nie trafi jej się lepsza okazja, a nie bała się ani kobiety, ani księdza. Ociec  
Mathias to typowy słabeusz, a Georgia Clovis, choć próbowała wydawać  
się groźna i całkiem nieźle jej to wychodziło, nie zdołała zastraszyć Kristi.

- Nikogo tu nie ma - wycedziła Georgia przez zęby.

- Widziałam w oknie kobietę przerażoną do szaleństwa. Dlatego  
weszłam.

- Niemożliwe. Zdawało ci się. - Georgia sztywno pokręciła głową,  
ale wyraźnie zaczynała pękać.

- Nie - odparła Kristi stanowczo.

- Może to była gra świateł - wtrącił ksiądz Mathias.

- Możemy to sprawdzić - odparła Kristi i nie czekając na ich reakcję,  
pobiegła do jadalni, a stamtąd schodami na górę.

- Stój! Nie wolno ci tam wchodzić! - zawołała Georgia. Jej wysokie  
obcasy stukały na parkiecie. - Co ona wyprawia, do cholery?! - wrzasnęła  
do księdza.

Kristi nie marnowała czasu. Wbiegła na drugie piętro i od razu rzuciła się do drzwi pokoju, który wychodził na tyły budynku - tego, w którym widziała Ariel albo inną kobietę koło zamglonego okna.

Ksiądz Mathias ciężko stapał po schodach.

- Proszę pani... nie wolno...

Kristi przekręciła gałkę w drzwiach i znalazła się w pokoju z wiktoriańskim domkiem dla lalek. Nikogo tu nie było, ale domek, w nocy zamknięty, teraz odsłaniał swoje wnętrze z pięknymi miniaturowymi mebelkami.

- Halo? - zawołała. Jej głos poruszył tylko kłęby kurzu. Na wszelki wypadek zajrzała do szafy. Pusto.

Za to w oknie wychodzącym na tył domu wisiała czarna peleryna, a nad nią biała torba - tak jak w nocy. Czyżby się pomyliła?

Wydawało jej się, że widziała twarz, a w rzeczywistości to tylko torba foliowa?

- Zadowolona? - zasapana Georgia stanęła w drzwiach. Ksiądz Mathias dreptał tuż za nią. - Nikt się nie czai w kącie? Żadna przerażona dziewczyna? - Pokręciła głową. - Znam wszystkie makabryczne opowieści o tym domu. Owszem, w latach trzydziestych kogoś tu zamordowano i nigdy nie schwytano zbrodniarza. Wiem też, że grupa studentów, Gotów, ciągle się tu kręci, bo fascynuje ich historia i architektura tego budynku. Ale to naprawdę tylko muzeum, pełne cennych pamiątek rodzinnych i antyków. I dlatego nikt nie może tu biegać. Jeśli naprawdę zgubiłaś okulary, w co wcale nie wierzę, zwróć się do pani Katscher, ona ci pomoże.

- Wczoraj w nocy weszła tu dziewczyna - Kristi obstawała przy swoim. - Widziałam ją, szłam za nią Weszła do środka i... zniknęła. Może zeszła do piwnicy?

- Inna dziewczyna czy ta przerażona?

- Inna.

Georgia prychnęła pogardliwie.

- Do piwnicy? A niby po co?

- Myślałam, że pani mi to powie.

- To tylko skład rupieci.

Ksiądz Mathias stał w progu, jakby bał się wejść dalej.

- Byłem tam dzisiaj - zwrócił się do Georgii. - Chyba zagnieździły się tam szczury. Musimy przeprowadzić deratyzację. Ale tam naprawdę są tylko stare meble i pudła. - Sięgnął do kieszeni sutanny, wyjął chusteczkę i otarł pot z czoła.

- Proszę załatwić tę sprawę - rzuciła Georgia władczo. - A ty... - spojrzała na Kristi - jak się nazywasz?

Kristi rozważała, czy nie skłamać, ale uznała, że łatwo można ją sprawdzić.

- Kristi Bentz. Studiuję tu.

- No cóż, Kristi, jeśli naprawdę weszłaś do domu w nocy, złamałaś prawo. - Georgia wydeła usta. - Jeżeli się okaże, że coś zginęło, skontaktuję się z policją i podam twoje nazwisko.

- Nie macie kamer? - zapytała. - Przy tylu cennych rzeczach powinniście mieć kamery. Wystarczyłoby przejrzeć taśmę.

- Do tej pory nie było potrzeby instalowania takich środków ostrożności - zauważył chłodno ksiądz Mathias.

Georgia westchnęła.

- Najwyraźniej sytuacja się zmieniła i musimy o tym porozmawiać na następnym posiedzeniu zarządu. A teraz proszę już iść, panno Bentz.

- Odprowadzę cię - zaproponował ksiądz. - Ja też już wychodzę, zaraz msza.

Nie ma sensu dłużej dyskutować, poza tym Kristi spieszyła się do pracy.

Ksiądz Mathias przytrzymał jej drzwi. Georgia Clovis ruszyła za nimi. Wiatr wydymał poły jej płaszcza, gdy szła do czarnego mercedesa.

Kristi zastanawiała się, czy nie wymienić nazwiska Marnie Gage, ale zdecydowała, że na razie poczeka. Spróbuje najpierw porozmawiać z Marnie. Żadne przesłuchanie, postara się do niej zbliżyć, zaprzyjaźnić, choć póki co, wszelkie wysiłki nawiązania bliższego kontaktu z, jak się wydawało, kręgiem wtajemniczonych spełzły na niczym. Nie tylko Ariel, także Lucretia unikała jej jak ognia.

Dźwięk dzwonów wyrwał ją z zadumy. Ksiądz podszedł do furtki i przekręcił klucz w zamku.

- Uważaj na siebie - szepnął tak cicho, że ledwie go słyszała. - Niech Bóg ma cię w swojej opiece.

Odwróciła się, ale już szedł w stronę kościoła, a nie miała czasu go gonić. Założyła kask i wsiadła na rower. Jechała bardzo szybko, bo deszcz przybierał na sile, wpadał za kołnierz kurtki. Przecinała wąskie alejki,

omijała kałuże. Minęła bibliotekę, przemknęła koło parkingu, wyjechała na główną ulicę i pokonała sześć przecznic dzielące ją od restauracji.

Co ksiądz Mathias chciał jej powiedzieć? To jasne, ma się trzymać z daleka. Ale od czego?

Jej serce biło jak szalone, gdy zeskoczyła z roweru i przypięła go do stojaka. Zdjęła kask, starła krople deszczu z twarzy i weszła do kuchni - prosto w oko cyklonu. Bar pękał w szwach, długa kolejka czekała na wolne stoliki, kucharze uwijali się jak w ukropie, kelnerzy przemykali między stolikami, pomocnicy błyskawicznie zbierali brudne naczynia.

Poprzedniego wieczora jeden z pieców wydał ostatnie tchnienie. Kucharz, który uważał się za złotą rączkę, właśnie usiłował go naprawić. Klęczał przy piecu w wąskim przejściu i wszyscy się potykali o jego wielkie stopy.

Kristi włożyła fartuch, umyła ręce i sięgnęła po notes. Nie miała czasu zastanawiać się nad wydarzeniami w Wagner House.

- Dzięki Bogu, że jesteś! - Ezma minęła ją w biegu z tacą pełną szklanek. - Nowi nie dają rady.

- Myślałam, że ja też jestem nowa.

- Chodzi mi o Fricka i Frack - wycodziła Ezma przez zęby. - Są do niczego. - Zerknęła na wspomnianą dwójkę. Frick, wysoki chudzielec, który wyglądał na najwyżej szesnaście lat, naprawdę nazywał się Finn. Frack była dziewczyną koło dwudziestki, o różowych policzkach, ciemnych lokach i bujnych kształtach, których wcale nie ukrywała. Jej prawdziwe imię, Francesca, zupełnie do niej nie pasowało. Nawet teraz, w

czasie największego ruchu, Frick-Finn miał czas, by z nią poplirtować, a Frack-Francesca słuchała go chciwie i nie przejmowała się klientami.

Kristi przebiegła wzrokiem dania dnia.

- Tylko tyle? - zdziwiła się, bo z tablicy zniknęły najpopularniejsze potrawy: naleśniki z krewetkami, placki z krabami i krokiety z raków. Zostały jeszcze zarysy ich szekspirowskich nazw.

- Z braku drugiego pieca i przy takim ruchu ograniczamy się do rzeczy już gotowych albo smażonych. Podaj mi jambalaye i smażoną rybę.

- Dobra.

- Potrzebny mi wolny stolik! - zabiegana hostessa wpadła do kuchni. Przy jej stoliku u wejścia ciągnęła się długa kolejka gości. - Co z trzynastką? I jedenastką? Mam parę, która czeka już pół godziny!

- Już lecę. - Miguel podbiegł pozbierać brudne naczynia, zanim Kristi do końca zawiązała fartuszek.

Francesca podniosła wzrok, zobaczyła Kristi i zaczęła narzekać.

- W końcu jesteś - jęknęła, przerywając urocze sam na sam z Finnem. - Dzisiaj od rana mamy tu dantejskie sceny - powiedziała. Tymczasem Finn, co chwila zerkając przez ramię, zajął się swoim rewirem w sali.

Francesca zdjęła fartuch i odsłoniła bluzkę z wielkim dekoltem, z którego wyglądała koronka stanika.

- Same rodziny z małymi dziećmi i kiepskie napiwki. Koszmar. Szkoda, że nie zostałam w domu. - Cisnęła fartuch do kosza z brudną bielizną i sięgnęła po kurtkę. Kristi przemknęło przez myśl, że kiepskie napiwki wiążą się z ewidentnym brakiem zainteresowania pracą ze strony Franceski.



Niestety, Ezma i Francesca właściwie oceniły sytuację. Wobec awarii pieca i kucharza, który go reperował, zamówienia realizowano powoli. Co gorsza, w swoim rewirze Kristi dostrzegła znajome twarze. Profesor Croft, szefowa wydziału literatury angielskiej, właśnie usiadła przy stoliku z Emmersonem. Wykładowca Szekspira o aparycji harleyowca dzisiaj, o dziwo, był ogolony i zamiast koszulki miał na sobie szary sweter. Ale jego włosy nadal pozostawały w artystycznym nieładzie. Trzecią osobą przy stoliku była Hollister, dyrektor wydziału kryminalistyki.

Toksyczna trójka, pomyślała Kristi. Powitała ich z obowiązkowym uśmiechem, podała karty dań i wymieniła dostępne jeszcze dania dnia.

- Słyszałam, że dzisiejsza jambalaya jest pyszna - doradziła.

- Ostra? - zainteresował się Emmerson. Uniósł brew, jakby z nią flirtował. - Pikantna?

- Chyba nie bardziej niż zwykle, ale tak, z ostrą nutą.

- Właśnie taką lubię.

- Niegrzeczny chłopiec! - Natalie Croft uśmiechnęła się pod nosem.

Ohyda, pomyślała Kristi. Ale przynajmniej dzięki temu nie zamartwiała się, że ma ogromne zaległości w czytaniu sztuk na jego zajęcia.

- Podać coś do picia?

- Tak, poproszę herbatę. - Profesor Croft była wysoką kobietą o porcelanowej cerze, ciemnych włosach i z pierwszymi kurzymi łapkami w kącikach oczu. Miała patrycjuszowski nos i nieco wyniosły sposób bycia.

- Dla mnie kawa - poprosiła Hollister, włożyła okulary na nos i zaczęła czytać kartę dań. Odruchowo odgarnęła za ucho niesforny kosmyk ciemnych włosów.

- Dla mnie też kawę. Czarną. - Emmerson podniósł wzrok na Kristi i w jego oczach rozbłysła iskierka. - Pani jest moją studentką, prawda?

Kristi skinęła głową. To najgorsze w tej pracy - jest zdecydowanie za blisko kampusu.

Pstryknął palcami.

- Szekspir, tak?

- Właśnie tak.

Kristi nie uśmiechała się myśl o dłuższej rozmowie w pracy podczas weekendowego obłądu, ale na szczęście Hollister wybawiła ją z opresji.

- A ja poproszę śmietankę. Albo jeszcze lepiej mleko, odtłuszczone, jeśli to możliwe. - Spojrzała na Kristi zza szkieł bez oprawek, zsuniętych na czubek nosa.

- Nie ma sprawy. Zaraz podam.

- Halo! - Z sąsiedniego rewiru poderwał się mężczyzna. - Siedzimy tu już od pół godziny i chcielibyśmy złożyć zamówienie!

Kristi skinęła głową.

- Zaraz do państwa podejdzie kelnerka.

- A pani nie może? - spytał i zerknął na zegarek. Był w towarzystwie naburmuszonej grubej kobiety i dwójki dzieciaków, które wierciły się niespokojnie. Awantura wisiała w powietrzu.

- Przestańcie!-warknęła kobieta.

Starszy chłopczyk puścił jej słowa mimo uszu i pokazał siostrze język. Mała wrzasnęła, jakby ją uderzył.

- Na Boga, Marge, każ im się zamknąć! - burknął mężczyzna, gdy Kristi przekładała kartkę w notesie.

- Oczywiście, proszę pana. - Kristi nie chciała dopuścić do wybuchu awantury w pogodnej rodzinie. - Na co mają państwo ochotę?

- Na placki z truskawkami! - zawołała dziewczynka. - I z bitą śmietaną.

- Nazywają się inaczej, to... - zaczęła matka.

- Wiem, wiem, zapisałam. - Kristi uśmiechnęła się z trudem, przyjęła zamówienie i wróciła do kuchni. Finn sęczył colę i wyglądał, jakby dopiero co zakończył maraton. - Ani chwili spokoju - warknęła i podała mu zamówienie. - Zajmij się tym. Siódemka. I nie obijaj się, bo ludziom puszczają nerwy.

- Jak to?

- Sam się domyśl. - Wcisnęła mu karteczkę z zamówieniem, udając, że nie widzi jego miny niewiniątka. Wzięła napoje dla swoich gości, pamiętała nawet o dzbanuszkę odtłuszczonego mleka, i zaniósła je do stolika. Obsłużyła innych klientów, przyjęła zamówienia. Uśmiechnęła się do towarzystwa, które obchodziło urodziny starszej pani z chodzikiem. Biedaczka nie do końca rozumiała, o co chodzi z szekspirowskimi nazwami w jadłospisie, za to jej mąż, równie stary, ale rześki, uważał, że są bardzo zabawne. Jakimś cudem kucharz - złota rączka uruchomił piec i tempo nabrało życia. Nawet Frick wziął się do pracy.

Cały czas miała wrażenie, że wykładowcy ją obserwują. Ilekroć przechodziła koło ich stolika, docierały do niej urywki rozmowy:

- Może trzeba będzie co nieco zmienić... - Natalie Croft wbiła zęby w słodką bułeczkę i wytarła miód z kącików ust.

Kilka minut później perorowała dalej:

- Tak, wiem, ale to pomysł księdza Tony'ego. Chodziło o urozmaicenie zajęć, a Grotto jest do tego wręcz stworzony. Nie wiem, czemu Anthony nalega, żebyśmy dalej oferowali te kursy, ale cieszą się takim powodzeniem... - ściszyła głos, gdy Kristi dolewała kawy do pustych filiżanek.

Rozmowa zainteresowała Kristi, ale nie mogła cały czas podsłuchiwać, nawet gdyby chciała. Co z tego, że stoliki stoją blisko siebie, skoro przy wszystkich siedzą głośni, rozbawieni goście? Jednak nawet zapracowana po uszy, widziała, że wykładowcy dyskutują zawzięcie. Byli poważni, nikt się nie uśmiechał. Nie chcieli deseru, zostawili jej suty napiwek i wyszli wraz z największym tłumem gości.

Już miała podliczyć swoje napiwki, gdy do restauracji wszedł Jay we własnej osobie. Po krótkiej rozmowie z hostessą usiadł przy małym dwuosobowym stoliku w jej części sali.

Kristi wzięła się pod boki.

- To żart, tak?

- U ciebie nic nie jadłem - odparł z uśmiechem.

- Ja też nie. - Była taka zajęta, że zapomniała o głodzie, ale teraz słyszała, jak jej burczy w brzuchu.

- Więc co proponujesz?

- Poczekaj na dworze i zabierz mnie na lunch gdzie indziej.
- Mam lepszy pomysł. Weźmy stąd coś na wynos i zabierzmy do ciebie. Chcę ci coś pokazać.

- Daj mi kwadrans - poprosiła.

Wstał i poczuł, jak hostessa łypie na niego groźnie - przecież posadziła go dokładnie tam, gdzie chciał.

Kristi uwinęła się błyskawicznie; zdjęła fartuch, cisnęła go do kosza z brudną bielizną i pomachała na pożegnanie Ezmie, która dzisiaj pracowała na dwie zmiany. Po chwili załadowała rower do samochodu Jaya, zepchnęła Bruna na bok i wsiadła. Wnętrze kabiny wypełniał zapach czosnku i pomidorów.

- Tylko mi nie mów, że hostessa poleciła ci jambalaję.

- Bardzo ją zachwalała- odparł Jay. Wyjechali parkingu, a Bruno wszedł jej na kolana.

Jak stare małżeństwo, pomyślała, wpatrzona w monotony ruch wycieraczek. Mąż odbiera żonę po pracy i wiezie do domu.

- Byłam w Wagner House - powiedziała i przedstawiła mu przebieg wydarzeń. Słuchał w milczeniu. Kiedy wspomniała o ostrzeżeniu księdza Mathiasa, rzekł bardzo poważnie:

- Może już teraz pójdziemy na policję?

- Z czym? Ostrzegł mnie, żebym nie wchodziła na teren prywatny.

Nie sądzę, żeby Georgia Clovis - o przepraszam, Georgia Wagner Clovis - i ksiądz Mathias okazali się groźni.

- Znam Georgię - odparł. - Nie lekceważ jej.

- Znasz ją?

- Poznałem ją na jednej z imprez zapoznawczych. Była z siostrą i bratem. - Zerknął na Kristi. - O ile się zorientowałem, potomkowie Ludwika nie przepadają za sobą. Unikali się przez cały wieczór. Georgia jest chyba przywódczynią stada.

- Chcesz powiedzieć, że to suka? Kącik jego ust powędrował w górę.

- Reszta rodziny jest niewiele lepsza. Jej brat, Calvin, czuł się wyraźnie nieswojo, jakby znalazł się na imprezie nie z własnej woli, a Naponi, młodsza siostra, trzymała się na uboczu, ale miałem wrażenie, że jej to nie przeszkadza. Dziwna rodzina. Dumni z nazwiska Wagner, jakby znaczyło co najmniej tyle co Rockefeller albo Kennedy.

- Przypadli ci do gustu, co?

- Zabawni, aż boki zrywać. Uśmiechnęła się i podrapała Bruna za uszami.

- Jakie masz plany na dzisiaj?

- Muszę ocenić prace studentów.

Jęknęła, wiedząc, że wśród nich jest jej praca.

- Hm... co mam zrobić, żebyś zmienił zdanie? Udawał, że się zastanawia.

- Przyjmę seks.

- Seks za piątkę z plusem?

- Sam seks.

Kristi prychnęła.

- Profesorze McKnight, nie jestem taka łatwa. Może niech pan zadzwoni do Mai Kwan? Rano nie mogła od pana oderwać oczu. Chyba się zadurzyła.

- Zadurzyła się... - powtórzył z namysłem. - A pani, panno Bentz?

- Ja nie.

- Nie umiesz kłamać. Zadurzyłaś się we mnie po uszy.

- Bzdura.

Uśmiechał się jak głupi do sera. Odwróciła wzrok, bo przepełniła ją dziwna radość... Traciła dla niego głowę, choć obiecywała sobie, że nigdy do tego nie dopuści. A on o tym wiedział, poznała to po uśmiechu, który pojawił się na jego przystojnej nieogolonej twarzy. Niech go szlag trafi.

Wyłączył wycieraczki i dodał:

- Pomyślałem, że mogę popracować u ciebie.

Kristi zamyśliła się. Perspektywa spędzenia całego popołudnia w jego towarzystwie, może jeszcze z ogniem na kominku i deszczem bębniącym w szyby, to raj. Musi odpocząć, oderwać się od rozważań o zaginionych dziewczynach, fiolkach z krwią i wampirach.

- Dobrze.

- Uważam, że w roli profesora dobrze wyjdę na filmie - oznajmił ni w pięć, ni w dziewięć.

- Na filmie?

- Tak - odparł tajemniczo, najwyraźniej rozbawiony jej zdumieniem.

- O co ci chodzi? - dopytywała się. - Mam cię sfilmować? Nie mam kamery wideo, a nawet gdyby, nie mam czasu na...

- Nie ty.

- Co ty pleciesz?

Wjechali na parking. Jay zatrzymał się koło jej hondy i zgasił silnik.

- Zobaczysz - powiedział i nagle spoważniał. - Chodźmy na górę.

- Mam złe przeczucia.

- I słusznie. Ale bez względu na to, co sobie pomyślisz, zachowuj się naturalnie i nie zadawaj żadnych pytań. - Podał jej paczkę z jedzeniem i przytrzymał drzwiczki. - Weź to, ja wezmę rower.

- Co się dzieje?

- Nic dobrego.

Szedł na górę tuż za nią i czekał, aż otworzy drzwi. W mieszkaniu wszystko wyglądało tak samo jak rano, gdy z niego wychodziła. Jay ustawił rower przy drzwiach, a Kristi położyła torbę z jedzeniem na stoliku.

- Powiesz mi w końcu, dlaczego tak dziwnie się zachowujesz?

- Nie mogłem się doczekać, kiedy tu wrócimy - odparł i przyciągnął ją do siebie. - Zachowuj się naturalnie - szepnął jej do ucha i już normalnym głosem dodał: - Słuchaj, nie pożyczyłem ci przypadkiem książki o analizie DNA?

- Jakiej? - spytała, ale Jay już podszedł do półki nad kominkiem.

- Obiecałaś, że mi ją oddasz... Wiesz co? Sam poszukam. - Klepnął ją żartobliwie w pośladek i odszedł w róg pokoju.

Kristi nie miała pojęcia, co się dzieje. Wypakowała jedzenie, położyła na stoliku serwetki i sztuce. Kątem oka widziała, jak Jay wchodzi na krzesło i przesuwa książki nad kominkiem.

- Proszę bardzo - powiedział i wyjął obluzowaną cegłę.

Jej oczom ukazała się czarna skrzyneczka wielkości telefonu komórkowego. Chciała coś powiedzieć, ale Jay przecząco pokręcił głową. Co takiego znalazł?



Komórkę Tary?

Pager?

Dyktafon?

Krew zastygła jej w żyłach. Czyżby ktoś nagrywał ich rozmowy? Usiłowała sobie przypomnieć, o czym tu mówiła - głównie przez telefon i... o nie! Ostatnia noc z Jayem...

- Chyba jednak jej nie masz - powiedział, wsunął cegłę na miejsce i zeskoczył na ziemię. - Później po nią pojedę. Teraz zjedzmy coś. A może puścisz jakąś muzykę? Masz radio?

- Mam iPod'a.

- Dobrze. - Włączył sprzęt i nastawił na tyle głośno, że zagłuszał ich rozmowę. Kristi przycupnęła na skraju kanapy, Jay usiadł w fotelu, tyłem do kominka.

- Obserwują cię - szepnął pochylony nad talerzem. - Ta czarna skrzynka to kamera.

Mało brakowało, a upuściłaby widelec. Ktoś ją obserwuje; cały czas? Kiedy się uczy, ogląda telewizję albo... Jezus, Maria! Spojrzała na Jaya i zapragnęła zapaść się pod ziemię.

- Cudeńko - mruknął.

Przeszedł ją dreszcz na myśl o ostatniej nocy. Oni się kochali, a ktoś ich podglądał. Widział każdą pieszczotę, każdy pocałunek. Może onanizował się podczas - jak myślała - ich intymnej nocy.

Jay skinął głową, jakby czytał w jej myślach.

- Nie mieliśmy pojęcia, że nakręciliśmy nasz pierwszy film porno. I co ty na to?

## Rozdział 21

---

O Boże!

Kristi nie wierzyła własnym uszom. Ktoś naprawdę ją podglądał?

- To szaleństwo - parsknęła; cicho, na wszelki wypadek, gdyby to jednak była prawda, a nie kawał Jaya.

- Śmieję się, jakbym powiedział dowcip - poleciał i podniósł do ust widelec z jambalaya.

Ma się śmiać, kiedy właśnie odkryła u siebie kamerę? Ale widziała, że Jay nie żartuje. Wykrzesła z siebie sztuczny chichot... Nie zabrzmiał przekonująco. Kristi przeżyła sporo jak na swoje dwadzieścia siedem lat. Jej ojciec pracuje w wydziale zabójstw, więc od dziecka słyszała o różnych jego sprawach. Czasami nawet więcej niż słyszała. Już nieraz znalazła się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, nie tak dawno omal nie umarła, jednak nigdy nie czuła się równie zbrukana i wykorzystana jak teraz.

- Ktoś mnie obserwuje? - szepnęła. Gniew palił ją żywym ogniem.

- Tak. I idę o zakład, że obserwował też Tarę Atwater.

Najchętniej zabiłaby drania po drugiej stronie kamery. Na miłość boską, co takiego widział? Obrazy z ostatnich dni stały jej przed oczami. Przypomniała sobie, jak naga wychodziła z łazienki albo niczym mała dziewczynka tańczyła przy ulubionej piosence, jak się uczyła i ćwiczyła. No i ta ostatnia noc, noc namiętności, jęków i błagań o jeszcze. Cholerny

zboczony podglądacz widział, jak się kochali! Ze wstydu robiło jej się to zimno, to gorąco.

- Kto? - zapytała.

- Właśnie tego chcę się dowiedzieć - odparł tak cicho, że musiała wyteńczyć słuch, by go usłyszeć przez dźwięki muzyki. - To zdalnie sterowana kamera. Nie wiem, jaki ma zasięg, ale odbiornik może być wszędzie. Zakryłem obiektyw książką, więc podglądacz będzie chciał tu wrócić i odsłonić go. Rozejrzałem się i moim zdaniem jest tylko ta jedna kamera.

- Co?! - aż się wzdrygnęła. - Myślałaś, że może być ich więcej?

- Oczywiście, ale to droga zabawka, więc podglądaczowi musiałoby bardzo na tym zależeć. Sprawdziłem też w łazience, jest czysta.

- To jakiś koszmar. - Miała ochotę zabrać swoje rzeczy i po prostu uciec.

- Nie chciałem wyjmować baterii, bo mógłbym coś uszkodzić i tym samym zdradziłbym, że wiem o kamerze.

- Więc co chcesz zrobić?

- Czekać - odparł, co tylko ją zdenerwowało. Chciała działać. I to zaraz, natychmiast. Dopaść drania. - Jak Kuba Bogu, tak bóg Kubie. - Zajadał jambalayę ze stoickim spokojem. Już kończył.

- Nie umiem udawać - burknęła. - Czekać też nie.

- Wiem, ale postaraj się zachowywać naturalnie.

- Jasne. - Bo to najnormalniejsza rzecz pod słońcem.

- Albo idziemy na policję. - Nadal mówił szeptem. - Uważam, że byłoby nieźle, gdyby sprawą zajęli się zawodowcy. I nie mów mi, że... -

nie dał jej dojść do słowa - .. że ja też jestem zawodowcem. Oboje wiemy, że naginam przepisy. Teraz najrozsądniej byłoby zawiadomić policję. Niech zbiorą odciski palców, a my prześlemy im fiolkę. Pewnie zamkną mieszkanie i zaborą ci komputer, ale przecież wszystko skopiowałam.

- Wspomniałeś coś o czekaniu i że jak Kuba Bogu... O co ci chodziło? Uśmiechnął się i od razu poczuła się lepiej. Błysk w jego oku zdradzał, że wszystko przemyślał.

- Wyjdźmy na dwór - szepnął i głośno dodał: - Tak, Bruno, wiem, trzeba iść na spacer. Rusz się. - Gwizdnął na psa i ruszył do drzwi, a Kristi poszła za nimi.

Gdy znaleźli się na korytarzu, spojrzął w górę, na sufit. Tam, tuż nad drzwiami, koło żarówki, widniała mała czarna skrzyneczka, bardzo podobna do tej na kominku.

- Pomyślałem, że kiedy wróci, to my go nakręcimy.

- To twoja kamera? A gdzie odbiornik?

- W domu ciotki Colleen. Pojedziemy tam i poczekamy. Weź laptopa i śpiwór, bo warunki są spartańskie.

- Wszystko mi jedno, o ile dopadniemy drania.

- Gdyby tu się nie nagrał, druga kamera czeka nad oknem w kuchni, dokładnie naprzeciwko kominka, więc stanie do niej twarzą, gdy się odwróci do drzwi.

- Napracowałeś się - stwierdziła z podziwem.

- Dzięki.

- To ktoś, kto ma dostęp... może Hiram? - Pomyślała o wnuku Irene Calloway. Nie, chyba jest za głupi na coś takiego. A Irene? Czyżby szpiegowała lokatorów?

- Otwiera także moją listę, ale poszperam trochę. Zapisałem model i numer seryjny kamery. Mówiłem ci, to cacko. Postaram się dowiedzieć, kto w ciągu ostatniego pół roku kupił ten model.

- Przez kontakty w policji?

- Mądra dziewczynka - pochwalił ją, najwyraźniej wcale nieprzejęty, że ich miłosna noc może trafić do YouTube czy innego serwisu wideo.

Skrzywiła się na samą myśl o tym.

- Uspokój się - rzekł Jay, jakby czytał jej w myślach. - Było ciemno, a to chyba nie jest kamera na podczerwień.

- O Boże. - O tym w ogóle nie pomyślała. I wolała sobie nie wyobrażać, że podglądacz na tyle się zna na współczesnej technice, by poprawić jakość obrazu wideo.

Sytuacja pogarszała się z każdą chwilą. Jay podszedł do drzwi.

- Dajmy mu do zrozumienia, że dzisiaj nie wrócisz, więc będzie miał idealną okazję.

Weszli do mieszkania. Jay wyłączył muzykę i rozmawiali o wszystkim i o niczym. Kilkakrotnie wspomnieli, że jadą do niego, ale nie podali adresu. Kristi spakowała się; wzięła laptopa, śpiwór i naszyjnik z fiolką rower i ubranie na zmianę.

Ponieważ wybierała się na moralitet księdza Mathiasa, a Jay miał służbową kolację z szefową wydziału, wzięli dwa samochody.

Wzdrygnęła się na myśl, że ktoś myszkuje po jej mieszkanku, może grzebie w jej rzeczach. Kto to jest?

Jadąc za Jayem przez ulice zalane deszczem, myślała o psychopacie, który podglądał ją i Bóg wie ile poprzednich lokatorek. Czy podglądał także Tarę? Czy poznał jej rozkład dnia i zaplanował porwanie? Czy filmował także pozostałe zaginione? Czy zatrzymał nagrania, oglądał je albo - co gorsza - umieścił w sieci?

Skoro podnieca go nielegalne filmowanie, może posunął się dalej? Może zarejestrował ich porwania? Tortury? I śmierć?

Dobry Boże, oby nie. Zacisnęła palce na kierownicy i starała się okiełznać wyobraźnię.

- Nie kuś licha - upomniała się głośno.

Zresztą nie ma podstaw do tak czarnego scenariusza. Gdyby zaginione pojawiły się w Internecie, zobaczyłby je ktoś z uczelni i rozpoznał. No i policja na pewno sprawdza zasoby sieciowe.

Samochód przed nią błysnął światłami.

Jay zatrzymał się na czerwonym.

Kristi, wyrwana z zamyślenia, mocno wcisnęła hamulec. Opony zapiszczały i honda wpadła w poślizg. Zatrzymała się dosłownie dwa centymetry od zderzaka toyoty.

- O Boże! - Odetchnęła z ulgą i jęknęła, słysząc pisk opon za sobą. Zerknęła w boczne lusterko i bezradnie patrzyła, jak wielka furgonetka zatrzymuje się tuż za nią. Jay spojrział na nią. Podniosła ręce wnętrzem dłoni do góry, przyznając, że zachowała się jak idiotka. Oby i kierowca furgonetki dostrzegł nieme przeprosiny.

- Skup się - powiedziała głośno. Lało jak z cebra, wycieraczki z trudem nadążały. Musi bardziej uważać. Jezdnia jest śliska, deszcz ograniczał widoczność.

Światło zmieniło się na zielone. Jay ruszył. Jadąc za nim, starała się koncentrować tylko na ulicznym ruchu i drodze przed nią, ale co chwila uciekała myślami gdzie indziej. Ktoś się włamał do jej mieszkania i zainstalował kamerę. Obserwował ją. Nagrywał. Dostała gęsiej skórki na myśl, że się onanizuje, patrząc, jak ona się rozbiera czy kocha z Jayem.

- Drań - mruknęła. - Jeszcze dostaniesz za swoje - dodała, skręcając za Jayem w wąską uliczkę. Furgonetka za nią także skręciła.

Czy to ta sama furgonetka, która prawie w nią wjechała? Kolejny zakręt. Samochód z tyłu zwolnił. I znowu skręcił za nią. Jakby ją śledził.

Może kierowca tej furgonetki - jeśli to ta sama, czego wcale nie była pewna - zainstalował kamerę w jej mieszkaniu?

Jay skręcił ponownie, tym razem w ślepią uliczkę. Nazwa była dobrze widoczna - ta sama widniała na wizytówce, która leżała na bocznym siedzeniu.

Kristi minęła zaulek, prawie nie zwalniając.

Furgonetka nie skręciła za Jayem, jechała za nią.

- Kim jesteś, do cholery? - zapytała na głos i upewniła się, że wszystkie drzwiczki są zamknięte. Kluczyła wąskimi uliczkami, aż trafiła na większą. Skręciła i zerknęła w lusterko wsteczne.

Furgonetka skręciła za nią.

Ale teraz nie jechała już tak blisko, kierowca starał się wtopić w sznur innych pojazdów. Odezwała się jej komórka, ale nie zwróciła na to

uwagi. Musi się skupić. Kilometr dalej furgonetka utkwiała między taurusem i dżipem, a światło właśnie zmieniło się na żółte.

Idealnie.

Z głośno bijącym sercem zacisnęła dłonie na kierownicy, aż zbieleły jej knykcie i przyspieszyła. Zdażyła. Czerwone zapaliło się, kiedy mijala skrzyżowanie.

Sznur samochodów się zatrzymał.

- Mam cię, draniu! - zawołała triumfalnie. Komórka nie dawała za wygraną, ale Kristi nadal nie odbierała. Musi myśleć. I jechać.

Minęła jedną przecznicę i skręciła w drugą. Wtedy zobaczyła, że światła się zmieniły i furgonetka ruszyła. Cholera!

Znowu skręciła w prawo, dostrzegła kościelny parking i tam wjechała. Wykręciła błyskawicznie, z nogą na gazie, zasłonięta rozłożystymi krzewami.

Furgonetka przemknęła po chwili ciemną smugą. Kristi włączyła się do ruchu. Wdziąka, jak furgonetka znika za tym samym rogim co ona niecałe trzy minuty temu.

- Skurczybyk. - Gdyby zdołała podjechać na tyle blisko, by zobaczyć tablicę rejestracyjną, ojciec albo Jay sprawdzą, do kogo należy, i złapią drania.

Poczuła, że wreszcie trafiła na ślad. Skręciła ostro, aż spod kół trysnęła fontanna wody. Furgonetka była dwie przecznice dalej. Kierowca zwolnił, najwyraźniej jej szukał.

Dodała gazu. A jeśli kierowca się zatrzyma i rozpozna jej wóz?

- Trudno. - Wybrała numer Jaya, zbliżając się do furgonetki.



- Co się stało? - spytał.

- Ktoś nas śledził... a raczej mnie.

- Jezu, Kris, gdzie ty jesteś? Wszystko w porządku? - Wychwyciła nutę paniki w jego głosie.

- Uciekłam mu i teraz ja go śledzę - odparła.

- Dzwonię na policję.

- Nie rozłączaj się.

- Już jadę. Gdzie jesteś?

- Gdzieś koło dziesiątki, niedaleko jeziora.

- Tak daleko? Cholera! - Usłyszała brzęk kluczy i ciężki oddech, jakby biegł. A potem trzaśnięcie drzwi. - Podaj najbliższą przecznicę.

- Poczekaj chwilę! O nie! Jedzie na autostradę.

- Zostaw go.

- Nie mogę. - Cisnęła komórkę na siedzenie i dodała gazu.

W tym momencie sportowy wóz zajechał jej drogę z rykiem silnika.

- Idiota! - wrzasnęła, hamując gwałtownie. - Kretyn!

Kierowca beztrosko zajechał drogę komuś innemu. Kristi skrzyła na autostradę, ale wiedziała, że pościg dobiegł końca. Drań jej uciekł.

Sięgnęła po telefon.

- Jesteś tam jeszcze? - spytała, szukając najbliższego zjazdu.

- Tak. Co się stało?

- Nic, zgubiłam go. Wracam.

- Na miłość boską, Kris, nie...

- Wracam - powtórzyła stanowczo. - Za dwadzieścia minut będę.

- Ależ mnie wystraszyłaś - powiedział. - Wiesz, Kris, to się robi naprawdę niebezpieczne. Może jednak pójdziemy na policję.

Wyobraziła sobie reakcję ojca i kolejną awanturę.

- Najpierw zdemaskujemy naszego, pożałuj Boże, filmowca - odparła.

- A wtedy?

- Wtedy się zastanowimy. Proszę cię - jęknęła. Jechała na północ, minęła właśnie starą siedzibę stanowego parlamentu, gotycką budowlę górującą nad leniwą Missisipi. - Dałeś mi tydzień.

- Mój błąd.

- Pierwszy z wielu - zażartowała i od razu poczuła się lepiej. Rozłączyła się, zanim zdążył zaprotestować. Nie chciała mu zdradzić, że dzisiaj zastawi własną pułapkę.

Na moralitecie księdza Mathiasa. Oby jej plan się powiódł.

- Póki co, nic nam to nie dało! - Ray Crawley posłał Portii Laurent gniewne spojrzenie.

Crawley, detektyw z Baton Rouge, był zwalistym mężczyzną z okazałym piwnym brzuszyskiem. Kiedy się złościł, stawał się bardzo niemiły. A teraz, stojąc w potokach ulewnego deszczu, był o krok od wybuchu wściekłości. Chciwie zaciągnął się papierosem i spojrzał na rozlewisko. Nurkowie przeszukiwali wodę.

Ściemniało się, chłód przenikał Portię do kości. Stała nad wodą z Delem Vernonem, Crawleyem, który kazał do siebie mówić Sonny, i kłusownikiem nazwiskiem Boomer Moss.

Kuliła się pod parasolem w płaszczu i kaloszach, które zawsze miała w samochodzie na takie okazje. Modliła się o papierosa, ale nie poprosiła o niego Crawleya, bo wyczuwała, że on tylko szuka pretekstu, by na kogoś nakrzyczeć.

- Na pewno tu złapał pan tego aligatora? - Sonny nie ukrywał sceptycyzmu. Nurkowie przeszukiwali cały wskazany przez Mossa rejon i niczego nie znaleźli.

Kłusownik uparcie twierdził, że złapał wielkiego aligatora właśnie tutaj. Zarówno gada, jak i zawartość jego żołądka skonfiskowało laboratorium.

- Tam, za drzewami. - Boomer wskazał białe cyprysy o powykęcanych korzeniach.

- Sprawdzaliśmy, tam niczego nie ma. - Crawley znowu zaciągnął się papierosem.

- Mówię wam, że właśnie tam go złapałem. - Moss ponownie wskazał grupę cyprysów. Mimo wieczornego chłodu ociekał potem. Najwyraźniej czuł się nieswojo w obecności policji.

Jak wszyscy.

Portia patrzyła, jak łódź bezszelestnie sunie w stronę nurka, który wypłynął na powierzchnię. Przecząco pokręcił głową.

- Mam nadzieję, że mnie nie wrabiasz. - Crawley zdusił niedopałek w mokrej trawie.

- A niby po co? - zdziwił się Moss.

- Wiesz, że napytałeś sobie biedy, więc może chciałeś zaszpanować tą ręką... Może sam miałeś z tym coś wspólnego?

- Chyba musiałbym być kompletnym idiotą. Zawiadomiłem was, bo uznałem, że to mój obywatelski obowiązek, czy jak to się tam nazywa. Ręka była w brzuchu aligatora i pomyślałem sobie, że będziecie chcieli ją obejrzeć. Ale nie wiem, czyja to ręka i jak trafiła do jego brzucha. - Z wściekłością splunął na ziemię. - Zrobiłem, co do mnie należało. Mogę już iść?

- Jeszcze nie. - Crawley-najwyraźniej dobrze się bawił, widząc jego zdenerwowanie.

Na tym polega problem Sonny'ego, stwierdziła Portia. Bywa okrutny. Ale dzisiaj chyba już niczego nie znajdą.

Mętne wody zachowają swoją tajemnicę. Na razie.

## ***Rozdział 22***

---

Kilka godzin później Kristi wróciła na teren kampusu. Nie lubiła kłamać.

Jako nastolatka nie miała z tym najmniejszych kłopotów, ale teraz, dziesięć lat później, ukrywanie prawdy nie przychodziło jej już z taką łatwością.

A musiała okłamać Jaya.

Pojechała do niego, opowiedziała o furgonetce, a on objął ją i tulił do siebie, jakby już nigdy nie chciał jej wypuścić.

- Głuptasie - szeptał.

- Nie uważam tego za komplement - odparła.

- I dobrze, wcale nie chciałem prawić ci komplementów. Skąd mamy wiedzieć, co to za jeden? Do czego jest zdolny? Na rany boskie... -I pocałował ją mocno, zgłodniałymi ustami. Włosy miał mokre od deszczu.

Otoczyła go ramionami i odpowiedziała z równą namiętnością. - Jezu, ale mnie przestraszyłeś - szepnęła. - Bałem się, że...

- Cii. - Nie chciała słuchać jego obaw. Chciała tylko, by jego siła przywróciła jej odwagę. Nie zawiodła się.

Kochali się szybko, nerwowo, spalani pożądaniem i niepokojem. Gdy skończyli, opadli, zmęczeni i spoceni, na wąskie posłanie. Kristi była wściekła, że musi go okłamać. Odkładała to, pragnąc jak najdłużej rozkoszować się tym popołudniem.

- To idiotyczne - powiedziała, odgarnęła włosy z twarzy i zajrzała w jego bursztynowe oczy.

Roześmiał się.

- No proszę, a ja chciałem powiedzieć, że to było magiczne... cudowne... niewiarygodne i...

- I pieprzysz jak potłuczony, McKnight. - Pocałowała go i wstała, żeby się ubrać.

Nalegał, żeby poszli na policję, ale zdołała go przekonać, by jeszcze poczekali. Nie powiedziała mu prawdy, przynajmniej jeśli chodzi o jej plany. Nie mogła.

Zajął się sprawdzaniem wypracowań i obserwacją obrazu z dwóch kamer, z jej ganku i wnętrza jej mieszkania. Udawała, że śledzi aktywność w internetowych czatroomach, choć było jeszcze za wcześnie na jej znajomych z sieci. Gdy Jay poszedł do gabinetu, wzięła fiolkę z, jak się

domyślała, krwią Tary Atwater. Założy ją dzisiaj na przedstawienie. Ciekawe, jakie to wywoła reakcje.

Jay próbował zdjąć z fiolki odcisk palca, ale nie było na niej niczego, więc Kristi nie zniszczy dowodu, pod warunkiem, że sama fiolka pozostanie nienaruszona.

Trochę to przerażające, ale cóż?

Tak jak kamery w jej mieszkaniu.

I fakt, że jechała za nią ciemna furgonetka.

Jeśli naprawdę chce się dostać do sekty, musi działać szybko.

Fiolka z krwią to dar losu.

Albo szatana.

Wymknęła się i Jay nie zauważył, że zabrała fiolkę. A teraz jechała w stronę kampusu, co chwila zerkając w tylne lusterko, by się upewnić, że nie widzi ciemnej furgonetki. Jaki to był kolor? Granat? Grafit? Nie wiedziała. Nie zdołała też się przyjrzeć tablicy rejestracyjnej, ale chyba były na niej numery z innego stanu. Pamiętała zaciemnione szyby, nie była natomiast pewna marki. Może ford albo Chevrolet, coś krajowego. Tyle, jeśli chodzi o jej zmysł obserwacji.

Klimatyzacja w hondzie znowu padła, więc musiała otworzyć okno, żeby cokolwiek widzieć przez przednią szybę. Kłębiaste chmury całkowicie zasłoniły zachodzące słońce, a deszcz dodatkowo utrudniał widoczność.

Na szczęście w niedzielny wieczór ruch był niewielki.

Kristi wybrała się na moralitet księdza Mathiasa, mimo protestów Jaya.

- Nie podoba mi się, że idziesz tam sama - powiedział, gdy się szykowała. - Odwołam spotkanie z Hollister. Chce pogadać o moich zajęciach, zorientować się, na ile się różnią od tego, co robiła Monroe. To nic pilnego.

- Nie byłoby dobrze, gdyby widywano nas razem.

- Już nas widziano - zauważył. - Ktoś to nawet sfilmował.

- Nie przypominaj mi - skrzywiła się. - A Hollister to twoja szefowa.

- Naprawdę nie muszę się z nią dzisiaj spotykać. Zwłaszcza że już kilka razy rozmawiałem z profesorem Monroe i trzymam się jej rozkładu zajęć. Jeśli wróci w przyszłym semestrze, będzie mogła pociągnąć to dalej.

- A wróci? - zainteresowała się Kristi.

- To zależy od stanu jej matki. Na razie nie może znaleźć dla niej odpowiedniego ośrodka.

- Więc nie wiesz, czy w przyszłym semestrze nadal będziesz wykładał?

- Na razie nie. Ale może ty mnie przekonasz, żebym przyjął taką ofertę, jeśli się pojawi.

Komicznie poruszył brwiami. Kristi wyszła ze śmiechem. Była w połowie drogi do domu, gdy odezwała się jej komórka. Myślała, że to Jay kolejny raz chce jej przypomnieć, by zachowała ostrożność.

- Halo? - rzuciła do słuchawki i skręciła na parking niedaleko biblioteki.

- Kristi Bentz?-usłyszała niski męski głos. - Tu Dominic Grotto. Bardzo przepraszam, że nie zadzwoniłem wcześniej, chociaż otrzymałem pani wiadomości.

Zobaczyła go oczyma wyobraźni: wysoki, ciemnowłosy, o silnej szczęce z cieniem zarostu. Zapomniała, że rozzłościł ją obcy samochód na jej ulubionym miejscu.

- Mówiła pani, że chciałyby się spotkać, a teraz mam trochę więcej czasu. Może jutro po południu, powiedzmy o czwartej?

Kristi zastanowiła się. Jutro pracuje w czasie lunchu, ale chyba ktoś się zgodzi wziąć za nią dodatkową godzinę.

- Oczywiście - rzuciła lekko, jakby chodziło jej tylko o pomoc przy trudnym zadaniu. Przypomniała sobie ciemną furgonetkę; czy to możliwe, że za kierownicą siedział Grotto? - Będę u pana o czwartej.

- No to do zobaczenia.

Rozłączył się, a Kristi zgasiła silnik. Rozejrzała się po parkingu, chcąc się upewnić, że nikt nie czai się ani między samochodami, ani za żywopłotem, wysiadła i pobiegła do siebie. Wszystko było w takim samym stanie, jak wtedy, gdy wychodziła. Powstrzymała się, by nie pokazać Jayowi języka do kamery. Chodził jej też po głowie mały striptiz, ale opanowała się. Może jest tu gdzieś inna kamera, której nie znaleźli. Ograniczyła się do porozumiewawczego mrugnięcia do obiektywu nad zlewem.

Houdini wynurzył się z kryjówki pod tapczanem.

- Byłam ciekawa, kiedy w końcu się pokażesz - poinformowała go. - Przestraszyłeś się psa? Niepotrzebnie, Bruno nawet muchy nie skrzywdzi.

Pogłaskała kota po grzbiecie. Wzdrygnął się i odsunął, ale nie uciekł. Napełniła jego miseczkę kocią karmą i rozbawiona patrzyła, jak obwąchuje ją pogardliwie.



- Nie zapominaj bracie, skąd pochodzisz - powiedziała. - Nie powinieneś być wybredny.

Kot popatrzył na nią jak na idiotkę, wskoczył na parapet i zniknął za oknem.

- Za dobre uczynki spotka nas nagroda - zawołała za nim w ciemność, a potem w łazience przebrała się w czarne spodnie i golf. Włożyła kurtkę, sięgnęła po torebkę, w której miała komórkę i pojemnik z gazem, i wyszła na zewnątrz. Rozpogodziło się trochę, ale klimatyzacja w hondzie nadal nie działała. Ręką starła wilgoć z szyb, upewniła się, że w okolicy nie widać groźnej ciemnej furgonetki, lecz i tak była spięta, gdy jechała na skróty przez kampus.

Gdy parkowała za Wagner House, gasły ostatnie promienie słońca. Muzeum zamykano za dziesięć minut, ale chciała się tam jeszcze raz rozejrzeć.

Brama była otwarta, drzwi uchyliły się bezgłośnie. Kristi weszła do środka i powitał ją blask gazowego płomienia na kominku. Abażury od Tiffany'ego mieniły się tęczowo. Wiktoriańskie sofy, fotele i mahoniowe stoliki stały grupkami, stół w jadalni nakryto srebrem i porcelaną, jakby lada chwila mieli się zjawić goście.

Trzy panie po pięćdziesiątce zachwycaly się meblami i precjozami, młode małżeństwo z dzieckiem zaglądało do dalszych pomieszczeń.

- Witam. - Szczupła kobieta w długiej spódnicy, kozakach i swetrze z szerokim kołnierzem podeszła do zwiedzających. - Jestem Marylin, kustosz tego muzeum. Właśnie zaczynamy ostatnie zwiedzanie przed zamknięciem. Chciałaby pani do nas dołączyć? Kristi skinęła głową.

- Bardzo chętnie.

Szła za małą grupką i słuchała opowieści pani kustosz o historii rodziny Wagnerów. Marylin Katcher wyjaśniła, że Ludwik ofiarował ziemię kościołowi pod warunkiem, że powstanie tu uczelnia. Potem zaprowadziła ich na górę, do pokoióv dziecinnych, i mówiła o ich lokatorach oraz o ogromnych nakładach finansowych, dzięki którym potomkowie Ludwika przywrócili dom do dawnej świetności, odtwarzając nawet umeblowanie pokoju jego sparaliżowanej córeczki. Niektóre meble były autentyczne, inne tylko pomagały stworzyć atmosferę, ale nie pochodziły z tej samej epoki.

Gdy tylko zakończyli zwiedzanie, Marylin Katcher zerknęła na zegarek i chciała wszystkich wyprosić, ale Kristi została w tyle i zapytała ją o piwnicę.

- Dawniej korzystała z niej służba - odparła kustosz. - Istniał też tunel łączący ją z dawną powozownią, w której teraz mieści się wydział teatralny. Było również przejście do stajni i stodoły, ale uznano je za niebezpieczne i zamknięto wiele lat temu. Dzisiaj piwnica służy jako skład. - Przytrzymała drzwi wejściowe. - Szczerze mówiąc, nigdy tam nie wchodziłam. I chyba nikt tam nie zagłada.

Owszem, ksiądz Mathias, pomyślała Kristi. On i Georgia Clovis wiedzą, że widziała go w drzwiach do piwnicy. Zaintrygowało ją, że w podziemiach są korytarze. Może nadal ktoś z nich korzysta? Może Marnie Gage wyszła właśnie tamtędy? Tylko dlaczego?

Marylin Katcher można było wiele zarzucić, ale nie brak punktualności. Dokładnie o siedemnastej trzydzieści zamknęła bramę za ostatnim zwiedzającym.

Na dworze, wśród ciemności, które zapadły, gdy byli w środku, hulał wiatr. W niesamowitej błękitnawej poświacie lamp gazowych Kristi widziała srebrzyste krople deszczu. Idąc do kafejki studenckiej, rozglądała się za znajomymi twarzami, ale nie dostrzegła ani Trudie, ani Grace, ani Zeny czy Ariel. Przypomniała sobie, że Zena wspominała o swoim występie w moralitecie księdza Mathiasa.

Może zobaczy ją na scenie?

Wypiła bezkofeinowe cappuccino i zadzwoniła do Lucretii. Niestety, tak jak ostatnio, połączyła się tylko z pocztą głosową.

Nie zostawiła wiadomości. Po co, skoro Lucretia jej unika.

Wyciszyła telefon i ruszyła w stronę auli. Może trochę powęszy przed spektaklem. Wszystkie zaginione brały udział w moralitetach księdza Mathiasa, więc musi istnieć jakiś związek koła teatralnego z sektą wampiryczną.

W podziemnym spa Elizabeth stała naga przed lustrem i przyglądała się swemu odbiciu.

Była rozdrażniona. Podminowana.

To oczywiste, że potrzebuje więcej. Więcej krwi. Krwi innych kobiet.

To nieprawda, że jest słaba i uzależniona. Wręcz przeciwnie - jest silna, potężna, pełna życia. Ale naprawdę potrzebuje więcej...

Pragnęła znowu poczuć ekstazę odmłodnienia, lecz to nie było jej dane, bo lustro obnaża wszystkie, nawet najmniejsze skazy. Teraz oświetlały je delikatne lampy, ale w każdej chwili mogła wyostrzyć oświetlenie, gdyby chciała dokładnie zobaczyć każdą niedoskonałość swego ciała.

Z logicznego punktu widzenia zdawała sobie sprawę, że krew młodszych kobiet nie spowalnia starzenia ani nie odmładza skóry, jednak z drugiej strony, czyż nie widziała efektów jej działania na sobie?

Krytycznym okiem przyglądała się swemu odbiciu w poszukiwaniu zdradzieckich oznak starzenia się: zmarszczek wokół ust, kurzych łapek w kącikach oczu, zwiotczącej skóry u nasady szyi, obwisłości na brzuchu. Szczupłość od zwyczajnej chudości dzieli cienka linia. Ale nie, jej kości nie przebijają przez skórę. Ma idealną sylwetkę, skórę kremową i jędrną, brodawki ciemne i nabrzmiałe. W lśniących włosach nie pojawiło się nawet jedno siwe pasmo.

Ale czas to bezlitosny wróg, więc oprócz specyficznej krwawej kuracji stosowała wszelkie możliwe kremy i specyfiki. Nie posunęła się natomiast do tego, by rozważać liposukcję, dermabrazję czy laser.

Póki co, nie musi sięgać po tak radykalne środki.

Jej metoda działa. Uważnie przyjrzała się swojej gładkiej skórze bez żadnych plam i uznała, że jest prawie doskonała. Uśmiechnęła się zadowolona. Nie urodziła się piękna, ba! pamięta, jak matka mówiła, że była brzydkim dzieckiem: miała niekształtną głowę, za duże oczy, rzadkie włosy i wiotkie ciało. Ale rozkwitła i z niezgrabnej dziewczynki wyrosła

dziewczyna, na widok której chłopcy i mężczyźni zapominali języka w gębach.

Właśnie tego uczucia, tego poczucia władzy nie chciała utracić. Przeprowadziła pewne badania i doszła do wniosku, że mimo jej znakomitych genów i zdobyczy współczesnej kosmetologii czas ją pokona. Skóra pod oczami opadnie i pociemnieje, ciało straci elastyczność, piersi obwisną.

Chyba że znajdzie sposób, by temu zapobiec.

I znalazłam, myślała, obracając się przed lustrem, by się obejrzeć od tyłu. Nadal ma jędrne pośladki, wąską talię i - jeśli wierzyć portretom - jest zadziwiająco podobna do swojej praprababki. Tyle że, stwierdziła z dumą, znacznie od niej piękniejsza.

Prababka, hrabina Elżbieta Batory, zawsze ją fascynowała, ale dopiero niedawno, gdy sobie uświadomiła, że czas zaatakował, przyjęła jej imię i metodę.

Według legendy, Elżbieta wręcz obsesyjnie bała się, że straci urodę, z której słynęła. Słynęła także z zamiłowania do tortur i zadawania bólu i któregoś dnia tak mocno spoliczkowała służącą, że krew dziewczyny polała się jej na rękę. Elżbieta była oburzona, dopóki się nie okazało, że skóra w tym miejscu zrobiła się gładsza i jędrniejsza. Od tej pory stosowała coraz to wymyślniejsze tortury, by pozbawiać swoje poddane krwi i wykorzystywać ją do własnych celów.

Oczywiście była chora psychicznie. Zwykła wariatka, a w dodatku sadystka.

Wszystko przez małżeństwa zawierane w obrębie własnej klasy społecznej.

Wiele opowieści o okrutnej hrabinie nie znajduje potwierdzenia w źródłach, w tym ta o kąpielach we krwi. Nie ma natomiast wątpliwości, że Elżbieta pozbawiła życia wiele wiejskich dziewcząt i za to została postawiona przed sądem, skazana i zamurowana żywcem we własnym zamku.

Ale właśnie legenda o kąpielach we krwi wiejskich dziewcząt zaintrygowała Elizabeth.

Może co straszniejsze zbrodnie przypisywane Elżbiecie nie znajdują odzwierciedlenia w faktach, lecz teoria o zbawiennym wpływie młodej krwi zdawała się mieć sens.

Czyż nie udowodniła na sobie, że jest prawdziwa?

Czyż po pierwszych krwawych kąpielach nie zniknęły zdradzieckie grudki cellulitu z jej ud? I zapowiedź popękanych żyłek, ledwie widoczna pajęczyna pod prawym kolanem?

Teraz uda ma idealnie gładkie, a pod kolanem nie widać ani jednej pękniętej żyłki.

Do tego stopnia uwierzyła w regeneracyjną moc krwi, że mało brakowało, a weszłaby do wanny z krwią gorszej. O nie!

Widziała, jak jej odbicie krzywi się na samą myśl o tym. Co innego, gdy ciało pokrywa krew mądrych dziewcząt. Elizabeth nie łudziła się, że były dziewicami, ale przynajmniej nie tańczyły przy rurze ku uciechu zaślinionych sterców. Tak przynajmniej sobie mówiła. Bo co tak naprawdę wiedziała o dziewczętach, które Vlad wybierał z jej pomocą?

Że są inteligentne i chcą zdobyć wykształcenie. Vlad jakoś tego nie zauważał.

Uśmiechnęła się.

Vlad.

Tak kaže się nazywać, choć ona oczywiście zna jego prawdziwe nazwisko.

Nazwał się Vladem Palownikiem. Proszę bardzo, jeśli chce, ona się zgadza. Sama przyjęła imię Elżbiety, więc i on uznał, że musi stać się kimś innym.

Jak zawsze chciał ją naśladować.

Potrzebowała go jednak, tak jak pierwsza Elżbieta Batory potrzebowała pomocników o sadystycznych skłonnościach.

Upięła ciemne włosy na czubku głowy i opuściła kilka kosmyków na szyję, zgodnie z jego gustem.

No właśnie, na tym polega różnica między nimi. Ona ma konkretny cel: chce przedłużyć sobie życie i zachować urodę. Fakt, jest w tym odrobina sadyzmu, ale to nieodzowne.

Vlada natomiast podniecało samo zabijanie, wpływ krwi, seks z przyszłą ofiarą.

Ona też się podnieca, przyznała, zła, że kosmyk nie układa się, jak należy. Dostrzegła w lustrze swoje ściągnięte gniewne brwi i zmusiła się do łagodnej miny. Nie ma sensu ryzykować nowych zmarszczek na czole. Póki co, krew działa, choć Vlad zaznaczył, że się kończy.

Jak mógł dopuścić do takiej sytuacji?

Jest tchórzem, oto w czym rzecz. Boi się zabijać więcej dobrych, więc w kółko gada o gorszych. Czy on tego nie rozumie, do licha? Nie, nie rozumie. A przecież przy jego rzekomej inteligencji... naprawdę powinien. Z drugiej strony, to jej wspólnik i oddany partner, okręciła go sobie dookoła małego ślicznego paluszka. Chce tylko uprawiać z nimi seks, przed i po śmierci. To dziwaczne, ale dopóki ściąga z nich krew, proszę bardzo. Zwłaszcza że ją po prostu uwielbia. Jest wierny jej głową i sercem, chociaż nie członkiem.

To naprawdę nieważne.

Ważne jest jedno: pewność, że będzie miała wystarczająco dużo krwi. Dlatego pójdzie z nim na kolejne zabójstwo. Vlad się denerwuje. Traci zimną krew. Obawia się, że policja coś zauważy. Tak, to poważny problem, ale jest i rozwiązanie: wziąć więcej niż jedną. Kilka naraz. I poszukać nowych terenów, nie tak oczywistych.

No i zawsze szukać kobiet mądrych, odważnych i na tyle młodych, że nie opuściła ich witalność. Nigdy matek, jak ta gorsza, którą usiłował jej wcisnąć. Czy on sobie nie zdaje sprawy, że poród pozbawia kobietę sił witalnych? Że kobieta, która oddała swoją krew dziecku w łonie, a później krwawiła po porodzie, nigdy nie będzie taka sama?

Elizabeth wreszcie ułożyła niesforny kosmyk tak, jak chciała. Sięgnęła po komórkę, by podzielić się z Vladem radosną nowiną. Dzisiaj nie tylko będzie patrzyła, jak zabija. Dzisiaj mu pomoże i zadba, żeby ofiar było więcej niż jedna.

Przed oczami stanęły jej twarze kilku studentek.

Najwyraźniejsza była twarz Kristi Bentz.



## Rozdział 23

---

Jay właśnie zastanawiał się, jakiej wymówki użyć, by maksymalnie skrócić spotkanie z profesorem Hollister, gdy zadzwoniła jego komórka. Na wyświetlaczu zobaczył nazwisko Sonny'ego Crawleya.

- Co jest? - spytał, wychodząc na ganek. Krople ulewnego deszczu bębniły o dach i spływały po zbutwiałych schodkach.

- Chciałeś, żebym cię informował na bieżąco w sprawie tych zaginionych dziewczyn.

Jay poczuł, jak w jego ciele napinają się wszystkie nerwy.

- A macie coś?

- Może tak, może nie, ale pomyślałem, że chciałbyś to wiedzieć.

- Wal.

- Zaczęło się od tego, że jakiś kłusownik znalazł w żołądku aligatora kobiecą rękę. Prawdopodobnie należała do jednej z zaginionych, tyle że za cholere nie możemy znaleźć reszty ciała.

Słuchając relacji Sonny'ego, Jay zapakował do samochodu laptopa, teczkę i psa. Usiadł za kierownicą, ale nie włączył silnika. Wpatrzony w deszcz chłonał kolejne informacje. Kłusownik wezwał szeryfa, a ten zabrał aligatora i zawartość jego żołądka do kostnicy. Eksperti kryminalistyczni przebadali rękę, ale ustalili niewiele, bo uległa częściowemu rozkładowi. Policja wciąż poszukuje ciała albo ciał. Wstępna teoria zakłada, że ręka należała do jednej z zaginionych. Na razie wiedzieli tylko tyle.

- Najdziwniejsze, że w tej ręce w ogóle nie było krwi - zakończył Sonny. - Ani odrobiny. Nie jestem lekarzem, ale wydaje mi się, że w żyłach powinno zostać trochę krwi.

Bo powinno, pomyślał Jay, przekręcając kluczyk w stacyjce. Przypomniały mu się wszystkie rozważania o wampirach.

- Masz rację, ale lepiej zadzwoń do Laurent. Ona wie więcej niż ja.

- Dobra, zadzwonię, ale chciałbym cię prosić o przysługę.

- Co? Jeszcze jedną?

- Postawię ci piwo.

- Pewnie, że postawisz.

- Sześciopak - poprawił się Jay, słysząc urazę w głosie Sonny'ego.

- Wal.

- Możesz sprawdzić, czy ktoś z pracowników college'u ma ciemną furgonetkę?

- Mam sprawdzić wszystkich pracowników?

- Prześlę ci listę nazwisk.

- A sam nie możesz tego sprawdzić?

- Muszę to mieć na wczoraj. I muszę wiedzieć, kto z nich był notowany.

- To może trochę potrwać.

- Naciśnij, gdzie trzeba, czas nas goni. Sonny roześmiał się.

- Za tyle piwa zrobię wszystko. Dam ci znać, gdy czegoś się dowiem.

W sprawie samochodu pewnie odezwę się jutro, z tą drugą - później.

- Dzięki.

- Piwo ma być porządne, żadne paskudztwo light.

- Prawdziwe piwo - obiecał Jay.

- Muszę kończyć, mam następną rozmowę. - Crawley się rozłączył.

Jay przetrwał nowe informacje. Odgryziona ręka bez kropli krwi.

Czy to sprawka aligatora, czy stało się coś innego, bardziej niesamowitego? Nie wierzył w istnienie wampirów, ale jeśli Kristi ma rację, w college'u jest jakaś wampiryczna sekta i Bóg jeden wie, do czego są zdolni jej członkowie.

Odgryziona ręka może nie należeć do którejś z zaginionych. Wątpił w to jednak.

Wrzucił bieg i zadzwonił do Kristi, żeby podzielić się z nią wiadomościami, ale włączyła się jej poczta głosowa.

- Cześć, to ja. Odezwij się - powiedział i rozłączył się. Ogarnął go niepokój. Nie powinien zostawiać jej samej. Teraz musi powiedzieć Laurent albo Crawleyowi wszystko, co wie.

Kristi się wkurzy, ale co z tego?

Trzeba było odwołać spotkanie z Hollister i iść z Kristi na przedstawienie.

Patrzył na komórkę i czekał, aż zadzwoni.

- No, Kris, odezwij się - powtarzał co chwilę, ale telefon milczał.

Kristi weszła do damskiej toalety i założyła złoty łańcuszek na szyję. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie popełnia największego błędu w życiu. W ostrym świetle jarzeńówek zawartość malutkiej fiołki wydawała się niemal czarna.

Dziwna.

Obca. Zła.

Ukryła fiolkę pod swetrem i poczuła na piersi chłodny dotyk szkła. Zadziwiająco chłodny jak na tak małą fiolkę.

Wyszła z łazienki i dołączyła do studentów i wykładowców zmierzających do budynku z czerwonej cegły, w którym mieścił się wydział teatralny. Nad wejściem paliły się lampy, a biały transparent głosił, że dzisiaj zobaczą moralitet zatytułowany Zwyczajny człowiek.

Kristi zauważyła Ofelię, która kazała się nazywać O i też nosiła fiolkę z krwią.

Idealnie.

O usiłowała kupić bilet od dziewczyny siedzącej za długim stołem. Dziewczyna, cała w czerni, z którą kontrastował jej ostry biały makijaż, miała kłopoty z jednoczesnym wydawaniem reszty i nawiązywaniem kontaktu wzrokowego.

- Już nie ma biletów? - zdenerwowała się O.

- Nie... To znaczy nie wiem... Chwileczkę.

- Muszę zobaczyć to przedstawienie! - O nie dała się spławić. -

Inaczej nie dostanę zaliczenia.

- Wiem! Wszyscy mi to mówią! - Umęczona dziewczyna dostrzegła księdza Mathiasa niedaleko wejścia na widownię. Był w czarnej sutannie, zapewne ostatnim krzyku mody z czternastego wieku. Spod rękawa, który właśnie poprawiał, wyzierał skrawek bandaża. - Proszę księdza? Mogę prosić na chwilę?

- Co się stało, Aniele? - spytał.

Kristi zastanawiała się, czy dziewczyna gra anioła w moralitecie, czy też ksiądz Mathias tak ją nazywa prywatnie.

- Mamy jeszcze wolne miejsca? - zapytała.

- Chyba tak - odparł. - Ale w razie potrzeby wniesiemy składane krzesła. - Spojrzał na gęstniejący tłum. - Tego się obawiałem - wycedził przez zęby, a głośno powiedział: - Dziękuję wszystkim za przybycie. Nie spodziewaliśmy się aż tylu chętnych.

Ktoś za Kristi poruszył się niecierpliwie i męski głos zawołał:

- To chyba żarty?

- Ze względu na przepisy przeciwpożarowe na widowni może zasiąść określona liczba osób, a już przekroczyliśmy dopuszczalny limit.

- Co?! - dziewczyna za Kristi nie posiadała się z oburzenia. - Przecież ja muszę napisać o tym pracę!

- Co jest?! - zawołał ktoś z tyłu. Ojciec Mathias uniósł ręce.

- Bardzo wszystkim przepraszam. Dziś zostało tylko dziesięć biletów, ale planujemy ponowny pokaz, jutro albo w piątek, kiedy tylko uda nam się zarezerwować salę, a aktorzy będą mogli zagrać.

- Jutro? Co to, do chole...

- W poniedziałki pracuję! - zaprotestował inny głos.

- To chamstwo - złościł się wysoki chłopak.

- Bardzo proszę o spokój. - Ksiądz Mathias był stanowczy. - Na pewno znajdziemy rozwiązanie. Rejestrujemy spektakl i jeśli komuś nie uda się go zobaczyć na żywo, może go wypożyczyć z naszej medioteki. Informacja o dodatkowym pokazie znajdzie się na stronie internetowej, kiedy tylko wszystko zorganizuję. Bardzo wam dziękuję za zainteresowanie!

Odszedł i zostawił wszystko na głowie bezradnego Anioła. Ofelia zdobyła bilet, podobnie jak Kristi, która kupiła jeden z ostatnich i teraz trzymała wąski skrawek papieru. W przedsiönku zrewidowano jej torebkę, jakby szła na koncert rockowy i wносиła zakazane sprzęty.

- Komórka zostaje u nas - oznajmiła dziewczyna pilnująca wejścia.

- Dlaczego?

- Nawet sobie nie wyobrażasz, ile powodują zamieszania. - Wręczyła Kristi kolorowy świstek i długopis.

- Jest wyłączona - protestowała Kristi.

- Takie są zasady. Musisz ją tu zostawić. Zapisz imię i nazwisko, numer telefonu stacjonarnego i adres e-mailowy, na wypadek gdyby zaginęła.

Kristi niechętnie rozstawiała się z telefonem, ale nie miała wyboru, a bardzo chciała dostać się do środka. Wpisała potrzebne informacje, zatrzymała pół karteczki i, zdumiona, że nie zarekwirovano spreju z gazem, wzięła torebkę i weszła do środka. Było tam duszno i tłoczno, ale znalazła wolne miejsce z boku, koło O. Spłóviała aksamitna kurtyna, niegdyś brązowa, zasłaniała scenę oświetloną nielicznymi reflektorami. W sali zdolnej pomieścić maksimum pięćdziesiąt osób siedziało teraz co najmniej sześćdziesiąt pięć. Ogrzewanie działało pełną parą a średniowieczna muzyka zagłuszała nawet szmer rozmów.

Trzydziestolatek przed Kristi przesadził z wodą po goleniu, pewnie żeby zabić otaczający go zapach marihuany. Nie zadziałało, sprawiło tylko, że słodki aromat był bardziej wyrazisty.

Wreszcie rozległ się dzwonek i zapadła cisza. Kristi rozejrzała się dokoła. Zobaczyła kilka znajomych twarzy. Hiram Calloway siedział pod ścianą i studiował program. Wyglądało na to, że przyszedł sam. Zastanawiała się, czy udostępnił komuś klucze do jej mieszkania, czy też sam ją podglądał. Chyba poczuł na sobie jej wzrok, bo podniósł głowę, spojrzął na nią i znowu ukrył się za programem.

Przypomniała sobie pogoń za intruzem. Hiram nie pasował do tej roli. Był rozmemłany jak były sportowiec, który sobie odpuścił, a ona ciągle czynnie uprawiała sport, więc na pewno dogoniłaby go.

Może adrenalina dodała mu sił i dlatego zdołał uciec? Nie, to chyba raczej nie on. Tyle że jedyną osobą, która poza nim ma klucze, jest Irene Calloway, a ona ledwo chodzi. Kristi dogoniłaby ją w mgnieniu oka.

Więc kto?

Patrzyła na Hiram. Nie śmiał podnieść wzroku.

Mięczak, pomyślała i przeniosła wzrok gdzie indziej. Dostrzegła Grace, ale nigdzie nie widziała Lucretii ani Ariel. Może Ariel występuje? Zajrzała do programu. Nie było jej ani w obsadzie, ani w ekipie technicznej. Znalazła za to nazwisko profesor Croft, szefowej wydziału, no i oczywiście księdza Mathiasa. Nawet Grotto doczekał się podziękowań jako doradca, cokolwiek to miało znaczyć. Zena Regent, przyszła Meryl Streep, grała Dobre Uczynki, a Robert Manning, Afroamerykanin, z którym Kristi chodziła na kilka przedmiotów - rolę tytułową. Gertrude Sykes była Śmiercią. Kristi znalazła też informację, że Mai Kwan zaprojektowała bilety oraz zadbała o organizację i PR.

Mai nigdy nie wspominała, że coś ją wiąże z wydziałem teatralnym, ale też Kristi nigdy ją o to nie pytała. Wiedziała o Mai tylko tyle, że jest wścibska, studiuje dziennikarstwo, znała Tarę Atwater i nie znosi chodzić do pralni w piwnicy.

Światła zamigotały i zgasły. Ksiądz Mathias wyszedł na scenę i zaczął mówić.

Kristi nigdy nie widziała tego moralitetu w teatrze, ale czytała fragmenty w szkole. Traktował o Zwykłym Człowieku, którego pochłonęły doczesne przyjemności i stracił duszę. Gdy przychodzi po niego Śmierć, staje twarzą w twarz z Dobrymi Uczynkami, Wiedzą, Wyznaniem i kilkoma innymi alegorycznymi postaciami, szukając kogoś, kto go przeprowadzi na drugą stronę.

Kristi interesowała nie tyle sztuka, co aktorzy. Rozpoznała wśród nich Trudie i Zenę, która miotła się po całej scenie. Pozostali wykonawcy też wydawali się jej znajomi, ale nie mogła sobie przypomnieć nazwisk. Grająca Anioła sprzedawczyni biletów była równie nieporadna na scenie, co w kasie.

Kristi powiodła wzrokiem po widowni. Dostrzegła kilkoro nauczycieli - starych znajomych z wydziału literatury. Preston, który wyglądał, jakby właśnie szykował się do surfowania, siedział między Natalie Croft i profesorem Senegal z dziennikarstwa.

Czy oni nie mają prywatnego życia?

A może to wyjątkowy spektakl?

W ciemności wyjęła spod swetra fiolkę, tak że znalazła się na widoku. Po spektaklu porozmawia z kilkoma osobami i zobaczy, czy ktoś



zwróci uwagę na buteleczkę. Facet przed nią, pachnący marihuaną i wodą po goleniu, chrapał w najlepsze. Głowa opadła mu na pierś. Sąsiadka dźgnęła go w bok. Obudził się i poderwał głowę.

Kristi nie mogła się doczekać, kiedy spektakl wreszcie się skończy. Gdy ucichły oklaski i zapaliły się światła, wyprzedziła śpiocha i dogoniła Ofelię przy wyjściu.

- Ty jesteś O, prawda? - zagadnęła, jakby dopiero teraz ją zauważyła.

- Chyba chodzimy razem na zajęcia.

O przewróciła oczami ze znudzeniem.

- Na jakie?

- Na Szekspira... albo do Grotto.

- Nie wiem, może.

- Słuchaj, szukam kogoś, z kim mogłabym się razem pouczyć.

- A ja nie.

- To może znasz kogoś takiego?

O zatrzymała się i spojrzała na Kristi.

- Czy ja wyglądam na chodzącą książkę telefoniczną? - burknęła i wtedy zobaczyła fiolkę na jej szyi. - Co ty wyprawiasz, do cholery?! - Zbladła.

- Schowaj to.

- Dlaczego?

- Dlaczego? - powtórzyła Ofelia i zmrużyła oczy. - Czy należysz do... - przerwała, bo ksiądz Mathias właśnie ruszył w ich stronę.

Kristi szybko ukryła fiolkę pod swetrem.

- Jak spektakl? - spytał ksiądz.

- Super! - zawołała O.

- To dobrze, bardzo dobrze! - ucieszył się.

- Moje gratulacje! - Natalie Croft przebijała się przez tłum. Cała promieniała. - Znakomite przedstawienie - pochwaliła.

Kristi była innego zdania. Żaden z dzisiejszych aktorów nie będzie w najbliższym czasie dziękował Akademii za Oscara.

- To mój ulubiony moralitet - rzekł ksiądz - choć interesują mnie rozmaite dzieła. Mam nadzieję, że inne spektakle będą miały nie mniejsze powodzenie.

Odszedł i wszyscy ruszyli do wyjścia. O po chwili zniknęła w drzwiach. Kristi chciała iść za nią ale utknęła w korku, odbierając komórkę. Gdy wreszcie wyszła z sali, O już nie było.

- Super - mruknęła do siebie, zakładając torebkę na ramię. Stała przed budynkiem i obserwowała ludzi wychodzących z teatru. Jedni kierowali się na parking, inni wybierali drogę przez kampus. Parę osób zatrzymywało się przed budynkiem, żeby zapalić.

W drodze do samochodu mijala Wagner House. Wysoki, ciemny budynek nocą wydawał się jeszcze bardziej złowrogi. Nacisnęła klamkę furtki - oczywiście zamknięta. I wtedy dostrzegła światełko, a raczej ledwie widoczny blask w jednym z okien piwnicy.

Gdy ponownie spojrzała w to miejsce, blask znikł.

Może to było tylko odbicie? Albo wytwór jej wyobraźni?

Nie! Dostrzegła kolejny błysk za brudną szybą. Zniknął równie szybko jak pierwszy.

Schówek, akurat! pomyślała. Kto po nocy grzebałby w rupieciach? I dlaczego ksiądz Mathias schodził do piwnicy? Powiedział, że zauważył ślady szczurów, ale może po prostu nie chciał, by ktoś inny tam zaglądał. Cóż, jej w ten sposób nie zniechęci. Była już bita i skuta łańcuchem, poradziła sobie ze wściekłym psem i psychopata, straciła matkę, biologicznego ojca i sama o mało nie umarła. Kilka szczurów jej nie przestraszy.

Obeszła budynek i nacisnęła klamkę w tylnej furtce, także zamknięta. Ale i tak wejdzie do środka. Wspięła się na ogrodzenie z kutego żelaza. Wiedziała, że nie ma tu kamer, Georgia Clovis sama to powiedziała.

Pręty były gładkie, lecz u szczytu zwieńczone wypukłymi grotami, więc Kristi bez problemu podciągnęła się na rękach i przeskoczyła na drugą stronę. Wylądowała na żwirze. Upewniła się, że nikt jej nie obserwuje, wbiegła po schodach i szarpnęła za klamkę.

Zamknięte.

Nigdy nie udawała jej się sztuczka z kartą kredytową, która w filmach otwiera wszystkie zamki, a nie miała ze sobą niczego, czym mogłaby wyważyć zamek.

I co teraz?

Okno?

Sprawdziła okna na werandzie, ale żadne ani drgnęło. Może prześlizgnie się przez któreś okienko w piwnicy?

Niestety, światelko na dole zgasło. Piwniczne okno było ciemne jak grób.

Rozczarowana z powrotem przelazła przez ogrodzenie i ruszyła do samochodu. Znowu miała nieprzyjemne wrażenie, że niewidzialne oczy śledzą każdy jej ruch. Podmuch wiatru ożywił mokre liście na ziemi, poruszył gałęziami dębu.

Była już przy samochodzie, gdy wydało jej się, że słyszy głos... ledwie słyszalny szept.

Zatrzymała się w pół kroku. - Pomóż mi...

Odwróciła się na pięcie i wpatrzyła w mrok.

- Kto tam? - zawołała. Wodziła wzrokiem od parkingu do domu, wyteżala słuch, ale słyszała tylko pojękiwanie wiatru.

- Jest tu kto? - zawołała ponownie. Serce biło jej coraz szybciej. Sięgnęła do torebki po pojemnik z gazem. - Halo?

Nic.

Tylko krople deszczu i kościelny dzwon. Przeszył ją dreszcz. Spojrzała na Wagner House. Czyżby z górnego okna ktoś się jej przyglądał? Ciemna postać skryta w cieniu? Czy to tylko jej wyobraźnia? Podświadomie oczekiwała, że zaatakuje ją mistyczny potwór o zakrzywionych szponach. Fiolka na szyi ciążyła jak kamień.

- Weź się w garść - upomniała się, ledwie wsiadła do samochodu. Sięgnęła po komórkę, włączyła ją i odsłuchiwała wiadomości. Jedną zostawił Jay - prosił, żeby zadzwoniła, drugą ojciec. Udawał, że wcale się nie martwi, tylko dzwoni jak zwykle, ale w jego głosie wyczuła nietypową powagę.

- Oddzwoń w wolnej chwili - zakończył.

- Tak, tato. - Zanim odjechała, jeszcze raz spojrzała na Wagner House.

Vlad obserwował ją z wieży kościelnej.

Elizabeth ma rację. Kristi Bentz stanowi poważny problem.

Muszą odejść, zanim ich złapią. Są przecież inne łowiska. Trochę potrwa, nim się tam osiedlą, więc dzisiaj i jutro trzeba złożyć więcej ofiar. Potem przestaną na jakiś czas. Będą oszczędzać krew.

Światła hondy zniknęły w oddali. Oblizwał wargi na myśl o Kristi Bentz. Wyobrażał sobie, jak wbija zęby w jej długą, silną szyję, i jak robi różne rzeczy z jej ciałem.

Elizabeth chce patrzeć.

A kto byłby lepszy na początek od tej, która tak bardzo chce ich zdemaskować? Czyż w obecności Elizabeth przy ofierze nie będzie rozkosznej ironii?

Tak, pomyślał, to będzie prawdziwa poezja i idealna symetria. Jakby los Kristi Bentz był zapisany w gwiazdach. Ale wybiegał myślami za daleko w przód.

Najpierw musi się zająć innymi. Dziewczętami, które już złożyły ślubowanie.

Dzisiaj weźmie jedną z nich.

Jutro, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, dwie kolejne. Ich twarze stanęły mu przed oczami i ogarnęła go żądza. Najpierw jednak ta, która już czeka...

Ariel była półprzytomna; nie mogła podnieść głowy i było jej bardzo zimno. Choć w pomieszczeniu panował mrok, wydawało się znajome.

Może o nim śniła? Leżała naga na kanapie, czuła pod sobą miękkie poduszki.

Wiesz, co się dzieje.

Podejrzewałaś to, prawda?

Dlaczego tak rozpaczliwie szukałaś przyjaźni?

Przez mgłę wyczuła zmianę nastroju i uświadomiła sobie, że nie jest sama. Była na scenie i czuła na sobie tuziny par oczu, choć nie widziała nikogo.

Próbowała coś powiedzieć, ale z jej ust nie padło żadne słowo; struny głosowe odmówiły posłuszeństwa, tak jak całe ciało.

Przerażona, uzmysłowiła sobie, że nie może się poruszyć.

Przecież chciała tylko przyjaźni. Poszła z nimi na drinka i zamówiła Krwawe Martini, bardzo dobre... Początkowo wcale jej to nie interesowało, ale nowe przyjaciółki zapewniały, że picie krwi to część rytuału, zabawy, wampirycznego szaleństwa.

A teraz umiera ze strachu, który potęgowała mgła wznosząca się nie wiadomo skąd.

Co tu się dzieje?

Gdzie ona jest?

Jakim cudem trafiła do tej przepastnej, ciemnej komnaty?

I kto się jej tak zachłannie przygląda?

Mężczyźni?

Kobiety?

Jedni i drudzy?

Co jej zrobią?

Usłyszała kroki i chciała się odwrócić. Na próżno.

Krew zastygła jej w żyłach.

Pomóż mi, Boże, modliła się w myślach.

Usiłowała dostrzec nadchodzącą postać. Jedna czy więcej?

- Siostra Ariel - zaintonował męski głos.

Siostra? Niby dlaczego? Jak przez mgłę przypomniła sobie rozmowę o rytuale inicjacji... To pewnie to. Ale dlaczego jest naga i dlaczego, na Boga, nie może się ruszyć?

Znała ten głos.

- Siostra Ariel przyszła do nas z własnej woli. Do nas, czyli do kogo? I wcale nie z własnej woli.

Kolejne kroki i znalazł się tuż za nią. Nie widziała go, ale czuła jego obecność. Dotknął jej ucha. W jego dotyku była groźba i zarazem rozkosz.

Jego dłoń przesunęła się na jej kark i mimo obrzydzenia poczuła rozkoszny dreszcz. Jej serce waliło jak oszalałe, mgła na scenie nagle poczerwieniała.

Pomyślała, że to tylko sen, ale w głębi duszy wiedziała, że to wszystko dzieje się naprawdę. Dotykał jej, muskał gorącym oddechem jej skórę, pieścił nabrzmiące brodawki.

Jej ciało reagowało, choć tego nie chciała. Nie widziała go, nie mogła się odwrócić i na niego spojrzeć.

- Siostra Ariel dołączyła do nas, by złożyć najwyższą ofiarę. Nie, to niemożliwe. Walczyła, ale jej ciało pozostało nieruchome.

- Nasza siostra. Dziewica.

Na rany boskie, co to ma być? Nie jest dziewicą... To szaleństwo. Walczyła, lecz jej mięśnie były nieruchome. Poczwała, jak ją głaszczce.

- Już czas, siostró - rzekł. Pochylił się. Poczwała na sobie jego oddech i zadrżała. Z oczekiwaniem czy zgrozą?

Dotknął jej ustami.

- Wiesz, kim jestem - szepnął i wtedy zrozumiała, że to prawda. Tak, wie, i kiedyś o nim marzyła. Ale nie tak... nie na oczach innych. Nie w sytuacji, gdy strach miesza się z pożądaniem, a ona nie może się ruszyć.

W jego głosie był cień rozbawienia, gdy powiedział:

- Nie bój się.

Ale ona się bała. I to panicznie.

Pochylił się niżej i poczwała leciutkie ukłucie na szyi. Jej serce zatrzepotało. Chciała krzyknąć, ale tylko jęknęła.

Przywarł do niej ustami i popłynęła krew, ciepła i gęsta. Ariel umierała ze strachu. Boże, dopomóż!

## ***Rozdział 24***

---

Kristi postanowiła wpaść do mieszkania, żeby się przebrać. Po raz kolejny nie dostrzegła śladu czyjejś obecności. Może przepłoszyli podglądacza na dobre?

- Szczęśliwej drogi - powiedziała głośno w pustym pokoju. Houdini zeskoczył z półki i wyglądał, jakby chciał się otrzeć o jej nogi. Wyraźnie chciał jej zaufać, ale jeszcze się na to nie zdobył.



- Jutro wrócę - obiecała mu, wzięła śpiwór i pojechała do bungalowu ciotki Jaya.

Właśnie wysiadał z pikapa, gdy skręciła na wyboisty podjazd. Bruno ochoczo znaczył wszystkie krzaki w pobliżu drzwi. Jay objął ją i przytulił.

- Tęskniłeś? - spytała, gdy w końcu odzyskała oddech.

- Troszkę.

- Chyba bardzo - przekomarzała się.

- Cieszę się, że już jesteś - powiedział poważnie. Pomógł jej przeskoczyć kałużę, kiedy szli do domu.

Przejrzeli nagrania z jego kamery, ale jedynym gościem okazał się Houdini.

- Myślisz, że przyjdzie? - spytała.

- Na pewno - odparł Jay.

Kristi poszła do łazienki. Przebijając się w piżamę, zdjęła naszyjnik z fiolką. Kiedy wróciła do saloniku, ogień w kominku już płonął.

Powietrze przesycił zapach drewna. Jay otworzył butelkę czerwonego wina. Pili je z papierowych kubków, siedząc na sfatygowanych meblach przykrytych białymi pokrowcami.

- Nie ma to jak w domu - zażartował Jay.

- Hiram był na przedstawieniu - powiedziała ze wzrokiem wbitym w ogień. - Miałam ochotę nawymyślać mu od zbrojeńców.

- Może się wszystkiego wyprzeć.

- Wiem, ale jeśli to nie on, musiał dać komuś klucz. On albo Irene.

- Jasne. Facetowi od kablówki, hydraulikowi, monterowi... lista jest długa.

- Nie tak bardzo, odkąd zmieniłam zamki.
- Dorwiemy go - zapewnił Jay. - Cierpliwości.
- Jeszcze więcej?

Uśmiechnął się. Doskonale wiedział, że cierpliwość nie jest jej mocną stroną.

- Nie zamierzam siedzieć tu sama, kiedy będziesz w Nowym Orleanie - stwierdziła. - Wolę wrócić do siebie.

- I mieć kamerę za plecami? No i świadomość, że on może się zjawić w każdej chwili? To bez sensu. Lepiej zostań tutaj. Będę codziennie wracał na noc.

- Po dziesięciu godzinach w pracy?

- Tylko cztery dni w tygodniu.

- Sama potrafię o siebie zadbać - burknęła. Miło, że się o nią martwi, ale nie powinien narzucać jej swojej woli.

- Będę wracał, a ty tu zostaniesz - uciał stanowczo i opowiedział jej, czego się dowiedział od Sonny'ego Crawleya.

Słuchała bez słowa, gdy mówił o ręce znalezionej w żołądku aligatora i o poszukiwaniach na bagnach, gdzie złapano gada. Nie przerywała, kiedy tłumaczył, w jaki sposób policja próbuje ustalić tożsamość kobiety, której rękę znaleziono.

- Na razie szukają kolejnych ciał - zakończył i upił spory łyk wina. - Portia Laurent, policjantka z Baton Rouge, już od dawna podejrzewała, że zaginione studentki porwano. Tylko nie miała na to żadnych dowodów.

- A teraz może je znajdzie - dokończyła Kristi. Pograżona w myślach, prawie nie zauważyła, jak zmienił temat i zapytał ją o moralitet.

Opowiedziała mu o wydarzeniach minionego wieczora, lecz ani słowem nie wspomniała o fiołce, bo wiedziała, że Jay zażądałby jej zwrotu, a chciała włożyć ten naszyjnik na jutrzejsze spotkanie z Grotto. Zakończyła wzmianką o nieudanej próbie dostania się do Wagner House i wołaniu o pomoc, które słyszała.

- Nie podoba mi się, że idziesz na spotkanie z tym profesorem od wampirów - podsumował, dolewając wina do kubków.

- A co może mi zrobić? Przecież będziemy w jego gabinecie na wydziale.

Oczy Jaya pociemniały.

- Ten Grotto ma coś wspólnego z zaginięciami, czuję to. Nie podoba mi się, że do niego idziesz. - Podrapał się w brodę. - A to wołanie o pomoc w Wagner House?

- Wydawało mi się, że je słyszałam, ale może to tylko jakiś kot miauczał albo... sama nie wiem. Wiał silny wiatr i padał deszcz, może coś mi się ubzdurało.

- Nie wyglądasz na skłoną do konfabulacji - zauważył i wtedy zdecydowała, że wyzna mu prawdę.

- A gdybym ci powiedziała, że zdarza mi się przepowiedzieć czyjaś śmierć, kiedy patrzę na daną osobę?

- Masz jakiś dar, o którym nie wiem?

- Powiedzmy.

Uśmiechnął się, ułożył wygodniej przy kominku i podparł głowę. Nie odrywał od niej oczu.

- Mów.

Opowiedziała mu o swoich wizjach. Kiedy skończyła, popatrzył na nią i rzekł poważnie:

- Czekam na puentę.

- Nie ma - odparła.

- No tak, twój ojciec, Ariel i Lucretia nadal żyją.

- Ale ta kobieta z autobusu nie.

- Była bardzo stara.

- Powiedziała ci tylko, co się ze mną dzieje. Za każdym razem robi mi się zimno, jakbym czuła nadchodzącą śmierć. - Przerwała na chwilę i dodała: - Mam wrażenie, że patrzę prosto na nią.

- Kris...

- Wiem, wiem. Bredzę jak wariatka, której przydałoby się kilka lat dobrej terapii. Ale przed wypadkiem nie miałam tych wizji.

- Mówiłaś o nich ojcu?

- Przy jego paranoi na moim punkcie? Chyba żartujesz. Chciałam pogadać o tym z Olivią, moją macochą, bo ona też ma - a raczej miała - specyficzny dar, ale powtórzyłaby wszystko ojcu. Koniec końców rozmawiałam tylko z Ariel. - Westchnęła. - Pewnie powiedziała o moich wizjach wszystkim swoim przyjaciółkom.

- A one pomyślały, że ci nieźle odbiło.

- Ty też tak uważasz?

- Nie - zaprzeczył stanowczo. - Twoje wizje mogą mieć podstawy fizjologiczne.

- Problemy ze wzrokiem? Guz mózgu? Wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Wiem tylko, że nie powinnaś spotykać się z Grotto.  
Chyba że ja pójdę tam z tobą.

Kristi nie miałyby nic przeciwko awanturze na temat jej daru, ale wątpliwości Jaya co do spotkania z Grotto zbyła lakonicznym komentarzem:

- Wszystko popsujesz.

- Nie muszę tam z tobą wchodzić - odparł. - Będę czekał za drzwiami. Włączysz telefon, żebym mógł was słyszeć i w razie czego wpaść do środka jak Rambo.

- Dobrze - zgodziła się Kristi. Na szczęście jutro nie pracuje. Romantyczna Francesca wzięła jej zmianę. - Poczekasz w bibliotece, a gdy usłyszysz, że rozmawiam z Grotto w jego gabinecie, staniesz pod drzwiami.

- Brzmi nieźle.

- Ustalmy jakiś kod na wypadek, gdybym wpadła w tarapaty.

- Co powiesz na: „Ratunku"! Albo: „Jay, chodź tu, do cholery"?

- Świetnie. - Prawie się roześmiała. - Ale pamiętaj, że trochę mi odbiło.

- Pamiętam.

Patrzyła na jego przystojną twarz i zastanawiała się, czemu dopiero teraz zdecydowała się mu zaufać. Mało brakowało, a powiedziałyby mu o naszyjniku. Nie, z tą wiadomością poczeka do spotkania z Grotto. Chciała zobaczyć reakcję profesora na fiolkę.

Portia właśnie wybierała się do domu, gdy przy jej biurku wyrósł jak spod ziemi detektyw Crawley. Śmierdział dymem papierosowym i

przydałoby mu się golenie. Nie przepadała za nim, ale podziwiała jego osiągnięcia. Trochę gruboskórny, chyba po części dzięki temu świetnie sobie radził w policyjnej robocie.

- Dzwonił do ciebie Jay McKnight? - spytał. On też szykował się do wyjścia; miał na sobie płaszcz przeciwdeszczowy, w jednej ręce trzymał wiekową aktówkę, a w drugiej plik kartek.

- Nie. A kto to?

- Mój stary znajomy. Pracuje w laboratorium i uczy u Wszystkich Świętych. Podałem mu twoje nazwisko.

- Po co?

- Bo on też interesuje się zaginionymi studentkami. Uważa, podobnie jak ty, że to coś więcej niż ucieczka. Powinniście pogadać i porównać wnioski. Prosił, żebym sprawdził kilku wykładowców.

- O jakie informacje mu chodziło?

- Interesowały go samochody, a dokładnie - ciemne furgonetki na stanowych numerach. Twierdzi, że właśnie takim autem ktoś śledził Kristi Bentz, która studiuje u Wszystkich Świętych i jest córką Ricka Bentza z Nowego Orleanu.

- I jak się domyślam, też zajmuje się tą sprawą.

- Owszem, bawi się w detektywa.

- Tylko tego nam brakowało - mruknęła Portia. - A McKnight?

- Jest jej wykładowcą. I przyjacielem.

- Kochankiem?

- Prawdopodobnie.

- Aha - mruknęła Portia. Mała Bentz pewnie wejdzie im w drogę.

- McKnight prosił też, żeby sprawdzić, czy ktoś z wykładowców był notowany.

- Podejrzewa kolegów po fachu? - zdziwiła się Portia.

- Najwyraźniej. Przesłałem mu informacje z wydziału komunikacji, ale może ty rzucisz okiem na bazy danych. Ja wziąłem kilka dni wolnego, bo moja była poszła do szpitala na operację kolana i muszę zająć się chłopcami. Wracam dopiero w piątek. - Podał jej listę nazwisk, kartkę z numerami pięciu samochodów pasujących do opisu i zrelacjonował pokrótce, co spotkało Kristi Bentz.

Portia poczuła dreszcz emocji. Od dawna była prawie pewna, że za zniknięciami studentek kryje się mroczna tajemnica. Wreszcie ktoś podzieliła jej zdanie.

- Odezwę się - rzucił Crawley. - I nie schrzań mi tego. Stawką jest sześciopak piwa.

- A co ja z tego będę miała? Uśmiechnął się lekko.

- Załatw to, a postawię ci porządnego drinka. Co pijesz? Daiquiri? Cosmopolitan?

- Martini bez lodu. Z trzema oliwkami.

- Kobieta moich marzeń!

- Właśnie to chciałam usłyszeć - mruknęła, zdjęła płaszcz i przygotowała się na długą, ale ciekawą noc.

Elizabeth rzadko go odwiedzała.

Zgodnie z niepisaną zasadą on chodził do niej. Zawsze.

Ostatnio była w jego królestwie przed ponad rokiem. Teraz przechadzała się wzdłuż brzegu basenu. Załamania światła kładły się

błękitnawymi smugami na jej bladej, nieskazitelnej skórze. Spacerowała nerwowo w czarnym płaszczu i kozakach.

Vlad przepłynął ostatnią długość. Nie przerwał treningu nawet dla niej. Dopiero kiedy skończył, podciągnął się na brzeg.

- Coś jest nie tak - stwierdził, nagi, ociekający wodą. Rozkoszował się pieszczotą zimnego powietrza na skórze. Miał nadzieję, że po pływaniu odwiedzi w chłodni Ariel i Karen Lee, znaną także jako Bodiluscious, ale najwyraźniej będzie musiał zmienić plany.

- Powinniśmy działać szybciej - oznajmiła Elizabeth. Patrzyła na niego takim wzrokiem, jakby to z jego winy coś poszło nie tak. - Ustaliliśmy, że musimy mieć więcej, i to szybko.

- Co się stało?

- Nie licząc ręki? - zadrwiła. - To było głupie. Kiedy się pozbywasz... zwłok, wywoź je daleko. Poza granice stanu. - Odwróciła się gwałtownie. W jej oczach pojawiły się gniewne błyski, nozdrza lekko drżały. - Na rany boskie, czemu nie wrzuciłeś ich do Zatoki Meksykańskiej? Mogłeś nakarmić nimi rekiny... Ludzie wypadają za burtę i znikają na zawsze.

Jakby pozbycie się ciała było takie proste.

- Aligator to nieszczęśliwy wypadek.

- To głupota! Nie wiemy, kiedy wypłynie reszta ciała! I pozostałe! Miał ochotę położyć jej dłonie na ramionach i próbować ją uspokoić, ale wiedział, że najłżejszy dotyk gdziekolwiek indziej niż w wannie z mętną cieczą tylko spotęguje jej furie.

- Nie dotrą do nas. Patrzyła na niego jak na idiotę.



- Czy ty w ogóle oglądasz telewizję? Nie dotrą do nas? - przedrzeźniła go. - Zdziwiłbyś się, ile potrafią. Może nie tyle i nie tak szybko, jak ci z serialu CSI, ale naprawdę sporo. Prędzej czy później ustalą, czyja to była ręka, a przez nią dotrą i do nas. - W zadumie podrapała się w długą szyję i zamarła w pół kroku, gdy zobaczyła swoje odbicie w jednym z luster, które umieścił w pomieszczeniu. Uświadomiła sobie, że w ten sposób może sobie uszkodzić skórę. Na moment zapomniała o złości, skupiła się na sobie; wzięła kilka głębokich wdechów i jej twarz ponownie stała się maską spokoju, bez śladu zmarszczek i marsa zdumienia na czole. - Musimy działać szybciej - powtórzyła. - Wiesz, co masz robić. Szykowaliśmy się na ten dzień, choć żałuję, że nadszedł tak szybko. - Z westchnieniem potrząsnęła głową, aż ciemne pasma rozsypały się na plecach. - W piątek zabawimy się tu po raz ostatni - zdecydowała.

- A potem?

Uniosła idealnie wymodelowaną brew.

- Zaczniemy od nowa, ma się rozumieć. Musimy tylko mieć dość krwi, by nam starczyło do następnej okazji. - Wizje nowego miejsca, nowych młodych, jędrnych ciał rozwiały jej gniew. - Ale najpierw musimy się skoncentrować. - Pokonała całą długość komnaty, weszła do jego gabinetu i zobaczyła, że na biurku już leżą zdjęcia tych, które uważał za godne.

Oparła się o blat i szybko wyeliminowała dziewczęta jej zdaniem zbyt brzydkie lub zbyt wątłe. Wahala się kilka razy, kręcąc głową nad utraconą szansą.

W końcu na biurku zostały trzy fotografie.

- Te - zdecydowała. Śliczne dziewczyny na zdjęciach stanowiły swego rodzaju młodsze wersje Elizabeth.

Na środkowym widniała Kristi Bentz.

- Trzy? Będzie trudno.

- Więc musisz się postarać. - Uśmiechnęła się lekko, żeby nie wywołać zmarszczek. - Jeśli nie wszystkie, zadbaj przynajmniej, żeby była ta Bentz.

Z przyjemnością pomyślał.

- One są nam potrzebne ze względu na krew - wskazała fotografie. - Ale trzeba też zlikwidować innych.

Wiedział, co miała na myśli: sprzątanie. Musi zlikwidować tych, którzy stanowią zagrożenie. Co za rozkoszna myśl. Nie mógł się już doczekać, kiedy zacznie. Od początku go drażnili.

Zasłużyli na śmierć.

Sami się o nią prosili.

A Vlad, z błogosławieństwem Elizabeth, chętnie spełni ich prośbę.

Gabinet profesora Grotto mieścił się na parterze w północnym skrzydle. W tej części budynku, z dala od sal wykładowych, panowała cisza. Nikt nie włóczył się po korytarzu, a większość gabinetów za oszronionymi drzwiami świeciła pustkami, nie paliły się w nich żadne światła.

Kristi szła bezszelestnie korytarzem, uważając, by adidasy nie zapiszczały na podłodze. A więc w końcu stanie twarzą w twarz z Grotto. Nie wiedziała jeszcze, jak to rozegrać, i analizowała kolejne możliwości.

Niewinnie spytać o jakieś zagadnienia poruszane na wykładach?

Być szczerą i rzeczową, jak policjant z dochodzeniówki?

Nieśmiała? Zalotna? A może polechtać jego ego?

Na tę myśl zółć podeszła jej do gardła.

Zdaj się na intuicję, podpowiadał wewnętrzny głos. Nerwy miała napięte jak postronki, z każdym krokiem denerwowała się coraz bardziej. Zajrzała do kieszeni; komórka, choć wyciszona, była włączona, więc Jay usłyszy każde słowo tej rozmowy. Pewnie mu się nie spodoba. Zgodziła się na jego pomysł, bo uznała, że głupotą byłoby tego nie zrobić. Grotto może się okazać niebezpieczny. Nie miała pojęcia, jak zareaguje, kiedy uzna, że coś mu grozi.

Dochodziła do rogu, gdy usłyszała jakieś głosy stłumione, lecz na tyle wyraźne, że nie miała wątpliwości, iż stała się mimowolnym świadkiem kłótni.

- Mówię ci, to niebezpieczne. - Kobięcy głos był pełen emocji. Kristi zastygła w pół kroku. Lucretia?

- Musisz przestać! - Tak, to Lucretia.

Kristi ostrożnie wyjrzała zza rogu. Korytarz był pusty.

- Wiem, co robię. - Grotto. Zły. Jego głos dobiegał zza uchylonych drzwi; pewnie nawet nie zdawali sobie sprawy, że nie są zamknięte. Kristi cichutko podkradła się bliżej.

- Nie widzisz, że cię wykorzystują? Na miłość boską, Dominic, wycofaj się teraz, póki nie jest za późno.

- Sama nie wiesz, co mówisz.

- Wiem, że dzieje się coś strasznego. Coś złego. I... nie podoba mi się, jak to na ciebie wpływa. Proszę cię, Dominicu, wyjedźmy. Nikt się nie dowie.

Kristi skrzywiła się, słysząc błaganie w głosie byłej współlokatorki. Po co Lucretia się tak poniża? Przed kim? Wariatem od wampirów?

- Nikt się nie dowie? To chyba kpina, zwłaszcza z twoich ust - warknął. - Przecież ty pierwsza nie dochowałaś tajemnicy.

- Popełniłam błąd.

- Który ja muszę naprawić.

Kristi prawie nic nie słyszała, ogłuszało ją bicie własnego serca. Rozmawiają o niej! Przecież to Lucretia poprosiła ją, by zbadała sprawę sekty.

- Martwiłam się! O mnie! O ciebie! - Lucretia była na granicy hysterii. - O... o nas!

- Trzeba było o tym pomyśleć, zanim zwierzyłaś się przyjaciółce.

- To nie jest moja przyjaciółka - zaprotestowała słabo.

- Ale córka policjanta. I to nie zwykłego gliniarza, tylko detektywa z wydziału zabójstw. Zabójstw, Lucretio, rozumiesz? Co ci chodziło po głowie? - Był naprawdę wściekły. - Ostatnie, czego nam trzeba, to zainteresowanie cholernych glin.

- Ja... myślałam, że nam pomoże.

- Niby jak? Wszystko ujawniając? Boże, Lucretio, podobno jesteś inteligentna. Skąd pomysł, żeby rozmawiać z osobą tak blisko związaną z policją, zwracać na mnie jej uwagę, prosić o pomoc w sprawie, której nawet nie ogarniasz!

- Dominic, proszę... - głos Lucretii się załamał i Kristi było jej prawie żal.

- Mówiłem ci, że między nami wszystko skończone - powiedział Grotto spokojnie. Zabrzmiało to zimno i bezdusznie, o wiele gorzej, niż gdyby krzyczał.

- Ty... nie mówisz poważnie - chlipnęła.

Daruj go sobie, nie jest tego wart, pomyślała Kristi, podchodząc bliżej. Seksowny? Tak, ale też okrutny i najwyraźniej zamieszany w coś mrocznego, nielegalnego i dotyczącego czterech zaginionych. Morderstwo? Teraz już kompletnie nie wiedziała, jak ma z nim rozmawiać.

Lucretia usiłowała się bronić.

- Mówiłam jej, że jesteś... niewinny. Że cię wrabiają.

- Ale tego nie kupiła, prawda? Cisza.

Bardzo znacząca cisza.

- A teraz muszę sobie z nią poradzić. Od początku semestru jej unikam, ale nie daje za wygraną i... - głęboko zaczerpnął tchu - przyjdzie tu za kilka minut. Pod pozorem jakichś pytań na temat zajęć.

- Nie spotykaj się z nią - poprosiła Lucretia.

- Muszę. Idź już. Będzie tu lada chwila. Wyjdź tylnymi drzwiami, może przyjdzie wcześniej. Zadzwon za jakieś dwadzieścia minut, będę miał pretekst, żeby skończyć spotkanie.

- Nie, Dominicu, proszę...

- Wynoś się, do cholery. Zanim wszystko popsujesz.

Jęknęła cicho, żałośnie. Kristi co sił w nogach pobiegła w drugą stronę. Jej serce biło jak oszalałe. Nie miała gdzie się ukryć, nie było tu szafy, w której można by się skulić, ani schodów, by wejść wyżej. Musi udawać, że dopiero przyszła i niczego nie słyszała. Skreśliła za róg i czekała.

Gdzieś w oddali trzasnęły drzwi. Domyśliła się, że Lucretia posłuchała rady byłego ukochanego i wyszła tylnymi drzwiami. Minęła ją grupka studentów. Kristi wyszła na zewnątrz. Wyjęła telefon z kieszeni.

- Jesteś tam? - szepnęła. Jay nie odpowiadał.

Zdała sobie sprawę, że coś przerwało połączenie.

- Bomba.

Zdarzało się to rzadko, ale zawsze w najmniej odpowiednim momencie, zupełnie jak przerwy reklamowe. Wybrała jego numer.

- Co jest? - spytał nerwowo.

- Nie słyszałeś?

- Czego?

- Potem ci powiem.

- Już idę.

Wpatrywała się w mrok, ale nie widziała go wśród spacerujących między budynkami.

- Poczekaj, jeszcze nie weszłam. Grotto nie był sam, później ci opowiem. Gdzie jesteś?

- Właśnie wychodzę z biblioteki.

Wyteńczyła wzrok i zobaczyła, jak zbiega z szerokich schodów i kieruje się w stronę wydziału literatury.

- Dobrze, czekaj na zewnątrz.

- Nie chcesz, żebym był bliżej? Na przykład pod jego gabinetem?

- Zabawisz się w Rambo, tylko jeśli cię zawołam.

Pomachała mu i wróciła do budynku z czerwonej cegły. Zanim Jay zaprotestował, wyciszyła dźwięk, wsunęła telefon do kieszeni i spojrzała na zegar w holu. Spóźniła się już prawie dziesięć minut. Musi się pospieszyć, jeśli chce jeszcze zastać Grotto. Biegła, jakby starała się nadrobić stracony czas.

Skreśliła za róg i zobaczyła profesora w drzwiach gabinetu. Był w kurtce, gotów do wyjścia.

- Bardzo przepraszam, panie profesorze! - wydyszała. - Ale zadzwonił mój ojciec i nie mogłam przyjść wcześniej. - Komicznie przewróciła oczami. - Jest troszkę nadopiekuńczy. Musiałam mu powiedzieć, że się z panem umówiłam, żeby wreszcie skończył.

- Przykro mi, ale mam inne spotkanie - odparł Grotto. Pewnie kłamał.

- Zajmę panu tylko kilka minut, naprawdę. Przyglądał się jej chwilę, a potem otworzył drzwi.

- Już myślałem, że pani nie przyjdzie. - Ostentacyjnie zerknął na zegarek, jakby szukał pretekstu, by jak najszybciej ją spławić.

Bardzo dobrze. Załatwi to szybko.

- Proszę usiąść - wskazał jej krzesło, a sam usiadł w skórzanym fotelu po drugiej stronie małego biurka i zapalił lampę. Gabinet był ciasny, z oknem wysoko pod sufitem i komputerem wciśniętym w kąt. Na

ścianach królowały półki pełne książek o wampirach, duchach, wilkołakach i innych nadprzyrodzonych istotach.

- Słucham. - Splótł dłonie i patrzył na nią intensywnie, co, jak się domyślała, miało wzbudzić jej niepokój. I zadziało. Ciemne, głęboko osadzone oczy, ostre rysy, usta tak wąskie, że wydawały się poziomą kreską nad mocno zarysowaną szczęką. Przystojny mężczyzna, przyzwyczajony, że jego uroda wystarczy, by przejąć kontrolę nad rozmową.

Postanowiła zagrać w otwarte karty.

- Chciałabym porozmawiać o kilku pańskich studentkach. Przechylił głowę. W jego ciemnych włosach odbijało się światło lampy.

- Udzielanie informacji na temat studentów jest sprzeczne z regulaminem uczelni. Zapewne pani o tym wie.

- Chodzi mi o cztery zaginione studentki - uściśliła. - Pamięta pan? Dionne Harmon, Tara Atwater, Monique DesCartes i Rylee Adams. Wszystkie chodziły na pana zajęcia.

- Powiedziałem, że nie będę rozmawiał na ten temat.

- Chodzi mi tylko o ich rozkład zajęć. - Kristi nie dawała za wygraną.  
- Wszystkie studiowały literaturę angielską. Ich plany zajęć często się pokrywały, także w przypadku pana przedmiotu. Jest bardzo popularny.

- Jeden z najpopularniejszych na wydziale - przyznał ze sztucznym uśmiechem. Białe zęby odcinały się od śniadej twarzy. Chyba się trochę odprężył, jeśli nie liczyć tiku pod okiem. - Może nawet na całej uczelni.

- Popularniejszy nawet od historii rock and rolla.

- Tego nie wiem. Do czego pani zmierza?



- Pan jako jeden z ostatnich widział Dionne Harmon żywą.

Znieruchomiał.

- Chce pani powiedzieć, że ona nie żyje? Znaleźli ciało? - Fasada opanowania pękła, na jego twarzy malowało się coś na kształt paniki. - Dobry Boże, nie wiedziałem.

- Mówię tylko, że pan jako jeden z ostatnich widział ją, zanim zginęła.

- Proszę uważać na słowa - warknął. - To duża różnica. Tak, podobno widziałem Dionne jako jeden z ostatnich, ale to chyba nie pani sprawa, prawda? Jeśli ma pani jakieś pytania na temat wykładów, słucham, ale nie będę rozmawiał na inne tematy. - Już nie silił się na uśmiech. - Jestem bardzo zajęty.

- Co pan wie o sekcje wampirycznej? Tu, na terenie kampusu.

- Nie mam pojęcia, o czym pani mówi.

- Nigdy przedtem pan tego nie widział? - Wyjęła fiolkę spod swetra. Patrzył na nią jak na ucieleśnienie zła.

- Co to jest? - spytał zduszonym szeptem.

- Fiolka z krwią. Ludzką.

- O Boże! - Przymknął oczy i głęboko zaczerpnął tchu. Przez chwilę myślała, że nie odpowie, ale ją zaskoczył. - Tak, widziałem coś takiego.

- Gdzie?

- U studentki. O. - Miał taką minę, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz tylko pokręcił głową. - Nie będę o niej rozmawiał. Ale wiem, że jest bardzo wygadana i nosi ją niemal z dumą.

To akurat prawda. Gdy ojciec Kristi przesłuchiwał Ofelię, z dumą pokazała mu nietypową biżuterię.

- Skąd pani to ma? - zainteresował się Grotto.

- Z mojego mieszkania.

- Z pani mieszkania?

- Przede mną wynajmowała je Tara Atwater.

- I sądzi pani, że to należało do niej?

- Tak. Badanie DNA wyjaśni sprawę.

- Oddała pani krew do badania? Skinęła głową.

Patrzył na nią zimno.

- Gdyby policja chciała przeprowadzić testy, zarekwirowałaby fiolkę.

Pani blefuje.

- Posłałam im krew... powiedziałam, że to moja. Mój znajomy pracuje w laboratorium.

- Co ja mam z tym wspólnego?

- Nie interesuje pana los pańskich studentek, profesorze?

- Uciekły - powiedział takim tonem, jakby sam w to wierzył. Czy raczej chciał w to wierzyć.

- Naprawdę myśli pan, że wszystkie cztery tak po prostu wyjechały?

Wszystkie cztery chodziły na pana zajęcia. Wszystkie cztery studiowały literaturę angielską. I nagle zdecydowały, że mają dość i ruszają w drogę.

Dziwny zbieg okoliczności, nie sądzi pan?

- To się zdarza częściej, niż pani myśli. Są młode i z tego, co wiem, miały trudne dzieciństwo.

- A teraz zaginęły.

- Nie wykluczam, że coś im się stało, ale o wiele bardziej prawdopodobne wydaje mi się, że po prostu wyjechały.

- I zniknęły bez śladu? - zapytała sceptycznie.

- No cóż, panno Bentz, nawet w dzisiejszych czasach można zniknąć, jeśli się tego chce. Może nie na zawsze, ale na jakiś czas... Jestem przekonany, że wszystkie się ujawnią, kiedy same tego zapragną.

- Bzdura - orzekła.

- Łatwo pani mówić. Pani ma kochającą rodzinę, prawda? Troskliwego tatusia i mamusię, która panią rozpieszcza.

Nie wyjaśniła, że jej matka od dawna nie żyje, że zginęła w wypadku samochodowym, a ojciec wziął się w garść po latach ucieczki w alkohol. Nie powiedziała też, że jest adoptowana. Im mniej Grotto o niej wie, tym lepiej.

W tym momencie zadzwonił telefon.

- Przepraszam - rzucił. I do słuchawki: - Halo? Ach, tak... Już idę... Przepraszam, spóźnię się, będę za... - Spojrzał na zegarek. - Za kwadrans. Tak. - Odłożył słuchawkę i wstał na znak, że rozmowa skończona. - Muszę iść - powiedział, wziął teczkę, podszedł do drzwi i je otworzył.

- Proszę pozdrowić ode mnie Lucretię - rzuciła Kristi na pożegnanie. -I przekazać jej, że bardzo proszę, by odpowiadała na moje telefony.

Łypnął na nią groźnie i zbladł. Czyżby trafiła w czuły punkt? Ale bladł coraz bardziej; wydawało się, że z jego twarzy odpłynęła cała krew. Nagle Kristi zrozumiała, że i on wkrótce umrze.

- Niech pan będzie ostrożny - ostrzegła go. - Nie wiem, w co się pan wpakował, ale to niebezpieczne.

Roześmiał się.

- Wierzy pani we własne bajki?

Mogła mu powiedzieć, że poszarzał w jej oczach, a to oznaka nadchodzącej śmierci, ale przecież wyśmiałyby ją, uznał, że zwariowała - tak jak pomyślała Ariel.

Czego się spodziewała? Że opowie jej o mrocznym kulcie? Przyzna, że zamordował zaginione i wypił ich krew? A może najpierw wypił krew, a potem je zabił?

Jeśli liczyła na jego wyznanie i przełom w sprawie, srodze się zawiodła.

Wróciła do holu. Jay siedział na ławce niecałe pięćdziesiąt metrów od gabinetu Grotto.

- Gratulacje, Sherlocku - zaczął. Łypnęła na niego groźnie.

- Słyszałeś - stwierdziła, gdy wyszli z budynku i owiało ich chłodne zimowe powietrze.

- Słyszałem, że prowokowałaś go i majstrowałaś przy materiale dowodowym!

- Myślałam, że to zadziała.

- Do cholery, Kris, nie tak się umawialiśmy!

- Powinnaś była mi powiedzieć - przyznała. Szli wąską brukowaną alejką. Mijali ich rowerzyści i wrotkarze. Z przeciwnej strony zbliżał się biegacz z dwoma psami na smyczy.

- Ale wiedziałaś, że na to nie pozwolę. Co ci chodziło po głowie?

Nie będzie się przed nim tłumaczyć.

- Miałaś zaczekać na zewnątrz - mruknęła.

- Wolałem być bliżej, na wszelki wypadek.

- Niby jaki? Myślałeś, że mnie zaatakuję?

Jay wzruszył ramionami i wbił dłonie w kieszenie kurtki.

- Może. - Wziął ją za rękę i przyciągnął do siebie. - Od tej chwili koniec z tajemnicami. Skoro tkwimy w tym razem, musimy być wobec siebie szczerzy.

Skinęła głową.

- Dobrze.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem, ale nie puścił jej ręki, gdy szli do kawiarenki. W środku było ciepło i gwarno. Studenci uczyli się, plotkowali i słuchali muzyki, zupełnie nieświadomi zła, które według Kristi czaiło się na kampusie.

Kto następny, zastanawiała się.

- Uwierzyłaś mu? - pytanie Jaya wyrwało ją z zamyślenia.

Potrząsnęła głową.

- Nie - odparła i podniosła wzrok na Jaya. - Kłamał jak z nut.

## ***Rozdział 25***

---

Jay siedział w swoim gabinecie i za pomocą mikroskopu analizował fotografie odgryzionej ręki. Miał jej zdjęcia także w komputerze, gdzie mógł je dowolnie powiększać, a wolał jednak tradycyjną metodę.

Spędził dziś w laboratorium ponad dziesięć godzin. Był podminowany, odkąd wrócił do Nowego Orleanu. Kristi nie chciała zostać

w bungalowie ciotki, nawet z Brunem. Uparła się, że wróci do siebie. Byli w ciągłym kontakcie i Jay wiedział, że na razie nic jej się nie stało.

Na razie.

Ale jak miałyby się dowiedzieć, że coś się dzieje?

Usiłował nie myśleć o najgorszym, lecz czarny scenariusz czyhał na granicy świadomości, gotowy w każdej chwili zaatakować. Musi przestać się o nią zamartwiać. Powtarzała mu, całkiem słusznie zresztą że jest już dorosła i sama potrafi o siebie zadbać. Że nie obawia się, że podglądacz zechce wejść do mieszkania. Ba! twierdziła, że wręcz się cieszy na tę myśl.

- Bzdura - mruknął i ponownie skupił się na przebarwieniu między przedramieniem a nadgarstkiem.

- Mówiłeś coś? - Bonita Washington weszła do laboratorium.

Spojrzała na mikroskopy i ostrożnie ominęła chromatograf.

- Gadam sam do siebie - odparł i odsunął się od biurka.

- Zauważyłeś coś dziwnego w tej ręce? - spytała, wskazując zdjęcie na jego biurku.

- Brakuje jej ciała.

- Bystrzak. Coś jeszcze?

- Lakier do paznokci nie pasuje do szminki, chociaż właściwie...

Washington, zwykle śmiertelnie poważna, tym razem uśmiechnęła się.

- Chodziło mi o to. - Wskazała palcem plamkę na przedramieniu. -

Na co to wygląda?

- Nie wiem.

- Może odmrożenie?

Jay ponownie spojrzął na fotografię.

- Faktycznie. Zupełnie jak kurczak zamrożony w nieszczelnym opakowaniu.

Przysunął krzesło do biurka i pod mikroskopem przyjrzał się przebarwieniu na ręce.

- Myślisz, że tę rękę... nie, raczej całe ciało, zamrożono, zanim wrzucono je do wody?

- Tak.

- Więc porywacz nie utrzymuje ich przy życiu - orzekł. Nadzieja, że znajdą studentki żywe, zgasła.

- Nie wiem, co z nimi robi, ale mogę się założyć o moje nowe porsche, że zamroził to ciało.

- Wydawało mi się, że jeździsz pontiakiem.

- Owszem. Ale założyłabym się, gdybym miała porsche. -

Uśmiechnęła się. - Nie mogę ryzykować, że stracę mojego starego wraka.

Po co je zamraża, zastanawiał się Jay, stukając ołówkiem w blat biurka. Czemu nie pozbywa się ciał zaraz po zabójstwie? I dlaczego w ręce nie ma krwi? Co za świr za tym wszystkim stoi?

Znowu pomyślał o Kristi, ale tym razem nie udało mu się poskromić lęku.

Była już połowa tygodnia, a Kristi ani o krok nie zbliżyła się do prawdy. Nikt się nie włamał do jej mieszkania; Grotto nie wyglądał na przestraszonego - ba! miał nawet czelność zapytać ją o coś na zajęciach i uśmiechać się, chyba pobłaźliwie; w czatroomach, do których zaglądała co

noc w nadziei spotkania DrDoNoGood i PoProstuO, zapanowało milczenie, może dlatego, że zbliżały się egzaminy semestralne.

Na kampusie panował spokój.

Cisza przed burzą, powtarzała sobie, jadąc na zajęcia z pisania kreatywnego. Przypięła rower do stojaka i ruszyła w stronę budynku kilka kroków za Zeną i Trudie.

Nie spieszyły się, więc weszła do sali tuż za nimi. Zena i Trudie usiadły koło siebie. Kristi zajęła sąsiednie krzesło i rozejrzała się. Nigdzie nie widziała Ofelii, z którą chciała się zaprzyjaźnić, bo uznała - zwłaszcza po spotkaniu na spektaklu, że dziewczyna ma sporo do powiedzenia.

Nie dostrzegła także Ariel. Ale jej nie widziała od początku tygodnia.

Gdy ostatnio patrzyła na Ariel, jej skóra zrobiła się szara i Kristi była prawie pewna, że dziewczyna wkrótce umrze. Ale na kampusie panowała grypa, więc pomyślała tylko, że musi sprawdzić, co się z nią dzieje.

Preston zaczął wykład. Kristi spojrzała na Zenę, ale ta nie podchwyciła jej wzroku. Trudno, musi poczekać. Udawała, że z zainteresowaniem słucha wykładu o symbolizmie. Preston przechadzał się wzdłuż tablicy i jak zwykle podrzucał krede, ożywiony własnymi słowami.

Kristi usiłowała się skupić, ale nie mogła. Nic dziwnego, zważywszy na sam temat i fakt, że była wykończona. Studiowała i pracowała jednocześnie, a w wolnych chwilach pisała swoją powieść, że już nie wspomni o bezsennych nocach, gdy zamartwiała się, co zrobi, kiedy podglądacz włamie się do mieszkania. Stłumiła ziewnięcie. Po wykładzie wpadnie do Starbucks na potrójne espresso, żeby postawiło ją na nogi.



Powiodła wzrokiem po sali. Rozpoznawała coraz więcej twarzy. Blondynka o imieniu na M. Mary? Marie? Coś takiego. Ona także należała do paczki Trudie. I Bethany, która chodzi na te same zajęcia, notowała z zapalem, jej palce śmigały po klawiaturze laptopa, jakby Preston udzielał odpowiedzi na pytania o wszystkie tajemnice wszechświata.

Kujonka i lizuska, pomyślała Kristi, gdy Bethany spytała Prestona o jakiś szczegół.

Hiram siedział naburmuszony. Mai notowała w skupieniu.

Litości. Wykłady Prestona okazały się zbyt podstawowe jak na jej potrzeby. Pisywała już artykuły do gazet i teraz chciała udoskonalić swoje umiejętności, żeby powieść wypadła jak najlepiej. Nie była pewna, czy profesor-surfer zdoła jej pomóc. Chyba czytał w jej myślach, bo przerwał wykład i spytał:

- Panno Bentz, czy ja panią nudzę? Albo pana? - Przeniósł wzrok na Hiram Callowaya.

- Właściwie tak - odparł Hiram bezczelnie.

- Właściwie? - Preston złamał kredę.

- No dobra, zdecydowanie mnie pan nudzi. Ja chcę pisać, jasne? Nie uważam, że do tego muszę się uczyć o symbolizmie. Wszyscy przerabialiśmy to w szkole. Czy to nie są zajęcia uniwersyteckie? Cholera.

- Zamknął laptopa, spakował książki do plecaka, wstał i wyszedł.

Kristi obawiała się, że rozpęta się piekło, ale Preston szybko opanował gniew.

- Jeśli ktoś jeszcze podziela zdanie pana Callowaya, proszę wyjść w tej chwili.

W sali panowała cisza jak makiem zasiał. Nikt nie odważył się nawet chrząknąć.

Preston patrzył na wszystkich po kolei, a kiedy uznał, że nikt nie pójdzie w ślady Hiram, podjął przerwany wątek.

- No dobrze. Jak mówiłem...

Znowu bawił się kredą i spacerował po sali.

Kristi naprawdę starała się uważać, ale przychodziło jej to z trudem. Hiram miał rację, to były bardzo nudne zajęcia.

Przez kolejne czterdzieści pięć minut obserwowała, jak Trudie i Zena pod pozorem robienia notatek wysyłały sobie sms-y. Trzymały telefony pod pulpitemi, żeby wykładowca ich nie przyłapał. Trochę to dziecinne, przecież nie są w gimnazjum, tylko na studiach. Ale Kristi także dobrze sobie radziła, czasami udawało jej się przeczytać fragmenty informacji.

Tylko fragmenty, ze względu na małe wyświetlacze, ale ilekroć dostrzegła kilka linijek tekstu, zaraz je sobie notowała. Parę razy pojawiło się WH. Czyżby Wagner House? Zauważyła także grto - zapewne skrót od Grotto, oraz sekwencję cyfr, prawdopodobnie piątkową datę. W piątek miał być ostatni pokaz moralitetu księdza Mathiasa.

Po wykładzie poszła za Trudie i Zeną, ale nie miała pretekstu, by je zagadnąć. Nie usłyszała też niczego ciekawego.

Na dworze panowała duchota. Niebo pokryły ołowiane chmury.

Przeszedł ją dreszcz i choć wydawało się, że wszystko jest w porządku, czuła w głębi duszy, że zło czai się w pobliżu.

Portia Laurent była trochę roztrzęsiona po ośmiu - a może dziewięciu? - kawach, które wypila od rana. Chociaż może to rezultat

niewyspania, a nie nadmiaru kofeiny. Pracowała po dwanaście godzin dziennie - osiem oficjalnie i cztery w czasie wolnym.

Po powrocie do domu ćwiczyła przez trzy kwadranse na stepperze, jadła niskotłuszczowy, za to bogaty w witaminy nijaki posiłek z mikrofalówki i znowu zabierała się do pracy. Przerywała tylko na wiadomości i lampkę wina. Wszystko po to, by zgubić zbędne kilogramy, które pojawiły się nie wiadomo skąd, gdy skończyła trzydziestkę i rzuciła palenie.

Przez resztę wieczora siedziała z nosem w papierach i wołała nawet nie myśleć, ile zarabia za godzinę.

- Pomyśl o zaletach - mruknęła, pocąc się na stepperze. Przecież uwielbia to, co robi. Nie ma nic lepszego. Nawet jeśli to oznacza, że większość nocy spędza samotnie w swoim wielkim łóżku.

Powtarzała to sobie, wchodząc następnego popołudnia na posterunek. Spędziła cztery godziny w sądzie jako świadek w sprawie o przemoc domową i była znużona słuchaniem sprzecznych zeznań. Część wezwanych twierdziła, że żona sama była sobie winna; drażniła męża, flirtując z jego bratem, a potem doprowadziła go do szału, uderzając w brzuch. Pozostali utrzymywali, że mąż, znany zazdrośnik, nie stronił od sterydów i przesadził; złapał strzelbę i postrzelił żonę.

Przesadził... dobre sobie. Jak ludzie mogą być aż tak głupi?

Miała robotę papierkową na jakieś dwie godziny, a potem da sobie spokój. Zbliżała się druga zmiana i posterunek ożył; dzwoniły telefony, buczały komputery, podejrzani w kajdankach zapewniali o swojej niewinności i narzekali na brutalność policji.

Minęła biurko młodej sekretarki. Kolorowy bukiet róż i goździków świadczył, że ktoś o niej myśli. Portia zdjęła płaszcz przeciwdeszczowy i powiesiła na wieszaku koło swojego biurka. Spojrzała na stos papierów na blacie.

To tyle, jeśli chodzi o społeczeństwo bez biurokracji.

Przeglądając akta, uzupełniając dane i czytając maile, powtarzała sobie, że wcale nie ma ochoty na papierosa.

Dźwięk telefonu wyrwał ją z zadumy. Podniosła słuchawkę ze wzrokiem nadal wbitym w monitor.

- Wydział Zabójstw, detektyw Laurent.

- Tu Jay McKnight z laboratorium. Sonny Crawley podał mi namiary na ciebie. Chyba o mnie wspominał?

- Tak, od dawna chciałam z tobą porozmawiać. - Od razu wzbudził jej zainteresowanie. Wystukała coś na klawiaturze. - Miałam dzisiaj dzwonić, musiałam tylko dokończyć stare sprawy... Chwileczkę. - Znalazła odpowiedni plik i otworzyła go. - Trochę to trwało, ale mam listę interesujących cię wozów: krajowej produkcji, ciemnych, na rejestracji stanowej, należących do pracowników uniwersytetu. Podaj mi adres, to ci wyślę.

- Dzięki. - Jay podał swój adres elektroniczny. - Przyjeżdżam dziś do miasta - dodał. - Może wpadnę na posterunek? Wymienimy się informacjami.

- Świetnie. Do tego czasu postaram się sprawdzić chociaż kilka osób, o które prosiłeś. Nadal się za to nie zabrałam. - Otworzyła wirtualną teczkę Jaya McKnighta. Choć nigdy nie poznała go osobiście, znała jego

nazwisko, a raz widziała go na miejscu zbrodni. Jak na razie wszystko w porządku.

- Pracuję do siódmej, więc dotrę mniej więcej na dziewiątą.

Oczywiście o ile będzie spokój i nie będę musiał zostać dłużej.

- Nie ma sprawy, poczekam - zapewniła, zadowolona, że ktoś oprócz niej uważał, że w College'u Wszystkich Świętych dzieje się coś złego.

- Do zobaczenia.

Portia odłożyła słuchawkę i wysłała mu plik. Potem wydrukowała całą listę. Zadziwiające, ilu pracowników uczelni jeździ ciemną furgonetką. Na plebanii był ciemny Chevrolet. Asystentka nazwiskiem Lucretia Stephens miała wiekowego forda econoline, inny wykładowca o tym samym nazwisku, mąż profesor Natalie Croft - ciemnozieloną furgonetkę, której używał w swojej firmie budowlanej, a brat Dominika Grotto czarnego vana. Portia zainteresowała się tą ostatnią informacją, bo Grotto budził jej podejrzenia. Rozmawiała z nim dwukrotnie i nie zrobił na niej dobrego wrażenia. Zachowywał się protekcyjnie, choć udawał przejętego i oferował pomoc.

Pozostali pracownicy wydziału literatury angielskiej byli niewiele lepsi, poczynając od szefowej Natalie Croft, zarozumiałej, nadętej baby. Portia nie ufała jej za grosz. Potomkowie Wagnerów też nie wzbudzali zaufania. Georgia Clovis zachowywała się jak udzielna księżna, jej brat, Calvin Wagner, bogaty gnojek, który w życiu nie przepracował nawet jednego dnia, to niezły dziwak, a najmłodsza siostra, biedna Napoli, była o krok od załamania nerwowego.

Interesujący wydawali się księża. Anthony „Tony” Mediera, niewątpliwie bardzo silna osobowość, miał własną wizję przyszłości uczelni. Mathias Glanzer, dziekan wydziału teatralnego, zdawał się zmagać z mnóstwem tajemnic. Portia chętnie wysłuchałaby jego spowiedzi.

I jeszcze nowi wykładowcy, których także sprawdzała, lecz nie znalazła nic choćby odrobinę podejrzanego. Chociaż z drugiej strony, dopiero zaczęła, a już wszyscy mają coś do ukrycia. Wszyscy.

Zresztą kto powiedział, że wśród podejrzanych są tylko pracownicy uczelni? A studenci? Albo ktoś, kto tylko poluje na kampusie?

Spokojnie, nadal nie masz ciał... tylko jedną rękę z lakierem tak popularnym, jak płatki kukurydziane na śniadanie.

Znowu zerknęła na listę ciemnych furgonetek. Czy któryś z tych wozów ma coś wspólnego ze zniknięciem dziewcząt?

Wybierała się do baru w poszukiwaniu dietetycznej coli, gdy zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę i przytrzymała ją ramieniem.

- Wydział Zabójstw, detektyw Laurent.

- Cześć, tu Lacey z zaginionych. - Ta o czerwonych włosach i w obcisłych ciuchach. Ciągle naburmuszona. - Miałam nadzieję, że cię złapię.

- Co jest? - Portia poczuła ten specyficzny dreszcz, który zapowiada złe wieści.

- Mamy kolejną zaginioną u Wszystkich Świętych. Studentka. Ariel O'Toole. Matka i ojczym mieszkają w Houston. Już tu jadą. Dziewczyna od tygodnia nie dała znaku życia, nie kontaktowała się też z przyjaciółmi,

przynajmniej tymi, których matka zna. Nie odbiera telefonów i nie oddzwania, co podobno jej się nie zdarza.

- Wysyłasz tam mundurowego?

- Już pojechał. Pomyślałam, że zechcesz dołączyć.

- I masz rację. W drodze wezmę dane. - Odłożyła słuchawkę. Jeszcze jedna. Cholera, jeszcze jedna.

Założyła kaburę, sprawdziła pistolet, sięgnęła po płaszcz i torebkę. W drzwiach wpadła prosto na Dela Vernona i w biegu streściła mu rozwój wydarzeń.

- Jadę z tobą - zdecydował. - Niełatwo mi to przyznać, Laurent, ale tu chodzi o coś więcej niż przypadkowe zaginięcia.

- Cieszę się, że w końcu to do ciebie dotarło - mruknęła.

- Mamy topielca - oznajmił Montoya. Wszedł do gabinetu Bentza parę minut po czwartej. Jak zwykle miał na sobie czarną skórzaną kurtkę i brylantowy kolczyk w uchu. - Kawalek w górę rzeki od nas, ale jeszcze w obrębie miasta. Kobieta. Afroamerykanka. Trochę poleżała w wodzie. Dopiero co ją wyłowili.

Bentz spojrział na Montoyę i od razu się zorientował, że partner nie mówi mu wszystkiego. Odłożył długopis.

- I co jeszcze?

- Ma tatuaż na plecach, tuż nad pośladkami. Słowo „Love” w otoczeniu kwiatów i kolibrów.

Bentz wyprostował się.

- Dionne Harmon - powiedział i złe przeczucie, które go nie opuszczało, odkąd usłyszał o zaginionych z College'u Wszystkich Świętych, przybrało na sile.

- Na to wygląda. - Montoya oparł się o regał z aktami, jeden z nielicznych ocalałych po Katrinae. - Wysłali nurków, żeby sprawdzić, czy była sama czy w towarzystwie.

- Cholera. - Bentz już wstał. Zdjął kurtkę z wieszaka. - Jedziemy. Ja prowadzę.

- Nie, ja... Zresztą, jak chcesz. To nie wszystko.

- Jak to?

- Nie słyszałeś o ręce z brzucha aligatora?

- Co ty gadasz, do cholery?! - Żołądek Bentza fiknął salto, bo już wiedział, na co się zanosi.

- Opowiem ci po drodze. - Montoya dopił kawę i cisnął papierowy kubek do kosza. Gdy mijali wąskie przepierzenia, Bentz zobaczył telewizor nastawiony na lokalną stację. W wiadomościach pokazywano właśnie policyjną ekipę na Missisipi. Ściemniało się, ale filmowcy włączyli reflektory.

- Niech to diabli - mruknął. Wyjął z kieszeni owocową gumę do żucia i odwinął z papierka w drodze na parking. Słabe promienie gasnącego zimowego słońca odbijały się w kałużach, ale zmrok nadciągał coraz szybciej.

Bentz usiadł za kierownicą, a Montoya, nie zważając na szумы z policyjnego radia, opowiedział o ręce znalezionej w brzuchu aligatora. Wkrótce dotarli na miejsce oddzielone żółtą taśmą. Reporterzy z telewizji



czaili się w pobliżu. Krążące nad ich głowami dwa helikoptery oświetlały wszystko silnymi reflektorami. Umundurowani policjanci trzymali rosnący tłum gapiów w bezpiecznej odległości.

Bentz wołałby, żeby pogoda się pogorszyła; może to rozpedziłoby gapiów. Jego nozdrza wypełnił zapach Missisipi, toczącej gęste, mętne wody.

- Detektyw Bentz? - Odwrócił się i zobaczył młodą ładną dziennikarkę z mikrofonem w dłoni. Biegła jego stronę. - Czy potwierdzi pan, że znaleziono ciało kobiety?

- Przed chwilą tu przyjechałem.

- Ale podobno z Missisipi wyłowiono zwłoki jednej z zaginionych studentek z College'u Wszystkich Świętych w Baton Rouge.

- To przedwczesne wnioski - odparł, powstrzymując gniew.

- A czy to prawda, że na bagnach w okolicy Baton Rouge znaleziono...

- Nie mogę udzielać żadnych informacji, ale nasz rzecznik z pewnością wszystko państwu przekaze. - Posłał dziennikarce zawodowy uśmiech i przeszedł pod taśmą.

- Detektywie Montoya! - zawołała.

- Bez komentarza. - On także ruszył w stronę brzegu, gdzie już czekał koroner i eksperci z kryminalistyki.

- Dionne Harmon? - zapytał Bentz.

- Afroamerykanka, taki sam tatuaż, odpowiedni wiek, wzrost, figura.

- Bonita Washington kiwała głową. Jej twarz przypominała nieruchomą

maskę. Otworzyła worek na zwłoki i ustawiła się tak, by zasłonić zawartość przed wścibskimi dziennikarzami z helikopterów.

Bentz patrzył na rozkładającą się twarz ładnej niegdyś dziewczyny. Czyjejś córki. Siostry. Przyjaciółki. Choć chyba nikt, zwłaszcza brat, za nią nie tęsknił. I z tego, co wiedział, chłopaka też nie znalazła sobie najlepszego. Z dłońmi w foliowych torebkach - na wypadek gdyby podczas walki z zabójcą zadrapała go i pod jej paznokciami zostały ślady nadające się do zbadania - leżała naga w czarnej folii.

Krążące nad nimi telewizyjne helikoptery wzburzały powierzchnię wody.

- Drań - mruknął Montoya.

- Dionne Harmon zaginęła prawie rok temu - stwierdził Bentz.

- Tak, wiem - odezwała się Washington. - Ciało leżało w wodzie najwyżej kilka dni, a przedtem... - wzruszyła ramionami.

- Żyła. - Bentzowi zakręciło się w głowie. - Sukinsyn więzi je gdzieś, a dopiero potem zabija?

- Może. - Washington także nie wiedziała, co o tym myśleć.

- Znamy przyczynę śmierci?

- Jeszcze nie, ale znalazłam takie rany.

- Czym zadane?

- Jeszcze nie wiem, ale wyglądają na ukąszenia. - Wskazała dwie dziurki poniżej ucha martwej dziewczyny. - Jedno tu, na tętnicy. A drugie na aorcie - pokazała i zamknęła worek.

- Co to znaczy? - spytał Bentz.

- Nic dobrego - odparła. - Na pewno nic dobrego.

- Halo! - zawołał ktoś z łodzi.

Bentz wiedział, co za chwilę usłyszy. Policjant na pokładzie starał się przekrzywić warkot silników.

- Chyba mamy kolejną!

## ***Rozdział 26***

---

Kristi cięła wodę silnymi ruchami ramion. Płynąc, zastanawiała się, w jaki sposób przeniknąć do grupki studentek zaangażowanych - o czym była święcie przekonana - w sektę wampiryczną. Posunęła się nawet do tego, że w Internecie zamieściła ogłoszenie: „Szukam Zagubionych Dusz” i podała się za „AB-1984, która szuka innych przekonanych o istnieniu królestwa wampirów”. Nie wiedziała, czy ktoś zareagował, nie wiedziała nawet, czy jej słowa trzymają się kupy; szukała po omacku. Ciekawe, czy kogoś złowi.

Pewnie samych świrów poniżej trzynastego roku życia.

Na szczęście w Internecie nie było jeszcze filmików z jej mieszkania. Szukała na MySpace, na YouTube i na kilku innych stronach, lecz nigdzie nie trafiła na sceny ze swojej miłosnej nocy z Jayem. Oby tak zostało. Pytanie tylko, kto zainstalował kamerę w jej mieszkaniu. Zastanawiała się nad tym i ciągle dochodziła do tego samego wniosku - Hiram Calloway. Bo jeśli nie on, to kto? Fałszywy listonosz?

Cała ta sprawa z kamerą bardzo ją denerwowała. Nie powiedziała o tym Jayowi, bo nalegałby, żeby się wyprowadziła.

Dotarła do krańca basenu, zrobiła nawrót i zaczęła ostatnią długość. Miała już po dziurki w nosie biernego czekania. Czas działać - i zrobi to podczas ostatniego spektaklu. Porozmawia z księdzem Mathiasem, który najwyraźniej był w to jakoś zaplątany. Widziała go w Wagner House, gdy wychodził z piwnicy. Przyjaźnił się z Georgią Clovis i z Ariel O'Toole, która zaginęła bez śladu.

Wczoraj wypatrzyła w kafejce studenckiej jej przyjaciółki i podeszła do Trudie i Grace, żeby o nią spytać. Z ustami pełnymi kurczaka w sosie barbecue zapewniały, że w zniknięciu Ariel nie ma nic podejrzanego. Ariel lubi swobodę i czasem, zwłaszcza przed sesją, znika i pojawia się tylko, kiedy zabraknie jej kawy.

Tej wiadomości udzieliła jej Grace, dziewczyna na krawędzi anoreksji, z aparatem ortodontycznym na zębach i jaskrawoczerwonymi włosami.

Trudie zgadzała się z przyjaciółką.

- Czasami każdy chce być sam - powiedziała. Umoczyła kawałek kurczaka w sosie barbecue i pokiwała głową. - A Ariel częściej niż inni.

Obie wydawały się zainteresowane bardziej jedzeniem niż losem koleżanki, ale przesunęły się i dostawiły plastikowe krzeselko, żeby Kristi mogła usiąść. Usiadła. Mówiły, że nie mogą się doczekać kolejnego moralitetu przystojnego księdza Mathiasa - jaka szkoda, że żyje w celibacie! - i że przed spektaklem zawsze wybierają się na drinka. Przed każdą imprezą idą do studenckiej knajpy blisko kampusu.

- Powinnaś kiedyś pójść z nami - zaproponowała Grace. Trudie spojrzała na nią z ukosa.

Kristi wzruszyła ramionami.

- Może kiedyś - odparła, ignorując wyraźny niepokój Trudie.

- Świetnie - ucieszyła się Grace.

Trudie, wyraźnie zdenerwowana, cały czas groźnie łypała na przyjaciółkę.

Kristi udawała, że nic ją to nie obchodzi. Nie wiedziała, jak przyjąć tę gałązkę pokoju od Grace, ale jedno było jasne: przyjaciółki Ariel coś wiedzą. Musi jakoś zdobyć ich zaufanie, przekonać je, że jest taka jak one. A to nie będzie łatwe; im więcej wiedziała o tych potencjalnych wyznawczyń wampirów, tym mniej je lubiła.

Wyszła z basenu, wzięła szybki prysznic, wytarła się i ubrała. Cały czas zastanawiała się, co może zrobić, by poznać prawdę o losie zaginionej czwórki. Dobrze, że Jay dzisiaj nie wróci.

Związała wilgotne włosy w kok, zawiesiła sobie na szyi łańcuszek z fiolką, której obiecała Jayowi nie dotykać, i wyszła na dwór. Nad ulicznymi latarniami nie widziała ani jednej gwiazdy, wiatr, ledwo wyczuwalny za dnia, teraz przybrał na sile.

Drżąc z zimna, szła szybkim krokiem między domami bractw w stronę knajpki. Pchnęła szklane drzwi i od razu dostrzegła Trudie, Grace i Marnie, blondynkę, którą śledziła do Wagner House. Siedziały przy wysokim stoliku w rogu ciemnej sali, wszystkie pochylone nad kieliszkami z jaskrawoczerwonym drinkiem.

Kristi zmusiła się do uśmiechu i ruszyła między stolikami.

Nieważne, czy jest gotowa czy nie: czas działać.

Mieszkanie Ariel O'Toole wyglądało, jakby nikogo w nim nie było od wielu dni. Sterta brudnych naczyń w zlewie, nieposłane łóżko, torebka po chipsach pod kołdrą, a na stoliku obok miseczka z zaschniętą resztką serowego dipu.

- Coś jest nie w porządku - stwierdziła Portia, gdy wraz z policjantem w cywilu, dozorcą budynku i Delem Vernonem weszła do środka. Minęli sypialnię, przedpokój z ozdobnymi kafelkami i zasłonę oddzielającą sypialnię od saloniku. - Spójrz tylko.

- Nie widać śladów walki - zauważył Del.

- To prawda.

- No dobra, jest bałaganiarą i nie sprząta od tygodni - mruknął. Portia otworzyła wąską szafę. Wszystko leżało w idealnym porządku, ubrania podzielono według kolorów, buty, starannie wyczyszczone, stały parami. Także w szufladach panował nieskazitelny porządek. Książki na półkach stały alfabetycznie.

- Nie sędzę. Ta dziewczyna ma obsesję na punkcie porządku, nie sprzątnęła tylko śladów nocnej przekąski.

Otworzyła drzwiczki małej lodówki i odsunęła się, żeby Del zajrzał do schludnego wnętrza.

- Nie jest bałaganiarą - przyznał.

Portia spojrzała na dozorcę, który czekał w drzwiach.

- Kiedy ją pan ostatnio widział? - zapytała.

Łysego dozorcę z trzydniowym zarostem wyraźnie deprimowała obecność policji.

- Nie pamiętam... Na pewno widziałem ją w zeszły weekend, kiedy wносиła śmieci i potem... - Podrapał się w głowę. - Chyba wносиła pranie na górę... tak, grabiłem wtedy liście, czyli to było w niedzielę po południu.

- A potem? Potrząsnął głową.

- Mam tu czterdzieści mieszkań, nie wiem, co kto robi. Czy ja wyglądam na niańkę?

Broni się, pomyślała Portia.

- Ma pan klucz do jej skrzynki pocztowej?

- No tak...

- Sprawdźmy. - Rozejrzała się. - Nie ma telefonu.

- Większość studentów ma komórki - wyjaśnił dozorca.

- W takim razie nie odsłuchamy jej wiadomości.

W mieszkaniu unosił się zapach opuszczenia. W mikrofalówce stał zapomniany kubek kawy.

Zeszli na dół do skrzynki na listy. Tylko rachunki i reklamy. Z tego co wiedzieli, nie pracowała, ale powinna uczęszczać na zajęcia. Portia rozmawiała z jej matką. Kobieta, na granicy hysterii, powiedziała, że przyleci tu jutro rano i będzie szukać córki. Portia próbowała ją uspokoić, zapewniła, że policja już się zajęła tą sprawą. Rozmawiali z przyjaciółmi Ariel, jej sąsiadami, sprawdzili też okoliczne szpitale. Nie miała samochodu, miała natomiast telefon komórkowy i rower, którego szukała straż uniwersytecka. Portia sprawdziła w banku, czy Ariel podejmowała gotówkę - na razie nie.

Matka nie wierzyła, że zrobili wszystko, co w ich mocy. Podała Portii nazwę operatora, z którego usług korzystała Ariel, i wyjaśniła, że jej komórka była wyposażona w urządzenie naprowadzające.

- Moja córka nie jest taka jak inne zaginione - tłumaczyła. - Czytałam o tych dziewczynach, one nikogo nie mają. My wprawdzie rozwiedliśmy się z Joem, ale oboje bardzo kochamy córkę i zrobimy wszystko, żeby ją odnaleźć.

- Skontaktuję się z panią, kiedy tylko będę coś wiedziała - obiecała Portia. Teraz jeszcze bardziej niż przedtem chciała odnaleźć dziewczynę. Oby żywą.

Jej komórka rozdzwoniła się, gdy wychodzili z budynku. Numer na wyświetlaczu należał do posterunku policji w Nowym Orleanie.

- Laurent, Wydział Zabójstw - powiedziała, wychodząc na dwór tuż przed Delem, nadal pogrążonym w rozmowie z dozorcą.

- Detektyw Bentz z Nowego Orleanu, Wydział Zabójstw - usłyszała niski, poważny głos. - Podobno zajmuje się pani sprawą zaginionych ze Wszystkich Świętych i nie wyklucza zabójstwa - zaczął bez wstępów.

Portia głęboko zaczerpnęła tchu i zatrzymała się w podcieniu budynku. Del coś do niej mówił, ale uciszyła go gestem.

- Tak jest.

- Wygląda na to, że miała pani rację - powiedział Bentz. - Niecałą godzinę temu wyłowiono z Missisipi cztery kobiece ciała. Jedna Afroamerykanka, trzy białe, wszystkie w tym samym stanie rozkładu, wszystkie w wieku około dwudziestu lat. Jedna z białych ma odgryzioną rękę.



Portia odetchnęła głośno, wraz z powietrzem tracąc resztki nadziei.

- Cechy fizyczne, kolor włosów i oczu, blizny i tatuaże pokrywają się z charakterystyką waszych zaginionych.

- Rozumiem - szepnęła. Podejrzewała, że skończyły tragicznie, ale miała nadzieję, że się myli. Chciała, by się okazało, że to ona była w błędzie, a rację mieli wszyscy ci, którzy twierdzili, że Dionne, Monique, Tara i Rylee wyjechały w nieznane, całe i zdrowe. - Mówił pan, że ciała są w jednakowym stanie rozkładu? To dziwne, porwano je w odstępach kilku miesięcy.

- Dowiemy się więcej po sekcji - odparł.

- Przyczyna zgonu?

- Jeszcze nie wiadomo. Na pierwszy rzut oka widać, że były w wodzie kilka dni, może nawet tydzień, trudno to określić. - Zawiesił głos i domyśliła się, że coś go trapi.

- I co jeszcze?

- Wszystkie ciała mają dziwne rany. Wie pani, że w ręce z bagien nie było ani kropli krwi?

- Tak. - Nagle zrobiło jej się zimno. Przygotowała się na to, co zaraz usłyszy.

- Wszystko wskazuje na to, że w ciałach też nie ma krwi.

- Przecięte tętnice?

- Nie - odparł i wyczuła jego tłumiony gniew. - Ale niewykluczone, że ściągnięto całą krew ze zwłok.

- Do ostatniej kropli - szepnęła.

- Pewnie będzie pani chciała sama to zobaczyć.

- Owszem, ale teraz mamy kolejną zaginioną. Gwałtownie wciągnął powietrze.

- Kto to?

- Studentka ze Wszystkich Świętych nazwiskiem Ariel O'Toole.

Rodzice od kilku dni nie mogą się z nią skontaktować. Właśnie wyszłam z jej mieszkania. Wygląda na to, że nie była w nim od jakiegoś czasu.

- Studiowała literaturę angielską?

- Tak.

- I chodziła na zajęcia z wampiryzmu?

- Tak.

Zaklął głośno.

- Jadę do was, laboratorium da znać, gdy skończą sekcję. Moja córka studiuje u Wszystkich Świętych. Literaturę angielską.

- Byłam ciekawa, czy przyjdiesz. - Grace upiła łyk drinka. W rogu sali jakaś kapela szykowała się do występu, hałas rozmów zagłuszała głośna muzyka. - Siadaj.

Trudie spochmurniała. Zerknęła na Kristi, najwyraźniej nie zachwycona jej obecnością, ale Marnie odrzuciła blond włosy i powtórzyła zaproszenie przyjaciółki:

- Siadaj.

Kristi zlekceważyła spojrzenie Trudie i usiadła.

- Co pijecie? - spytała.

- Krwawe martini. - Grace podniosła kieliszek i obróciła długą nóżkę w palcach, aż wydawało się, że szkarłatny płyn wyleje się na stolik.

- Co w nim jest?

- Krew, ma się rozumieć. - Oblizwała usta, upiła spory łyk. - Pycha.

- Jasne, krew granatu albo żurawiny lub...

- Ludzka krew. - Grace roześmiała się z własnego żartu, a Trudie spochmurniała jeszcze bardziej. Posłała przyjaciółce spojrzenie, które mówiło: zamknij się, do cholery. Grace, jak zauważyła Kristi, uparcie je ignorowała. Bawiła ją ta sytuacja.

Marnie także.

- Tak, wszystkie pijemy to samo. Wiesz, chodzi o wampiryzm. Kristi postanowiła iść tym tropem.

- Ja też chodzę na zajęcia Grotto. Czy on nie jest boski? - Nie czekając na odpowiedź, zdecydowała: - W takim razie poproszę to samo.

Rozejrzała się dokoła; akurat w tej chwili kelnerka postawiła na sąsiednim stoliku dzbanek piwa i cztery kufle. Odwróciła się i Kristi wydało się, że gdzieś już widziała te ciemne włosy z fioletowym pasmem, chyba na uczelni.

- Chodzimy razem na zajęcia do... - zaczęła.

- Owszem, jestem Bethany. Co podać? Kristi wskazała drinka Trudie.

- To samo.

Bethany skinęła głową.

- Doby wybór. To mój ulubiony.

- Naprawdę?

- Tak. Krwawe martini.

- Z czym?

- Dżin, wódka, sok żurawinowy i odrobina grejpfruta.

- Bez krwi? - upewniła się Kristi.

- Przykro mi. - Bethany uśmiechnęła się lekko. - Władze sanitarne miałyby coś przeciwko temu.

Spojrzała na Trudie i Grace.

- Jeszcze raz? Trudie pokręciła głową.

- Muszę wracać do teatru, zanim ojciec Mathias dostanie zawału.

- Bierzesz udział w spektaklu, prawda? - zainteresowała się Kristi.

- Trudie jest Śmiercią - odparła Grace i mało brakowało, a Marnie za-krztusiłaby się drinkiem.

- Odpowiednia rola, co? - zażartowała.

- E, tam. - Trudie dopiła swojego drinka jednym haustem i wstała.

Bethany nadal czekała. Grace podjęła decyzję:

- Czemu nie? Dla mnie podwójny.

- Oszalałaś? - Trudie się przeraziła. - Musisz iść na spektakl!

- Wiem, ale już go widziałam. - Grace i Marnie wyraźnie bawił niepokój Trudie, jakby wypity już po kilka drinków. - Znam treść.

- Zaraz wracam. - Bethany odeszła do baru.

- Więc dlaczego idziecie jeszcze raz? - zainteresowała się Kristi.

- Taki wymóg. - Marnie wzięła kilka orzeszków z miseczki na środku stolika i włożyła je do ust.

- Wymóg? Żeby dwa razy oglądać ten sam spektakl? Trudie rzuciła Grace błagalne spojrzenie.

- Pijane nie muszą-burknęła.

- Och, Śmierć, weź się w garść - powiedziała Grace i obie z Marnie zanosły się śmiechem.

Trudie, zaczerwieniona po uszy, mruknęła wściekle:

- Pieprzcie się, suki.

Wstała i odeszła od stolika. Mało brakowało, a wpadłaby na kelnera z tacą pełną brudnych naczyń.

- Jest wkurzona - stwierdziła Marnie i znowu obie się roześmiały.

- Wiecie co - Kristi odezwała się, dopiero gdy hip-hop ustąpił rockowej balladzie, która nie zagłuszała rozmów. - Prawie wam uwierzyłam. No wiecie, z tymi drinkami z krwią.

Marnie zerknęła na przyjaciółkę i szepnęła ledwie słyszalnym głosem:

- Grace nie kłamała. Doprawiamy je same. - Żeby to udowodnić, wyjęła z torebki małą buteleczkę, odkręciła ją i dyskretnie dodała kilka kropel ciemnego płynu do swojego drinka. - Jest trochę słona.

- Jak margarita - włączyła się Grace.

- Akurat.

Grace wzruszyła ramionami, jakby nie obchodziło jej, co sobie Kristi pomyśli, i podniosła kieliszek do ust. Albo obie są nieźle szurnięte, albo chcą się zabawić moim kosztem, pomyślała Kristi. Milczała jednak, czekając na drinka. Muzyka znowu się zmieniła. Przy stole bilardowym wybuchła kłótnia, bo ktoś przegapił swoją kolejkę.

Po kilku minutach wróciła Bethany. Postawiła przed nimi pełne kieliszki i zabrała puste.

Marnie znowu sięgnęła do torebki i spod uniesionych brwi spojrzała pytająco na Kristi. Ona jednak, choć bardzo chciała stać się jedną z nich, nie zamierzała pić mikstury niewiadomego pochodzenia, więc przecząco

pokręciła głową. Zresztą zachowanie obu dziewcząt wskazywało, że w fiolce jest raczej lek albo narkotyk, który potęguje działanie alkoholu.

- Ej, Kristi, zadajesz tyle pytań, a nie chcesz, żeby Marnie dodała ci parę kropli krwi?

- Nie, mam dzisiaj za dużo roboty.

- Sama nie wiesz, co tracisz. - Marnie wlała po kilka kropli sobie i Grace. Podniosła kieliszek w toaście: - Za wampiry! - W jej oczach błysnęła kpina.

- Za wampiry! - Grace trąciła jej kieliszek swoim. Kristi sięgnęła po swojego drinka.

- Za wampiry - powtórzyła i wszystkie trzy wypily po łyku.

Drink był mocny, smakował żurawiną i dżinem, spływał do gardła ciepłą falą. Marnie i Grace chichotały coraz głośniejsze, oblizując łakomie wargi. Zachowywały się, jakby naprawdę wierzyły w te wszystkie wampiry bzdury, albo przynajmniej bardzo je to bawiło. Kristi rzuciła nonszalancko do Marnie:

- Kilka dni temu wydawało mi się, że widziałam cię w Wagner House. Własne słowa rozbrzmiały jej w uszach dziwnym echem. Czy to było kilka dni temu? A może przedwczoraj wieczorem? Nie pamiętała.

- Było późno - dodała na wszelki wypadek.

- Czyżby? - Uśmiech Marnie był dziwnie chybotliwy... jakby po jej ustach pełził wąż. Czerwony wąż. Nie, to tylko rozmazana szminka.

- Wszystkie tam chodzimy. - Grace zagłuszyła muzykę i chyba z trudem trzymała się na krześle.

- Tak, spotykamy się tam - potwierdziła Marnie.

- Dzisiaj też mamy spotkanie. Może chcesz iść z nami? -  
zapropozowała Grace.

Jej głos brzmiał dziwnie, jakby dochodził spod wody. A ona sama drżała. Kristi zrobiło się gorąco. Chciała odpowiedzieć, zwilżyła suche usta językiem, ale nie zdołała wykrztusić ani słowa.

- O kurczę, chyba nieźle cię trafiło - Marnie udawała zatroskaną. -  
Wyprowadźmy ją stąd.

- Ja zapłacę. - Grace skinęła na kelnerkę...

Jak ona ma na imię, do cholery? Bethany... dziewczyna z zajęć u Grotto. .. podeszła szybko i rozmawiały przez chwilę. Wzięły Kristi pod ramiona i ciągnęły do drzwi. Boże, ale się upiła, nogi odmawiają jej posłuszeństwa. Słyszała urywki zdań:

- Za dużo wypiła... Do domu... Ale coś było nie tak.

Podano jej narkotyk. Wiedziała to.

Nikt w barze nie zwracał uwagi, gdy wyprowadzały ją na dwór bocznymi drzwiami. Chciała krzyczeć, ale z jej ust nie padło ani słowo, a kiedy zdołała podnieść rękę, Grace odepchnęła ją ze śmiechem.

I co teraz? Ledwie to pomyślała, nie wiadomo skąd nadciągnęła ciemność; czuła, że traci przytomność.

Nie! Nie śpij! Musisz zachować trzeźwość umysłu!

- No, dawaj! - Bethany otworzyła drzwi. Grace i Marnie musiały ciągnąć Kristi, bo nogi całkowicie odmówiły jej posłuszeństwa.

Powietrze na zewnątrz było rześkie, zupełnie inne niż zadymiona atmosfera w barze.

- Muszę wracać do środka - powiedziała Bethany.

- Same sobie poradzimy - odparła Marnie.  
- Gdyby ktoś pytał... - głos Grace docierał z bardzo daleka.  
- Gdyby ktoś pytał, wiem, co mówić. Zabierzcie ją stąd, zanim ktoś ją tu zobaczy.

Więc to Bethany dodała jej coś do drinka!

Idiotko! Wiedziałaś, że też chodzi do Grotto!

Chciała krzyczeć, wołać o pomoc, ale tylko jęknęła cichutko.

Drzwi się zatrzasnęły. Zdała sobie sprawę, że wisi między Grace i Marnie i nie jest w stanie sama się poruszyć.

W zachowaniu obu dziewcząt nie było nawet śladu po beztróskim wieczorze.

- Głupia suka - burknęła Marnie, ciągnąc Kristi ciemną uliczką. - Głupia, wścibska suka.

- Interesują cię wampiry - zapytała Grace. Kristi bała się coraz bardziej. - Uwierz mi, dzisiaj dowiesz się wszystkiego. - Wykrzywiła się w diabolicznym uśmiechu i Kristi przeszył zimny dreszcz: za aparatem ortodontycznym mignęły długie białe kły.

Usiłowała kopnąć Grace, ale była za słaba. Nogi odmawiały jej posłuszeństwa, straciła głos, świat oszalał, wszędzie czaił się mrok.

Wepchnęły ją do samochodu i ułożyły na tylnym siedzeniu. Same usiadły z przodu. Czy Trudie w kostiumie Śmierci siedzi obok niej? A może to Bethany?

Kręciło jej się w głowie i mimo rozpaczliwych wysiłków nie odróżniała już rzeczywistości od fikcji. Jay... o Boże... pomyślała o Jayu.



Gdzie on jest? Czy mu powiedziała, że go kocha? A ojciec? Czy żyje?  
Przecież widziała, jak z jego twarzy odpływa cała krew...

Gdzie ona jest, do cholery?

Zamrugła szybko i zdała sobie sprawę, że przejeżdżka samochodem, o ile naprawdę miała miejsce, już się skończyła. Znowu ją ciągnięto. Dokąd? I po co?

Rozbrzmiały kościelne dzwony... tak blisko, że zorientowała się, że znajdują się na terenie kampusu... Znowu straciła przytomność... na chwilę... albo dłużej... Gdy się ocknęła, zdała sobie sprawę, że jest sama.

I naga.

Leży na kanapie. Dokoła wznosi się mgła.

Jak do tego doszło? Odzyskała zdolność myślenia, ale nadal nie mogła się ruszyć ani nawet otworzyć ust. Czerwone światło spowijało wszystko niesamowitą poświatą. Rozglądała się, ale widziała tylko coraz gęstszą mgłę poza obitą aksamitem kanapą, na której leżała.

Dlaczego jest naga?

A może to tylko sen?

Z trudem przypomniawszy sobie, że siedziała w barze, piła czerwonego drinka i rozmawiała z koleżankami z zajęć... Zaraz, zaraz, z kim? Z Grace, tak, z Grace o sterczących włosach i... no, właśnie, z Marnie, blondynką. Myślała, że jest sprytna i wkradła się w ich łaski, tymczasem... o Boże!... Jak to się skończy?

Myśl, Kristi! Myśl, myśl! Nie poddawaj się!

Zamknęła oczy, skupiła się, napięła wszystkie mięśnie... i nic. Zero reakcji. Tkwi tu jak w pułapce.

Usłyszała skrzypnięcie buta. Cichy szept. Nie jest sama?

Gdzie? Gdzie on jest? Wyteżała wzrok, ale przez welon mgły niczego nie widziała.

Ogarnęła ją panika, lecz po chwili zaczęła w końcu myśleć. Podano jej narkotyk, to jasne, ale z czasem przestanie działać. Paraliż nie trwa wiecznie.

A może?

Kolejna makabryczna myśl.

Próbowała podnieść rękę, ale wyteżyła wszystkie siły, ręka ani drgnęła.

Ciche chrząknięcie.

Przypomniała sobie, że jest na widoku.

I ze się z niej śmieją.

Do cholery, Kristi, rusz ręką!

Kolejna próba, wysiłek aż do bólu.

I nic.

Boże, pomóż mi, błagam!

Serce biło jej coraz szybciej, poganiane adrenaliną. Tego samego doświadczyły zaginione. Była tego pewna, tak samo jak tego, że nie żyły. A ona wkrótce do nich dołączy. Chyba że...

Kolejny gigantyczny wysiłek. Na próżno. Kroki były coraz bliżej, niosły się echem po jej głowie. Wolne. Cierpliwe.

Chciała odwrócić głowę od czerwonego światełka pulsującego w rytm jej serca. Co to jest, do cholery?!

Usiłowała zerknąć przez ramię, zmusić zdrtwiałą szyję do ruchu. Poczuła pierwszą reakcję, jej ramiona drgnęły niemal niezauważalnie. Skupiła się i spróbowała ponownie.

Nic.

Ale się nie podda. Nie! Będzie walczyć do ostatniego tchu.

- Oto siostra Kristi - odezwał się niski męski głos.

Zna go! Skądś go zna! Musi się tylko zastanowić, skąd. Dlaczego ją przedstawia? I komu? Wyteżała wzrok, wpatrzona w dymną zasłonę, ale niczego nie widziała. Miała tylko wrażenie, że w mroku kryje się więcej osób, jakby widownia.

Krew zastygła jej w żyłach.

Widownia! Ależ tak! O to chodzi!

To część makabrycznego spektaklu!

Kim on jest? Zna go, ale nie może sobie przypomnieć, jak się nazywa. Stanął za nią i położył dłoń na jej nagim ramieniu. Przeszył ją dreszcz rozkoszy. Boże, to obrzydliwe!

Co to ma być? Uwodzi ją? Na scenie, na oczach Bóg wie ilu gapiów? A może to tylko pierwszy z wielu? Kristi zrobiło się niedobrze na samą myśl o tym.

- Siostra Kristi dołączyła do nas z własnej woli - ciągnął z przekonaniem.

Z własnej woli? Dobre sobie!

Czy nie widzą, że to kłamstwa, że jest uwięziona w bezwładnym ciele? Oczywiście, że nie. Pamiętaj: oni chcą w to uwierzyć.

- Jest gotowa złożyć najwyższą ofiarę.

Pomyślała o torturach, gwałcie, śmierci. Najwyższą ofiarę? Czyli ostateczną? Boże, czy on ją poświęci tu i teraz? Poderżnie jej gardło jak ofiarnej jałowce? Walczyła z całych sił.

Na próżno.

Jego palce zmysłowo błędziły po jej skórze, a jej ciało reagowało. O Boże, to makabryczne, po prostu makabryczne! Bezczelnie dotykał jej piersi, patrzył, jak nabrzmiewają w odpowiedzi. Zabiłaby go, gdyby tylko mogła! Mimo pożądania, które w niej wzbudził. Zabije go, zabije tego zbrodźcę!

Pochylił się, jego oddech muskał jej włosy, dłonie zsuwały się coraz niżej, coraz bardziej władcze.

Chciała go kopać, gryźć, pluć mu w twarz. Kto to jest? Kto?

Jej głowa drgnęła i w tym momencie napotkała jego wzrok. Patrzyła w ciemne oczy profesora Dominica Grotto.

Grotto...

Kristi chciała go uderzyć, odepchnąć, ale nie mogła się ruszyć.

- Przepraszam - szepnął.

Przepraszam? Za co? Wypuść mnie, idioto!

Pochylił się jeszcze niżej. Jego oddech był gorący jak ogień piekielny. Rozchylił wargi i odsłonił kły, lśniące w mdłym czerwonym świetle.

Krzyknęła, ale z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk. Wbił zęby w jej szyję, a potem... o Boże! potem jej krew wypłynęła.

A on zaczął ssać.

## Rozdział 27

---

Vlad był stworzony do tej roboty. Co do tego nie miał wątpliwości.

A Elizabeth, nerwowa niczym kotka w rui, zaglądała mu przez ramię, pewna, że lada moment ktoś ich przyłapie. Fakt, ma się czym niepokoić, myślał, przemykając wśród cieni na kampusie. Ale on nad wszystkim panuje. Jak zawsze. Doprowadzało go do szału, że ta, którą wielbi, nie chce albo nie potrafi mu zaufać.

Od dawna pracował nad najdrobniejszymi szczegółami. Powinna w końcu się na niego zdać.

Ma obsesję na punkcie władzy, pomyślał i wyczuł zmianę w powietrzu; atmosfera gęstniała z każdą chwilą. Pierzaste chmury zasłaniały księżyc. Poczuł, jak krew spowalnia mu w żyłach.

Zakradł się do Adams Hall, ukrył w zaroślach i przemknął do kaplicy. Idąc przez mrok, myślał o Kristi Bentz... pięknej, przerażonej, jędrnej Kristi... Obliznął usta na myśl o jej krwi. Pewnie będzie słodka... Wyobraził sobie, co z nią zrobi. Te myśli wywołały natychmiastową reakcję i musiał zapanować nad żądzą buzującą w jego żyłach.

Ma zadanie do wykonania.

Nie może się teraz zatracić w marzeniach.

Później będzie się nią rozkoszował, żywą i martwą.

Nadciągała burza, wicher hulał po kampusie, niósł deszcz i coś jeszcze. .. może pioruny. Rozbrzmiały dzwony, gdy wchodził do kaplicy.

Powitały go rzędy zapalonych świeczek. Poczował ich zapach, zobaczył, że wosk już stopniał.

Tak, myślał, idąc schodami na górę, on zadba o wszystko. Jak zawsze. Elizabeth może się odprężyć i zdać na niego. Czyż nie bronił jej, zawsze i wszędzie? Często krył się w cieniu, ale przecież mogła na nim polegać.

Stanął na balkonie dla chóru. Wiedział, że znaleziono cztery ciała, więc policja trafi tu prędzej czy później. Nie mogą dłużej zwlekać, muszą odejść.

Ale najpierw trzeba załatwić niedokończone sprawy. Ci, którzy znają prawdę albo się jej domyślają, muszą umrzeć.

Muszą się poświęcić, choćby tego nie chcieli.

Ukrył się za grubą aksamitną zasłoną i czekał. Ostatni pokaz moralitetu już się skończył. Ksiądz Mathias zaraz przyjdzie pomodlić się przy ołtarzu, a potem pójdzie do siebie i będzie błagał Boga o odpuszczenie grzechów i miłosierdzie.

Vlad uśmiechnął się w ciemności.

Miłosierdzie.

Nie odrywał wzroku od drzwi. Najpierw upewni się, że ksiądz nie zmienił codziennych nawyków, a potem pójdzie za nim i uwolni jego nieszczęśliwą duszę.

Ksiądz Mathias nie będzie dłużej cierpiał.

Jay gwizdnął na psa i otworzył drzwi kabiny. Bruno wskoczył na tył, on usiadł za kierownicą. Otworzył schowek przy desce rozdzielczej, wyjął glocka i wsunął go do kieszeni kurtki. Cały czas myślał o Kristi - pięknej,

silnej, upartej Kristi. Jakim cudem przekonała go, żeby zostawił ją samą w Baton Rouge?

Przekręcił kluczyk w stacyjce, wrzucił bieg i wycofał starą toyotę na ulicę. Dodał gazu i ruszył w kierunku autostrady.

Znaleziono ciała zaginionych studentek, więc musiał zostać dłużej w laboratorium. Badano wszelkie dowody znalezione na zwłokach. Co chwila próbował skontaktować się z Kristi, ale bez rezultatu.

Gdzie ona jest, do cholery?

Po raz kolejny wybrał jej numer.

I po raz kolejny trafił na jej pocztę głosową.

- Cholera! - Mało brakowało, a cisnąłby telefon na ziemię. Dlaczego nie odbiera? Zapomniała zabrać komórkę? Padł jej akumulator? A może coś jej się stało?

Przypomniawszy sobie pozbawione krwi ciała w kostnicy i błagał Boga, by Kristi nie stała się kolejną ofiarą psychopaty. Dlaczego zgodził się, żeby chodziła na te same zajęcia co ofiary? Czemu nie nalegał, żeby poszli na policję, kiedy znaleźli fiolkę z krwią? Chyba postradał rozum, zostawiając ją samą w Baton Rouge, choć oboje podejrzewali, że morderca poluje na studentki. I do tego ktoś ją podglądał!

Przecież wiesz, że nie zdołałbyś jej przekonać, tłumaczył sobie. Ale sumienie nie dawało mu spokoju. Powinien był z nią zostać. A teraz... O Boże! Teraz...

Jechał jak wariat. Nie zwracał uwagi na ograniczenia prędkości, wciskał pedał gazu, ilekroć światło zmieniało się na żółte.

Zostawił trzy wiadomości Rickowi Bentzowi i nie dostał odpowiedzi na żadną. Ale Bentz ma teraz na głowie prasę i cały ten chaos.

Departament policji Nowego Orleanu wydał oświadczenie, w którym ostrzegano mieszkańców przed grasującym w stanie seryjnym mordercą. Skontaktowano się też z uniwersytetem, więc miał nadzieję, że pouczono już studentów, by poruszali się tylko w grupach.

Odbył drugą rozmowę z Portią Laurent. Przekazała mu wszystko, czego się dowiedziała. Okazało się, że Dominic Grotto ma dostęp do granatowej furgonetki - czasami pożycza ją od szwagra. Jay był pewien, że profesor od wampirów to ich sprawca. Portia Laurent nadal sprawdzała Grotto, lecz jak dotąd, niczego nie znalazła. Sprawdzała też kilku innych podejrzanych, ale nie zdążyła przekazać mu swoich wniosków, bo miała drugą rozmowę. Obiecała, że później do niego oddzwoni.

Do tej pory się nie odezwała.

Jay zerknął na komórkę i w tym momencie rozległ się dzwonek. Odebrał przed drugim sygnałem. Miał nadzieję, że to Kristi.

- McKnight - rzucił.

- Tu Bentz. Dzwoniłeś. - Rick mówił zwięźle, z ledwie powstrzymaną wściekłością i chyba skrywanym strachem.

- Tak. Jadę do Baton Rouge. Ale nie udało mi się skontaktować z Kristi. A tobie?

- Nie.

To jedno krótkie słowo rozniosło się echem w jego głowie i dopiero po chwili zdał sobie sprawę, jak bardzo liczył na to, że Kristi odezwała się do ojca.



- Myślałem, że jest z tobą - dodał Bentz. - Nie odbiera telefonu. Jadę tam.

- Ja też. Będę za jakieś pół godziny.

- Dobrze. Ludzie z Baton Rouge mają pełne ręce roboty, ściągnęli nawet FBI. Dziwię się, że wyrwałeś się z firmy.

- Oficjalnie mam zlecenie na pracę w terenie. - W tym tygodniu spędził w laboratorium już ponad czterdzieści godzin i Inez Santiago zgodziła się go zastąpić. Zapewniła, że ona, Bonita Washington i reszta zespołu poradzą sobie sami.

Jay nie potrzebował dalszej zachęty. Nie teraz, gdy znaleziono ciała bez kropli krwi, z ukąszeniami na szyi, które pasowały do rozstawu zębów dorosłego mężczyzny. Wszystkie cztery rany były identyczne i policjanci liczyli, że dzięki śladom ukąszeń zidentyfikują mordercę.

Jay wcisnął hamulec, by nie zderzyć się z motocyklem, który wjechał na jego pas.

- Kristi chodziła na zajęcia z wampiryzmu - powiedział, wyprzedzając staruszkę w sedanie.

- A co to ma do rzeczy? - spytał Bentz.

- Moim zdaniem ktoś traktuje wampiryzm zbyt dosłownie - odparł Jay i powiedział mu o podejrzaniach Lucretii i Kristi dotyczących sekty. Wspomniał o fiołce znalezionej w mieszkaniu, które przed Kristi wynajmowała Tara Atwater przed zaginięciem. Powiedział o kamerze i o podejrzaniach Kristi, że ksiądz Mathias, który wystawia moralitety i często bywa w Wagner House, jest zamieszany w zaginięcia. Na koniec dodał, że według Kristi siedzibą sekty jest Wagner House.

- I zostawiłeś ją samą? - zdziwił się Bentz.

- Mój błąd.

- A żebyś wiedział.

Jay dotarł do zjazdu na Baton Rouge. W tej chwili spadły pierwsze krople deszczu.

- Gdzie jesteś? - spytał Bentz.

- Kwadrans od Baton Rouge.

- Dobrze. Ja już dojeżdżam. Jadę prosto do Kristi. Zadzwoń, gdy tam dotrę.

Jay mknął przez miasto, nie zważając na ograniczenia prędkości. Jechał na pamięć, bo cały czas myślał o bezkrwawych ciałach wyłowionych z Missisipi.

Prawdopodobnie morderca długo utrzymywał je przy życiu, a dopiero potem zabijał. Sugerował to niezaawansowany rozkład.

Chyba że zamrażał ciała. Przypomniawszy sobie uwagę Bonity Washington o śladach odmrożenia na odgryzionej ręce. Ręce Rylee Ames, ostatniej z zaginionych.

Przed Ariel. I przed Kristi...

Pojechał na skróty w coraz bardziej ulewnym deszczu. Przy bramie kampusu zebrali się chyba wszyscy ochroniarze Wszystkich Świętych. Nieliczni studenci przemykali się chyłkiem, ale reporterzy stali z mikrofonami w dłoniach, nie zważając na potoki deszczu.

Cholerny cyrk.

- Już niedługo, draniu! - mruknął Jay, jadąc pod dom Kristi.

Odetchnął z ulgą, widząc jej hondę tam, gdzie zawsze. Może jest w domu.

Może zgubiła komórkę. Może... Otworzył drzwi, jeszcze zanim pikap stanął. - Zostań - rzucił do psa i wbiegł na górę, przeskakując po dwa stopnie, z kluczem w dłoni.

Błyskawicznie znalazł się na trzecim piętrze i przekręcił klucz w zamku.

- Kristi! - zawołał, wchodząc do środka.

Mieszkanie było puste. W powietrzu unosił się zapach wypalonych świec. Okno nad zlewem było uchylone, wiatr kołysał firankami. Jay sięgnął po glocka.

- Rzuć broń! - usłyszał kobiecy głos. Mai Kwan wyszła z cienia z pistoletem wycelowanym w jego pierś.

- Wampiry? - zdziwił się Montoya. Jechali do Baton Rouge przy akompaniamencie syreny i migotania koguta. - Mówisz poważnie? Krwiopijcy, których może zabić tylko srebrna kula albo osikowy kołek? Które zamieniają się w nietoperze i sypiają w trumnach?

- Tak powiedział - odparł Bentz i dodał gazu. Padał ulewny deszcz, wycieraczki pracowały jak szalone, policyjne radio trzeszczało i buczało. Niebo w oddali rozjaśniały błyskawice.

- I ty w to wierzysz?

- Wiesz, w co wierzę? - Bentz podniósł głos. - Że moja córka zaginęła i dorwał ją jakiś świr.

- Ale wampiry?

- W ciałach wyciągniętych z rzeki były tylko śladowe ilości krwi. No i te rany po ukąszeniach... Nie mamy też żadnego miejsca zbrodni z krwią, ale bez ciała.

- Poza mieszkaniem striptizerki Karen Lee Williams, znanej także jako Bodiluscious. W jej domu była krew, nie było ciała. - Montoya podrapał się w hiszpańską bródkę. - Myślisz, że te sprawy są powiązane?

Bentz zmarszczył brwi.

- Nie wiem. Owszem, w jej domu była krew, ale przecież nie tyle, ile mieści się w ciele.

- Więc pewnie ten popieprzony czciciel wampirów wypił resztę, a potem zmienił się w nietoperza i odleciał do swojej krypty, gdzie prześpi dzień, trawiąc posiłek. - Montoya sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki po paczkę papierosów, którą zachował na noce takie jak ta.

Bentz zobaczył zjazd na Baton Rouge i skręcił.

- Ja wiem tylko, że moja córka zaginęła i że dzieje się tu mnóstwo dziwnych rzeczy. - Pomyślał o Kristi, tak podobnej do jej zmarłej matki. Kiedy czegoś od niego chciała, nazywała go tatusiem. Ogarnęło go poczucie winy, że jest taki szczęśliwy z Olivią. Czyżby zaniedbał swoje jedyne dziecko? Cholera, robił wyrzuty McKnightowi, a sam jest winny.

- Nie zamartwiaj się. - Montoya zapalił papierosa i wnętrze samochodu wypełnił zapach dymu. - Znajdziemy ją.

Żywą lub martwą, pomyślał Bentz, ale nie powiedział tego na głos. Bał się nawet myśleć, że nie zobaczy córki żywej.

- Co ty tu robisz, do cholery? - spytała Mai, wciąż celując w Jaya leżącego na podłodze.

- Jestem jej chłopakiem, zapomniałaś? To raczej ja powinienem cię o to zapytać. Pracuję w policji, do cholery.

- FBI.

- Co?

- Słyszałeś. Jestem agentką FBI. Od zaginięcia drugiej dziewczyny pracuję nad tą sprawą. - Wyjęła odznakę. - Wstawaj - machnęła pistoletem, podeszła drzwi i zamknęła je.

Posłusznie dźwignął się z podłogi. Mai schowała pistolet do kabury pod pachą. Przyjrzał się jej odznace. Widział ich w życiu wystarczająco dużo, by rozpoznać oryginał.

- Co się dokładnie dzieje?

- Nie jestem upoważniona do...

- Kristi zaginęła - warknął. - Nie wiem, gdzie jest, więc daruj mi te bzdury. Co wiesz?

- Nie mogę ci powiedzieć.

Wyjął komórkę z kieszeni.

- Więc powiesz to Rickowi Bentzowi.

- Przestań! Nie przestraszysz mnie!

- Nie mamy czasu.

Chyba to ją przekonało. Odgarnęła włosy z czoła, spojrzała na niego i mruknęła coś o postępowaniu niezgodnym z przepisami. Ale przysiadła na kanapie i stwierdziła:

- Coś za coś, McKnight. Powiesz wszystko, co ty wiesz, i załatwimy to razem. - Podniosła palec. - Chwilowo. Muszę mieć pozwolenie.

Nie wahał się ani chwili.

- Umowa stoi.

- Pracowałam nad tą sprawą od miesiący, udaję studentkę, a potem nagle zjawia się twoja dziewczyna i wszystko psuje, rozwala mi pułapki zastawiane od pół roku!

- To ty zainstalowałaś tu kamerę?

- Już była. Hiram, tak zwany dozorca, podglądał dziewczyny dla zabawy. Jego prywatne peep-show. - Nie zdołała ukryć pogardy w głosie. - Powinnam była go wsypać, ale powtarzam, pracowałam nad większą sprawą. Znaleźliśmy kamerę po zaginięciu Atwater i zostawiliśmy w nadziei, że morderca wróci.

- A Kristi była twoją przynętą?

- Nic jej nie groziło - zapewniła Mai.

- Ale jej nie ostrzegłaś. - Jay był wściekły.

- Nie mogłam się zdemaskować. Znalazłeś kamerę, więc przyszedłam dzisiaj, żeby odsłonić obiektyw.

- Weszłaś przez okno - domyślił się.

Skinęła głową z chłodnym uśmiechem.

- Więc gdzie jest Kristi?

- Nie wiem, myślałam, że z tobą.

- Nie kazałaś jej śledzić?

- Nie. Nie wiesz, dokąd poszła?

- Wybierała się na moralitet księdza Mathiasa...

- Jestem w ekipie - Mai wpadła mu w słowo. - Wiemy już, że z Mathiasem jest coś nie tak, ale nie możemy niczego udowodnić. A Kristi nie było na przedstawieniu. Nagrywamy je.

- Nagrywacie?

- Za zgodą administracji. Jeszcze nie wiemy wszystkiego, ale nasz sprawca to kompletny świr.

- I nie wiecie, kto to?

- Pracujemy nad tym.

- Nie aresztowaliście Grotto?

- To nie on.

- Przecież to on ma bzika na punkcie wampirów! - Kot wskoczył przez otwarte okno, zobaczył obcych i schował się pod kanapą. Jay zamknął okno. Po szybach spływały smugi deszczu.

- Mówię ci, że nic na niego nie mamy.

- Nie mieliście - sprostował. - To się zmieniło. Mamy ciała. Ciała bez krwi, ze śladami ukąszeń na szyjach. Idę o zakład, że ślady zębów pasują do zgryzu Grotto.

Mai patrzyła na niego, rozważając wszystkie za i przeciw, jakby chciała się wycofać z poprzedniego układu. W końcu zerknęła na zegarek i stwierdziła:

- Zrobimy tak: pogadamy z Grotto i zobaczymy, co król wampir nam powie. A po drodze ty powiesz mi wszystko, co wiesz. Ze szczegółami.

- Wybacz mi Ojczy, bo zgrzeszyłem - modlił się ksiądz Mathias, klęcząc przy łóżku. Jak mógł tak łatwo ulec pokusie, tak bardzo zbłądzić? Myślał, że to wszystko w imię wyższych celów, w imię dobra.

Albo wmawiał to sobie.

Ale Bóg wiedział. Wszechmogący Ojciec bez trudu zaglądał w mroczne zakamarki jego duszy i widział czające się tam zło.

Wiele razy chciał wyznać wszystko ojcu Anthony'emu. Wiele razy pragnął poszukać wsparcia kogoś mądrzejszego, silniejszego od siebie. A jednak tego nie zrobił.

Tchórz, pomyślał, świadom tej słabości.

Zaniknął oczy i opuścił głowę.

- Proszę, Ojczy, wysłuchaj mojej modlitwy - szeptał, wsłuchany w wycie wiatru, zapowiedź nadciągającej burzy. Deszcz już bębnił w szyby, szumiał w rynnach.

Gdzieś wysoko gałąź uderzała w dach strychu. Oznaka gniewu Bożego. Jego wszechogarniającego gniewu. W ten sposób Bóg przypomina mu, jaki jest mały i słaby. Pograżony w modlitwie, nie usłyszał cichych kroków w korytarzu, nie zauważył, że nie jest już sam. A potem było za późno. Znieruchomiał, słysząc skrzypnięcie podłogi.

Odwrócił się i spojrzał w twarz złu. Napotkał spojrzenie ciemnych, bezdusznych oczu. Wąskie usta wygięte w diabolicznym uśmiechu. Białe kły, ociekające krwią, zalśniły w mdłym świetle lampy.

Mathias jęknął.

Przyszedł po niego sam Lucyfer. Diabeł, któremu tak ochoczo oddał duszę, przyszedł po swoją należność.

Mathias chciał wstać, ale potwór rzucił się na niego, szczerząc kły.

Chciał krzyknąć, wezwać Najwyższego, zasłonić się przed złem. Ale nie mógł się równać z szatanem spragnionym krwi.

Vlad wbił kły w miękką skórę na szyi Mathiasa. Trysnęła krew.

Ciało księdza przeszył ból. Rzucił się i szarpał, ale Vlad, zakosztowawszy krwi kapłana, wyjął nóż.



Uniósł go.

Światło zaśnięło na ostrzu.

Mathias był przerażony. Pocił się, mało brakowało, a oddałby mocz. Nie tak miało być. Nie... Pragnął Bożej łaski, myślał, że będzie długo żył i pokutował...

Ostrze opadło srebrzystym łukiem. Ojciec Mathias umarł natychmiast.

Federalni, pomyślał Jay. No jasne.

FBI zajmowała się tą sprawą od początku.

I nadal nie aresztowali Grotto.

Jechał z Mai Kwan na fotelu pasażera. Bruno wylądował z tyłu. Po drodze opowiedział jej wszystko, co odkryła Kristi. Mai знаła adres Grotto. Pokazała mu, gdzie zaparkować - przecnicę od oplecionego winoroślą wiktoriańskiego domku profesora. To odpowiednia dla niego siedziba - strzelisty dach wbijał się w niebo, mroczne rzygacze zdobiły rynny.

- Nie sądzę, żeby ten, kto to robi, zwracał na siebie uwagę, ucząc wampiryzmu - tłumaczyła Mai. - Nasz sprawca jest za sprytny na coś takiego.

- Ego - Jay obstawał przy swoim. - Ma kompleks Boga. Uważa, że jest genialny, że przewyższa wszystkich. Chce nas upokorzyć.

- Albo ktoś go wrabia.

- Być może. W każdym razie coś wie. Mai załadowała świeży magazynek.

- Tu się zgadzamy. Chodźmy.

Nie czekali na wsparcie. Mai zadzwoniła do przełożonego z prośbą o nakaz rewizji i kiedy kazano jej czekać cierpliwie, obiecała, że oczywiście to zrobi. Kłamała jak z nut. Jay przypuszczał, że wiedział o tym także facet po drugiej stronie linii.

- Wygląda na to, że nie jest sam - szepnęła Mai, widząc samochód na podejździe. - Musimy poczekać.

- O nie. Może tam jest Kristi.

- Nie możemy ryzykować.

- Ty nie możesz. Ja wchodzę.

Kristi ocknęła się. Wszystko ją bolało.

Półprzytomna, z trudem otworzyła oczy.

Zadrzała, gdy uświadomiła sobie, że jest naga i leży na zimnej kamiennej podłodze, ma skrepowane ręce i nogi, a jej nozdrza wypełnia stęchły zapach ziemi.

Świat zawirował. Musi się postarać myśleć logicznie, o ile to w ogóle możliwe. Gdzieś z oddali dobiegał odgłos kapiącej wody i podniesionych głosów... Kłótnia?

Zaczęła krzyczeć, ale umilkła, kiedy przed oczami stanęły jej obrazy, ostre jak w kalejdoskopie. Widziała je tak wyraźnie, że aż zabolalo. Pamiętała, że była na tropie wampira. Wampira? Chwileczkę! Nie, coś nie tak... Przeszył ją dreszcz.

Myśl, Kristi, myśl, weź się w garść.

Przypomniała sobie upiorny koktajl, który ktoś nazwał krwawym martini... i... i... były z nią inne. Wspomnienia wracały coraz szybciej. Wrobiły ją dwie dziewczyny, Grace i Marnie... i jeszcze ta kelnerka,

Bethany, ona też brała w tym udział... a potem zaczynał się surrealizm... Profesor Grotto podchodzi do niej, pochyla się nad nią w oparach dymu, pokazuje niewidzialnej publiczności, co z nią zrobi, a potem wbija zęby w jej szyję.

Wzdrygnęła się na samo wspomnienie.

Może to tylko odłot po narkotyku, który Bethany wsypała jej do drinka. .. No jasne.

Więc dlaczego leżysz naga na kamiennej posadzce?

Wpatrywała się w nieprzeniknioną ciemność... Gdzie właściwie jest? I dlaczego uczestniczyła w tym koszmarnym rytuale?

Dlaczego wciąż żyje?

Usiłowała wstać, ale ciało nie było jej posłuszne. Przed oczyma znowu stanął jej Grotto.

Zwracał się do niej po imieniu, opowiadał coś niewidzialnej publiczności składającej się... z ilu osób? Jednej? Pięciu? Stu? Mówił im, że jest gotowa i złoży najwyższą ofiarę.

A potem ją przeprosił. Za co? Za to, że ją ugryzł? Porwał? Boże przenajświętszy, w co ona się wpakowała?

Kręciło jej się w głowie tak bardzo, że obawiała się, że zwymiotuje, ale dźwignęła się na czworaki. Nie może iść? To będzie pełzła. Z głową pulsującą bólem ruszyła naprzód. Może to tylko sen? Koszmarny sen. Zatrzymała się, uniosła na kolanach i skrepowanymi dłońmi dotknęła szyi.

Z trudem zdławiła krzyk, gdy jej palce napotkały ranę - dwie dziurki okryte zaschniętą krwią.

A więc to nie koszmar i nie narkotyczny odlot. Grotto naprawdę ugryzł ją w szyję i pił jej krew.

Walcząc z bólem głowy, tłumaczyła sobie, że musi znaleźć jakieś wyjście z zimnej, kamiennej jamy.

To grób, Kristi. Znowu jesteś w grobie.

Przeszył ją dreszcz, powróciło wspomnienie ostatniego razu, gdy znalazła się zamurowana żywcem w grobie, przekonana, że zaraz umrze. Nie poddawaj się.

Nie umarła wtedy, nie umrze i teraz, w każdym razie nie bez walki.

Przesuwała się po zimnych kamieniach, badając podłogę związanymi rękami i słuchała odgłosów, jak się jej zdawało, skrobania małych pazurków, jakby myszy i szczury gdzieś się spieszyły.

Powoli dopełzła do ściany. Musi być jakieś wyjście, tłumaczyła sobie. Myślała coraz jaśniej. Ktoś ją tu umieścił, więc gdzieś muszą być drzwi. Musi je tylko znaleźć.

Nie poddawaj się. Jeszcze żyjesz.

Była już prawie całkiem przytomna, gdy usłyszała kroki. Coraz bliższe. Cofnęła się i położyła na ziemi. Ma za mało siły do walki, musi udąć, że nadal jest nieprzytomna. Tak. To jej szansa. W zamku zazgrzytał klucz.

Kristi zamknęła oczy. Daj mi siłę, modliła się, i pomóż zabić tego skurczybyka.

## Rozdział 28

---

Więc do tego się to wszystko sprowadza, pomyślał Dominic Grotto. Siedział w swoim gabinecie z komórką w dłoni. W nietkniętym drinku powoli rozpuszczał się lód, z głośników na biblioteczce płynęły dźwięki Vivaldiego. Coś, co się zaczęło jako próba zainteresowania studentów literaturą, skończyło się śmiercią.

Śmiercią czterech dziewcząt.

Chociaż pewnie było ich więcej. Nie miał wątpliwości, że nie żyje już Ariel O'Toole, a Kristi Bentz także trafiła na dno rzeki.

Oczy, które do tej pory tak ochoczo przymykał, teraz widziały wszystko dokładnie. Nie mógł się dłużej oszukiwać, że postępuje słusznie i pomaga dziewczynom z rozbitych rodzin zacząć wszystko od nowa.

Gdy wrócił z ostatniego przedstawienia - bardzo prywatnego przedstawienia dla bardzo specyficznej publiczności - włączył telewizor i zobaczył sceny wyciągania zwłok z Missisipi. Podano mało szczegółów, nie wymieniano żadnych nazwisk, ale on wiedział. Wiedział doskonale, co się stało z tymi dziewczynami.

I zdawał sobie sprawę, że to wszystko jego wina.

Ciągle miał w ustach smak krwi Kristi Bentz. Wszystko to część przedstawienia. Część planu. W imię wyższych celów.

Akurat!

Raczej w imię twojej satysfakcji.

Znał wszystkie dziewczyny i wmawiał sobie, że uczestniczyły w tym z własnej woli, że strach w ich oczach, ich bezruch i słabość to tylko część gry-

Wmawiał sobie, że nie działo się nic złego, że nikt nie ucierpiał, nikomu nic się nie stało.

Ale w głębi duszy wiedział.

Może jednak zdoła uratować Kristi Bentz. Może zdoła powstrzymać ten koszmar raz na zawsze, nawet jeśli będzie musiał oddać się w ręce policji ze względu na swój udział w makabrze - bardzo konkretny udział.

Na dworze szalała burza; deszcz smagał szyby, błyskawice rozświetlały niebo nieregularnymi zygzakami, grzmoty przetaczały się z gardłowym hukiem.

Powinien był wszystko wyznać, kiedy Kristi Bentz zjawiła się w jego gabinecie, szukając odpowiedzi. Cholera! Powinien był się do wszystkiego przyznać rok temu, kiedy się dowiedział, że Dionne zaginęła.

Już wtedy podejrzewał, że coś poszło nie tak.

Przez dźwięki muzyki i odgłosy burzy usłyszał zgrzyt otwieranych drzwi i serce zamarło mu w piersi. Przecież je zamknął? A może zapomniał? Idą po ciebie. Wiedzą.

Pot spływał mu po plecach, gdy wstał, żeby spytać, kto to.

- Halo? - zawołał, pełen pogardy dla siebie. Jest silny. Nigdy w życiu nie zasmakował prawdziwego strachu.

W holu rozległy się kroki.

- Kto tam? - Był przy drzwiach do saloniku, gdy otworzyły się gwałtownie i w progu stanęła kobieta, którą, jak twierdził, kochał. Drżała ze złości.

- Dość tego, Dominic - powiedziała Lucretia. Miała zapadnięte, podkrążone oczy, ochryply głos i była blada jak śmierć. Z mokrych włosów spływały krople deszczu, tusz zostawił ciemne zacieki na jej policzkach. Nie zawracała sobie głowy zamykaniem drzwi, waliły o ścianę, po korytarzu hulał lodowaty wiatr. - Koniec z tym. Dość kłamstw. Dość zniknięć. Koniec z wmawianiem mi, że oszalałam.

- Lucretio, pójdę na policję i...

- Teraz? Kiedy znaleźli ciała? - Energicznie pokręciła głową. - Kochałam cię - wyznała z oczami pełnymi łez.

- Wiem. Ja też cię...

- Kłamca! - rzuciła mu w twarz.

Wyjęła rękę z kieszeni płaszcza i zacisnęła palce na rękojeści małego pistoletu.

Dominic Grotto znieruchomiał.

- Na Boga, Lucretio, co ty wyprawiasz?! - spytał, choć znał odpowiedź. - Nie! - Zdrętwiał, gdy uniosła rękę z pistoletem, który sam dał jej kilka miesięcy wcześniej.

- Zabiłeś je - wykrztusiła drżącym głosem. Jej ręka także drżała.

- Chciałem je ocalić! To był tylko spektakl, pokaz dla innych, wszystko było udawane, przysięgam!

- Nie...

Pistolet w jej dłoni znowu zadrżał. Może zdoła ją przekonać, żeby tego nie robiła. Może uda mu się odebrać jej broń.

- Posłuchaj mnie, Lucretio. Może jeszcze mamy czas. Może Kristi nadal żyje.

- Kristi? Kristi Bentz? Wciągnąłeś ją w to? I Ariel? Nigdzie jej nie ma od tygodnia... O Boże, ona nie żyje, ja to wiem. Powinnam była je ostrzec, powiedzieć...

Zrobił krok w jej stronę, ale wycelowała pistolet w jego głowę. Zatrzymał się i podniósł ręce, próbując ją uspokoić.

- Musimy tylko znaleźć Prestona. To on je... poznawał, to on im pomagał. .. Ma kryjówkę, łączy ją z Wagner House stary tunel Ludwika Wagnera.

- Kolejne kłamstwo - mruknęła znużona. - Tunel jest zamurowany od stu lat.

- Nie, mówię prawdę, przysięgam. Preston twierdził, że pomaga im zniknąć i zacząć nowe życie...

- Pomaga im umrzeć.

- Lucretio, naprawdę o tym nie wiedziałem. Przysięgam - zapewniał i jednocześnie zastanawiał się, w jaki sposób odebrać jej broń i wyjść z tego cało.

- Ale podejrzewałeś. Jak ja. - Opuściła lufę na wysokość jego piersi. Przez ułamek sekundy wydawało mu się, że poprzez wycie wiatru w korytarzu coś słyszy. Kroki?

- To twoja wina, Dominic. To nasza wina.



- Nie! Lucretio, posłuchaj mnie. Zadzwoń na policję i powiem im wszystko o Prestonie, o dziewczętach, o mojej roli w tym wszystkim. Proszę, najdroższa, daj mi szansę - uśmiechał się do niej i jednocześnie szedł w jej stronę. Lucretia chce wierzyć, że nadal ją kocha, więc jej to da.

- Tak bardzo mi przykro - zapewnił głosem, który zawsze ją rozbrajał. - Zawsze cię kochałem, wiesz o tym. Powiem policji o Prestonie i o tunelu pod Wagner House. Może znajdą Kristi. Może jeszcze żyje. No, skarbie, zaufaj mi.

Wzdrygnęła się i spojrzała mu w oczy.

- Lucretio, najdroższa...

- Spotkamy się w piekle, a wtedy plunę ci w twarz. Nacisnęła spust.

Jay nie czekał. Zobaczył otwarte drzwi i uznał to za nieme zaproszenie. Biegł w potokach deszczu. Mai ruszyła za nim. Weszli na werandę i z bronią w ręku wpadli do budynku. Z otwartych drzwi na końcu korytarza płynęło światło, mimo wycia wiatru dało się słyszeć podniesione, gniewne głosy.

Mai dała Jayowi znak, że ma zostać z tyłu, ale stanął u jej boku. Słyszał każde słowo rozmowy, słyszał, jak mówili o Kristi i o tunelach pod Wagner House. Gdy Grotto powiedział, że „może jeszcze żyje”, pchnął drzwi.

W tym momencie rozległ się huk wystrzału.

- FBI! - Mai wpadła do pokoju tuż za nim. - Rzuć broń! Bum!

Jay patrzył bezradnie, gdy Lucretia osuwała się na ziemię. Pistolet wypadł z jej dłoni, z samobójczej rany na skroni płynęła krew.

Grotto leżał, ranny w pierś. Na dywanie wykwitła czerwona plama. Jay wybrał 911 na komórce i ukląkł koło profesora.

- Jeszcze żyje! - krzyknął.

- Ona nie. - Mai oderwała dłoń od szyi Lucretii i podeszła do Grotto. Jay rozmawiał jeszcze chwilę z dyspozytorem, podał adres i wyjaśnił, co się stało.

- Niech pan się trzyma, profesorze - mówiła Mai. - Jeszcze trochę.

Wycie syren przebiło się przez zawroty głowy. Jay patrzył, jak zjawiają się radiowozy i zatrzymują przed domem z piskiem opon. Karetka i wóz straży pożarnej przyjechały jednocześnie.

- Przyjechali - rzucił do słuchawki. - Dzięki! W holu zabrzmiały szybkie kroki.

- Tutaj! - zawołała Mai.

- Gdzie ona jest? - spytał Jay, pochylony nad Grotto. - Gdzie Kristi?

- Z... Prestonem...

- Gdzie? - ponaglił Jay.

- Proszę się odsunąć! - Sanitariusz odepchnął go. - Zabierzcie ich stąd!

Jay wyszedł do holu i trafił prosto na Ricka Bentza.

- Gdzie Kristi, do cholery?! - zapytał starszy policjant.

- Z Prestonem.

- Kto to?

- Doktor Charles Preston, wykładowca na wydziale literatury angielskiej. Grotto powiedział, że Kristi jest z nim, prawdopodobnie w Wagner House, w piwnicy. Jest tam wejście do starych tuneli, tak

przynajmniej mówił Grotto. Kristi podejrzewała, że odbywają się tam spotkania sekty wampirycznej.

Podeszła do nich Mai Kwan.

- Te tunele zamurowano ponad sto lat temu, sprawdziłam to.

Interesowaliśmy się Wagner House.

- A pani kim jest, do cholery?! - Bentz był gotowy do awantury.

- Mai Kwan, FBI.

Jaya nie obchodziły formalności. Zostawił Bentza, Montoyę i Kwan pograżonych w dyskusji na temat jurysdykcji, stopni służbowych i cholernego protokołu, a sam wyszedł w noc.

Jeśli pobiegnie na skróty, dotrze do Wagner House w niecałe pięć minut.

Portia Laurent przez cały dzień ślęczała nad otrzymanymi z uczelni informacjami o wykładowcach. Wielu z nich miało ciemne furgonetki, ale jej podejrzanym numer jeden był profesor Grotto, wampir we własnej osobie. Potem jednak uznała, że to bez sensu. Dlaczego miałyby się z tym obnosić? Nie uważała go za głupca. Był zadufany w sobie, ale na pewno nie głupi.

Szukała więc dalej, mając nadzieję, że w końcu znajdzie dowód, który do tej pory jej umykał. Dzwoniła, pisała maile, szperała w Internecie, sprawdzała policyjne bazy danych - wszystko, co jej przyszło do głowy.

O trzeciej zadzwoniła do Jaya McKnighta. Nie odbierał.

Podniosła wzrok na monitor i zobaczyła wiadomość, która została napisana znacznie wcześniej, ale względu na ilości spamu dotarła do Portii

dopiero teraz. Przeczytała ją trzykrotnie, zanim do niej dotarło, co czyta. Wiadomość wysłano z małego prywatnego college'u w Kalifornii. Była bardzo krótka:

„Musiała się pani pomylić; wykładowca, o którego pani pyta, nie żyje. Z przykrością informujemy, że profesor Charles Preston zmarł 15 grudnia 1994 roku.”

Portia weszła do Internetu i znalazła nekrolog potwierdzający informację uczelni. Preston zginął w wypadku podczas surfowania. Wyraźne zdjęcie dowodziło, że absolutnie nie był to ten sam mężczyzna, który wykładał u Wszystkich Świętych.

W drodze do samochodu zadzwoniła do Dela Vernona i zostawiła mu wiadomość. Nie zamierzała na niego czekać. Musi jak najszybciej porozmawiać z Charlesem Prestonem, czy jak on się tam naprawdę nazywa.

Drzwi więzienia Kristi otworzyły się. Ani drgnęła. Serce waliło jej o żebra, zmuszała mięśnie, by pozostały bezwładne. Leciutko uniosła powieki, tylko na tyle, by widzieć cokolwiek dokoła.

I wtedy trafiło ją w twarz światło latarki.

- Hej! - zawołał znajomy głos. - Pobudka! Doktor Preston?

Surfer od pisania kreatywnego? Nie Grotto?

Mimo bólu głowy myślała coraz jaśniej. Ale Preston? Nie, to chyba niemożliwe.

- Kristi! Obudź się! - krzyczał, podchodząc bliżej. Pochylił się, złapał ją za ramiona i potrząsnął. - Obudź się! No, już!

Pozwoliła, by głowa opadła jej na pierś i do tyłu, bo choć najchętniej wybiłaby mu zęby, zdawała sobie sprawę, że musi poczekać, aż w pełni odzyska jasność umysłu i siłę.

A jeśli zabije ją przedtem? Ma umrzeć bez walki?

Może jednak zaatakować go teraz. Nie, zdecydowała, że poczeka. Musi, jeśli chce uciec.

- Głupia cipa - mruknął i upuścił ją na ziemię. Zamknął drzwi i przekręcił klucz w zamku.

Zmarnowałaś jedyną okazję! Trzeba było walczyć, biec!

Nie, nie dałaby rady. Roztrzęsiona, próbowała uspokoić oddech. Musi przechytrzyć sukinsyna.

Niewiele pamiętała z poprzednich godzin. Leżała naga na scenie, a profesor Grotto ugryzł ją w szyję, ale straciła przytomność - ze strachu albo pod wpływem narkotyku, który jej podano - i wszystko spowił mrok.

Najpierw spróbuje uwolnić nogi. Gdyby udało jej się rozwiązać sznurek... nie, to nie sznurek, tylko taśma klejąca owija jej kostki.

Jej palce ześlizgiwały się po plastikowej powierzchni i po raz pierwszy w życiu żałowała, że nie ma długich, ostrych paznokci.

Pomyślała o Jayu. Dlaczego mu nie powiedziała, że go kocha? Teraz może być za późno. Już nigdy go nie zobaczy i Jay nigdy się nie dowie, co do niego czuła.

Masz ważniejsze sprawy na głowie, skarciła się w duchu.

Znowu szarpnęła taśmę i znowu na próżno. Ale jej ciało reagowało coraz lepiej, mięśnie stały się posłuszne.

Przyciągnęła stopy najbliższej klatki piersiowej, jak się dało, i oderwała plecy od podłogi. Lata ćwiczeń tae-kwon-do i pływania sprawiły, że była bardzo elastyczna. Jej usta znalazły się tuż nad skrepowanymi nogami. Pochyliła się, zacisnęła zęby na taśmie i szarpnęła głową do tyłu. Nic z tego.

Cholera!

Spróbowała ponownie. Znowu bez rezultatu.

Jeszcze raz. Napięła się, aż jej ciało pokrył pot. Musi się uwolnić, zanim on wróci. Jeśli jej się uda, zaskoczy go i zwali z nóg. Zrób to, Kristi, po prostu to zrób!

Mocno zacisnęła zęby i szarpnęła głową. No, wreszcie! Tym razem zdołała zrobić wyrwę w więzach. Złapała skrawek taśmy palcami. Jej serce biło szaleńczym rytmem, czas uciekał.

Pociągnęła.

Trzask!

Udało się!

Zerwała się na równe nogi i w tym momencie usłyszała kroki za drzwiami.

No chodź, draniu, pomyślała, splatając ręce. Uderzy go nimi jak maczugą, gdy tylko podetnie mu nogi. No chodź, chodź wreszcie. Była gotowa. W zamku zachrobotał klucz. Drzwi się otworzyły i w tej samej chwili zaatakowała. Kopnęła go bosą stopą w łydkę.

Jęknął zaskoczony, ale nie upadł. Nie zawracała sobie głowy kolejnym ciosem, wybiegła przez otwarte drzwi i zamknęła je za sobą.

Usłyszała szcęk zamka.

Dyszała ciężko, upojona zwycięstwem. Pokonała go! Ale na jak długo? Popędziła ciemnym korytarzem. Nie oglądała się za siebie. Ma zaledwie kilka sekund przewagi.

Bo przecież on ma klucze.

Jay dopadł drzwi Wagner House i nacisnął klamkę. Zamknięte.

Trudno. Wybił pierwsze z brzegu okno i wskoczył do środka. Za sobą słyszał kroki pozostałych - Bentza, Montoyi i Kwan. Znalazł drzwi do piwnicy, szarpnął. Też zamknięte. Kopnął je, lecz ani drgnęły. Wpadł do kuchni i porwał metalowy stół. Już miał zaatakować klamkę, gdy Mai Kwan, która jego śladem weszła przez okno, krzyknęła:

- Z drogi!

Uniosła pistolet i strzeliła w zamek. Rozpadł się w chwili, gdy Bentz gramolił się przez okno. Montoya deptał mu po piętach.

Jay nie czekał. Z latarką w dłoni zbiegł po schodach. Podświadomie spodziewał się zaczajonego snajpera, ale z Mai za plecami zszedł do piwnicy nietknięty.

Bentz znalazł kontakt i nagle zalało ich ostre światło.

Wielkie pomieszczenie wypełniały skrzynie, stare meble, pudła pełne drobiazgów i zdjęć. W jednym rogu straszył gigantyczny piec, w drugim poniewierało się wiadro na węgiel i zepsuta skrzynka elektryczna ze sterczącymi kablami.

- Sprawdź ściany, McKnight - poleciła Mai. - Szukaj innego wyjścia.

Dostrzegł wiele drzwi - zakurzonych, zabitych deskami i na pierwszy rzut oka od dawna nieużywanych. Nie ustępowały. Mai nerwowo potrząsnęła głową.

- Mówiłam ci, że już tu sprawdzaliśmy.

- Musi być jakieś wyjście. - Płuca wypełniało mu stęchłe piwniczne powietrze. Przeczesał włosy palcami i ponownie nacisnął każdą klamkę. Znowu nic.

Bentz buszował wśród skrzyń, Montoya obchodził całe pomieszczenie. Czyżby Kristi się pomyliła?

Jay zerknął na zegarek, czuł, że czas ucieka. Miał nadzieję, że ją tu znajdzie, a teraz... co?

- Musimy porozmawiać z księdzem Mathiasem. Kristi uważała, że on coś wie.

Mai skinęła głową.

- Mieszka przy kaplicy. Idę. - Była już na schodach. Montoya ruszył za nią.

- Będę ją ubezpieczał.

Jay i Rick Bentz spojrzeli sobie w oczy w zakurzonej piwnicy.

- Skoro Kristi twierdzi, że coś tu siedzi, tak jest - zdecydował Bentz. Spod przymrużonych powiek przyglądał się obramowaniom okien pod sufitem.

Jay także bacznie się rozglądał. Szukał czegoś, co przeoczyli, czegoś, co było tuż pod nosem. Uważnie obejrzał piec. Wszystko wydawało się w porządku. Bentz przesuwiał skrzynie i przyglądał się podłodze, a Jay podszedł do bezpieczników. Wszystkie korki były włączone. Pstryknął nimi kilka razy. Nic się nie stało, tylko piwnicę na chwilę spowiała ciemność.



Jay przekreślił kontakt. Nic. Stara skrzynka nie była podłączona, kable przecięto. Na wszelki wypadek otworzył skrzynkę i patrzył na stare korki, relikty przeszłości. Wyjął pierwszy z brzegu. I wtedy zauważył drugi, o wiele nowszy, który wychodził z tylnej części skrzynki.

Poczuł przyływ nadziei. Na górze rozległy się kroki. Na pewno policja, zwabiona odgłosem strzałów.

- Hej! - zawołał ktoś. - Co tu się dzieje, do cholery?!

Jay pociągnął kolejny kabel. Nic. I nagle zazgrzytały przekładnie. Cofnął się o krok, patrząc, jak jedna ze ścian się odsuwa. Bentz błyskawicznie znalazł się u jego boku.

Bez słowa weszli do małego pomieszczenia z wąskimi schodami. Ściana zasunęła się za nimi i otoczyła ich nieprzenikniona ciemność.

Kristi nie miała pojęcia, dokąd biegnie. Korytarz był wąski i długi, oświetlały go mdłe światła nad głową. Gdy dotarła do zakrętu, drzwi się otworzyły i usłyszała krzyk.

Preston!

Adrenalina dodawała jej siłę, ale nadal była osłabiona, miała skrepowane ręce, umysł pracował opieszale.

Nieważne. Biegnij. Biegnij, jak najszybciej. Musisz uciec.

Gonił ją, jego kroki dudniły na kamiennej podłodze, niosły się echem wąskim korytarzem przypominającym tunel.

- Stój, dziwko!

Nawet się nie odwróciła, i tak wiedziała, że się zbliża. Szybciej, Kristi, szybciej!

Serce biło jej jak szalone, stopy ślizgały się na zimnych kamieniach. A on był coraz bliżej.

O Boże! Musi uciec. Korytarz przed nią się rozszerzał, widziała jakieś światła. Może to wyjście?

Po chwili wpadła do komnaty pełnej świec i luster. Pośrodku stała kamienna wanna, w której siedziała kobieta, piękna kobieta o ciemnych włosach i ostrych rysach. Kąpie się, na miłość boską.

- Musi mi pani pomóc! - zawołała Kristi, choć obawiała się, czy to aby nie halucynacja, efekt narkotyków, które jej podano kilka godzin wcześniej.

- Oczywiście, że ci pomogę. - Oczy kobiety rozblęskły czystym złem i pod Kristi ugięły się nogi. Tu nie znajdzie pomocy.

Chciała się wycofać, ale nie mogła, bo w progu stał już Preston.

- Więc jak, Vlad, chcesz wypróbować coś nowego? - zapytała kobieta w wannie.

Vlad? Zwraca się do profesora Prestona per Vlad?

Kristi, tak jak Alicja przed nią, nabrała pewności, że wpadła do zaczarowanej dziury. Rozglądała się po komnacie, szukając drogi ucieczki. Było tylko jedno wejście, zablokowane przez Prestona, Vlada, czy jak on się tam nazywa.

- Coś nowego?

- Spuśćmy ją bezpośrednio do wanny - zaproponowała kobieta. - Złap ją, włóż do wody i podetnij żyły. Przecież to łatwiejsze, niż najpierw spuszczać krew, a potem ją wlewać.

Kristi zaschło w ustach. Cofnęła się odruchowo. Chyba nie chcą jej wykrwawić?

Profesor Preston - Vlad - spojrział na nią.

- Elizabeth chce się wykąpać w twojej krwi.

Kristi nie była w stanie nic powiedzieć, miała pustkę w głowie.

- Elizabeth? - powtórzyła tylko.

- Przyjęłam to imię na cześć mojej poprzedniczki. Elżbiety Batory.

Może o niej słyszałaś?

Kristi natychmiast przypomniała sobie, czego się dowiedziała na zajęciach Grotto. Elżbieta Batory, sadystka, która zabijała młode dziewczyny i kąpała się w ich krwi, przekonana, że w ten sposób się odmładza.

Elizabeth oparła głowę o oparcie wanny i westchnęła z rozkoszą.

- Miała rację, wiesz? Odkąd stosuję jej kurację, widzę różnicę.

- Kąpiele we krwi - wykrztusiła Kristi. Nie poznawała własnego głosu, ściśniętego strachem. Kątem oka dostrzegła Vlada. Podchodził łukiem, ale był coraz bliżej. - Więc tak skończyły pozostałe? Monique, Dione...

- Oraz Tara i Ariel, te, które są wystarczająco dobre. - Kobieta usiadła.

- Ale gorszych nie chcę. Nie chcę skażonej krwi.

- Karen Lee nie była skażona - zaprotestował Vlad.

- Ale nie była wystarczająco dobra. - Elizabeth z powrotem ułożyła się w wannie i poleciła: - Załatwmy to, zanim się pomarszczę jak suszona śliwka.

Kristi nie zamierzała jej oddać ani kropli swojej krwi. Gdy Vlad podszedł bliżej, odwróciła się i znowu kopnęła go w goleń. Chciała go wyminąć, ale rzucił się na nią. Był silny jak tur i ciężki, przygwoździł ją do ziemi.

- Cholerna suka - warknął. Złapał ją za skrepowane nadgarstki i położył jej ręce za głową, tak że wiała się i dyszała pod nim.

Elizabeth wstała.

- Nie zepsuj jej! Nie zmiażdż jej żył! Chcę...

- Wiem, czego chcesz! - syknął, ciągle wpatrzony w Kristi. Ku swemu przerażeniu poczuła jego erekcję, napierającą na czarne spodnie. Opanowała odruch wymiotny, gdy na jego usta wypełził obleśny uśmiezek. Przywarł do niej mocniej, dając jasno do zrozumienia, co za chwilę nastąpi.

Najpierw ją zgwałci, a potem wykrwawi na śmierć. O Boże, musi walczyć! Nie może się poddać!

Próbowała się wyrwać, ale nic to nie dało. Preston ponownie skrepował jej nogi i zmusił do połknięcia kolejnej tabletki.

Narkotyki zadziałał już po kilku minutach. Była słaba jak dziecko i otumaniona jak po alkoholu.

Usiłowała się bronić, lecz tylko bezradnie zatrzepotała rękami, gdy przeciął krępującą je taśmę. Protestowała słabo, gdy niósł ją do ciepłej kąpieli.

- Najwyższy czas - burknęła Elizabeth.

- Musiałem poczekać, aż narkotyki zadziała.

- Wiem, wiem. - Elizabeth przesunęła się. Miała śliską skórę. - Spójrz tylko na jej skórę. Bez żadnej skazy. Idealna... - Podniosła wzrok na Vlada.

- Tak, jej krew sprawi cud.

Niby jaki? Powstrzyma starość? - zastanawiała się Kristi.

- W życiu, już po tobie - mruknęła, lecz nie zwracali na nią uwagi.

Chciała się odsunąć, ale nie miała siły. Z niedowierzaniem, jakby z bardzo daleka, patrzyła, jak Vlad nacina jej nadgarstki.

Jej krew popłynęła do wanny czerwoną wstążką.

Mathias nie żył. Został zamordowany, prawdopodobnie podczas wieczornej modlitwy.

Czy to ostrzeżenie? - zastanawiała się Mai Kwan. Powiadomiła przełożonych i przeszukała skromny pokój, szukając czegoś, co by wyjaśniło, dlaczego ksiądz padł ofiarą i czemu Kristi Bentz uważała, że ma on coś wspólnego z Wagner House i sektą wampiryczną.

W tym pokoju na pewno nie było wampira.

Na podłodze zostało zbyt wiele krwi.

Montoya w milczeniu rozglądał się po miejscu zbrodni.

- I co ty na to? - zapytał, pochylając się nad zwłokami.

- Wkurzył niewłaściwą osobę. Spójrz. - Wskazała szyję kapłana. -

Ma poderżnięte gardło, głęboko, prawie do kręgosłupa.

- Niewiele brakowało, a drań obciąłby mu głowę - mruknął Montoya.

- Był wściekły, kiedy to robił.

- Na księdza?

- Na tego księdza. To sprawa osobista.

Co bardzo źle wróży Kristi Bentz i Ariel O'Toole, dodała w duchu. Ominęła ciało i podeszła do biurka. Przeglądając dokumenty, zastanawiała się, co - jeśli w ogóle cokolwiek - znaleźli McKnight i Bentz.

Obawiała się, że Kristi Bentz już nie żyje. A sądząc po tym, w jakim stanie znaleźli księdza, nie miała lekkiej śmierci.

Kristi usiłowała unieść powieki, szukała w sobie energii do walki, ale ledwo zachowywała świadomość. Leżała w przyjemnie ciepłej wodzie, która powoli barwiła się na czerwono.

- Czuję to - szepnęła jej Elizabeth do ucha. - Czuję, jak mnie odmładza.

Kristi próbowała się odsunąć, choć przemknęło jej przez głowę, że gdyby nie ramię Elizabeth, wpadłaby głębiej w mętną wodę i utopiła się we własnej krwi. W rozstawionych w komnacie lustrach widziała swoje odbicie. Była blada jak ściana. Vlad stał obok, gotów w każdej chwili dołączyć do kobiet w wannie.

Przeszył ją dreszcz. Chciała krzyczeć, zaklinać niebiosy, wołać o pomoc. Ale z jej piersi wyrwał się tylko ledwie słyszalny szepc. Spojrzała na

Vlada. Jego okrutny uśmiech, blask oczekiwania w jego oczach zdradzały, że rozkoszuje się jej cierpieniem.

To potwór. Śmiertelnik, który sobie wmówił, że jest kimś więcej. Psychopata, który udawał wampira, wykładał na uczelni i mordował własne studentki. Widać, że uwielbia Elizabeth i traktuje ją jak swoją panią.

- Jesteś jak pies na smyczy - szepnęła Kristi. - Ona cię wykorzystuje.

- A ja ją- odparł.

Wyciągnął rękę do jej szyi. Już myślała, że chce ją udusić, on jednak złapał za złoty łańcuszek i szarpnął.

- To należy do mnie. - Zacisnął dłoń na fiolce tak samo, jak podczas swoich nudnych wykładów na kredzie, i zerknął na Elizabeth. - Musimy zachować kilka kropli na kolejną pamiątkę. - Uśmiechnął się, odsłaniając zęby ostre jak igły.

Gdy Vlad się pochylił, Kristi plunęła mu w twarz. Ślina spłynęła do wanny.

- Nie! - Elizabeth wpadła w panikę. - Nie wolno skazić wody! Vlad zgrabnie zgarnął plwocinę z powierzchni.

- Wszystko w porządku - rzucił.

- Ale...

- Powiedziałem, że nic się nie stało! - rzucił ostrzej i Elizabeth umilkła. Kristi kręciło się w głowie. Znowu splunęła. Tym razem trafiła na nogę

Elizabeth.

Kobieta wrzasnęła. Vlad znowu wyszczerzył zęby.

- Rozerwę ci gardło - syknął.

I dobrze! Skończ to! Kristi czuła, jak opuszczają ją resztki sił. Vlad widział jej słabość i uśmiechał się triumfalnie. Sztuczne kły lśniły w blasku świec.

- Jest nasza - powiedział tak głośno, że jego słowa poniosły się echem w podziemnej komnacie.

Kristi widziała, jak jej skóra traci kolor, i mimo ciepłej wody dygotała z zimna. Powoli traciła przytomność. Nikt jej nie pomoże. A ona nie ma siły walczyć. Wiedziała, że umiera, odpływa w mrok. Już nigdy nie zobaczy Jaya. Nigdy nie pokłóci się z ojcem. Wszystko stracone...

Zastanawiała się leniwie, czy istnieje niebo. I piekło? Czy jej dusza powstanie ze zmarłych i znowu zobaczy matkę? Jennifer Bentz była już tylko wspomnieniem, spłóviałym jak stare zdjęcia w rodzinnym albumie.

Łzy napłynęły jej do oczu, gdy pomyślała o matce, której prawie nie знаła. A teraz psychopata podciął jej żyły. Boże... Może już czas ulec?

Jeszcze nigdy nie czuła się taka samotna.

Jay, pomyślała słabo i prawie się rozpląkała na myśl o tym, jak bardzo go kocha.

Było jej zimno, a ciemność ją kusila, wciągała. Walczyła przez całe życie. Może wreszcie czas odpuścić...

Głosy.

Jay słyszał głosy.

Dał ręką znak Bentzowi. Rick skinął głową.

Z nerwami napiętymi jak postronki, przygotowani na atak, szli wzdłuż ciemnego tunelu. Dotarli do obszernej komnaty. Była pusta, jeśli nie liczyć krzeseł stojących półkolem wokół podium, swego rodzaju sceny. Na podium stała wytarta kanapa obita aksamitem, a z podłogi unosiła się mgielka.

Głosy dochodziły z korytarza, który prowadził w głąb podziemi.

Bez słowa ruszyli dalej. Mijali boczne odnogi i chyba zamknięte drzwi. Na końcu tunelu widzieli światło, blask setek świec.



I coraz wyraźniej słyszeli głosy. Mogli już rozróżnić poszczególne słowa:

- Elizabeth, jej krew cię obmywa... To już prawie koniec.

Serce Jaya przestało bić. Z zaciśniętymi ustami spojrzał na Bentza, skinął głową i obaj wpadli do komnaty. Kristi, blada jak ściana, leżała w wannie wypełnionej gęstą czerwoną cieczą. Obok niej siedziała naga kobieta, a nagi mężczyzna właśnie wchodził do wanny.

- Ręce do góry! - ryknął Bentz. Preston gwałtownie poderwał głowę.

Kobieta spojrzała na nich i mało brakowało, a Jay nie uwierzyłby własnym oczom. Althea Monroe, profesor, którą zastępował, bo musiała zająć się chorą, niedołączną matką, siedzi w wannie pełnej krwi razem z Kristi?

- Na ziemię! - krzyknął Bentz. - I to już, draniu!

- Vlad! - wrzasnęła Althea. - Zabij ich!

Preston odwrócił się, posłuszny jak marionetka. W dłoni trzymał nóż. Z idealnym wyczuciem celu rzucił nim w Jaya i w tym samym momencie zaatakował Bentza.

Jay pochylił się. Ostrze zraniło go w bark.

Bentz wpakował w nagiego mężczyznę cały magazynek.

Jay błyskawicznie znalazł się przy wannie i wyciągnął Kristi z mętnej czerwonej wody. Była nieprzytomna, z ran na nadgarstkach sączyła się krew. Rozerwał koszulę i zrobił prowizoryczny opatrunek. Nie może jej stracić, nie teraz! Musi ją ocalić. Nerwowo owijał jej ręce strzępami materiału.

- Nie! - krzyknęła Althea Monroe. - Ona jest mi potrzebna! -

Wyskoczyła z wanny z szaleństwem w oczach.

Bum! bum! bum!

Althea zachwiała się, gdy kule dosięgły celu. Zakryła rany dłońmi.

- Nie, nie, o Boże, nie... blizny... zostaną blizny... - wykrztusiła i osunęła się na ziemię. Z jej ust popłynęła krwawa piana.

- Dzwon po pogotowie! - krzyknął Montoya, który właśnie stanął w drzwiach.

- Już jadą - odparła Mai. Podeszła do Bentza i odepchnęła nogą ciało Prestona. - Wszystko w porządku?

- Tak.

Zerwał się i podbiegł do Jaya, który trzymał w ramionach nieprzytomną Kristi. Żyła, ale widać było, że straciła bardzo dużo krwi.

- Wytrzymaj, Kristi, wytrzymaj. Nie waż się mnie zostawić. - Słowa uwięzły mu w gardle, ale nie wypuszczał jej z objęć. Oddychała z najwyższym trudem. Gdy prosił Boga, by nie pozwolił jej umrzeć, Althea Monroe wydała ostatnie tchnienie.

Kristi jak przez mgłę słyszała huk wystrzałów. Poczowała kwaśny zapach kordytu i dotarły do niej głosy... podniesione głosy. Czuła, że ktoś wyjmuje ją z wanny. Jego głos zagłuszał inne.

Jay?

Chciała otworzyć oczy, ale nie miała siły. Czuła na sobie jego ramiona, słyszała, jak ją błaga, by wytrzymała, ale nie mogła. Nie waż się mnie zostawić... Inny głos. Ojciec?

Gdyby tylko mogła zdobyć się na jeszcze jeden wysiłek i otworzyć oczy...

- Kristi! Zostań ze mną! Kochanie!

Jay był pełen determinacji, jakby zaklinał ją siłą woli. Chciała mu powiedzieć, że go kocha, żeby się nie martwił, ale jej usta ani drgnęły. Czuła, jak obsuwa się w mrok, odpływa...

Wydawało się, że minęły całe wieki, zanim nadjechała karetka, lecz gdy w końcu się zjawiała, Kristi nadal oddychała. Sanitariusze opatrzyli jej rany, założyli maskę tlenową i wynieśli na noszach.

- Jadę z nimi - zdecydował Jay.

- Ja też. - Bentz był cały we krwi Charlesa Prestona, czy raczej Vlada, ale poza tym nic mu nie było.

Jay, choć ranny, zapewnił, że może poczekać na pomoc. Poprosił Mai, żeby zajrzała do Bruna w pikapie i pobiegł za sanitariuszami.

Na dworze szalała burza. Błyskawice co chwila rozdzierały niebo, deszcz zalewał ulice potokami wody. Bentz patrzył, jak Jay wsiada do karetki, a potem podszedł do frontu Wagner House, gdzie zaparkował swojego crown vica.

- Ja poprowadzę - oznajmił Montoya, gdy Bentz po raz ostatni obejrzał się na Wagner House.

W tym momencie kolejna błyskawica przecięła nocne niebo. Piorun ciśnięty przez rozgniewanych bogów trafił wielki dąb w ogrodzie.

- Uważaj! - krzyknął Montoya.

Bentz chciał uskoczyć przed spadającą gałęzią, ale potężny konar trafił go w plecy. Poczuł przeraźliwy ból i na moment stracił oddech. A potem była już tylko ciemność.

Kristi z trudem uniosła powieki. Napotkała wzrok Jaya.

- Witaj z powrotem - powiedział i uśmiechnął się. Miała wyschnięte, spękane usta i opuchnięty język.

- Koszmarnie wyglądasz - wychrypiała i zdała sobie sprawę, że jest w szpitalu, podłączona do kroplówki.

- A ty ślicznie.

Chciała się roześmiać, ale tylko zaniosła się kaszlem.

- Co się stało? - spytała.

- Nie pamiętasz?

- Nie wszystko i nie od początku. Ale wczorajsza noc... - spojrzała na niego. Przecząco pokręcił głową.

- To było trzy dni temu. Trochę nas przestraszyłaś.

- Opowiedz mi - poprosiła i poczuła jego dłoń na swojej.

Spełnił jej prośbę. Powiedział, że Althea Monroe, która zmarła wskutek odniesionych ran jeszcze w podziemiach, współdziałała z Prestonem. Profesor zabijał dziewczęta, żeby Althea zachowała młodość i urodę dzięki ich krwi.

- Elżbieta Batory - mruknęła Kristi.

Powiedział także, że rzekomy Preston nie był tym, za kogo się podawał. Zmarł, zanim przewieziono go do szpitala, ale po odciskach palców zidentyfikowano go jako Scotta Turnblada, poszukiwanego w Kalifornii, gdzie prawdziwy Preston mieszkał do śmierci.

Profesor Grotto był w to wszystko zamieszany po uszy, choć teraz zaklinał się, że przyświecały mu wyższe cele. Preston przekonywał go, że pomaga nieszczęśliwym dziewczynom zacząć nowe życie, a przy okazji Grotto mógł realizować wampiryczne fantazje i organizować swoje spektakle. Jego widownia - zakochane w nim dziewczęta - znajdowały mu świeżą krew i nie przejmowały się, gdy uczestniczki pokazu znikwały.

- Czyli Trudie, Marnie i Grace - uściśliła Kristi.

- I kilka innych, w tym kelnerka, która dosypała ci coś do drinka.

Wszystkie kochały się w Grotto i zatracaly w jego fantazjach.

- Kolejne Elizabeth - skomentowała.

- Kolejne pensjonariuszki więzień. Im także postawiono zarzuty.

- A ksiądz Mathias i Georgia Clovis?

- Potomkowie Wagnerów nie mieli z tym nic wspólnego, a Mathias nie żyje. Prawdopodobnie zabił go Vlad, bo ksiądz za dużo wiedział.

Wygląda na to, że nieświadomie pchał zagubione dziewczęta w objęcia śmierci. Może dowiadywał się o ich kłopotach podczas spowiedzi, a może przychodziły do niego po radę. Usiłował im pomóc - dawał role w swoich spektaklach i pozwalał, by Dominic Grotto troszczył się o nie później.

Niewykluczone, że Grotto naprawdę nie wiedział, jak kończyły, ale na pewno nie był święty. Prawdopodobnie wykorzystywał je seksualnie.

Kristi wzdrygnęła się na myśl o niewinnych ofiarach.

- Ale prawdziwym potworem był Vlad, znany także jako profesor Preston i jako Scott Turnblad. To on uznał, że za dużo ludzi wiedziało zbyt wiele. Lucretia rozwiązała problem z Grotto, ale został jeszcze ksiądz Mathias. Vlad nie mógł pozwolić mu mówić.

- Był szalony, on i Elizabeth.

- Tak, Althea wyrolowała nas wszystkich. Jej matka wcale nie mieszka w Nowym Orleanie. Po prostu chciała spędzać więcej czasu jako Elizabeth.

- Ale dlaczego?

- Elżbieta Batory to jakaś jej daleka krewna.

- I sadystka niespełna rozumu.

- To na pewno. Althea wplątała się w to wszystko, bo nie chciała się starzeć. Znaleźliśmy jej dzienniki. Była święcie przekonana, że łączy ją pokrewieństwo z krwawą hrabiną, i uważała, że dzięki kąpielom we krwi młodszych kobiet zdoła zatrzymać upływ czasu.

- Bzdura!

- Oczywiście. Ale weź pod uwagę, że mąż Althei zostawił ją dla młodszej, tak samo jak wcześniej jej ojciec matkę, dla nastoletniej ślicznotki.

- I co z tego? To spotyka wiele kobiet, a nie zaczynają mordować.

- Masz rację, ale sama powiedziałaś, że Althea to wariatka. I znalazła bratnią duszę, czyli Vlada. Znali się od dziecka. Sprawdzamy teraz przeszłość Turnblada. Prawdopodobnie zaczął zabijać w bardzo młodym wieku. Zamordował własnych rodziców i to mu się upiekło.

- I wtedy nabrał przekonania, że może zabijać bezkarnie. Jay skinął głową.

- On i Althea...

- Czyli nowe wcielenie Elżbiety Batory? - weszła mu w słowo Kristi.

- Bystra dziewczyna. - Puścił do niej oko. - Okazało się, że znali się od dzieciństwa.

- Wolę nie myśleć, w co się bawili.

- Nawet nie próbuj. W każdym razie detektyw Portia Laurent dodała dwa do dwóch i znalazła kryjówkę Vlada, czyli Scotta, pod starym hotelem. Były tam zwłoki Ariel, w chłodni, a także ciało innej zaginionej, striptizerki z Nowego Orleanu o nazwisku Karen Lee Williams i pseudonimie scenicznym Bodiluscious.

- Czy każdy ma ukrytą tożsamość?

- Co najmniej jedną - odparł z uśmiechem i opowiedział o Mai Kwan, FBI i kamerze w mieszkaniu.

Kristi słuchała tego z niedowierzaniem.

- Wiedziałam, że Hiram to dziwak, ale Mai... FBI... - Potrząsnęła głową i uśmiechnęła się, ale w tym momencie dostrzegła napięcie na twarzy Jaya. - Czego mi nie mówisz? - zapytała, poważniejąc. Nie odpowiedział od razu, więc ponagliła: - Jay?

- Chodzi o twojego ojca. Jej serce przestało bić.

- Jest w szpitalu w Nowym Orleanie. Uraz pleców.

- Uraz pleców? - powtórzyła. Przypomniała sobie, ile razy widziała, jak z jego twarzy znikają wszelkie kolory.

- Nic mu nie będzie.

- Jesteś pewien? - Nie wyobrażała sobie życia bez ojca. Zaciśnęła dłoń na ręce Jaya.

- Tak myślę. - Unikał odpowiedzi, widziała to w jego bursztynowych oczach.

- Do cholery, Jay, powiedz mi! Westchnął.

- No dobra, sprawa wygląda tak: ma uszkodzony kręgosłup...

- Co? Boże, tylko nie to! Ojciec nie pogodzi się z kalectwem i brakiem samodzielności.

- Uspokój się. Powiedziałem: uszkodzony, nie doszło do przerwania rdzenia, więc z czasem wróci do siebie.

- Z czasem...

- Paraliż jest przejściowy - zapewnił.

- O Boże. Ścisnął jej dłoń.

- Lekarze twierdzą, że będzie znowu chodził, ale to trochę potrwa.

Kristi nie wierzyła własnym uszom. Czyżby ojciec przeżył tylko po to, żeby być kaleką?

- Ale kiedyś znowu będzie samodzielnie chodził? - dopytywała się.

- Taka jest prognoza.

- W takim razie chcę go zobaczyć. Natychmiast. - Rozejrzała się w poszukiwaniu pielęgniarki. - Muszą mnie wypuścić ze szpitala.

- Kris, poczekaj, aż poczujesz się lepiej.

- O nie! Słuchaj, mówimy o moim ojcu. Był tutaj, prawda?

Przyjechał, żeby mnie ocalić! Został ranny i... - głos jej się łamał. - O Boże... tamtej nocy była burza. - Nagle zobaczyła wszystko tak wyraźnie, jakby przy tym była. - W drzewo uderzył piorun, tak?

Jay tylko na nią patrzył.

- Tak?

- Tak, ale...

- I uderzył go konar?



- Powiedziałem, że nic mu nie będzie.

- Wiem, co powiedziałeś - mruknęła. - A teraz zabierz mnie stąd.

Muszę zobaczyć ojca.

- Dobrze, dobrze, spokojnie. Pojadę z tobą.

- Nie musisz...

- Wiem - zachnął się. - Nic nie muszę, ale chcę, jasne? I nie pozwolę, żebyś przez to, co cię czeka z ojcem, przechodziła sama. Będę przy tobie.

Już sięgała po ubranie, ale znieruchomiała.

- Jay...

- Kocham cię, Kris.

Odwróciła się i zobaczyła jego uśmiech.

- Naprawdę?

- Tak. A ty kochasz mnie.

- O!

- W kółko to powtarzałaś, kiedy byłaś nieprzytomna.

- Kłamczuch! - zawołała, ale skinęła głową. - No dobra, kocham cię - rzuciła niedbale. - I co z tym zrobisz, McKnight?

- Nie wiem.

- Cóż... może na przykład poprosisz mnie o rękę?

- Może. Roześmiała się.

- McKnight, jesteś okropny - stwierdziła i sięgnęła po dzinsy.

- Więc w sam raz dla ciebie.

- Czyżby?

- Jasne. A w drodze do twojego taty przekonaj mnie, że powinienem się z tobą ożenić.

- Ani mi się śni!

## *Epilog*

---

Trzyma się...

Rick Bentz słyszał te słowa, ale nie był w stanie się poruszyć, ani nawet otworzyć oczu, żeby dać znać, że odzyskuje przytomność. Słyszał lekarzy i pielęgniarki, słyszał także swoją córkę Kristi. Więc doszła do siebie, dzięki Bogu, i teraz często była obok... Mówiła do niego, powtarzała, że na pewno poczuje się lepiej, że nie może być inaczej, bo musi poprowadzić ją do ołtarza, kiedy będzie brała ślub z Jayem McKnightem, i przeczytać książkę, którą napisze, i...

Boże drogi, jak długo on tu leży?

Wpadli Montoya z Abby i oczywiście Olivia... zawsze przy nim czuwa. Słyszał jej miękki głos, wiedział, że mu czytała.

Jay McKnight też go odwiedził i tak jak Kristi mówił o ślubie, prosił go chyba o błogosławieństwo?

Najwyższy czas, żeby Kristi się ustatkowała i przestała pakować w kłopoty...

Lekarz wyszedł i Rick został sam. Coś pikało regularnie, chyba monitor pracy serca... Boże, jak bardzo chciał się poruszyć, przeciągnąć zastawę mięśnie.

W ustach miał nieprzyjemny posmak. Gdzieś z oddali docierało echo kroków, skrzypienie wózka, szmer rozmów... Odpłynął na chwilę... A może na godzinę? Na cały dzień? Nie wiedział. Czas dla niego nie istniał.

I znowu Kristi, mówi coś o ślubie, o tym cholernym ślubie. Chciał się uśmiechnąć, powiedzieć, jak bardzo się cieszy, ale słowa nie przechodziły mu przez gardło.

Mówiła coraz ciszej, aż całkiem umilkła. Wyszła już?

Dlaczego nie może otworzyć oczu?

Spróbował, ale nie dał rady.

Lekki ruch. Muśnięcie zimnego powietrza.

Zrozumiał, że nie jest sam.

W pokoju był ktoś jeszcze, i to nie Kristi.

Poczuł gęsią skórę. Temperatura opadła gwałtownie, jakby przez otwarte okno wpadł zimny wiatr. W tym chłodzie wyczuł zapach... znajomy, ale odległy... kobiece perfumy z nutą gardenii.

Co to jest?

Ktoś wziął go za rękę, poczuł, jak smukłe palce splatają się z jego palcami.

- Rick - szepnął kobiecy głos. Znajomy. Odległy. - Kochanie, słyszysz mnie?

Serce na moment zastygło mu w piersi. W pokoju zapanowała cisza, umilkły wszelkie szpitalne odgłosy.

Chłodny powiew przybrał na sile, musnął jego policzek, jakby ktoś złożył na nim lodowaty pocałunek.

I znowu zapach perfum... tych samych intrygujących perfum, którymi pachniała Jennifer, gdy się kochali...

Jennifer?

Otworzył oczy.

Jego oddech tworzył obłoczek w zimnym powietrzu. Zamrugał szybko, zaskoczony. Nie był w stanie ruszyć głową, ale kątem oka widział drzwi i krzesło. Kristi zasnęła, głowa opadła jej na piersi.

W drzwiach, oświetlona blaskiem z korytarza, stała kobieta w czarnej sukience.

Wysoka.

Szczupła.

O mahoniowych włosach spływających na plecy. Boże, przecież niemożliwe, żeby to była... Odwróciła się przez ramię i uśmiechnęła.

Na pełnych wargach pojawił się tak dobrze mu znany zmysłowy uśmiech.

Miał wrażenie, że czas się cofnął. Serce przestało mu bić.

- Jennifer. - Po raz pierwszy od lat wypowiedział imię nieżyjącej żony. Zamrugął.

Jennifer zniknęła.

- Tato?

Spojrzał w stronę krzesła. Kristi patrzyła na niego z troską. Boże, ależ jest podobna do matki!

- Obudziłeś się! - Poderwała się z miejsca w ułamku sekundy. Miała łzy w oczach. - O Boże, nic ci nie jest! - Stała przy łóżku i wzięła go za rękę. - Śmiertelnie nas wystraszyłeś!

- Twoja matka - rzekł niepewnie, przerażony, że traci rozum. - Była tu.

- Mama? - Kristi pokręciła głową. - Kurczę, co za prochy ci dają?

- Naprawdę tu była.

- Mówię ci, to morfina. - Kristi śmiała się przez łzy.

- Nie widziałaś jej? Potrząsnęła głową.

- Nikogo tu nie było. Wprawdzie zasnąłam na chwilę, ale... Jezu, ale tu zimno. - Wzdrygnęła się. - Tak się cieszę, że odzyskałeś przytomność. Bałam się... myślałam, że ci się nie uda... ale przecież wiem, jaki z ciebie twardziel.

Bentz nie pozwolił jej zmienić tematu.

- Była tu twoja mama... Widziałem ją... Przed chwilą wyszła...

- Niemożliwe, tato. Zdawało ci się. - Przyjrzała mu się uważnie i zerknęła na drzwi. Nikogo. Wróciła do niego wzrokiem. - Byłeś nieprzytomny przez prawie dwa tygodnie. Wiem, co to za uczucie. Strasznie dziwne. I kiedy w końcu się budzisz, wszystko ci się płące.

- Nie widziałaś jej? - Chciał usiąść, ale nie dał rady. Miał słabe ręce, a nogi... Nawet ich nie czuł. Dziwne...

- Nie było jej tu - zapewniła Kristi nerwowo, jakby i ona wyczuwała, że stało się coś dziwnego. - Słuchaj, zawołam lekarza i pielęgniarkę. Zadzwoń do Olivii. I tak już tu jedzie, ale zabije mnie, jeśli tego nie zrobię. I na posterunek. Powiem wszystkim, że odzyskałeś przytomność. - Już szła do drzwi, tych samych, w których przed chwilą stała Jennifer.

- Ona tu była, Kristi - powtórzył. Był przekonany, że ma rację. To nie halucynacja ani narkotyczne majaki. To nie sen. Nieważne, czy mu uwierzą czy nie, on wiedział, co widział.

Jennifer Bentz wróciła.

RS